

FELIKS W.

KRES

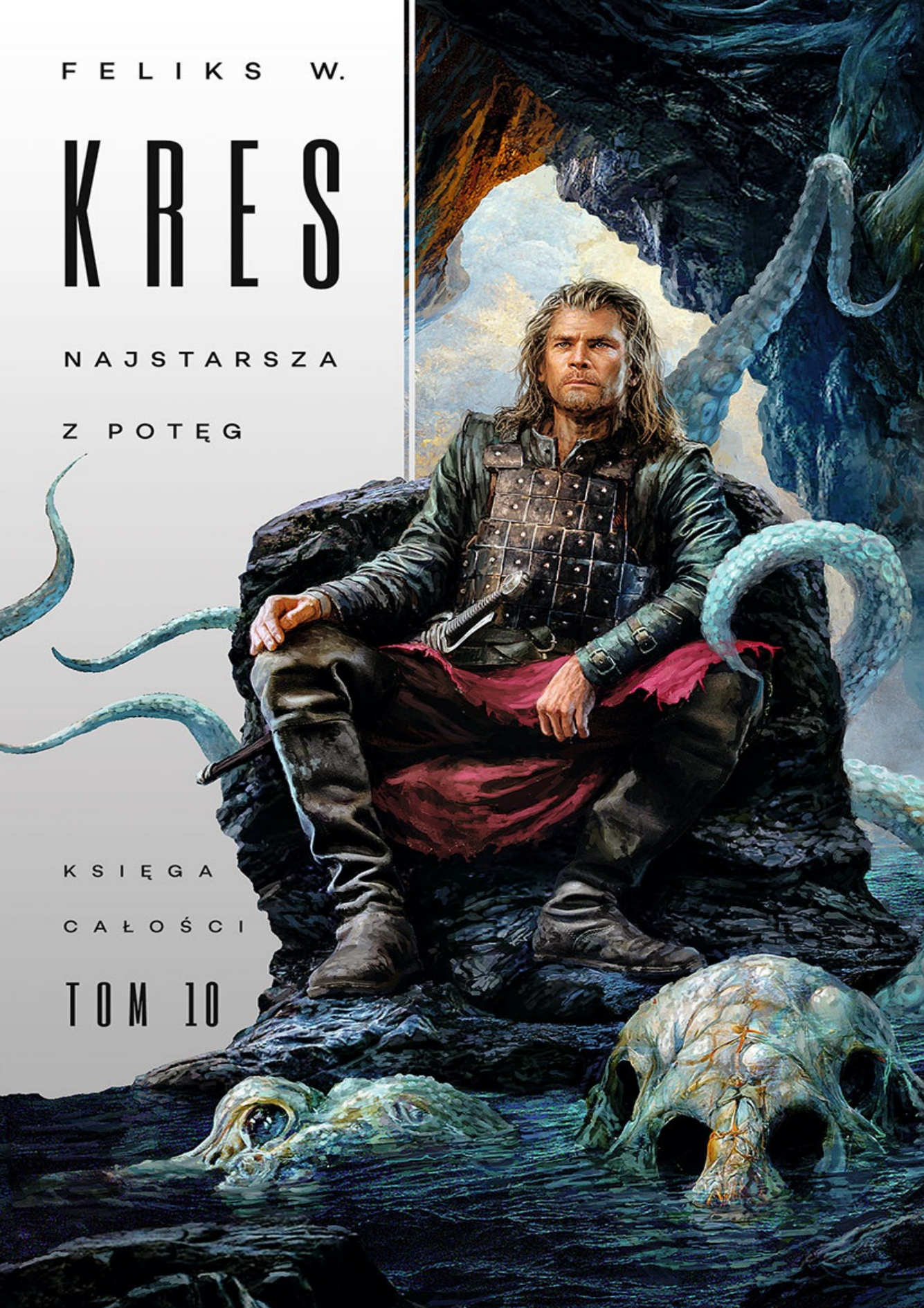
NAJSTARSZA

Z POTĘG

KSIĘGA

CAŁOŚCI

TOM 10



F E L I K S W.

K R E S

NAJSTARSZA
Z POTĘG

K S I Ę G A
C A Ł O Ś C I

T O M 1 0

ILUSTRACJE
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

KSIĘGA CAŁOŚCI

1. Północna Granica
2. Król Bezmiarów
3. Grombelardzka legenda. Serce Gór
4. Grombelardzka legenda. Wstęgi Aleru
5. Pani Dobrego Znak. Wieczny pokój
6. Pani Dobrego Znak. Wieczne Cesarstwo
7. Porzucone królestwo
8. Żeglarze i jeźdźcy
9. Tarcza Szerni
10. Najstarsza z Potęg
11. Szerń i Szerer: Zima przed burzą
12. Szerń i Szerer: Arilora
13. Szerń i Szerer: Spojrzenie Eniwetty

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Księga całości

Część pierwsza Kokardy Ridi

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Część druga Sieci i ryby

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Część trzecia żaglowiec

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Epilog Nowe czasy

Rozdział 32

Rozdział 33





Część pierwsza

Kokardy Ridi

ROZDZIAŁ 1



Niebo nad Bliskim Bezmiarem miało szarą barwę, ale nie zwiastowało burzy, choć powietrze przesyciła drobna mżawka. Dzień był chłodny, morze spokojne, południowo-wschodni wiatr nieporywisty. Dwa duże żaglowce szły ostro na wiatr, kursem południowo-wschodnim ku wschodowi; pierwszy statek ocierał się o martwy kąt.

Te wody to już właściwie nie był Bliski Bezmiar Wschodni. Na południe od Dalonorów i Agarów rozciągał się przestwór Morza Wielkiego, ale używali tej nazwy wyłącznie Garyjczycy. Dla reszty Szereru – Bezmiar Południowy, a najczęściej po prostu Bezmiar. Gdzieś się stykał z Zachodnim i Wschodnim, lecz ustalonych granic nie było.

Żaglowce płynęły od Dalonorów ku Agarom, na niewidzialnym styku Bezmiaru Bliskiego i Morza Wielkiego. To była ucieczka – i pościg.

Ogromna kupiecka hoga – białe żagle przecięte w poprzek fioletowym pasem – ufała powierzchni płócien. Na bezanmaszcie niosła kupiecką banderę w barwach własnych, tych, co na żaglach, na fokmaszcie zaś prostokątną czerwono-białą flagę z wizerunkiem miejskiej bramy postawionej na łodzi. Oznaczało to przynależność do Związku Portów Wschodnich, potężnej gildii handlowej zrzeszającej wiele miast, wbrew nazwie

nie tylko portowych, choć takich było najwięcej. Maszt główny dźwigał największą flagę, purpurową ze złotą koroną – był to znak Królestwa Dartanu.

Zdumiewająco sprawni żeglarze powodowali tym statkiem. Wołowata pływająca ładownia trzymała się tak blisko osi wiatru, że zakrawało to na cud – od pełnego bajdewindu hoki zwykle już nie ostrzyły. Mniejszy od niej holk z pięknymi, ciemnoszarymi żaglami, był jednak trochę szybszy, bardziej zwrotny i lepiej słuchający steru. Dobrze prowadzony, wygrywał dla siebie kolejne kęsy mil.

Legendarnych „czarnych żagli” w ogóle na morzach nie było – piraci nie farbowali płócien, zazwyczaj tylko mazali żagle dziegciem; to zupełnie wystarczało, by uczynić je słabo widocznymi. Lecz ten holk nie miał brudnych płócien, tylko prawdziwie ciemnoszare, jednolite. Komuś zależało na urodzie okrętu.

Po zatonięciu słynnej „Kołysanki” i śmierci jej kapitana Kitara był to najbardziej znany piracki żaglowiec Szereru. Kiedyś mianowany „Zgniłym Trupem”, od kilku lat nosił imię swojej dawnej dowódczyni – na rufie starannie wypisano cynobrem: „Ślepa Ridi”. Okręt pływał teraz pod komendą Meveva Cichego, pierwszego oficera legendarnej piratki, który nigdy nie pozwolił się nazwać kapitanem.

Bo wytrwale czekał na swoją „kapitanę”. Obiecała kiedyś, że wróci.

W skład załogi wciąż wchodziło parudziesięciu ludzi, noszących zamotane na nadgarstkach szmaty, zwane w żeglarskim świątku południa „kokardami Ridi”. Kiedyś wytargowała dla swych marynarzy życie, skazując się

wraz z nimi na banicję. Podarli jej stare spódnice i koszule, po czym przyozdobili się tymi strzępami. Raz na zawsze.

Minionej nocy hoga – trzymasztowy statek, któremu bliżej było do holka niż wychodzącej z użycia jednomasztowej kogi starego typu – próbowała zgubić prześladowcę. Ale noc przeminęła jasna i pogodna, wiatr był stały... Nie udało się. Teraz, po nastaniu nowego dnia, pogoda się trochę popsuła, lecz obie załogi już wiedziały, jaki będzie koniec wyścigu.

Jednakże kupiec nie rezygnował. Pogoda kaprysiła, jak to wiosną; mogła się zmienić na gorszą. O tej porze roku zdarzały się gwałtowne ulewy, choć zdychająca mżawka raczej tego nie zapowiadała. Niemniej deszcz, szkwały, zmiana kierunku wiatru – wszystko dawało nadzieję. Mogło też dojść do jakiegoś szczęśliwego zdarzenia, choć na tych wodach trudno było liczyć na spotkanie z wojennym żaglowcem królewskim lub imperialnym, a tylko taki mógł pospieszyć na ratunek. Przypadkowy kupiec wracający z Agarów, skoro handlował z pirackim księstwem, niekoniecznie chciałby przyjść z pomocą ściganej przez morskich rozbójników obcej hodze. Zresztą dwa handlowe żaglowce z nielicznymi załogami to było i tak za mało na piracką bandę, liczącą na pewno półtorej setki głów.

Marsz na samej granicy kąta martwego był ryzykowny, jednakże kupiecki żaglowiec nie miał nic do stracenia. Doganiany tak czy owak, liczył na błąd prześladowcy. Ostre podchodzenie do linii wiatru mogło się skończyć nagłą utratą sterowności. Do zyskania były mile i czas.

Jednakże „Ślepa Ridi” miała więcej swobody. Położona

na tym samym kursie, szła wprawdzie ostro – lecz mogła jeszcze ostrzej. Ścigana hoga już nie.

Pirackim księstwem, którego brzegi miały wkrótce wyłonić się zza horyzontu, rządziły szczególne prawa. Kupiec, który tam zawinął z własnej woli, zwykle nie miał się czego obawiać. Ahela, jedyne miasto, port i stolica Agarów, żyła nie tylko z łupów. Musiała i chciała handlować z kontynentem, a nawet Garrą i Wyspami. Co prawda dziwny to był handel. Legalny kupiec przywoził dobra pożądane przez pirackie wyspy, musiał zaś odkupić towary, które były im zbędne. W taki sposób Agary „prały” swoje łupy.

Lecz niektórym handlarzom widocznie się opłacało.

Hoga z biało-fioletowymi żaglami nie zamierzała jednak poddać się prześladowcy i pod jego opieką zawinąć do Aheli. Możliwe, że nie uczyniła tego z powodu czarnej legendy otaczającej „Ślepą Ridi”, legendy ponurej nawet wśród innych pirackich opowieści. Jej okrutna załoga ponoć nigdy nie brała przyzów ani jeńców.

Czy rzeczywiście tak było?

Należało wątpić. Piraci nie byli nimi dla zabawy, lecz dla zysku. Obchodziła ich zdobycz, a nie leżący na dnie wrak z pełną ładownią. Przeładunek towarów na morzu nastroczał niemałych trudności, lepiej było obsadzić zdobyty statek załogą – zwłaszcza u samych wrót macierzystego portu. Tym bardziej że wartość zdobytego żaglowca przewyższała zwykle wartość towarów, które wiózł.

Jeńców jednak rzeczywiście mogli nie brać.

Odległość między żaglowcami zmalała do niecałej mili. Hoga po zwrocie odpadła do półwiatru; wydano tam

rozkaz do zwijania żagli. Kapitan stawiał statek w dryf; uznał, że dalsza ucieczka nie ma sensu, i chciał wykorzystać ostatnią szansę na uratowanie życia. Opuszczono kupiecką banderę – na statkach handlowych miało to tę wymowę, co na okrętach opuszczenie bandery wojennej. Wkrótce od bezwładnie przewalającego się na falach kadłuba odbiły dwie łodzie. Załoga brała nogi za pas (o ile takie słowa pasowały do wioślarzy), zawierając nadziei, że zajęty zdobyczą pirat pożałuje czasu i trudu.

Mógł jednak nie pożałować. Uciekinierzy na pewno zabrali wszystko, co mogli: złoto i srebro, kosztowności. Doścignięcie łodzi nie musiało być stratą czasu.

Przy wiosłach siedziało bardzo, ale to bardzo niewielu ludzi. Kupieckie przedsiębiorstwa naprawdę lubiły oszczędzać na wszystkim, więc także na liczbie załogi.

Piracki holk zmienił kurs na pełniejszy, znacznie przy tym zyskując na prędkości. Szykowano się tam do zwrotu, by następnie podejść do ofiary od nawietrznej. Wytraciwszy prędkość, „Ślepa Ridi” mogła położyć się w dryf obok hogi i posłać przyzową załogę na łodziach.

Odległość zmniejszała się szybko.

Już zwinięto żagle rejowe, pirat szedł tylko pod bezanem, niemal burta w burtę z porzuconym statkiem. Opuszczano na wodę łódź, zeszła do niej obsada.

Wtedy nagle zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Porzucony żaglowiec ożył.

Spod kaszteli i z luków pokładowych zaczęli się wysypywać uzbrojeni ludzie w czerwono-białych tunikach, a chwilę później na maszt wystrzeliła trójkątna bandera wojenna w takich samych barwach, podniesiona w miejsce ściągniętej kupieckiej. Hoga była nie statkiem,

lecz okrętem Związku Portów Wschodnich, obsadzonym przez znajdujących się na swojej robocie, znakomicie uzbrojonych piechurów – mówiono, że są to najlepsi żołnierze na morzach w tej części świata.

Z trzaskiem otwarły się w burcie dwie dobrze zamaskowane furty działowe. Nowinka – bo działa stawiano zwykle na kasztelach, ostatecznie na głównym pokładzie. Była w tym ironia, jeśli nie szyderstwo, albowiem furty działowe wymyślił nie kto inny jak... piraci z Agarów. Nieliczna regularna flota tych wysp widziała swoją szansę w powiększaniu ciężaru ognia działowego.

Przygotowujący okręt pułapkę kupcy zarówno podchwycili ideę, jak i podpatrzyli wynalazek.

Dwie bombardy dużego wagomiaru wypaliły prawie jednocześnie, szczerbiąc nadburcie i demolując rufowy kasztel „Ślepej Ridi”. Skowyczeli i klęli jacyś ludzie, poranieni zdruzgotanym drewnem.

Na pokładzie hogi wszyscy żołnierze mieli w rękach łuki albo kusze i dowiedli, że potrafią wybornie posługiwać się bronią. Zaskoczona piracka załoga od razu poniosła straty, w powietrzu zrobiło się gęsto od bełtów i strzał, a czerwono-białych żołnierzy wciąż przybywało, bo ogromna ładownia wypluwała następnych i następnych. Zmasakrowano obsadę łodzi, tylko trzech ludzie wyskoczyli za burtę i desperacko zmierzali wpław z powrotem do „Ridi”; ktoś im rzucił linę z pokładu, ale żadnej innej pomocy nie udzielono. Na hodze z niezwykłą sprawnością zdołano obsadzić oba kasztele, kolejni strzelcy przypadali do nadburcia, kryli się za nim i klęcząc, posyłali pociski. Strzelali naprawdę dobrze,

odległość zaś wynosiła najwyżej pięćdziesiąt kroków. W mgnieniu oka zapłonęła smoła w dwóch przygotowanych maźnicach i zaraz potem pomknęły w stronę pirata pierwsze ogniste, wlokące za sobą wstążki dymu strzały. Po dniu wypełnionym mijającą, to znów wracającą mżawką słaba była nadzieja na podpalenie mokrych żagli i olinowania, żołnierze jednak próbowali.

W ciągu zaledwie kilku lat kupieckie okręty pułapki obrosły na morzach legendą. Było ich bardzo niewiele; mówiło się o dwóch albo trzech. Skuteczność tych żaglowców zależała od niesłychanej liczby zbrojnych, stłoczonych pod pokładem niczym śledzie w beczce, a nawet Związku Portów Wschodnich nie stać było na podobne wyrzucanie pieniędzy – w każdym razie nie na wielką skalę. Ci doborowi żołnierze, pełniący niesłychanie ciężką służbę, włączyli się przecież po morzach, licząc na szczęśliwy traf, bo tym było zaatakowanie ich żaglowca przez szubrawców spod czarnego żagla.

Pomysł, by nie oglądać się na floty imperialne i królewskie, tylko powołać pod broń własną piechotę morską na okrętach pułapkach, dojrzwał długo i miał wielu przeciwników. A jednak był dobrym pomysłem. Gdy rozeszły się pogłoski o ciągach, jakie ten i ów pirat zebrał od „kupca”, a potem jeszcze potwierdzone (i oczywiście szybko ubarwione) wieści już nie o laniu, tylko wręcz o spaleniu i zatopieniu rozbójniczego żaglowca, wielu kapitanów spod znaku czarnego żagla zaczęło rezygnować z napaści. Ozdobiony wizerunkiem bramy czerwono-biały proporzec działał odstrasząco;

po co szukać guza? Morza były pełne żaglowców nienależących do Związku Portów Wschodnich.

To dlatego hoga z biało-fioletowym żaglem uciekała tak długo i wytrwale. Prześladowca miał się wyżyć jakichkolwiek podejrzeń.

Było warto, bo straty zaskoczonych morskich rozbójników jeżyły włosy na głowie. Strzelało do nich stu ludzi, a wyglądało na to, że z ładowni wydostanie się na pokład jeszcze drugie tyle.

Jednakże piraci też nie byli dziećmi. Już się ostrzeliwano z łuków i kusz, a chwilę potem przemówiły działa „Ślepej Ridi”. Chaotycznie, nierówno – najpierw jedno, potem dwa, na koniec jeszcze dwa. To stanowiło ponad dwie trzecie pełnej salwy burtowej.

Kupieckim wojakom odpłacono niespodzianką za niespodziankę. Od pewnego czasu chodziły wieści, że flota Agarów używa żeliwnych kul zamiast kamiennych. Były przeszło dwa razy cięższe. Jednak dotyczyć to miało eskadr regularnych, stale pilnujących pirackiego portu.

Okazało się, że dotyczy także „Ślepej Ridi”.

Siła nierównej salwy, oddanej z zaledwie pięciu dział, była imponująca. W wolnej burcie hogi wybita została dziura, z wnętrza żaglowca dobiegały opętańcze wrzaski. Pozostałe pociski pogruchotały nadburcie, a fruujące z niesłychanym impetem szczapy wymiotły żołnierzy spod grotmasztu. Gdyby piracki żaglowiec mógł oddać więcej takich salw...

Ale nie mógł. Prochowe działa ładowało się wolno i mozolnie. Broń ognista, jakkolwiek szybko potężniejąca, miała jeszcze przed sobą długą drogę do celu, jakim była możliwość rozstrzygnięcia morskich bitew. Wciąż jedynym

właściwie sposobem na zatopienie żaglowca był abordaż, zakończony podłożeniem ognia, jeśli się nie chciało wrogiego okrętu zdobyć i uprowadzić.

Na pokładach obu żaglowców, między zwalczającymi wroga strzelcami, uwijali się już uczepieni lin marynarze, posłuszni oficerom ryczącym komendy; w tym fachu przydawał się potężny głos. Na łeb na szyję stawiano żagle, padały rozkazy na ster. Pirat nie miał żadnych szans na zwycięstwo, było jasne, że będzie uciekał. Trochę tylko wolniejsza hoga zamierzała gonić tak długo, jak to możliwe. Zniszczenie okrętu morskich zbójów wciąż jeszcze mogło się udać, istniała szansa przerzucenia ognia na pokład uciekiniera. Szansa niewielka, lecz przecież realna.

Gdyby piraci przeprowadzili bezpośredni atak, spięli okręty hakami i kotwicami abordażowymi, ucieczka byłaby znacznie trudniejsza. Lecz kupiec nie mógł dopuścić do zwarcia. Trzymanie żołnierzy na pokładzie zdradziłoby przecież pułapkę. Uwięzieni w ładowni, wydostający się z mazołem po stromych schodniach przez luki pokładowe, byłiby wyrzynani i zrzucani na głowy towarzyszy w dole. Zresztą nawet w wypadku odwrotu piratów kontrabordaż nie wchodziłby w rachubę, bo to dało się przeprowadzić tylko w masie – na pewno nie wężykiem kolejno wybiegających na pokład ludzi.

Realia morskiej walki przesądzały o wyborze taktyki.

Bitewna wrzawa nie zdołała pochłonąć rytmicznego zawodzenia majtków ciągnących szoty, skrzypiały brasowane reje. Obie załogi dawały popis żeglarskiej sprawności. Piraci ponosili większe straty, ale wszyscy

byli ludźmi morza – rannego lub zabitego natychmiast zastępował inny członek załogi. Na okręcie pułapce żołnierze nie mieli pojęcia o obsłudze żaglowca. Wiedzieli o tym łucznicy na pokładzie „Ridi”, myślący już tylko o wyniesieniu skóry z opresji. Strzelali do ludzi bez wojskowych tunik, utrudniając im pracę przy żaglach.

Dla czerwono-białych żołnierzy całkowite zniszczenie pirackiego żaglowca, i to tak sławnego, byłoby nagrodą za tygodnie niewygód i wyrzeczeń. Związek Portów Wschodnich oprócz żołdu wypłacał uczciwe pieniądze za każdą stoczoną walkę, a za unicestwienie wrogiego okrętu sypał srebrem jeszcze bardziej hojnie.

Holk znajdował się od nawietrznej; pękata, wciąż słabo sterowna hoga próbowała zmniejszyć odległość i dojść do burty pirata; już biegli żołnierze i majtkowie z kotwicami abordażowymi.

„Ślepa Ridi” usiłowała wywinąć się z opresji.

Wykorzystując przewagę manewru, holk pełnym wiatrem przechodził w odległości czterdziestu kroków przed dziobem przeciwnika – nie było mowy, by hoga zdążyła w tych warunkach przebrasować reje i położyć się w porę na kursie pościgowym. Żołnierze ryczeli z wściekłości. Kilka abordażowych kotwic plusnęło w fale, nie sięgając pirackiego kadłuba. Tylko jeden rzut był udany – tę linę musiał dzierżyć jakiś siłacz. Jednakże pojedyncza kotwica nie mogła zatrzymać dużego okrętu; została zresztą natychmiast odcięta.

Pirat uciekał, unosząc płomień na rufowym kasztelu, ale to był tylko przyodziewek zabitego ognistym pociskiem łuczника.

Podwójny huk! – przemówiła bateria pościgowa hogi.

Bardzo sprytnie zamaskowano te działa na kasztelu dziobowym: jedno było zakryte lekką drewnianą konstrukcją, drugie zarzucone linami. Poszedł w drzazgi wspornik rufowego kasztelu holka, druga kula o dłoń minęła grotmaszt, robiąc krwawą miazgę z marynarza. Nieszczęśnik miał pecha co się zowie. Poranionych i zabitych przez zdruzgotane drewno było wielu, lecz śmierć od bezpośredniego trafienia z bombardy należała do wyjątkowych.

Trudno sądzić, by to pocieszyło zabitego.

Holk uciekał i było już jasne, że umknie. Lecz rozczarowanie i zawód tylko przydały sił żołnierzom. Pociski sypały się na pokład uciekiniera tak gęsto, że trudno było zrobić choć krok, by się nie natknąć na wbitą w drewno strzałę albo bełt. Wszystkie żagle podziurawiono jak rzeszoto, wiele strzał w nich uwięzło, inne tkwiły w masztach, w nadburciu, wszędzie. Wciąż padali zabici i ranni – wydawało się niewiarygodne, że w tym morderczym deszczu ktokolwiek uniknął trafienia. Tu i tam wybuchały niewielkie pożary, desperacko gaszone w zarodku. Parząc się, rycząc z bólu, majtkowie gołymi rękami wyrzucili do morza ciężki zwój płonących lin.

„Ślepa Ridi” wychodziła z zasięgu broni przeciwnika; hoga mozolnie wykonywała zwrot przez rufę, lecz było już jasne, że zdobycz się wymknie.

Wystrzeliło jedno z pirackich dział rejteradowych – kończąca walkę żeliwna kula poszła w morze. Drugie działo nie wypaliło, może zawiódł proch albo zabrakło obsługi.

Pokład i kasztele „Ridi” były trupiarnią i lazaretem

jednocześnie, a dziobówka miała wkrótce stać się salą tortur, bo łuki i kusze zabijały podstępnie, powoli. Niewielu ludzi trafionych z broni strzelczej konało na miejscu, w zamian nawet co drugi miał umierać w męczarniach, bo strzała w brzuchu lub płucu to była nieomal pewna śmierć. Nadchodząca niespiesznie, lecz nieubłaganie.

Tylko raz w całej swojej historii „Ślepa Ridi” – wtedy jeszcze jako „Zgniły Trup” – zebrała podobne ciągi: od zdesperowanych, broniących napadniętej wioski najemników. Teraz uniknęła zagłady, ale straty w załodze były przerażające. I mające się zupełnie nijak do strat po stronie żołnierzy, których zginęło niewiele.

Wielka hoga zrezygnowała z pościgu. Czekala na wracające łodzie, w których przed walką dwudziestu majtków dokonało pozorowanej ucieczki.

Rozczarowani, rozwścieczeni wojownicy Związku Portów Wschodnich tak czy owak dopięli swego: postawili oto kolejny nagrobek na symbolicznym cmentarzu piratów rzucających się na statki pływające pod flagą z wizerunkiem bramy.

Rosła w siłę odstrasżająca legenda wojenna, a o to przecież chodziło.

ROZDZIAŁ 2



Pirackie żaglowce wchodzące do portu w Aheli ogłaszały swe morskie zwycięstwa, hałasując na wiwat z dział. Zdarzało się, że zawijał okręt pukający nawet dwa, trzy razy.

„Ślepa Ridi” zakotwiczyła na redzie z wojenną banderą na maszcie, ale w ciszy. Nie było chełpliwego odpalenia wiwatówki.

Okręt nie miał prawa cumować u nabrzeża, przed kilkoma laty jego załoga została skazana na banicję. Niewielu już zostało na pokładzie żeglarzy, którzy wtedy wymknęli się katu, ale zakaz zawijania do Aheli dotyczył okrętu. Nikt nie zamierzał się bawić w ustalanie, który z członków załogi usłyszał przed laty wyrok, a który zaciągnął się później.

Jeszcze kilka lat temu „Zgniły Trup” nie śmiałyby pokazać się nawet na redzie tego portu, bo karaki z agarskich eskadr z miejsca puściłyby go na dno. Lecz czas płynął; wiele się zmieniło. Karę złagodzano. Raz w roku pozwalano „Ślepej Ridi” uzupełniać tutaj zapasy. Po bardzo, ale to bardzo słonych cenach.

Tym razem jednak przeciążona łódź – jedyna, bo drugą stracono przy nieudanej próbie wzięcia pryzu – nie płynęła po wodę i śledzie, lecz wiozła do portu półżywych marynarzy. Dowodzący żaglowcem Mevev Cichy prosił mieszkańców Aheli o łaskę: przyjęcie najciężej rannych,

którzy w wilgotnej, rozkołysanej ładowni, karmieni kiepskim okrętowym żarciem, nie mieli żadnych szans na przeżycie. Tu, na łodzi, istniała przynajmniej nadzieja.

Malutki wartowniczy okręcik zbliżył się do łodzi. Jej sternik, krzycząc co sił w płucach, opowiedział się i przedstawił sprawę, będącą w istocie prośbą.

Na wartowniku podjęto decyzję. Bardzo dobrze to świadczyło o jego dowódcy i w ogóle o porządkach panujących w pirackim księstewku. Problem dużej wagi – udzielenie lub nieudzielenie pomocy banitom – rozstrzygnął na własną odpowiedzialność niski rangą oficer.

Nakazano łodzi płynąć do nabrzeża. Okręcik ominął ją i poszedł dalej, aż do kotwiczącej na redzie „Ślepej Ridi”, gotów zdjąć z pokładu pozostałych rannych, bo daleko nie wszyscy pomieścili się w łódce.

W porcie czekali żołnierze, w miarę jednolicie ubrani i uzbrojeni, bez mundurowych tunik, ale za to w czerwonych chustkach na głowach.

Łódź przycumowano, sternik wysiadł. Pod odzieniem widać było brudne opatrunki. Sayl, drugi oficer „Ridi” i zastępca Meveva Cichego, lekko oberwał strzałą w plecy i dużo poważniej w ramię. Nie zamierzał jednak zostać na łodzi, chciał tylko załatwić sprawę rannych, omówić warunki ich pobytu w mieście i opłacić opiekę. Trochę osłabiony wpływem krwi i bólem, poruszał się sprawnie. Znał drogę. Ponieważ jednak był wygnańcem, dostał eskortę dwóch żołnierzy. Szedł do dużego gmachu nazywanego pałacem, jako że mieszkał w nim samozwańczy książę agarskiego państewka. Za czasów Wiecznego Cesarstwa mieściła się tam, o ironio, siedziba

Trybunału Imperialnego.

Ahela była miastem niewielkim, choć pod pirackimi rządami rozrosła się i rozkwitła. Zdumiewało to przybyszy z obcych stron. Kogoś przygotowanego na obraz sadyby morskich zbójów zaskakiwały miejscowe porządki, jakich mogłoby pozazdrościć Aheli każde miasto Szereru. Krótka przechadzka czystymi ulicami, których pilnowali lekko uzbrojeni – bo tylko w pałki – strażnicy miejscy, powiedziała Sayłowi, że nic się tu nie zmieniło. Jeśli już, to na lepsze. Kończono brukować ostatnie ulice, zbudowano dodatkowy podest dla miejskiego obwoływacza i zawieszono przy nim jeszcze jeden gong obwieszczający pory dnia. Tyle zauważył po drodze.

Dwaj żołnierze pilnowali wejścia do pałacu. Eskorta Sayła przedstawiła im sprawę; jeden z wartowników zniknął w głębi budynku i wkrótce wrócił, prowadząc bardzo ładną kobietę w średnim wieku. Saył ją znał, bo od wielu lat pozostawała w służbie księcia Raladana. Miała na imię Lasena.

Niewolnica pierwszego sortu. Zwano je czasem „perełkami”, bo droższe były już tylko prawdziwe Perły. Lecz urocza powierzchowność tej kobiety skrywała bardzo twardą naturę. To też była cecha dobrej służki – całkowita lojalność wobec właściciela. Z tej lojalności wynikało, że niewolnica nie wahała się przy podejmowaniu decyzji w imieniu, ale i na rachunek swego pana. Czasem były to trudne decyzje.

– Laseno – przywitał się wytwornie Saył, mający dobrą pamięć do imion.

Ona też go poznała, zresztą został zapowiedziany przez

wartownika.

– Mów – zażądała krótko.

Przedstawił sprawę. Wyrażał się zwięźle i jasno. Był człowiekiem niezwykłym, zwłaszcza na pirackim okręcie. Władał trzema językami. Biegłe znał sztukę pisma. Jako tako znać ją musiał każdy oficer na dowolnym żaglowcu, inaczej się nie dało, ale Sayl pisał jak kronikarz albo nawet jakiś uczony, a czytać na głos umiał tak szybko, jakby normalnie mówił. I w ogóle uchodził za cudaka, bo zapoznał się z wieloma księgami i zwojami. Były wśród nich nie tylko takie, z których coś wynikało, na przykład locje i rejestry żaglowców, ale nawet zmyślane historie, różne dartańskie i żeglarskie legendy, armektańskie sagi albo wiersze. Kiedyś nawet sam napisał poemat i cała załoga się śmiała, ale wyszła z tego dobra piosenka, więc jakoś mu się upiekło.

Lasena nie słuchała do końca, przerwała po kilku zdaniach, gdy tylko zrozumiała, o co chodzi.

– Dobrze, chodź ze mną. Przyjmie cię.

Było powszechnie wiadomo, że niepodzielnie władający Agarami prostolinijny Raladan, wieczny pirat i szyper, nie życzy sobie, by go nazywano „wysokością”. Żywił wstręt do podobnej bufonady. Używał książęcego tytułu tylko poza domem. Wymusił na swoich niewolnicach, by zwracały się doń co najwyżej „panie”. Z Laseną – powiernicą i nałożnicą – był wręcz po imieniu. Przywykła. Lecz nie obnosiła się z tym.

Weszli do domu i ruszyli po schodach. Inna niewolnica pobiegła przodem, skutkiem czego Raladan bezceremonialnie wyszedł Sayłowi na spotkanie.

Znali się bardzo dobrze i niejedno razem przeżyli.

Podziękowawszy Lasenie gestem, agarski książę skinął na oficera „Ślepej Ridi”, by szedł za nim. Nigdy nie był przesadnie rozmowny.

Powierzchność tego człowieka prawie się nie zmieniała. Nie widzieli się od kilku lat i może dlatego Sayl uświadomił sobie, że z wyglądu trzydziestoosmioletni Raladan... zawsze był trzydziestoosmioletni. Różne rzeczy powiadano o tym najlepszym pilocie Bezmiarów, przeważnie zwykle żeglarskie bajdy, ale może w którejś tkwiło ziarno prawdy? Bardzo stara żeglarska legenda opowiadała o ludziach zrodzonych przez Bezmiary, cokolwiek to miało znaczyć. Podobno raz na sto lat pojawiał się człowiek tak mocno związany z prastarą potęgą oceanu, że zyskiwał od niej niezwykłą długowieczność.

Świat morza był światem legend.

Wkrótce znaleźli się w jednym z niewielkich prywatnych pokoi jego wysokości.

Ktoś tam czekał. Sayl z niejakim trudem rozpoznał następcę agarskiego tronu. Zapamiętał Nevina – bo takie imię nosił syn Raladana – jako ośmioletniego dzieciaka, a teraz ciekawie zerknął ku niemu siedzący za stołem trzynastoletni chłopak. Niewysoki (choć to jeszcze mogło się zmienić), także i rysy twarzy odziedziczył po ojcu.

Niemal w tej samej chwili weszła do komnaty dwunastoletnia kobietka. Też trochę podobna do ojca, bardziej jednak była miniaturką przedwcześnie zmarłej matki.

Sayl dobrze pamiętał księżnę Alidę i nigdy dotąd nie dostrzegł, że jej córka jest aż tak podobna. Może zresztą kiedyś nie była. Dawno jednak nie widział tej małej, która

teraz zamiast dziecięcych szatek nosiła „dorosłą” suknię. Taką jaką wybrałaby księżna; może zresztą to była trochę dopasowana suknia matki – kobiety niskiego wzrostu i o niedużych piersiach.

– Ojciec – powiedziała bardzo poważnie dziewczynka. Pokazał jej, żeby usiadła.

On sam jednak tego nie zrobił. Lekko kołysząc się na obcasach, popatrywał na Saylę.

– Mów – polecił tak krótko, jak wcześniej Lasena.

Drugi oficer „Ridi” jeszcze raz przedstawił swoją sprawę. Nikt mu nie przerywał, choć rodzeństwo kilka razy wymieniło spojrzenia. Raladan to zauważył.

– Ty zdecyduj, Izetto – powiedział, gdy Sayl skończył.

Zawsze zwracał się do córki pełnym imieniem. Izę nazywał ją tylko brat.

Uśmiechnęła się lekko i Sayl po raz drugi uległ złudzeniu, że widzi wskrzeszoną Alidę. Kobietę, której życie wypełniały spiski, intrygi, knowania. Później zaś polityka.

– Ile zapłacicie? – zapytała.

Bez ogródek.

Nevin uśmiechnął się i aprobująco skinął siostrze głową.

Coś zabrało tym szczeniakom dzieciństwo. Coś, a raczej ktoś.

Raladan nie kochał Nevina ani Izetty, wychowywał półsieroty z poczucia obowiązku. Jego dzieci od chwili, gdy straciły matkę, nie zaznały ciepła. Chyba że od kochających je niewolnic.

Lecz zyskały naraz uwagę. Bo ich ojciec odkrył nieoczekiwanie, że wprawdzie nie chciał i nadal nie chce

mieć dzieci – ale chce i potrafi mieć córkę oraz syna. Nie wiedział, albo może zapomniał, co oznacza upływ czasu. Bardzo nagle uświadomił sobie, że z tych dwojga właśnie wyrastają ludzie; że do pewnego stopnia już wyrosli, można z nimi rozmawiać, mieć pomoc, pożytek, a nawet i towarzystwo. Można się porozumieć.

I udało się nad wyraz dobrze. Bo tych dwoje myślało dokładnie to, co on: że dzieciństwo to stan godny zwierząt. Brat i siostra gotowi byli wkroczyć w dorosłość choćby zaraz.

Raladan w wolnej chwili pokazał synowi, jak oznaczać pozycję okrętu na morzu. Podsunął i omówił locje, portolany, objaśnił znaki i symbole w olbrzymim rejestrze żaglowców. Chłopak chłonał podawaną przez ojca wiedzę tak, że prawie się nią dławiał. Nic nie było nudne ani trudne.

Obaj czegoś się dowiedzieli. Najwięcej o ojcach i synach.

Izetta i Nevin zajęli wreszcie należne im miejsce w sercu rodzica, starego pirata. Było to chyba miejsce opuszczone przez żonę, którą szczerze kochał. Bo tylko dla dwóch osób, jak dotąd, Raladan znalazł uczucie: dla Alidy i dla przybranej córki, Ridarety.

Sayl dobił targu z rodzeństwem, które za kilka lat wspólnie miało rządzić Agarami. Nevin wprawdzie nie palił się do tego; inaczej niż mała Izetta, którą lud Aheli już teraz namaścił na panią Agarów. Tak bardzo przypominała matkę! Księżnę Alidę wciąż wspominano, była dobrą, lubianą, może nawet kochaną władczynią.

– Jeszcze coś? – zapytał Raladan, bo Sayl nie dziękował i nie zamierzał odejść, chociaż już załatwił swoją sprawę.

– Tak, ale nie wiem...

Urwał.

– Mów.

– Opowiedz mi O NIEJ – rzekł niegłośnie drugi oficer „Ślepej Ridi” i wyszło przy tym na jaw, że potrafi mu na kimś zależeć, był wzruszony. – Wiem tyle co wszyscy. Albo niewiele więcej. Same bajki.

Nagle uniósł przedramię, pokazując chustkę na nadgarstku. Przewiązana była dodatkowo jakimś strzępem.

Sayl nosił kokardę Ridi. Zawdzięczał swojej dowódczyni życie. Stał już na rynku przywiązany do słupa, a kat miał skręcać sznur opasujący mu szyję.

Izetta i Nevin znowu wymienili spojrzenia. Świetnie pamiętali przybraną starszą siostrę. Nie mogła mieć własnych dzieci, więc bardzo kochała ich oboje i zawsze to okazywała.

Byli zazdrośni, bo ojciec ją kochał, a ich nie. Teraz to się zmieniło.

Tęsknili. Chociaż trochę się obawiali, że gdy wróci, znowu usunie ich w cień.

– Dorasta – powiedział Nevin, korzystając z niemego przyzwolenia ojca. – Jest... Nie umiem powiedzieć.

Chciał rzec: jest starsza ode mnie, ale przecież to nie była prawda. Dziecko, które przejęło wszystkie wspomnienia i cechy swojej matki, które było, a raczej miało być NIA, liczyło sobie cztery i pół roku. Wyglądało jednak na czternaście, może nawet piętnaście lat.

– Nie poznaje nikogo – powiedziała smutno Izetta. – Nie poznaje nawet mnie, ale... Ojciec mówi, że kiedyś nas pozna. Prawda, ojczy?

– Tak.

– Ale już minęły cztery lata! – powiedziała oskarżycielsko dziewczynka. – To miało być po czterech latach!

Raladan wierzył, że tak się stanie. Że odzyska swoją pierwszą córkę. Lecz całą wiedzę czerpał z krótkiego, nieporadnego listu, będącego testamentem Ridarety. Przechowywał go, choć już nie musiał, bo po latach pamiętał każde słowo.

Wiedząc, że tego dnia umrze, napisała:

Raladanie, Kitarze. Ja śpię. Powiedzcie chłopcom, żeby nie nazywali okrętu „Ślepą Ridi”, bo wrócę i znowu będę pływać. Za cztery lata. Piszę to i nie wiem, czy Kesa wróci po mnie. Bardzo długo jej nie ma. Jeżeli nie wróci, to nie dostaniecie tego listu. Wtedy wszystko nieważne. Riolata nie jest zła, ona tylko... bo ja chciałam z nią tak, jak Wy ze mną: poznać i zrozumieć, tylko nie za blisko, ostrożnie. Niepotrzebnie na Was krzyczałam, bo sama robiłam to samo. Ale teraz bardzo mi na czymś zależało i podeszłam do Riolaty jak najbliżej. Wielu rzeczy się dowiedziałam. I zrozumiałyśmy się. Za cztery lata będę już młodą dziewczyną, a ona mnie obudzi i będziecie mieli z powrotem swoją Ridę, a ja Was. Riolata i ja to teraz jedno, ona przechowuje moją pamięć, wady, nawet zalety, jeśli jakieś są. Całą mnie. Kiedy się obudzę, będę taka sama jak teraz, tylko trochę mądrzejsza. Kocham Was i nie mogę się doczekać, kiedy znowu... Już nie mogę pisać. Kocham Was. I kogoś jeszcze, ale, nie, już nic. Ridareta. Żeby tylko Kesa wróciła.

Księżniczka Riolata Ridareta była na pirackich wyspach znienawidzona. W zamian za łaskę wygnania (bo przecież to była łaska – załodze „Zgniłego Trupa” darowano zatwierdzony wyrok śmierci) dopuściła się

zbrodni, puszczając z dymem dwie wioski na Małej Agarze, drugiej wyspie archipelagu. Kazała pozabijać rybaków, oszczędziła jedynie stare kobiety i dzieci. Z majtków, którzy pamiętali tamtą rzeź, pozostało niewielu, a każdy się zarzekał, że pilnował wtedy okrętu i nie postawił stopy na lądzie. W ustach kilku z nich to nawet mogło być prawdą. Wielu ludzi chciało takiej prawdy, bo nie każdy w tej załodze jawił się kanalią, niektórzy mieli przyjaciół, nawet rodziny w Aheli.

Lecz księżniczce nie darowano. Mieszkańcy stolicy Agarów pamiętali, kto wydawał wtedy rozkazy i czy dziki kaprys spełniono.

Ridareta nie żyła od blisko pięciu lat. Krążyły w zamian niesprawdzone pogłoski, jakoby w pałacu księcia dorastała jej córka, rzekomo dziedzicząca imię po matce. Ktoś nawet widział to dziecko w oknie; opowiadano sobie różne bajki. Nic nowego. Od zawsze było wiadomo, że księżniczka Ridareta ma coś wspólnego z siłami Szerni, była ponoć opętana przez potężny Porzucony Przedmiot. Teraz dociekano, czy jej córka odziedziczy bądź już odziedziczyła niezwykle moce po matce, a razem z tymi mocami naturę kapryśnicy i twarde, bezduszne serce. Nikt nie umiał powiedzieć, gdzie i kiedy to dziecko odnaleziono, miało podobno siedem lat. Dwanaście?... Albo dziesięć. Każdy mieszkaniec Aheli wiedział coś lub słyszał na ten temat. Niektórzy nawet twierdzili, że przywieziono niemowlę, które jednak rosło trzy razy szybciej niż wszystkie inne dzieci.

Ślepą Fokę Ridi często widywano w ciąży. Podobno rodziła martwe potwory. Czy tym razem stało się inaczej? Czy naprawdę Raladan wychowywał przybraną wnuczkę,

tak jak wcześniej opiekował się córką?

– Raladanie – powiedział Sayl – wierzysz w przeznaczenie?

Było to niezwykle pytanie, ale władca Agarów potraktował je poważnie. Popatrzył z namysłem.

– Nie.

– A w szczęśliwy traf albo przypadek?

Raladan skinął głową.

– Może to właśnie dzisiaj. Na redzie Aheli stoi jej okręt. Zaprowadź mnie do niej, do mojej kapitany. Nam też obiecała, że wróci.

Jeszcze raz, trochę bezradnie, pokazał strzęp na nadgarstku. Nie bardzo umiał mówić o takich sprawach. O tym, że tak zwyczajnie, po żeglarsku, był szczerze przywiązany do dowódczyni żaglowca. Że czeka; że chciałby ją znowu zobaczyć na rufowym kasztelu, z potarganymi przez bryzę włosami. I chciałby zanieść dobrą wiadomość tym trzydziesto-, czterdziestoletnim „chłopakom”, którzy tak samo czekali.

– Ojczy? – powiedziała szybko Izetta, która jednak była dzieckiem; co z tego, że pozbawionym zwykłych dziecięcych zabaw.

Z ostatniej wyprawy – bardzo niezwyklej, bo lądowej – na którą wyruszyła księżniczka Ridareta, ocalało zaledwie kilku ludzi. Lecz wrócili na okręt i opowiedzieli o wszystkim, co się zdarzyło. Nie znali treści listu, lecz poza tym wiedzieli bardzo dużo. Raladan nie musiał zdradzać przed Saylem żadnych tajemnic. Zresztą takie „tajemnice” szybko wkładano między bajki, bo były przecież nie do odróżnienia.

Opowiedział, jak się mają sprawy.

– Tak się zachowują ludzie z wysoką gorączką, ale ona nie gorączkuje – zakończył krótko; rzeczywiście miał przy tym wrażenie, że opowiada o chorobie córki. – Mówi, ale bez sensu, najczęściej zresztą sama do siebie, nie do kogoś. Rozumie najwyżej co dziesiąte słowo. Nikogo nie poznaje. Czasem umie się sama ubrać lub rozebrać, ale częściej nie, bo nawet nie próbuje. Zje to, co dostanie, a kiedy indziej będzie się bawić jedzeniem. Nadal chcesz ją zobaczyć? Nie mówię: „zobaczyć się z nią”, bo tak nie będzie.

Sayl potwierdził.

Poszli we czworo. Musieli opuścić budynek, Ridareta mieszkała nie w pałacu, lecz w portowej twierdzy. Mała Izetta pobiegła przodem, bo nie umiała sobie narzucić cierpliwości. Chętnie pobiegłby także jej brat, lecz próbował zachowywać się tak, jak mężczyźni, którym towarzyszył.

Sprostął, wytrzymał. I zaskarbił sobie przychylnie spojrzenie ojca.

Dwa niewielkie pokoje urządzone bardzo wygodnie. Ridareta wymagała opieki, lecz nie była niebezpieczna dla siebie ani dla nikogo innego. Stale towarzyszyła jej któraś z niewolnych perełek. Zazwyczaj czuwały dwie, bo to było śmiertelnie nudne zajęcie.

Jednej rzeczy Sayl nie oczekiwał, tej najbardziej oczywistej: dwojga oczu. Brakowało przekreślającej twarz opaski. Dziewczyna, w której miała się obudzić piracka księżniczka, już nie mogła nosić jej przydomku.

Nie licząc Ridarety, w pokoiku znalazło się sześć osób, potem już tylko cztery, bo niewolnice wyszły. Jeśli Sayl miał nadzieję, że jego niewidziana od kilku lat twarz

obudzi jakieś wspomnienia w Ridarecie, to się zawiódł. Nic nie powiedziała, nawet mu się nie przyjrzała. W ogóle nic nie zrobiła.

Była bardzo podobna do... siebie, bo tak chyba należało myśleć. Podobna do Ślepej Foki Ridi i niepodobna zarazem. Dawno temu moc Rubinu najpierw zastąpiła jej utracone życie, a następnie zaczęła kształtować ciało. Chyba zgodnie z oczekiwaniami Ridarety, lecz były to oczekiwania wzięte z żeglarskich wyobrażeń o kobietach. Ridareta chciała być piękniejsza, Rubin zaś wychodził naprzeciw jej życzeniom. Jakież jednak były życzenia pirackiej królowej, oceniającej świat, więc i urodę kobiet, oczami swoich marynarzy?... Nienaturalnie bujnowłosa dziwa z ogromnymi piersiami niewiele miała wspólnego z ładną, w sumie jednak normalnie wyglądającą dziewczyną, którą była wcześniej.

A teraz stała się znowu.

– Tak wyglądała, kiedy ją widziałem po raz pierwszy – powiedział Raladan, chyba czytający w myślach oficera „Ridi”. – Miała wtedy szesnaście lat. Teraz wygląda na trochę mniej, ale to się zmieni za trzy, cztery miesiące.

– Zawsze wyglądała na dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata – rzekł Sayl; miał lekką chrypkę i znów był wyraźnie wzruszony, choć z trudem umiałby nazwać to uczucie, rzadko goszczące w sercu oficera pirackiego żaglowca. – Może to jest najlepszy wiek dla kobiety? Może dopiero wtedy...

Zamilkł. Po krótkiej chwili wbrew rozsądkowi spróbował:

– Kapitana? Pamiętasz mnie? Jestem Sayl, twój drugi oficer, a Cichy... a Mevev teraz dowodzi twoim okrętem.

Nie dało się poznać, czy w ogóle usłyszała, a cóż dopiero zrozumiała słowa.

– Wystarczy – powiedział Raladan. – Nie jest zwierzęciem pokazywanym w klatce na ryneczku.

– Miała ciebie i miała nas, i właściwie nikogo więcej. Może jeszcze Kitara – powiedział Sayl. – Nie przyszedłem tutaj, żeby się pogapić, dobrze wiesz. Nie tylko tobie zależy.

Raladan przyjął wymówkę, a czynił tak bardzo rzadko.

Popatrzyli jeszcze na obojętną, cichą Ridaretę i poszli. Wcześniej Raladan dał znak synowi i córce, żeby zostali z siostrą. Miał do pomówienia z Saylem w cztery oczy.

– Przyżywamy co roku, bo częściej nam nie wolno – rzekł oficer, gdy szli korytarzem. – A przyżywamy, żeby... Wszędzie możemy taniej kupić zapasy.

Raladan wiedział, że sprzedawali tylko połowę przywiezionych łupów. Drugie tyle oddawali ahelczykom darmo. Na swój sposób próbowali się pojednać. I dostrzegano to.

Przystanęli przy wąskim fortecznym oknie. Patrzyli na port.

– Od teraz macie prawo przyżywać raz na pół roku – zdecydował sucho Raladan. – Zaraz po jesiennych sztormach, a drugi raz kiedy chcecie.

– Tylko nie zapomnij powiedzieć o tym Ahagadenowi. Żeby nie puścił nas na dno. – Sayl spróbował słabo zażartować.

– Ahagaden nieprędko wróci.

– No widzę, że brakuje nowych eskadr. – Sayl ruchem głowy pokazał wydzieloną dla agarskiej floty część kotwiczowiska, gdzie stały tylko cztery stare holki. –

Zauważyłem od razu, jak przypłynęliśmy. To pewnie tajemnica, dokąd poszły?

– Donikąd. Na Bezmiary. Jeśli żeglarze na tych okrętach nie mają się przemienić w bandy szczurów lądowych, to muszą czasem popracować przy żaglach. A pokładowi żołnierze zdychają z nudów. Utrzymanie pół tysiąca piechurów na lądzie i dwa razy tyle na okrętach kosztuje. Nie musisz wiedzieć ile, to nie twoje wydatki. Nie wyrzucam tego złota po to, żeby wszyscy umarli od morskiej choroby, kiedy wreszcie wyjdą w morze i będą potrzebni.

– A będą?

– Garyjczycy urządzą swoje powstanie...

– Urządzają od dziesięciu lat – przerwał Sayl.

– Tym razem coś mi mówi, że wreszcie urządzą – powiedział znacząco Raladan, a Sayl łatwo odgadł, że to nie jest tylko żeglarskie przeczucie. – Ale już mnie nie ciągnij za język, bo reszta to nie twoja sprawa. Prawda, coś sobie przypomniałem: nie bierzcie listu kaperskiego od Armektańczyków, a jeżeli weźmiecie, to na własny rachunek. Agary będą stać z boku tej awantury.

– Miało być inaczej.

– I było przez trzy lata. Za dobrą cenę zgodziłem się poprosić kapitanów zawijających do Aheli, by wzięli imperialne listy kaperskie, jeśli wybuchnie powstanie. Ale przez trzy lata nie wybuchło, więc koniec umowy. Jest nieważna od prawie roku.

– Podobno dogadywałeś się z Dartanem?

– Tak było. Dzisiaj już bym nie rozmawiał z Armektem. Ale wtedy jeszcze nie umiałem rządzić tymi wyspami i nie wiedziałem, co robić, a czego nie.

– Dogadałeś się z Armektem i Dartanem?

– Co innego mieli dostać pierwsi, a co innego drudzy. Dartanowi miały pomóc moje własne eskadry. Agarskie. Nic mi do poczynań różnych kaprów. Dowódcom takich okrętów jak twój, których przypadkiem znam bardzo wielu, mogę przedłożyć czyjeś propozycje, tylko tyle. Zgodziłem się to zrobić. Przedstawiciel Cesarzowej co roku przysyłał mi pieniądze. Miało tak być przez trzy lata i było. Po trzech latach umowa wygasła.

Raladan rzadko gadał bez powodu. Sayl zaczął się zastanawiać, co właściwie chce mu przekazać ten najlepszy szyper wszystkich mórz, którego przedziwne wyroki losu uczyniły władcą archipelagu na obrzeżach świata.

– Imperialny list kaperski.

– Mówię: lepiej nie bierzcie.

– Jeśli rebelia wybuchnie, to kto wygra?

– A co za różnica? Byłeś i będziesz piratem dla wszystkich. W czasie wojny kaprem dla tej strony, która da ci list kaperski, piratem dla całej reszty, a po wojnie znowu tylko piratem.

Sayl pokiwał głową.

Raladan zmienił temat.

– Dużo straciliście? – zapytał.

– Licząc z rannymi, połowę załogi. Dwudziestu sześciu zabitych, reszta w drodze, w lewo albo w prawo. Strzelali najpierw z takiej odległości, że nawet ślepy by trafił. Dostali Nellsa. Przynajmniej się nie męczył, prosto w oko i trup.

Dowódca pokładowych zabijaków, okrętowej gwardii kapitańskiej. Dartańczyk, tak jak i Sayl. Był jednym

z najstarszych wiarusów Ridarety.

– Wychodził cało ze wszystkiego – rzekł Raladan. – Nawet w górach mu się udało.

– Ponieśli i wilka.

– A ilu ich było? Tych wojaków na kupcu?

– Coś tyłu, ilu nas. Z półtorej setki.

– Dużo zdechłaków mi tu zostawiacie?

– Trzydziestu paru. Pokaleczonych, takich jak ja, nie liczę, bo nie schodzą z pokładu. No i jeszcze kilku kazałem zostawić, bo i tak już nic nie poradzisz, szkoda męczyć, szarpać do łodzi. Niech wykitują w spokoju. Doradzisz, gdzie szukać nowych załogantów? Dartan i Armekt na wyścigi budowały floty. Trudno o dobrych żeglarzy.

– Tutaj znajdziesz niewielu, bo Ahagaden robił zaciągi na każdą nowo zbudowaną karakę. Ale popytaj w knajpach, zawsze ktoś się trafi. Możesz zostać na lądzie do północy, tak mów straży miejskiej i żołnierzom.

ROZDZIAŁ 3



Póływym żeglarzom ze „Ślepej Ridi” przypadł w udziale los bardzo różny. Mniej więcej połowę umieszczono w przeznaczonym do rozbiórki, choć trzeba przyznać, dość solidnym przyportowym składzie – zbudowano niedawno nowy, bliżej nabrzeży, a starego jeszcze nie rozebrano i stał pusty. Tam mieli umierać bądź dochodzić do zdrowia, odwiedzani przez medyków z miasta, którym Sayl wypłacił zaliczki. Inni, szczególnie młodzi i rokujący nadzieje, trafili do izb w gospodach, a nawet pod dachy mieszczan.

W pirackim księstewku było dużo kobiet. Za dużo. Żeglarski, a już piracki fach nie należał do bezpiecznych. To samo dało się powiedzieć o zajęciu wielorybników z południowego wybrzeża wyspy. Mężczyźni pracowali także w kopalni miedzi lub podmiejskim kamieniołomie, dźwigali w porcie ciężkie ładunki – w każdym z tych miejsc było łatwo o wypadek. Na koniec nawet zwykli rybacy nie wracali czasem z połowów.

Zresztą, jak wszędzie, mężczyźni żyli krócej. Zawsze głupszy od kobiet, zachlewali się na śmierć, tłukli po pyskach, kąpali w morzu, kiedy jeszcze zimno albo przy brzydkiej fali, bo przecież wiadomo – każdy pływał lepiej niż rekin. I w ogóle byli słabej dupy, jak to mawiano na Wyspach. Ciężko zaziębiona, gorączkująca baba jakoś

zwykle wykierowała się ku zdrowiu, a chłopisko już niekoniecznie – zaraz mu weszło na płuca...

Na każdego mężczyznę mającego ręce i nogi (w niedosłownym, ale i dosłownym rozumieniu) przypadały na Agarach dwie całkiem niestare kobiety, owdowiałe, porzucone lub od zawsze samotne, niemające większych nadziei na założenie rodziny. Mogły być dziewczynami zawijających do portu marynarzy.

Wykurowanie we własnym domu dzielnego żeglarza ze sławnego okrętu stwarzało widoki na coś więcej. Banita czy nie banita... Pomyśli się o tym później; kto by tam pamiętał, skąd jest jakiś człowiek. A książe Raladan okazywał wyrozumiałość mieszkańcom swojego miasta, jego słowo zaś było na tej wyspie prawem.

Sztuka pisma słusznie uchodziła za przydatną. U pierwszego z brzegu kupca Sayl nabył kilka czystych kart i nic więcej, bo stale nosił przy sobie cynowo-olowiany rysik, śmiesznie zwany gdzieniegdzie na kontynencie ołówkiem. Potem obszedł wszystkie kwatery i starannie zanotował imiona członków załogi oraz gdzie szukać tych ludzi. Zrobił też listę opłaconych konowałów, zapisał, ile srebra i komu jest winien, a ile już wypłacił zaliczkowo. Na koniec odszukał starego członka załogi – to był właśnie jeden z tych bez nogi, a dodatkowo jeszcze bez dwóch palców przy prawej dłoni, ale po zejściu na ląd i tak znalazł sobie żonę, bo lepszy był niekompletny chłop niż żaden. Sayl zostawił mu trochę pieniędzy na pokrycie nieprzewidzianych wydatków. Kaleka miał się dowiadywać o rannych; kilku z nich nawet znał i pamiętał.

Przede wszystkim jednonogi Hogherth, bo takie piękne

garyjskie imię nosił, był jednak skarbnicą wiadomości. Zawsze miał coś, za co jego dawni dowódcy byli gotowi zapłacić, i z tego właśnie się utrzymywał, nie zależał więc od zarobków swojej kobiety, starej karczemnej prostytutki, wciąż jeszcze mającej branie. Mogli nawet wspomóc córkę i dwóch dorosłych synów – dla niego pasierbicę i pasierbów – a czasem zabrać wnuki na jarmark.

Zlecenie doglądania rannych przyjął z zadowoleniem. To była dobra okazja do zarobienia, bardzo niewielkim staraniem, kilku dodatkowych srebrnych krążków.

Nadciągał wieczór, małżonka pracowała, zasiedli więc we dwóch w niedużej, ale całkiem schludnej izdebce, przy wyszorowanym stole. Zaraz stanęło na blacie piwo w zgrabnych cynowych kufelkach.

– Masz tu porządek – zauważył Sayl.

– Po marynarsku. A moja stara też nie lubi burdelu.

Pośmiali się z dobrego dowcipu.

Obgadali sprawy. Wypili po jeszcze jednym kuflu.

– Mogę zostać na łądzie do północy. Tak powiedział Raladan, a z nim nie ma żartów – rzekł na koniec Sayl. – Zaraz się będę zbierał. Jeśli masz coś dla mnie, to mów.

Zagał tak nie przez przypadek. Znał starego i widział, że coś sobie obraca w głowie. Tylko z jakiegoś powodu nie może się zdecydować.

– Mam i nie mam – mruknął zapytany. – Plotka. Nie, nie plotka... Niesprawdzona wiadomość – rzekł starannie. – Ciekawa, ale jeśli nawet prawdziwa, to nie wiem, do czego mogłaby się przydać.

Jako mieszczuch bardzo pięknie nauczył się mówić. „Niesprawdzona wiadomość” – no, no.

– Ile chcesz?

– Za to? Nic nie wezmę. Znaczy jak mi coś dasz, to nie będę płakał. Ale powiem ci za darmo, bo...

Wzruszył ramionami.

Sayl zachęcił go ruchem głowy.

– Kitar żyje – powiedział Hogherth.

– A to jakim cudem? Spalili mu „Kołysankę”, wyłowili go z wody i powiesili na rei.

– Nie jego. Wyłowili jeszcze paru załogantów. Jeden był podobnej postury i też z jasnymi włosami, a stłukli go tak, że z gęby nie przypominał już nikogo. Ubrali w to, co Kitar miał na sobie, i powiesili zamiast niego. Tak, żeby wszyscy widzieli.

Sayl milczał.

– To chyba naprawdę bujda – rzekł na koniec. – Od kogo to wiesz?

– Od chłopaka z tego okrętu, który spalił Kitara. Znaczy nie od niego samego. Pochorował się, zeszedł na ląd. Zanim się przekręcił, wygadał, co wiedział. Przyrodniemu bratu. A ten niedawno był tutaj i mi to sprzedał.

– Dużo dałeś? Bo przepłaciłeś na pewno.

– Niedużo dałem. Ale swoje wiem. To, że nawet bajki opłaca się znać. Tylko pomyśl.

– Właśnie myślę. Każdego pirata od razu wieszają na rei. Czasem gończy przesłucha takiego, ale to od razu na okręcie, bo w każdej cesarskiej załodze mają psa Trybunału.

– Przecie wiem. Ale taki Kitar?... Powiesić takiego Kitara? Każdy o nim słyszał. Pierwszy kapitan na Bezmiarach.

– Pierwszy, drugi... Dobrze. Wcale bym się nie zdziwił,

gdyby go zabrali na ląd, żeby porozmawiać jeszcze bardziej. Ale wiesz na niby? Po co?

Hogherth pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „No tak, ale...”.

– Ty znałeś Kitarę, ja z nim go tylko kiedyś widział. Ale wiem, że był kuty na cztery nogi. Bardziej cwany był tylko stary Brorrok.

– I co?

– A to, że słaba jest gadka o tym wieszaniu-niewieszaniu – przyznał Hogherth. – Ale jeszcze słabsza jest taka, że Kitar nic nie miał wymyślane na przypadek, jakby go złapali. Tak zwyczajnie dał się powiesić? Nie wymyślił nawet niczego, żeby go zabrali na ląd?

Sayl popadł w zadumę.

W słowach kaleki było sporo racji. Aż dziwne, że sam na to nie wpadł.

Bo rzeczywiście nieźle znał Kitarę.

o o o

Wróciwszy na okręt, Sayl zdał dokładny raport Mevevowi Cichemu. Dowódca okrętu swoim obyczajem nic nie mówił, spoglądał na morze, kiwał głową. Na koniec zadał parę pytań, wysłuchał odpowiedzi. Wyglądało na to, że jest zadowolony.

Bo dalej kiwał głową.

Sayl opowiedział o Kitarze.

Zastępca Ridarety nic nie odrzekł i znowu popatrzył na morze, a raczej tylko w ciemność. Drzwi urządzonej pod kasztem kajuty były otwarte na oścież; widoczni w świetle latarni zawieszanej na kolumnie masztu,

leniwie pogadywali dwaj majtkowie z nocnej „małej wachty”. Przy kotwiczeniu na redzie pokładową wachtę zmniejszano.

– Sayl, ty głupi jesteś? – zapytał wreszcie, przetrawiwszy wieść.

– Kiedy to wcale nie jest takie głupie. Pomyśl. Najślawniejszy od kilku lat kapitan na Bezmiarach... i od razu go siup! Nie zawiózłbyś takiego na ląd, żeby powiesić na rynku w Doronie? Tak, żeby wszyscy widzieli, jak kończy każdy pirat, nawet taki, który zawsze uciekał każdemu?

Cichy po namyśle pokiwał głową. Może się zgodził, a może dalej myślał; nikt nigdy nie wiedział, dlaczego Cichy kiwa.

– Ridka, jeszcze kiedy chciała się z nim ochajtać, ciągle o nim mówiła. Jej Kitar to, jej Kitar tamto. Raz mi rzeczywiście powiedziała, że Kitar się wykupi każdemu. Takie babskie gadanie.

– No, a może nie?

– Jak sprawdzisz? I po co?

– Widziałem ją dzisiaj. Ona do nas wróci, wiem na pewno. Raladan powiedział, że wróci. A jak Raladan powiedział...

– To powiedział. No wiem.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Jaka jest? Mówiła coś?

– Bardzo ładna. Taka jak kiedyś, tylko młodsza. Chudsza i niecycata. Ale najbardziej oczy, wiesz. Bo ma teraz jedno i drugie. Już nie będzie Ślepą Ridi.

– Jak niecycata, to nie ona. – Cichy czasem potrafił zażartować.

– Wiesz, co potrafi. Jak tylko sobie przypomni, kim jest, to urosną jej... Wiesz jakie.

– Od pioruna nowych załogantów. Tylko o niej słyszeli, a starzy im opowiadają takie historie, że łeb boli.

– Nie mów. O tym, że ma w poprzek, też opowiadają?

– I że beczy jak koza. No, to przynajmniej prawda.

Prawdziwa żeglarska rozmowa. Obaj się uśmiechnęli, a Cichy nawet krótko zarechotał.

– Wróci i co jej powiemy? – zapytał po chwili Sayl. – Że słyszeliśmy o Kitarze i nawet nie sprawdziliśmy? W ogóle nam się nie chciało?

– Nie lubię tego skurnola. Zostawił ją.

– Nic nam do tego. A masz do Kitara coś jeszcze?

– Dałem mu w ryj.

– A on tobie. To masz do niego coś jeszcze czy nie masz?

Cichy znowu pokiwał głową, choć powinien pokręcić, bo odrzekł:

– No nie.

– No więc nic nam do tego – powtórzył Sayl. – Gdyby mogła, szukałaby go? Jak myślisz?

– Niech ci będzie.

– Czyli szukałaby – skwitował Sayl. – Sprawdźmy przynajmniej, czy żyje. Spróbujmy.

– Masz pomysł, jak sprawdzić? Znasz kogoś, kto może wiedzieć?

– Kogoś znam.

– Gdzie?

– W Dranie. A niby gdzie?

Mevev o nic już nie zapytał. Takimi rzeczami na okręcie zajmował się Sayl, a o różnych szpiclach, jakich

mieli na lądzie, lepiej było wiedzieć jak najmniej. Nawet on się nie kwapił, chociaż nie miał (oj, nie miał) długiego jęzora.

Czasem jednak potrafił wypić w knajpie. A kto nigdy czegoś nie chlapnął po pijaku?

Nie wygadasz tylko tego, czego nie wiesz.

– Byliśmy tam przed pół rokiem – rzekł z namysłem.

– Co ty powiesz.

– Że już nie chcą nas jako kaprów.

– Tak, Raladan też dzisiaj mi powiedział. Czyli prawda.

Ktokolwiek rozmawiał z Cichym, po niedługim czasie zaczynał być równie wymowny jak on. Udzielało się. Chyba tylko Ridareta plotła zawsze po swojemu.

Gdyby zebrali na pokładzie załogę i zaczęli pić razem, to po trzeciej kolejce wszyscy gapiliby się na morze, milczeli i kiwali głowami.

I tak gadał dużo więcej niż kiedyś. Na dodatek składniej, bo nabrał trochę wprawy. Jako zastępca Ridi mógł kiwać głową i robić, co powiedziała, bo nie zawsze mówiła głupio. Jako dowódca okrętu sam musiał wydawać rozkazy, wypytywać, objaśniać różne sprawy, żeby należycie wykonano polecenia. Kiedyś Sayl wysłuchał wywodu i przerwał mu w pewnej chwili: „Ty jesteś Mevev Gaduła, a nie Cichy”.

– No to co? Płyniemy do Dranu?

– Możemy już nie wypłynąć. Lepiej przybić gdzieś na dziko.

– Gdzie? Po drugiej stronie Garry?

Mevev miał rację. Od północy ruch na morzu był taki, że szkoda gadać. A jaki niby miał być? Do Dranu wiodła odnoga Szlaku Południowego, pływały też niezliczone

statki do Llapmy i z Llapmy, do tego dochodził niemały lokalny handel przybrzeżny. Wszystko to konwojowane, szlaki mocno patrolowane... Nigdzie w Szererze nie było tak gęsto od żaglowców. A i na samych brzegach Garry niełatwo dało się znaleźć jakieś bezludne miejsce, szczególnie od północy i północnego wschodu. Dalej zaś piętrzyły się Hareny, wyrastające niemal prosto z morza.

Gdyby pływali na czymś innym – no, to jeszcze. Ale niewojskowy holk z wyciętymi w burtach furtami działowymi? Niedaleko portu, w którym go widywano od ładnych kilku lat?

Sayl dumął i dumął.

– Coś wymyśliłem – rzekł na koniec. – Napiszę o Kitarze i poślę to Raladanowi. List wystarczy dać komukolwiek w porcie, najlepiej jakiemuś wojakowi, nawet bez schodzenia na ląd. Może Raladan pożyczy nam jakąś żaglówkę. Ma tu kilka całkiem legalnych, nawet wpisanych do rejestrów, bo są bardziej dartańskie niż sam Dartan.

– Nie zejdem z pokładu, jeśli ciebie nie będzie. Chcesz zostawić niedowodzony okręt?

– Tutaj? Tak. Znasz jakieś miejsce, gdzie jest bezpieczniejszy? To prawie jak suchy dok. Raladan też chce, żeby Ridka miała na czym pływać. Znaczy gdy już wróci.

ROZDZIAŁ 4



Raladan rzeczywiście miał statki pod dartańskimi banderami, i nie kilka, bo ładną flotę. Agary prowadziły handel pełną gębą.

Pożyczył im małą karawelkę, trochę podobną do jego ulubionej „Delary”, chociaż sporo mniejszą. Przeznaczona do działań rozpoznawczych i kurierskich, a więc działająca na rzecz floty wojennej, karawelka była raczej okrętem niż statkiem, ale kto niby o tym wiedział? Tak czy owak, zbudowana została dość solidnie, by dało się nią pływać po każdych wodach Szereru; to nie była jakaś przybrzeżna szkuta, tylko niewielki, ale zupełnie dobry, pełnomorski żaglowiec.

Cichemu jednak się nie podobał. Będąc piratem od zawsze, przywykł do półtorej setki ludzi pod pokładem, a teraz miał na okręcie dwudziestu. Zaczynał się rozglądać po morzu, czy nie goni ich jakiś kupiec, taki prawdziwy, nie na żaglowcu pułapce. Dziesięciu uzbrojonych drabów eskortujących ładunek na handlowej hodze, gdyby ich wsparli majtkowie, miało wszelkie szanse dać mu łupnia.

Schodząc z pokładu „Ślepej Ridi”, zabrali na „Pociechę”, bo tak się nazywała karawelka, trzy ciała zmarłych minionej nocy marynarzy. Nie pochwalano robienia z portowej redy cmentarza, zamierzali więc urządzić

tradycyjny pochówek nieco dalej, już na pełnym morzu. To nie była dobra wróżba ani dobry początek wyprawy. Ale na żadnym okręcie nie pływali marynarze tak mało wierzący we wróżby, jak właśnie na „Ślepej Ridi”.

Pierwsza nazwa żaglowca, „Zgniły Trup”, nie wzięła się przecież znikąd. Stanowiła wyzwanie. Draby wyrzucone nawet z innych pirackich załóg ścigały pod komendę przeklętnicy, która miała coś wspólnego z Szernią, była ponoć żywym Porzuconym Przedmiotem i wszyscy o tym wiedzieli. Kto się nie bał pływać pod rozkazami tej kobiety, ten się nie bał w ogóle niczego. A czas nie stał w miejscu i z każdym rokiem przybywało dowodów, że okręt nazwany „Trupem” wychodzi cało z każdej opresji.

Kłócono się o to w knajpach. Niektórzy przytaczali opowieści, z których wynikało, że załoga wiecznie brała w tyłek. Może i tak – mówili inni – ale połowa wychodziła cało, a chłopcy wyprawiali takie rzeczy, na które nikt by się nie porwał, i wszyscy powinni dawno gadać z rybami. Kto spalił portową dzielnicę w Londzie? A kto puścił na dno Brorroka?

Zmieniono nazwę okrętu, ale wydźwięk pozostał. „Ślepa Ridi” to było nawet gorzej niż „Zgniły Trup”; nie rozumiał tego tylko ten, kto jej nie znał.

Teraz jednak nie siedzieli na swoim żaglowcu, tylko na „Pocieszę”. Mevevowi za późno przyszło na myśl, że tutaj pech może mieć otwarte drzwi. Na wszelki wypadek nie podzielił się tą obawą z nikim, nawet z Saylem. Ukradkiem odpukał co trzeba, nie nasikał rano do morza, w zamian wrzucił do wody bardzo dobrą fajkę, nabitą najlepszym tytoniem, jaki miał. Nie wiedział, co jeszcze należałoby zrobić, bo w ogóle, nieprawdaż, nie był

przesądny i zapomniał.

Chyba jednak zrobił wszystko jak należy. Przy niezłym wietrze w kilka dni, bez przygód, dotarli na miejsce i rzucili kotwicę na redzie Dranu.

Niewiele się tu zmieniło, a jeżeli nawet, to tylko na gorsze. Albo lepsze – zależy, jak patrzeć... Chyba mogliby przyplłynąć na „Ridi” i nikogo by to nie obeszło. Cumujące w głębi portu trzy duże holki straży morskiej wyglądały na opuszczone i gotowe do wyjścia w morze mniej więcej tak, jak zbiornik słodkiej wody na nabrzeżu.

Dran, najbardziej wysunięty na północ wielki port Garry – zresztą największy na wyspie – stanowił jej prawdziwą bramę na świat. Za czasów imperium miasto zostało przyjęte do Związku Portów Wschodnich, co umocniło jego pozycję. Jednakże losy Dranu były zmienne. Rozkwitał i podupadał; obsługiwał niemal połowę całego handlu wyspy, zarazem zaś stanowił siedlisko wszelkiego rodzaju mętów i awanturników. Nic dziwnego, skoro tutaj właśnie najłatwiej było się zaciągnąć na statek albo uciec z pokładu innego i skryć się w stubarwnym, wielojęzycznym tłumie. Najemnicy i ladacznice, oszuści i ścigani prawem mordercy, wszelkiego rodzaju odszczepieńcy, poszukiwacze przygód i zbankrutowani kupcy, dezernerzy i pomyleńcy – nikogo tutaj nie brakowało.

Po ostatnim powstaniu, stłumionym przed piętnastu laty, Dran znów podupadł. Rebelianci urządzili tu swoją główną kwaterę i bez mała tymczasową stolicę, a uczynili to rzekomo dlatego, że miasto było nieprzebudowane i w ogóle najmniej skalane przez okupujący Garrę Armekt. Dla siedzącego po uszy w przeszłości,

wzdychającego do pradawnych czasów Garyjczyka szlchetnego rodu, a tacy przecież kierowali powstaniem, to rzeczywiście mógł być powód. Kto znał Garrę i jej synów, ten wierzył.

A jednak Dran tylko uchodził za „tak bardzo garyjski”. Zamieszkiwali go przybysze ze wszystkich stron świata, a najmniej było akurat rdzennych Garyjczyków, ci zaś, którzy zostali, dbali zgoła o wszystko, lecz najmniej o „świętą sprawę wyzwolenia Garry”. Prawdę mówiąc, wcale nie tęsknili. Stolicą tych ludzi nie była Dorona, lecz dartański Seyen, największe miasto Związku Portów Wschodnich, a ojczyzną ta najpotężniejsza gildia świata. Handel nie znał narodowości, nie lubił polityki. Złoto i srebro miały innych władców niż ci, którzy siedzieli na tronach prowincji.

Rebelianci o takich sprawach w ogóle nie myśleli, a jeśli już, to uważali je za plugawe i tym bardziej godne wyplenienia. Obeszli się łagodnie z murami, lecz bezwzględnie z ludnością Dranu, bo w zakutych łbach garyjskich nie chciało się pomieścić, że miasto to nie domy i ulice, lecz przede wszystkim mieszkańcy.

Jeszcze niedawno tolerowano w Dranie nawet jawnie pirackie okręty, które beztrąsko cumowały w samym porcie – imperium liczyło się z wybuchem kolejnego powstania i potrzebowało floty kaperskiej, więc obłaskawiało morskich zbójów. Ostatnio to się zmieniło.

Raladan wiedział dlaczego, chociaż nie powiedział Sayłowi (bo uważał, że milczenie jest złotem). Otóż dla wszystkich już stało się jasne, że tym razem imperium nie utrzyma Morskiej Prowincji. Przedzierzgnięci w korsarzy piraci z całą pewnością nie byli gotowi walczyć o z góry

przegraną sprawę. Kapitanowie skwapliwie wzięliby listy kaperskie i dzięki nim zawijali do imperialnych portów wojennych jak do swoich, chętnie sprzedawaliby zdobyte rebelianckie przyzy. Lecz poza tym po staremu topiliby każdy statek, jaki by się nawinął. Także armektański.

Pół roku wcześniej krótko kotwicząca na redzie „Ślepa Ridi” nie za bardzo przypominała samą siebie. Pościągano z masztów czarne żagle, te zwinięte przy rejach miały „handlową” białą barwę. Zakryto nazwę na rufie deską z wypisaną po dartańsku nazwą „Falująca Nocna Bryza” – specjalnie rozwlekłą i głupią, żeby tylko pasowała do Złotego Dartanu. Holk o takiej nazwie nie figurował w żadnym rejestrze żaglowców, ale też żaden rejestr nie był kompletny – stale przecież budowano nowe statki, powstawały nowe przedsiębiorstwa...

Oszustwa surowo karano, było to poważne przestępstwo, grożące konfiskatą żaglowca. Kapitan „Falującej Bryzy”, zawijając po raz pierwszy do jakiegoś portu, powinien niezwłocznie przedstawić jego władzom certyfikat wydany przez straż morską rodzimej prowincji lub – na mocy dwustronnej umowy – dartańskiego królestwa, ale podczas krótkiego pobytu na redzie dało się to sprytnie ominąć. Dowódca był zawsze gdzie indziej, przecież właśnie zszedł na ląd z certyfikatem... Tylko bardzo wnikliwa kontrola mogła wykazać oszustwo, ale do przeprowadzenia takiej kontroli na pokładzie dartańskiego statku imperialni urzędnicy i żołnierze musieli mieć solidne podstawy.

Tym razem Mevev Cichy i Sayl przyплыnęli na pokładzie naprawdę legalnego statku, który każdy mógł sprawdzać ile dusza zapragnie. Mimo to zamierzali

podnieść kotwicę tak szybko, jak to tylko możliwe. Dran Dranem; bałagan bałaganem... Po co kusić los bez potrzeby?

Mevev został na pokładzie „Pociechy”. Sayl wziął sześciu tęgich wioślarzy i popłynął łodzią do portu. Nie obwieszali się bronią, bo zbyt dobrze uzbrojona grupa nawet tutaj zwracała uwagę. Dwaj majtkowie mieli półmiecze, reszta tylko noże, ale ci przy półmieczach należeli do najlepszych rębajłów w załodze.

Półmiecz, zwany w innych stronach łamaczem mieczów, pozwalał ominąć prawo. W tej znienawidzonej przez Armekt prowincji miecze wymagały zezwolenia – najbardziej dotyczyło to samej Garry, bo niektóre archipelagi miały odrębne przywileje. Tutaj mogli je nosić tylko Garyjczycy szlachtetnego rodu, wolni przybysze Czystej Krwi oraz prywatni żołnierze z zarejestrowanych pocztów.

Ostatnio zaułki i portowe knajpy Dranu były naprawdę parszywym miejscem. Sayl nie cierpiał bandytów na ulicach miast i nie miał dobrego słowa dla cesarskich wojaków z patroli, po których zresztą nie było ani śladu. Lubił porządek i wysoko cenił praworządność. Naprawdę, Legia Garyjska, tak samo zresztą jak Straż Morska Garry i Wysp, zupełnie zeszła na psy.

Bo rzeczywiście tak było. Miejscowy pobór prawie nie dostarczał rekruta, a ci kierowani z innych krain cesarstwa byli tu zsyłani za karę. Nikt nie chciał tracić dobrych żołnierzy w prowincji, która lada rok, a może lada miesiąc, miała odzyskać status suwerennego – i wrogiego – królestwa.

To było samospełniające się proroctwo. Przeczucie

kłęski obniżało wartość wojsk; coraz gorsze wojsko musiało ponieść klęskę.

Miary dopełniła dziwaczna, nierozumiana przez żołnierzy polityka wobec morskich zbójów. Mizdrząc się o flotę kaperską do agarskiego księstwa, armektańscy władcy Garry nakazywali urzędnikom i żołnierzom przymykanie oczu. Kiedyś się piratów tępiło, potem obłaskawiało, teraz znów miano nie obłaskawiać, ale i nie obracać przeciwko cesarstwu... Ruszający na patrol żołnierz, nawet taki, któremu jeszcze na czymś zależało, mówił w końcu swojemu koledze: „A niech oni mnie wszyscy w dupę pocałują!” i od tej pory udawał, że żadnych zbirów, ani morskich, ani lądowych (bo jak niby miał ich odróżniać?), w ogóle w Dranie nie ma.

Przycumowawszy do nabrzeża w części przeznaczonej dla łódek, Sayl zostawił na miejscu dwóch chłopaków, a z pozostałymi czterema wygramolił się na pomost. Przybiegł gówniarz po opłatę portową, czyli coś tu jeszcze działało. Sayl uiścił i poszli.

Niedaleko rozpościerał się olbrzymi plac: Morski Targ. Ominęli go, bo w tłumie handlarzy i kupujących trudno było utorować sobie drogę, znacznie łatwiej stracić sakiewkę. Niewielka kamienica, do której zmierzali, stała przy jednej z ulic poza dzielnicą portową.

Przymusowy spacer potwierdził opinię o mieście. Nikt nie pilnował porządku, a nawet nikt już nie sprzątał. Śmierdziało jak nigdy dotąd, w zaułkach chyba gniły jakieś trupy, może jeszcze nie ludzkie, ale psie i szczurze na pewno. Handlowano w miejscach niedozwolonych, załatwiano potrzeby w przypadkowych. Pourywane okiennice, w ścianach dziury po ukradzionych

uchwytach na łuczywa, dawno nieodnawiane fasady domów. Jak na tę porę roku i dnia – wiosna była naprawdę ładna – ludzi na ulicach przebywało niewiele. Wyglądało na to, że z Dranu wyprowadza się każdy, kto ma dokąd.

Kilka lat temu doroński Książę Przedstawiciel Cesarzowej uzyskał nadzwyczajne środki i przez krótki czas było lepiej. Regularnie opłacano żołnierzy, zadbano o flotę, pomnożono zastępy urzędników, nawet dotowano żywność w miastach i częściowo umarzano podatki każdemu, kto kupował ziemię, dom lub otwierał kupiecki kantor. Ale wyszło na jaw, że przeklęta prowincja wchłonie każdą ilość pieniędzy, po czym znowu zacznie się chylić ku upadkowi. Nie odbudowano najważniejszej rzeczy: wiary ludzi, że idzie ku lepszemu. Bez tego nie dało się naprawić żadnego kraju. Pieniądze wyciekały z Morskiej Prowincji jak piwo z dziurawej beczki.

Sayl zostawił swoich marynarzy w knajpie położonej niedaleko domu, do którego zmierzał. Im mniej ludzi wiedziało, kogo odwiedza w Dranie, tym lepiej.

Zamierzał zaś odwiedzić uczciwego dartańskiego kupca, sumiennie płacącego podatki i wzywającego imperialny patrol zawsze, gdy ktoś na ulicach wszczął bójkę albo jawnie kupował kobietę – bo nierząd był w tym kraju dozwolony, lecz uwłaczający przyzwoitości i niemile widziany, winien więc się skrywać po kątach. Mówiąc ściśle, kupiec wzywał imperialny patrol kiedyś, bo teraz równie dobrze mógłby wzywać tajemniczego Człowieka Śniegu z armektańskich Szczytów Książęcych, skutek byłby mniej więcej taki sam.

Córka i zięć tego zacnego Dartańczyka mogli uchodzić

za wzór udanego, szanowanego małżeństwa. Mieszkali w stolicy Agarów, Aheli.

Ale o tym nikt tu nie wiedział i naprawdę nie musiał wiedzieć.

Do kupca Sayl nie miał żadnych spraw poza jedną: chciał się widzieć jeszcze tej nocy z jego garyjskim znajomym. Oficerem Floty Głównej Garry i Wysp.

Jeżeli miał pecha, to ten człowiek był właśnie gdzieś na morzu. Sayl jednak pływał na „Zgniłym Trupie” a później „Ślepej Ridi” i uważał, że pech nie istnieje.

o o o

Maleńka izdebka na poddaszu stanowiła kryjówkę i samotnię gospodarza, który – na co dzień kupiec pełną gębą – miał śmieszna słabość: otóż cyzelował z gliny i wypalał u zaprzyjaźnionego garncarza wcale zgrabne figurki. „Wcale zgrabne” to było zresztą najlepsze i najbardziej trafne określenie, bo na dziesięć wykonanych posążków dziewięć wyobrażało golusieńkie kobiety. Kupiec czasem wystawiał swoje dziełka na sprzedaż, nie przyznając się, że jest ich wykonawcą, bo to nie licowało z powagą rzetelnego i poważnego handlarza. Poza tym otulał je małymi pelerynkami – no przecież tu była Garra. Brał wcale przyzwoite pieniądze, uspokajając w ten sposób sumienie. Dziwaczne zajęcie miało sens, przestawało się jawić jako zwykłe marnowanie czasu.

Sayl obejrzał kilka ładnych figurek o rozmiarach dłoni, skończonych i niedokończonych, po czym zaczął się nudzić. Plecy się prawie wygoiły, ale ręka wciąż dawała znać o sobie; niby już przywykł, że boli, niemniej...

czasem mogłaby przestać. Zdrzemnął się i przecknął w samym środku nocy; jaka jest pora, podpowiedział mu widoczny przez okienko księżyc.

Oczekiwany człowiek przyszedł niedługo potem.

Nosił to samo często spotykane imię co Cichy, czyli Mawew, lecz trochę inaczej wymawiane i pisane po armektańsku, bo był właśnie Armektańczykiem. Z innej strony przypominał z kolei dartańskiego kupca, albowiem choć niczego z gliny nie lepił i nie wypalał, to też miał śmieszna słabość: otóż umiał przegrać, najchętniej w kości albo w kwadraty, zupełnie dowolną ilość srebra, a właściwie to nawet złota, bo takie sumy wyliczano raczej w złocie. Nie miał już domu ani w ogóle niczego, nawet żołdu za następne dwa lata służby. Właścicielem tego wszystkiego był dowódca „Ślepej Ridi”, czyli Mevev Cichy, chociaż wcale nie wiedział, co ma, albowiem rewersami, kwitami i w ogóle całą pisaniną na okręcie zawsze zajmował się Sayl.

Setnik straży morskiej Mawew pomieszkiwał więc, trzeba powiedzieć, kątem u herszta piratów Meveva. Pomieszkiwał razem z żoną i dziećmi, a szczczędząc im niepotrzebnych trosk, nie opowiadał o sprawach, którymi świetnie umiał się zająć bez niczyjej pomocy.

– Nic dla was nie mam – rzekł nieprzyjaźnie przybyły, ledwie odpowiedziawszy na powitanie. – Niedobrze, że tu przychodzę. W dzień to jeszcze mógłbym coś kupować, naprawdę albo na niby, ale w nocy...

– „Kołysanka” i kapitan Kitar – przerwał Sayl tak samo nieprzyjaźnie, bo szczerze nie lubił płatnego szpicla i zdrajcy, z którym właśnie rozmawiał. – Okręt leży na dnie, a kapitan miał wisieć, ale w końcu nie zawisł. Jeśli

skłamięz choć słowem, a wiem więcej, niż powiedziałem, bo właśnie chcę cię sprawdzić... No więc, jeśli skłamięz choć słowem, nasz gospodarz jutro pośle ci odpis aktu własności domu, w którym mieszkasz, i poprosi, żebyś się wyniósł do wieczora. Mów, co wiesz.

– Nic nie wiem – odpowiedział tamten po krótkiej chwili. – Wszyscy słyszeli, że „Kołysanka” poszła na dno, bo to był znany okręt. A kapitana Kitara powiesili.

– Nie jego.

– Nie jego?

– Nie. Gdzie go trzymacie?

– Nie wiem, o co mnie pytasz.

– Wykupił się.

– Nic o tym nie wiem. Flota Główna to nie jest pięć okrętów, gdzie wszyscy się znajdują i...

– „Drugi Szkwał” z Eskadry Szkwałów. „Kołysanka” to był naprawdę sławny okręt. Wszyscy wiedzą, kto go zatopił. Tak czy nie?

Żołnierz zamilkł.

– Dzisiaj każdy żeglarz wie, co to „Drugi Szkwał” – ciągnął Sayl. – A w tawernie zdażyłem usłyszeć śpiewkę o tym holku. Pewnie jest więcej śpiewek niż jedna, ale rzadko łączę po knajpach. Brzydzę się, wszyscy tam piją.

– Ta eskadra stoi na Sarze.

– Wiem, gdzie stoi.

– No więc wiesz także, że to nie po sąsiedzku. Przynieść ci mapę morską? Nie znam żadnego oficera stamtąd. Ani w ogóle nikogo.

Sayl milczał wyczekująco.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał setnik Mawew. – Kiedy o coś pytacie, zawsze odpowiadam. Okłamałem

was kiedyś, przyniosłem fałszywą wiadomość? Nic nie wiem o Kitarze, „Kołysance”, ani nawet o „Drugim Szkwale”.

– To się dowiedz.

– Ale czego?

– Wszystkiego. Kim jest dowódca i gdzie mieszka, czy ma rodzinę. Że nazywa się Derrhert, to wiem, bo jest już tak samo znany jak jego okręt. Garyjczyk albo pół-Garyjczyk, tak? No wiedziałem, bo z takim imieniem... Co Garyjczyk robi w imperialnej flocie, chcę wiedzieć. I chcę jeszcze imię gończego Trybunału, który wtedy był na „Drugim Szkwale”, i czy nadal tam jest przydzielony, a jeśli nie, to gdzie. Tyle na pewno możesz się dowiedzieć i jeżeli się dowiesz, to dalej będziesz mieszkał tam, gdzie mieszkasz. Ale słuchaj mnie teraz: Kitar nie zawisł i jeśli uda ci się dowiedzieć o tym coś więcej...

– To co?

– To ci dodatkowo zapłacę. Nie za dużo, ale wystarczy, żebyś mógł znowu zagrać. Odegrasz się, spłacisz wszystkie długi, tym razem na pewno będziesz miał szczęście – przekonywał Sayl, nawet nie maskując uśmiešku. – Zobaczysz, tak właśnie będzie.

Strażnik morza przygryzł wargi.

– Daję ci pięć dni, to dużo więcej niż trzeba. Spotkamy się znowu tutaj, tym razem za dnia, przyjdiesz niby coś kupić, tak jak mówiłeś. Masz. – Sayl wysupłał potrójną sztukę srebra. – Kupisz sobie za to taką, o, figurynkę z gołą piczką. Na dole u naszego gospodarza.

Setnik poszedł. Srebra nie wziął, widocznie miał swój honor.

Sayl pośmiał się z tego sam do siebie, potem posiedział,

podumał.

Wobec nieodległego wybuchu powstania – bo tym razem to już chyba nie miało prawa rozejść się po kościach – dom zacnego setnika (właściwie tylko pół domu; druga połówka należała do kogoś innego) należało sprzedać, wywalając na bruk jego rodzinę i rezygnując tym samym z usług szpicla. Potem sprzedaż mogła nie dojść do skutku, bo kto kupuje domy podczas wojny? A po zwycięstwie rebelii nowi władcy Garry gotowi byli zarekwirować wszystko, co należało do Armekańczyków. Wydawało się to prawdopodobne. Właściwie zupełnie pewne.

Pytanie, czy ktokolwiek jeszcze nabywał domy w tym mieście? Może należało dopłacić, żeby znalazł się jakiś chętny.

Zszedł na dół i przywołał gospodarza, który przed chwilą wybudził się z drzemki. Rozliczyli się. Choć dla kupca pieniądze nie były takie ważne, jak dobre życie córki na Agarach – aż chciałoby się rzec: nie do wiary – to Sayl jednak przestrzegał zasad.

Niedługo potem wyszedł na ciemną ulicę. Miasto śmierdziało trochę mniej niż za dnia, gdzieś z bliska dobiegały odgłosy domowej awantury, a z daleka jakiejś wyjątkowo hucznej libacji. Zgodnie z prawem imperium, wciąż tu jeszcze obowiązującym, wolno było chodzić po mieście o dowolnej porze, zabraniano tylko spania w zaułkach. Zakazane było także, od późnego wieczora do wczesnego ranka, przemieszczanie się wozów i jeźdźców. Na ulicach dartańskich miast zdarzały się lektyki, ale tutaj... Kto w Dranie widział lektykę? Może w Starej Dzielnicy, specjalnie pilnowanej, gdzie mieściły

się urzędy cesarstwa i żyli najzamożniejsi mieszkańcy.

Nie spotkawszy po drodze nikogo, Sayl dotarł do niedalekiej oberży i odnalazł samotnie siedzącego przy stole majtka z obsady łodzi. Wszyscy czterej najpierw dość powściągliwie raczyli się piwem, a potem wylosowali pechowca, któremu przypadła wachta; trzej pozostali zalegli we wspólnej izbie noclegowej.

– Dołącz do tamtych i śpij – polecił Sayl. – Wczesnym rankiem wracajcie na okręt. Teraz, po nocy, nie róbcie rabanu, takie wypłynięcia zwracają uwagę. Teraz słuchaj. Równy za tydzień będę czekał za miastem, przy samym ujściu rzeki, Cichy wie gdzie. Przyślijcie po mnie łódź, na redzie już nie kotwiczcie. Śmierdzi tutaj jak jeszcze nigdy.

Majtek potwierdził. Nie był głupi, więc zgadł, że nie chodzi o rzeczywisty smród w zaułkach.

– Posłuchał zem, co się gada. – Ruchem głowy pokazał stoły, przy których siedziało już tylko kilku najwytrwalszych opojów. – Smród to dopiero tu będzie.

– Powiesz mi wszystko na okręcie.

Sayl zazwyczaj zabierał ze sobą chłopców z muskułami, ale i roztropnych. Pili, gadali, pospołu ze wszystkimi ryczeli marynarskie śpiewki, lecz potrafili także słuchać, a nawet podpytywać w sposób niezwracający uwagi. Głupie plotki i knajpiane opowieści miały, zdarzało się, wartość.

Wszyscy zabrani na „Pociechę” byli chłopcami z kokardami Ridi. Na tych ludziach mógł polegać, przeszli razem wiele. Bardzo wiele.

– Muszę tu zostać i też trochę posłucham, powęszę. Może znajdę kupca na pół domu – mruknął kpiąco, choć majtek nie mógł zrozumieć, o czym mowa. – Poza tym nie

zaszkodzi, jak się temu przyjrzy jakiś konował. – Sayl poruszył rannym ramieniem i się skrzywił. – Czyli czekam na was równo za tydzień. Pamiętaj: przy samym ujściu Baharu, tam gdzie kiedyś. A zresztą... też idę spać, to jeszcze przypomnę ci rano.

ROZDZIAŁ 5



Powiedzieć, że Mevev Cichy wpadł w zły humor, znaczyło tyle, co nic nie powiedzieć. Miał przez tydzień kręcić się po morzu niczym smród po gaciach, mając pod stopami pokład tego tu potężnego okrętu wojennego, na którym strach było przejść z burty na burtę – przecież mógł się zaraz przewrócić stępką do góry. Dowódca „Pociechy” przyobiecał sobie, że poważnie porozmawia z Saylem. Trudno było dojść z tym człowiekiem do ładu. Zazwyczaj siedział cicho, kompletnie dupowaty, i udawał, że w ogóle go nie ma; zapytany o cokolwiek wzruszał ramionami i rozkładał ręce, aż niespodziewanie nabierał wigoru (a już najbardziej wtedy, gdy miał coś zrobić sam) i zaczynał się rządzić niczym głównodowodzący Wielkiej Floty Armektu. Owszem, rozmawiali, że jego pobyt na lądzie może się przedłużyć, ale Mevev zrozumiał, że najwyżej o dzień albo dwa, gdyby szpicel nie od razu przybiegł na wezwanie. To był chyba jakiś wojskowy i przecież mógł mieć służbę.

Teraz Mevev nawet nie miał z kim się naradzić. Na „Ślepej Ridi” zostawił obu „młodych” – rozgarniętych chłopaków, czytanych i trochę pisanych, przyuczanych na oficerów. Prędzej czy później, mówiąc wojskowym językiem, na każdym okręcie zwalniał się taki etat, a czasem po prostu trzeba było obsadzić i doprowadzić

do portu przyz albo – tak jak teraz – zostawić na krótko żaglowiec pod opieką kogoś, komu wschód nie pomyli się z północą.

Na „Pocieszę” tkwił zupełnie sam. Nie mógł odżalować starego, mądrego Nellsa. Wypróbowani chłopcy, dobrzy żeglarze, których miał pod komendą, to jednak byli tylko prości majtkowie. Wręcz przeraziliby się, gdyby zaczął pytać któregoś o zdanie w jakiejś sprawie. W mgnieniu oka wszyscy na okręcie by wiedzieli, że dowódca jest pijany, chociaż nie czuć od niego gorzałki. Albo chory; albo zwariował.

Mając legalny żaglowiec, mógł właściwie tłuc się w tę i nazad, choćby po tak uczęszczanych wodach, jak te tutaj. Ale był żeglarzem od zawsze, oficerem zaś od bardzo dawna. Nie lubił i nie bardzo umiał pływać donikąd.

Na redzie zostać nie mógł. Tkwiąc przez tydzień, zwróciłby na siebie uwagę i z całą pewnością zaczęto by go nagabywać, co tu robi i na co czeka. Czas żaglowca kosztował, a „Pociecha” nie miała żadnych dokumentów, które pozwoliłyby się wykpić, uwiarygodnić bezczynność. Taki, dajmy na to, Związek Portów Wschodnich był potęgą handlową właśnie dzięki bardzo sprawnemu systemowi frachtów i załadunków. Statki Związku prawie nigdy nie marnowały czasu, nie stały bezczynnie i nie pływały puste lub półpuste; ba, jeśli już się trafił taki kurs, wypłacano skromną rekompensatę.

Nienależąca do Związku „Pociecha” tym bardziej nie powinna stać przez tydzień na kotwicy; nie tutaj. I przekłety Sayl świetnie o tym wiedział.

Mevev chętnie pożegłowałyby na Garrany, bo tam

dobrze czuł się każdy człowiek morza. Garyjczycy nie cierpieli Wyspiarzy i na odwrót, a te wyspy, od zawsze należące do Garry, jedni i drudzy uznawali za swoje. Dziwna rzecz. Nie wiadomo dlaczego, uważano ten archipelag za kolebkę wszystkich żeglarzy. Sto piosenek chwaliło tamtejsze porty i portowe piękności, tawerny, chyba nawet pogodę... Mevev uśmiechnął się pod nosem (nikt go nie widział, mógł więc się uśmiechnąć), bo bardzo lubił chociażby Tawernę na Garranach:

*Dobrym chłopem był stary Haghgar,
niby szynkarz, a pocziwą miał mordę.
Jak nie miałeś miedziaka, dał piwa,
czerstwą bułkę wetknął ci w torbę.*

*Hej, stary, stary Haghgar
to był z kośćcami chłop...*

Tak to leciało.

Ale do Garranów było jednak prawie sto pięćdziesiąt mil. Nawet na tym szybkim okręciku ledwie by dopłynął, a już musiałyby wracać, tym bardziej że wiatry o tej porze roku kaprysiły. Gdyby powiało z północnego wschodu, a lubiło tak powiać, to wracając do Dranu, lawirowałyby bez końca.

Pomyślał, że popłynie wzdłuż Smutnego Cypla, u którego nasady leżał Dran, i znajdzie miłą wysepkę należącą do Wysp Barrierowych. Do trzech głównych wysp tego archipelagu tuliło się mnóstwo bardzo małych, przeważnie jednak zasiedlonych. Blisko – więc mógł sobie do woli halsować, wracając, zarazem jednak wystarczająco daleko, bo jakieś piętnaście mil od szlaku

do Llapmy. Na tych malutkich wysepkach siedzieli przede wszystkim rybacy i nikt tam nie zaglądał. Raz w roku przybywała, tłukąca się od wyspy do wyspy, pływająca ładownia z imperialnym poborcą danin na pokładzie i rybak oddawał cesarską część cesarzowi, zawitał też czasem stateczek drobnego morskiego handlarzyny, który wiązał koniec z końcem, zaopatrując wioski oraz niewiele od nich większe, „stołeczne” wyspiarskie miasteczka – o ile w ogóle były.

Załogi o radę nie prosił, ale jako doświadczony dowódca, brał pod uwagę nastroje podkomendnych. Wiedział, że każde zejście na ląd marynarz wita z zadowoleniem. Wódkę i coś w rodzaju piwa mieli wszędzie; o dziewczuchy w zabitych dechami wyspiarskich dziurach było trudniej, ale i to się czasem znalazło. Jak mawiano na Wyspach: gdzie trzy baby, tam dwie dziwki i dwie dziewice.

Mógł więc sprawić przyjemność swoim chłopcom, posyłanym na ląd w kolejnych grupkach, albo męczyć ludzi i okręt, włócząc się bez sensu po morzu.

Kazał wybierać kotwicę. Czekały go długie wachty; chcąc nie chcąc, musiał czasem uczynić „oficerem pokładowym” któregoś z roztropnych, doświadczonych majtków. Na redzie służbę mógł pełnić ktokolwiek, lecz na pełnym morzu...

No cóż, zobaczy się.

o o o

Tydzień później oglądany z redy Dran wyglądał tak samo, jak siedem dni wcześniej. Mevev Cichy zakotwiczył

i posłał do portu Łódź, która miała wracać natychmiast po zasięgnięciu wieści.

Nie znalazł Sayla w umówionym miejscu. Z jakiegoś powodu jego zastępca nie dotarł do ujścia Baharu. O pomyłce nie mogło być mowy, bo to miejsce dobrze znali obaj.

Coś się wydarzyło. Sayl bywał dupowaty, lecz nie głupi. Nie zapisał, nie zapomniał i nie zmylił drogi.

Mevev liczył, że zawinił... no, jakiś pech. Głupi traf, złośliwy przypadek. Dotarcie do samego ujścia rzeki – chodziło właściwie o mniejsze ramię Baharu, bo przy głównym ujściu rozpościerał się Dran – wymagało jednak przemierzenia ładnych kilku mil. Na przeszkodzie mógł stanąć właśnie głupi przypadek; ot, zwichnięcie nogi. Albo coś.

Zwichnięcie nogi chyba raczej nie, bo Sayl wypożyczyłby w miejskiej stajni konia. Umiał jeździć konno całkiem nieźle. Towarzyszący mu marynarz – bo jednego Sayl przy sobie zostawił – też na pewno dałby radę.

Tak czy siak, jeśli nie było ich przy ujściu rzeki, to na pewno czekali w porcie. Tam gdzie przed tygodniem wysiedli z łódki.

Jednakże nie czekali. Łódź długo nie wracała, więc Cichy się domyślił, że kilku majtków z jej obsady ruszyło do knajpy, w której tydzień wcześniej pili i nocowali. Tam mogła czekać wiadomość albo i obaj zaginieni.

Mevev stał na pokładzie, gapił się niby wszędzie i nigdzie, kiwał głową i udawał, że nic go nie martwi, bo marynarze nie powinni oglądać strapionego dowódcy. Wreszcie wyniósł się do kajuty, haniebnie ciasnej,

mającej się nijak do tej, którą zajmował na „Ridi” (też była tylko jedna, ale za to jaka!). Gdyby sterczał pod masztem pół dnia, to żadne kiwanie i żadne udawanie nic by nie pomogło. Majtkowie nie byli przecież ślepi ani głupi.

Dobrze zrobił. Wkrótce przybiegł marynarz z wiadomością: „Wracają, panie!”. Pokiwał głową, zamarudził tyle, ile trzeba, i niespiesznie wyszedł na pokład.

Już nawet z rozpędu nikt nie mówił do Cichego „kapitanie”, tak surowo tego zakazał. Chociaż akurat tutaj, na „Pocieszę”, mógł kapitanować i zwać się kapitanem. Tylko na „Ridi” nie chciał.

Nawet nie pomyślał, że jest w pewien sposób podobny do Raladana. Co prawda z innych powodów, ale tamten też sobie nie życzył, by go tytułowano.

Łódź rzeczywiście wracała i... chyba było w niej więcej ludzi, niż popłynęło. Mevev marszczył brwi, próbował się doliczyć, ale nie zapytał żadnego z bystrookich majtków. Na szczęście któryś sam nie wytrzymał:

– Jeden więcej, panie! Wiozą jednego więcej!

Jednego?...

Łódź płynęła szybko, bardzo szybko. I to nie była dobra zapowiedź. Jeśli ktoś się spieszy, to rzadko ma do tego radosny powód. Tylko dzieci wiecznie dokądś pędzą, spieszo im do wszystkiego.

Wkrótce dało się nie tylko policzyć, ale i rozpoznać wiosłujących, a także tego przy sterze.

Sayła w łodzi nie było.

Mevev gapił się, kiwał głową... Czekał. A gdy przybili do burty, odwrócił się i poszedł do kajuty.

Stawili się przed nim dwaj: dowódca obsady łodzi i chłopak towarzyszący Sayłowi.

– Złe wieści? – zapytał spokojnie.

– Chyba. Właściwie to nie wiem, panie. Ale chyba złe.

– Gadaj.

Wiele do powiedzenia nie było. Obaj, marynarz i Saył, mieszkali, a właściwie tylko nocowali w tej samej oberży, w wielkiej wspólnej izbie, bo nie było tam małych izb do wynajęcia. A zresztą i tak by nie wzięli, bo taka rozrzutność zwracała uwagę.

Sayła nie było od trzech dni. Poszedł tam, gdzie miał iść, i nie wrócił. Nie przysłał żadnej wiadomości.

Cichy kiwał głową.

Majtek Sayła był mądrym, niemłodym, ale wciąż krzepkim chłopem na schwał; ten drugi, dowódca łodzi, też zaufanym członkiem załogi. Obaj się wyróżniali nawet w gronie „starych” chłopców z kokardami Ridi. Jeśli nie mógł się rozmówić otwarcie z nimi – to nie mógł z nikim.

– Wiesz, dokąd chodził Saył?

– Tak. Nie byłem z nim, ale ostatniego dnia, zanim poszedł, powiedział mi dokładnie, gdzie idzie i o kogo pytać jakby co. Alem tam nie polazł, bo kazał mi czekać w knajpie, ona się nazywa Stara Wierzba. No tom czekał.

– Ale będziesz umiał trafić tam, gdzie poszedł Saył?

– Tak.

– To gadaj wszystko. Po kolei. Obaj możecie wiedzieć, bo ktoś musi.

Marynarz powiedział, co wiedział. O domu i o mieszkającym w nim kupcu, który ma córkę na Agarach. Tyle, ile zdradził mu mądry, przewidujący Saył.

Może miał przecucie. Bo na pewno coś poszło nie tak.

Cichy odprawił marynarzy, a potem siedział i gapił się na ścianę. Myśleć umiał, ale nie lubił; ostatecznie to nie było nic przyjemnego. Wolał działać szybko, bez zastanowienia. O, gdyby teraz podpłynęli do „Pociechy” jacyś strażnicy morza na swym holku, to od razu zrobiłby co trzeba (nie miał pojęcia co, ale na pewno dobrze). Na myślenie miałby czas – choć niekoniecznie ochotę – znacznie później.

Lecz z „problemem Sayla” tak się nie dało.

Cichy westchnął i jął myśleć. Aż wymyślił.

Na „Ślepej Ridi” była specjalna skrzynka-szkatuła, całkiem sporych rozmiarów. Po otwarciu odsłaniała mnóstwo przegródek, a w tych przegródkach tkwiły, pieczołowicie posortowane, najróżniejsze dokumenty: karty z pieczęciami i bez, rulony, małe zwoje... Tutaj też była taka szkatuła, ale wszystko dotyczyło „Pociechy”. Na „Ridi” Mevev trzasnąłby kubek gorzałki, odchuchnął, poprawił drugim i gmerał w tych szpargałach tak długo, ażby znalazł zapiski dotyczące dartańskiego kupca w Dranie i związanego z nim szpicla, zresztą wszystkich kupców-niekupców i wszystkich szpicli, na których coś mieli.

Ani Ridareta kiedyś, ani on, odkąd dowodził okrętem, nie potrzebowali skrzynki-szkatułki, bo chodzącą skrzynką był Sayl. Niemniej oprócz Sayla-skrzynki była jeszcze ta drewniana, zamykana na żelazny klucz. Ale trochę daleko, bo aż na Agarach.

Krótko mówiąc: musiała wystarczyć ta wiedza, którą dysponował bez skrzyneczki.

Już miał wstawać, ale zastanowił się raz jeszcze, bo coś

go tknęło. Odszukał i postawił na stole skrzynkę z dokumentami „Pociechy”.

I wszystko, co było potrzebne, znalazł na samym wierzchu. Mądry Sayl wiedział, dokąd płyną i z kim będzie rozmawiał. Zabrał na pożyczoną od Raladana karawelkę to, co mogło się przydać przy rozplątywaniu historii Kitara.

Marszcząc brwi i bezgłośnie poruszając ustami, Mevev czytał o swoim imienniku, setniku straży morskiej. Odłożył na bok jakieś kwity i rewersy, nieufnie obejrzał sygnowany pieczęcią ratusza akt własności połowy kamienicy. W wielu miastach ulice miały swoje nazwy, ten dom się mieścił przy Krzywej i został dokładnie opisany.

Były jeszcze kwity dwóch karczmarzy, obaj kiedyś pożyczili pieniądze od Ridarety, ale niezbyt dużo. Sayl porobił sobie na tych kwitach jakieś znaczki, które pewnie coś mu mówiły. Może obaj gospodarze nie musieli płacić odsetek albo mogli mieć darowaną część długu, a w zamian zbierali wieści? Sayl kiedyś opowiadał o czymś takim. Ale wtedy chyba chodziło o kogoś innego, nie o karczmarzy z Dranu.

Teraz Mevev trochę żałował, że zawsze starał się nie wiedzieć zbyt dużo o tych sprawach. Był zastępcą dowódczyni wojennego żaglowca, a nie jakimś liczykrupą pożyczającym pieniądze i pilnującym odsetek. Wyglądało jednak na to, że ważna jest nie tylko znajomość map i portolanów oraz umiejętność posłużenia się kwadrantem przy oznaczaniu pozycji.

Westchnął, zamknął skrzynkę i odstawił do kąta.

Niedługo potem ośmiu wioślarzy – bo tylu mieściło się

w łodzi – mrucało piosenkę pomagającą utrzymać rytm.
Cichy siedział przy sterze i oglądał port. Wychodziło, że
zdążą zacumować przed zmierzchem.

ROZDZIAŁ 6



Coś się wydarzyło na Bezmiarach, lecz nie wiadomo co. I nie wiadomo gdzie. Świat był kulą i wiedział o tym każdy, kto potrafił czytać, a właściwie wystarczyło, że nie był głuchy ani głupi. Ocean pokrywał całą kulę, gdzieniegdzie ustępując miejsca kontyntom takim jak Szerer, nad nimi zaś rozpościerały się Potęgi podobne do Szerni, tak przynajmniej uważali uczeni. W kontynentalnych enklawach pogoda była inna niż na zewnątrz; w miarę oddalania się od lądu warunki stawały się coraz gorsze, żegluga coraz trudniejsza, a wreszcie zupełnie niemożliwa i kto w porę nie zawrócił, ten nie wracał już nigdy. Śmiałkowie podróżnicy – a było ich na przestrzeni wieków całkiem sporo – opowiadali niesłychane historie o niebywale wartkich prądach i gigantycznych wirach morskich, o sztormach, których gwałtowność przechodziła wszelkie wyobrażenie, o przedziwnych zjawiskach na niebie, a wreszcie (jakżeby inaczej) o morskich potworach wielkich niczym wyspy. Podobno daleko na północy pogoda jawiła się bardziej znośna, w zamian noc lub dzień – bo różnie mówiono – trwały wiecznie, powierzchnię morza zaś skuwał lód uniemożliwiający żeglugę.

Gdzieś tam coś się zdarzyło. Na Bezmiarach. Zmieniła się pogoda pod Pasmami Szerni. Jesień – pora roku, gdy

po morzach prawie nie dało się pływać – złagodniała. Wciąż przewalały się sztormy, pogoda zaś kaprysiła, ale już nie tak bardzo jak kiedyś. Trochę śmieiej wyprawiano się na morza, a szansa na tydzień jako tako znośnej pogody była całkiem realna. Tak się działo od kilku lat.

Nad Szererem rozegrała się niedawno Druga Wojna Potęg: Szerń walczyła z podobnym do niej, lecz mniejszym i słabszym Alerem. Zmianę pogody przypisywano tej wojnie. Raladan jednak wiedział, a raczejczuł, że to nieprawda. Może raczej: prawda niecała.

Coś się wydarzyło na Bezmiarach i być może on jeden w Szererze zdawał sobie z tego sprawę. Ale nie wiedział co.

Nie lubił myśleć o swoim pochodzeniu; zawsze czuł się tylko człowiekiem i oprócz daru rozumienia mórz nic go od innych ludzi nie różniło. Podobno był długowieczny, lecz na razie nie dało się stwierdzić, jak bardzo. Dopisujące zdrowie i coś w rodzaju zakotwiczenia w wieku średnim to były sprawy na pewno niemagiczne. Nie on jeden był zdrowy i nie tylko on dobrze się trzymał.

Sędziwy, nieżyjący już przyjaciel, mędrzec Szerni Tamenath – bo Przyjętych wciąż określano starym, tradycyjnym mianem mędrców – tłumaczył mu kiedyś:

„Nie wiemy, czym są Bezmiary. Zgadujemy. To coś więcej niż tylko dużo słonej wody. Potęgi, takie jak Szerń, potrafią dać rozum niektórym, bo nie wiadomo, czy wszystkim, zwierzęcym gatunkom. Ale Szerń nie stworzyła życia. Ściśle: chyba nie stworzyła, bo i tutaj niczego nie wiemy na pewno. Uważa się, że życie ma swój początek w morzu i to z niego wyszło na lądy. Bezmiary

są pierwotną i najstarszą z Potęg, a to, co się w otchłani tej Potęgi zawiera, tworzy byt większy i bardziej skomplikowany niż wszystkie lądowe enklawy razem wzięte. Być może Bezmiary uzyskały świadomość samoistnie, za sprawą tego niebywałego skomplikowania swej istoty. Jaka to jest świadomość? Trwała i obliczalna czy przejawiająca się tylko czasem, uśpiona przez tysiąclecia, potem nagle rozpalająca się i znowu gasnąca? Wiele wskazuje na to, że jej emanacją jest tajemnicza istota, zwana Wężem Morskim, ale znowu trzeba zapytać: to istota działająca stale, czy też raczej uśpiona tak, jak świadoma emanacja Pasm Szerni, czyli Rongolo Rongoloa Kraf, i budząca się raz na tysiąclecia? To tajemnice i zagadki, na które nie znajdujemy odpowiedzi, i nie wiadomo, czy znajdziemy kiedykolwiek. Ty, Raladanie, jesteś przejawem działalności Bezmiarów, prawdopodobnie działalności świadomej. Być może urodziłeś się i żyłeś jako człowiek, aż postradałeś życie w otchłani. Zostało ci ono zwrócone za sprawą tej przedziwnej istoty, o której mówiłem, o ile jest istotą, bo może raczej zjawiskiem. Czymś, co się pojawia i znika, by odtworzyć się za jakiś czas. Po co zostałeś wskrzeszony i posiadałeś cząstkę wiedzy o morzach? Uraduję cię, bo powiem: z twojego i mojego, z ludzkiego punktu widzenia zapewne po nic. Przyczyny, dla których rządzące światami Potęgi coś sprawiają, są dla nas niezrozumiałe, a skutki ich poczynań najczęściej niezauważalne. Być może dawno już zrobiłeś to wszystko, do czego byłeś potrzebny Bezmiarom, ale co to było i czemu miało służyć, chyba nigdy się nie dowiemy”.

Raladan, rzecz jasna, nie pamiętał po latach każdego

słowa, jakie wypowiedział stary wielkolud. Rozmawiali jednak wielokrotnie i sens tych rozmów był właśnie taki.

„Zostałem przyjęty przez Pasma, a to znaczy, że ogarniam ich naturę” – mówił jeszcze Tamenath. „Ale nic nie wiadomo o istotach przyjętych przez Bezmiary. Może ty jesteś właśnie kimś takim? Rozumiesz morza. Znasz je i w jakiś sposób czujesz lepiej niż inni. Nie wiem. Mogę tylko zgadywać. Ale czemu to ma służyć? Tylko głupiec uważa, że cokolwiek sprawiają Potęgi, wycelowane jest w rozumny gatunek, istny pępek świata. Otóż dla tych Potęg barwa kwiatków na łące może mieć większe znaczenie niż cała historia ludzkości. Może dopłynąłeś do wysepki, do której nie umiał przybić nikt inny, i zgubiłeś tam przyczepione do rękawa nasionko kwiatka? W ten sposób wypełniłeś swoje wielkie zadanie, dla którego cię powołano, i Bezmiary bardzo się cieszą. Nie bierz tego dosłownie, rzecz jasna, uraczyłem cię przypowieścią”.

Odrzekł wówczas:

„Już dawno nie biorę dosłownie tego, co mówisz, panie. Próbuję zrozumieć sens”.

Teraz stał przy oknie i patrzył na port. Zmarszczył brwi i potarł czoło, zaskoczony tym, dokąd zabrnął w rozważaniach. Jednakże łatwo mógł odtworzyć drogę, którą pobiegły myśli: widok wojennych okrętów w porcie skierował go ku garyjskiemu powstaniu; to powstanie powinno wybuchnąć późnym latem, bo jesienią przerzucenie posiłków imperialnych na Garrę było niemożliwe; lecz jesień nie była taka jak niegdyś...

Bo coś się wydarzyło na Bezmiarach.

Raladan był sam. Nie tutaj, przy oknie, lecz w ogóle. Był sam, a jako samozwańczy agarski książę musiał się

zmierzyć z problemami, które go przerastały.

Wzenił się w Agary, zostając mężem kobiety, która te wyspy nie tyle zdobyła, ile po prostu sobie wzięła. Wiedziała, czego chce i dokąd zmierza, on zaś czasem pomagał, ale był tylko narzędziem, wykonawcą – i bardzo mu to odpowiadało. Nigdy nie chciał niczym rządzić, ani nawet współrządzić. Mógł dowodzić okrętem, eskadrą okrętów. Lecz państwkiem, choćby nawet najmniejszym, ani myślał.

Rządził jednak. Dlaczego?

Stary pirat Raladan nie miał skrupułów, a wielu powiedziałoby nawet, że brak mu sumienia i serca. Nie potrafił jednak być niełojalny. Gdy raz się czegoś podjął, gdy raz się z kimś sprzymierzył; gdy już kogoś wziął pod opiekę albo wspierał... nie umiał zrezygnować. Bywało, że chciał, czasem nawet próbował, lecz nie umiał.

Z dnia na dzień stał się władcą i opiekunem tych dwóch wysp i ludzi, którzy na nich mieszkali. Nie chciał tego – ale jednak się podjął, biorąc Alidę za żonę. Gdy jej zabrakło, spojrzenia mieszkańców Agarów zwróciły się ku niemu. Tak się po prostu stało.

Kilkanaście lat temu mieszkańcy Aheli – bo rybacy z wiosek mniej się liczyli, było im właściwie wszystko jedno – nie bez lęku pogodzili się z władzą morskich zbójów, którzy na ich wyspach urządzili sobie coś w rodzaju księstwa, a w jedynym mieście stolicę. Przyszłość rysowała się ponuro.

Jednakże los szelmowsko zmrużył oko. Piraci dbali o jedyne przyjazne im miejsce na świecie; miejsce, w którym mogli się czuć jak w domu. Ci, którzy nie dbali, bardzo szybko mieli sprawę z innymi, a jeżeli to nie

pomogło, wkraczało niewielkie, ale na tych wyspach niebojące się nikogo, karne, dobrze opłacane wojsko władców archipelagu. Pojawiły się sądy i surowe, lecz sprawiedliwe kary. Księżna rozsądnie utrzymała podatki i daniny na tym samym poziomie, co za czasów imperium, nie były więc bardzo dotkliwe. Wznoszono umocnienia nadbrzeżne, potem rozbudowywano i odnawiano Ahełę, następnie powiększono starą stocznię i zaczęto budować okręty – nie brakowało więc pracy, za którą płacono skromnie, częściej utrzymaniem niż pieniędzmi, lecz zawsze rzetelnie i zgodnie z umową. Wkrótce przed każdym, kto miał kupiecką smykałkę, otwarły się nowe możliwości, a to samo dotyczyło oberżystów, wszelkiego rodzaju rzemieślników, także medyków, balwierzy, pisarzy, prostytutek.... Przyjmowano chętnych do wojska oraz na pokłady statków i okrętów, inni trafiali w szeregi urzędników portowych, miejskich, nadwornych. Za czasów imperium żyło się równie bezpiecznie – ale nie tak zasobnie.

I nie było aż takiej swobody wyboru. Wolności! Tak, w całym Szererze żaden mieszczuch nie był bardziej wolny niż mieszkaniec pirackiej stolicy.

W piętnaście lat – zaledwie piętnaście lat – na Agarach pojawił się naród, a przynajmniej załóżek narodu. Ci ludzie już nie byli poddanymi dalekiego cesarza, nie mieszkali w jakiejś Morskiej Prowincji, nie czuli się nawet Wyspiarzami. Byli mieszkańcami własnego małego księstwa, które mieli i chcieli mieć nadal. Odczuwali dumę z tego tylko powodu, że są Agarczykami. Może nawet Aherami albo Ahelami, bo przypomniano bardzo stare, prawie zapomniane słowo, używane przez

pierwszych mieszkańców obu wysp. Podobno Ahela była kiedyś Aherą – czyli osadą. Nazwa chyba została zniekształcona, niemniej aher albo ahel (nie było zgody; toczono o to spory) znaczyło kiedyś „osadnik”.

Raladan, u boku żony, przed laty stanął na czele tych ludzi, a teraz nie umiał ich porzucić.

Lecz za rok albo dwa lata tego księstwa, które mieszkańcy uznali za swoje, mogło nie być.

Usłyszał głosy za plecami i obejrzał się. Do komnatki wkroczyła Lasena, tłumacząca coś Izecie i Nevinowi. Karciała ich. Raladan uśmiechnął się, a czynił to nieczęsto. Zaraz znowu zwrócił twarz ku oknu, pragnąc ten uśmiech ukryć.

Odsiecz była w drodze; nie musiał zawsze być sam. Dwoje młodych ludzi mogło zdjąć mu z pleców najcięższe brzemię. Ale jeszcze, niestety, nieprędko. Izetta miała do pełnoletności trzy lata i trochę, Nevin dwa i pół. Księżna Agarów i naczelny wódz jej sił zbrojnych przemierzili trzy czwarte drogi do swych urzędów i władzy. Musiał poczekać jeszcze kilka lat.

Nie miał tyle czasu. Trudno też było oczekiwać, że pełnoletność sprawi cuda. Należało doliczyć jeszcze z półtora roku, nim tych dwoje całkowicie się usamodzielni i nie będzie potrzebować pomocy w pełnieniu zwykłych obowiązków. Bo w pełnieniu obowiązków nadzwyczajnych pomoc przydawała się każdemu i zawsze.

– Ojczy! – zaczęła oskarżycielsko Izetta.

– Lasena ma słuszność – uciął, nawet nie pytając, o co chodzi. – Słuchajcie tego, co mówi.

– Nawet nie wiesz...

– Wiem więcej, niż ci się zdaje. Nevinie, zabierz siostrę i idźcie. Ty zostań, Laseno.

Brat i siostra wyszli – on z kamienną twarzą; ona ze łzami w oczach, rozgniewana, obrażona i nienawidząca ojca. Książę i niewolnica zostali we dwoje. Raladan nie miał cierpliwości do słuchania o sprawkach swoich dzieci, czasem jednak posłuchać musiał.

– Znów byli sami na mieście – powiedziała pierwsza niewolnica domu.

Więcej niebezpieczeństw czyhało na rodzeństwo tutaj, w nadbrzeżnej twierdzy. Któryś z nich mogło spaść ze stromych schodów. W mieście mieszkańcy zdążyliby podłożyć tym dwojgu poduszki. Młodym księciem i małą księżką wysokością opiekowali się wszyscy.

A Izetta i Nevin potrzebowali towarzystwa rówieśników. W portowej twierdzy i starym gmachu Trybunału nie było nikogo w ich wieku.

– Są tam bezpieczni.

– Tak. Ale gdy się dokądś wyprawiają, to chcę o tym wiedzieć.

Zgodził się milcząco.

– Ale nie tylko to – dorzuciła po chwili. – Bawią się razem. Wiesz jak.

Uniósł lekko brwi, wciąż patrząc przez okno, więc mogła tylko zgadnąć, że to zrobił. I na pewno zgadła, bo nikt nie znał lepiej każdego jego gestu i miny.

Lasena pochodziła z dartańskiej hodowli, a w Dartanie nie na wszystko pozwalano dzieciom. Na Agarach z kolei panowały – rzecz raczej oczywista – obyczaje wyspiarskie. Nie tak wydumane i załgane jak garyjskie, ale jednak trochę sztywne, choć już mocno rozluźnione

przez żeglarską brać. Problem w tym, że matką jego dzieci była półkrwi Armektanka, wychowana przez Armektankę, ku bezsilnej wściekłości ojca Garyjczyka. Średniej rangi urzędnicze Wiecznego Cesarstwa mąż nic nie mógł zrobić, co najwyżej oddać list rozwodowy, tego zaś nie uczynił, bo podobno była niezwykle piękną. Pojmująca świat tak jak jej matka, Alida w niczym, ale to w niczym nie widziała niczego niestosownego. Wszystko, co ludzkie, miała za normalne. Odróżniała dobre od złego (choć nie bardzo się tym przejmowała), ale miała kłopot z „wypada, nie wypada”. Gdy zmarła, ośmioletni Nevin doskonale wiedział, że jego matka za młodu była w tym mieście prostytutką, rozumiał z grubsza, na czym polega takie zajęcie, i nie dostrzegał w tym niczego niezwykłego. Wszyscy coś robili. Ojciec, na przykład, był żeglarzem.

Każdy używał do pracy swego ciała, bo nie miał żadnego innego: portowy tragarz rąk, nóg i mięśni grzbietu, miejski obwoływacz języka, prostytutka...

– To dzieci. Są ciekawe, więc próbują się dowiedzieć, zobaczyć... – Urwał, bo nie bardzo umiał rozmawiać o podobnych sprawach. Właściwie tylko powtarzał to, co zapamiętał od Alidy. – Podobno każda siostra bawi się z bratem w medyka albo w łaźnię, jeśli dzieli ich mała różnica wieku. A jeśli się nie bawi, to coś z nią nie tego. I z nim też.

– Pamiętam, księżna mi tłumaczyła. – Lasena na chwilę posmutniała, bo dla całej służby Alida była wspaniałą chlebodawczynią, najlepszą panią, jaką można mieć. – Ale oni już nie bardzo są dziećmi i czasem mi się wydaje...

Nie dokończyła.

– Nie są dziećmi? Stale słyszę od ciebie, że...

– Nevin na pewno nie jest, a Izetta... Izetta właśnie przestaje być dzieckiem. To już kobieta.

– Co masz na myśli?

– No co?

Przestał wreszcie wyglądać przez okno, odwrócił się i popatrzył na niewolnicę.

– Ma skończone dopiero jedenaście lat.

– Już prawie dwanaście. I co z tego? Miałam tyle samo. A inne dziewczęta mogą dojrzeć nawet dwa lata później. Bardzo różnie bywa.

– I mówisz...?

– Ciekawość ciekawością, zabawa zabawą. Wydaje mi się, że między nimi jest trochę za dużo tego. Za dużo i za bardzo.

Raladan popatrywał w milczeniu. Nie zgadła, o czym pomyślał. A pomyślał, że dość już tych rozważań o garyjskim powstaniu, o przyszłości agarskiego księstwa... Teraz pora rozważyć, czy trzynastolatek może się zabawiać z młodszą siostrą. Czy im przejdzie i do czego to dojdzie, jeżeli nie przejdzie. Archipelag pograży się w morzu, a woda po wieki wieków będzie tutaj czarna od występku.

Nie miał rodzeństwa, a w każdym razie nie pamiętał. Pierwszym wyraźnym wspomnieniem, jakie udało mu się zachować, był widok majtków z załogi kupieckiego statku, którzy chwilę wcześniej wyciągnęli go z wody. Potem oglądał węża morskiego i odtąd wiedział, co się wówczas czuje.

Ale nigdy nie patrzył na siostrę, więc tym bardziej nic nie czuł.

Podobno siostry nie pociągały braci – i na odwrót. Wiedział o tym, ale nigdy na żadną kobietę nie spoglądał oczami brata. O różnych sprawach wiedział, ale nie wszystkiego doświadczył. Mógł, na przykład, tylko sobie wyobrazić, że mężczyzna pożąda drugiego mężczyzny. I tak samo sobie wyobrażał, że brat nie widzi w siostrze kobiety. Jedno i drugie dziwne.

Gdyby chciał usunąć ze świata wszystkie dziwne rzeczy... Należałoby zacząć od rozumu, a najlepiej w ogóle ludzi. O kotach nie wspominając.

– To za dużo dla mnie, Laseno. Spróbuję się porozumieć z dartańską królową, mam też pomysł, jaki szyk powinny trzymać w bitwie nasze karaki, żeby wyzyskać swą największą przewagę. Ale Nevin majstrujący przy Izetcie, o nie, to dla mnie za trudne.

– Znów uciekasz. Jesteś...

– Ojcem, wiem. Ale ty, na szczęście, jesteś moją własnością, podobno tylko rzeczą, tak uczą w hodowlach? Głupio uczą, ale i tak zamierzam cię użyć do rozwiązania niektórych problemów. I rozwiąż je, jak chcesz. Poprę cię.

Pokiwała głową.

– Wiedziałam.

– Czekaj. Jeśli dobrze im zrobi rozstanie, to ci mówię, że chcę posłać Nevina na morze. Był już chłopcem okrętowym na kupcu, teraz pora, żeby się dowiedział, co musi umieć oficer na innym żaglowcu. Takim z wieloma działami.

– Chcesz posłać dziecko na okręt wojenny?

– Nie byle jaki. Flagowy. A Nevin podobno już nie jest dzieckiem.

– Długo myślałeś, zanim wpadłeś na ten pomysł?

– Tak. Mniej więcej rok. Chyba powinienem czegoś nauczyć mojego syna, bo inaczej zostanie darmozjadem. Rządzić Agarami chce akurat tak jak ja. Mam go kształcić na urzędnika w kapitanacie portu? Ale on mówi, że wolałby strzelać z dział, zabijać wrogów i w ogóle dowodzić żaglowcem.

– Uważam...

– Potem mu opowiem, w jakiej kolejności gwałcić i mordować. Bo kolejność jest bardzo ważna.

Popatrzyła znacząco i poszła.

ROZDZIAŁ 7



Jeśli nie liczyć zmarłego Tamenatha, jedynym przyjacielem, jakiego Raladan znalazł na Agarach, był Heren Ahagaden, dowódca całego wojska obu wysp. Ahagaden przekroczył pięćdziesiątkę i nie dało się go nazwać dziadem, niemniej młodość dawno zniknęła mu za horyzontem. Teraz wyszedł w morze, prowadząc swoje eskadry.

Dobrym starym druhem był także Bohed, pierwszy oficer na „Delarze”, bardzo udanej średniej karaweli, której kapitanował Raladan. Ale szczerzy i mądry Bohed, chociaż zawsze godny zaufania, należał jednak do innego świata. To nie był świat wodzów i władców podejmujących decyzje na własny rachunek i odpowiedzialność. Raladan lubił czasem się napić w towarzystwie swego zastępcy, będącego faktycznym dowódcą „Delary”, ale rady u niego nie szukał. Zawsze trzeba wiedzieć, czego można oczekiwać od przyjaciół. Nie od wszystkich tego samego.

Tak jak Izetta i Nevin, agarski książę uciekał czasem do miasta. Nawet o tym nie myśląc, szukał potwierdzenia swych decyzji u zwykłych ludzi. Mówił niewiele, raczej słuchał. Przeważnie opowiadali głupstwa, zdarzyło się jednak raz i drugi, że ktoś zagadał do rzeczy.

Lubił odwiedzać tawernę o wdzięcznej nazwie Źródełko. Bywał tam bardzo często albo bardzo rzadko,

wszystko przecież zależało od punktu widzenia. Raz na miesiąc albo półtora – to było raczej rzadko. Ale jeśli wziąć pod uwagę, że nie każdego dnia biegał po ulicach, a odwiedzał Źródełko prawie zawsze, gdy się wybrał na miasto... To już przecież znaczyło: bardzo często.

W Aheli wszyscy go znali, na obcego mógł się natknąć najwyżej w porcie. Więcej przebywał na morzu niż na lądzie – zwłaszcza kiedyś, gdy żyła Alida – niemniej mieszkał na Agarach od piętnastu lat. Ahela, gdy chodziło o liczbę mieszkańców, była jednak dziurą. Zadbana i zamożna, wydawała się większa, bo do miasta należało doliczyć duży port z targowiskami i składami, stocznię i skutnię, a obok jeszcze drugą stocznię remontową, umocnienia nadbrzeżne... Były jeszcze porządne murowane koszary, już od dawna zrosnięte z miastem, kiedyś służące imperialnym strażnikom morskim, potem rozbudowane; kwaterowało tam teraz pięciuset żołnierzy, całe lądowe wojsko wyspy. Z drugiej strony pojawiło się rozległe przedmieście – tam z kolei mieszkali piechurzy i majtkowie floty wojennej, choć wielu wolało własne domy, bo ci ludzie pochodzili przecież stąd.

Księżnej Alidy prawie nigdy nie widywano na ulicach. Najłatwiej mogły ją spotkać zwykłe mieszczyki, wychodzące czasem na klif; księżna też była żoną żeglarza i też czasem wypatrywała powrotu męża. Lecz do księcia Raladana mieszkańcy przywykli. Odnoszono się doń z respektem, bo kilkakrotnie pokazał, że w ogóle się nie zna na żartach, zarazem jednak traktowany był jak „swój chłop”. Gdy szedł na targ, to nie po to, żeby się pokazać, tylko po to, żeby kupić nowe buty. W knajpie siedział, bo chciał się napić i posłuchać, co ludzie gadają;

do stoczni zaglądał, by sprawdzić postępy prac, a w bibliotece miejskiej (była biblioteka, a jakże, co prawda bardzo skromniutka) zlecał przerysowanie i uzupełnienie jakichś map, więc sam pokazywał pisarzom i kartografom, na co trzeba zwrócić uwagę. Wszędzie zachowywał się normalnie i od dawna każdy mieszkaniec Aheli wiedział, że czołobitność go męczy, a nadskakiwanie drażni.

Wyglądał też całkiem zwyczajnie. Nie hołdował poglądom w rodzaju, że zdrowy człowiek koniecznie musi śmierdzieć, ale jak to mężczyzna, trochę niechlujny jednak był. Odziewał się czysto, jednak do golenia nigdy nie miał serca. Raz, dwa razy w tygodniu, tyle o ile, właściwie byle jak... Z całkiem gładkimi policzkami pokazywał się wtedy, gdy oporządziła go zniecierpliwiona Lasena, kolejny raz podrapana nieznośną szczeciną. Ale o awanturach, które niewolnica urządzała jego wysokości w sypialni, naprawdę mało kto wiedział.

Wkroczył do Źródełka. Zauważono go od razu, gdy tylko stanął w drzwiach i rozejrzał się po izbie, szukając wolnego miejsca. Ktoś huknął tubalnie. Na moment wszyscy przycichli, a wtedy krzykacz wstał i grzecznie skłonił głowę, pokazując w ten sposób przybyłego. Od razu wstali wszyscy. Raladan uśmiechnął się półgębkiem, jak to miał we zwyczaju, i machnął ręką: „Siadajcie”. Zaraz znów rozbrzmiały rozmowy, choć oczywiście zerkano ku niemu, gdy zaś wziął piwo od oberżysty i siedł do upatrzonego stołu, unoszono czasem kufel albo dzbanek: „Zdrowia, książę!”. Inni się uśmiechali i kiwali głowami. Odpowiadał, kiwając tak samo.

Ale płacenia za cokolwiek dawno go w Aheli oduczono. Placek albo ryba na targu, piwo w knajpie... Nauczył się przyjmować poczęstunki i już wiedział, że wciskając siłą należność, sprawi szczyry zawód człowiekowi, który chciał go po prostu uszanować i zyskał rzadką okazję.

Inna sprawa, że z targowiska wracał czasem straszliwie obżarty. Tu obwarzanek, tam szaszłyk... A już pędził przekupień z wędzonym owczym serkiem; niechętnie się psuły, dobrze znosiły morską podróż, więc je sprowadzano na Agary.

Wolnego stołu nie było, ale przy dużym prostokątnym w rogu izby siedziało tylko trzech ludzi. Przysiadł się i przepił do nich na powitanie. Odpowiedzieli, wznosząc swoje dzbanki; zapachniało piwo mocno zakropione gorzałką. Wszyscy ćmili fajki. Raladan nigdy nie nabrał tego zwyczaju, ale dym fajkowy mu nie przeszkadzał. Podobno był bardzo zdrowy, nawet zdrowszy niż sól: leczył zęby i pomagał dobrze trawić, należało więc koniecznie palić po jedzeniu. Tak przynajmniej mówił stary Brorrok, dziadek wszystkich piratów. A na pewno wiedział, co mówi, bo z fajką w zębach dożył stu kilku lat. I do końca na własnych nogach; może już niezbyt krzepkich, ale jakoś jeszcze nimi przebiegał.

– Gadajcie dalej. Napiję się i zaraz sobie idę.

Świetnie wiedział, że nie wróca do przerwanej rozmowy. Niby był „swoim chłopem”, ale jednak przy kimś, kto rządził wszystkimi i wszystkim na tych wyspach, rozmowa się nie kleiła. Przynajmniej nie tak od razu.

Czasem jednak trafiał się rezolutny mieszczuch albo marynarz, którego nie peszyło byle co. I teraz właśnie tak

było.

– Kiedy, wasza wysokość, nie da rady – powiedziało rude brodate chłopisko i napiło się piwa z gorzałką. – Bo my tutaj właśnie narzekamy, że jest źle, a będzie jeszcze gorzej.

Siedzący obok mężczyzna trącił go łokciem, ale brodacz nie stracił rezonu, tylko wzruszył ramionami.

– No czego? – zapytał. – Urwie nam łby, bo sobie narzekamy przy piwsku, czy jak?

– A co jest źle? – zapytał Raladan takim tonem, jakby pytał: „Po ile te precle z makiem?”, i też pociągnął piwo ze swojego dzbanka.

Nie bardzo sobie przypominał tego rudego mężczyznę. Silny czterdziestolatek, nie za piękny... Ale raczej nie był na Agarach gościem, bo mówił miejscową gwarą. Chyba jednak nie mieszczuch, skoro się dotąd nie spotkali. Może rybak lub wielorybnik; jednym i drugim po spłaceniu danin zostawało dość ryb albo tłuszczu, by przywozić do miasta i sprzedawać. Potem mieli za co się napić.

Na Agarach brakowało ludzi. Nie tylko mężczyzn; w ogóle brakowało ludzi. O tych, którzy byli, należało dbać. Niskie obciążenia sprawiały, że nikt nie uciekał z wyspy. Pewnie można by trzymać mieszkańców siłą, ale to nigdy się nie opłacało. Zniewoleni ludzie pracowali gorzej; siłą wcieleni do wojska żołnierze porzucali szeregi przy lada okazji. Majtków nie można było puścić na ląd w żadnym porcie, a nawet spuścić z oka na redzie, bo niejeden w nocy dał drapaką wpływ.

– Wasza wysokość – rzekł brodacz odważnie, a nawet trochę zaczepnie; pewnie już trochę sobie wypił – ja nic nie mam do piratów. Mnie nie łupią. Ale widzi mi się, że

po jedno, kto wygra tam, za morzem, Garra, imperium, czy nawet Dartan. Ktoś się tutaj nam dobierze do skóry. Na razie się nie dobierają, bo wszyscy czekają na wojnę. Ale jak już będzie po wojnie?

Raladan znowu napił się piwa.

Pierwszy człowiek, który doń przemówił, zaczął od razu o tym, co najważniejsze. Nie trzeba było zagajać, ośmielać... Ciągnąć za język, podpytywać.

Miał pojęcie, że w Aheli ludzie sporo wiedzą o świecie i światowych sprawach, tak zresztą było w każdym porcie. Tu zaś dodatkowo, armektańskim zwyczajem, miejscy obwoływacze pruli gęby ze swoich podestów. Bakalarze po wioskach nie łazili, ale w samej Aheli Alida kazała kiedyś otworzyć darmową szkołę pisania, czytania i robienia najprostszych rachunków. Dla chętnych.

I nigdy ich nie brakowało.

Nie wiadomo dlaczego, przyszło mu naraz do głowy, że Ahela jak prawdziwa stolica powinna mieć akademię. Choćby bardzo skromną, malutką. Powinien porozmawiać z Laseną, ta kobieta wiedziała coś o wszystkim.

Ale teraz nie rozmawiał z Laseną, tylko z rudym rybakiem, może wielorybnikiem.

– Mów – powiedział. – Czekaj... Jak masz na imię?

– Rudy – chórem powiedzieli tamci dwaj.

Zarechotali zgodnie i Rudy machnął ręką.

– No niby Rudy to nie, tylko że od małego...

– Mów, Rudy – rzekł Raladan.

Rudy kiwnął głową, napił się i powiedział, co wiedział.

Raladan słuchał i myślał.

Oderwanie Agarów od imperium, a potem utrzymanie

ich niezależności udało się tylko dlatego, że leżały na samym końcu świata, a wszyscy mieli ważniejsze sprawy. Bronione przez własną, coraz silniejszą flotę i wszystkie pirackie okręty, jakie w porę można by zebrać, stanowiły kłopot, którego jednak nie dało się łatwo rozwiązać. Na pewno nie tanim kosztem. Każdy mógł podbić Agary: Dartan, Wieczne Cesarstwo – czyli Armekt – albo sama tylko Morska Prowincja. Wszystko było silniejsze od Agarów. Ale każdy musiał zdrowo wziąć w skórę, awanturując się aż tutaj. A nikogo jak dotąd nie było stać na utratę dwudziestu okrętów z dwoma tysiącami żołnierzy na pokładach dla podbicia dwóch wysp położonych już prawie poza obrębem największych map Szereru. Bez tych okrętów i żołnierzy każdy z graczy ryzykował, że zaraz potem straci znacznie więcej, niż zyskał.

Pirackie państewko, gdzie zbóje zawsze mogli się schronić i sprzedać dowolne łupy, uwierało; plaga piractwa dawała się we znaki każdemu. Ale właśnie o to chodziło, że KAŻDEMU. Armekt nie miał nic przeciwko temu, by tonęli dartańscy kupcy; tak samo z przeciwnej strony widzieli to Dartańczycy i to im osładzało własną przykrość. Ponadto oba mocarstwa kontynentalne wyobrażały sobie, że groźne pirackie okręty da się może pozyskać do działań kaperskich w nieuchronnej kolejnej wojnie armektańsko-dartańskiej.

Trochę z boku tego stała Garra, niby też armektańska, wciąż należąca do Wiecznego Cesarstwa, ale... Imperialne floty obecne w tej prowincji chętnie na własny rachunek zrobiłyby porządek z Agarami. Tyle tylko, że – no właśnie – utraconych żołnierzy i żaglowców zabrakłoby po

wybuchu powstania. Mało tego; przecież zdobyte, czy też raczej przyłączone na powrót Agary należało następnie utrzymać. Na odbitych wyspach nie mógł zostać garnizonik, który wyrznię do nogi obsady trzech spóźnionych żaglowców z czarnymi żaglami. Co potem? Zabawa od początku?...

Jednakże ten okres dziwacznej równowagi miał się ku końcowi. Na każdej garyjskiej ulicy psy czekały o rebelii. Że wybuchnie jeszcze w tym roku. Późnym latem, czyli za kilka miesięcy.

A co po zwycięstwie powstania?

Bo jawiło się pewne jak wschód słońca, że rebelianci tym razem wygrają. Imperialne floty – to jeszcze wyglądało jako tako. Ale wojsko lądowe, czyli Legia Garyjska, nie dość, że słaba liczebnie, na dodatek nie przedstawiała żadnej wartości bojowej. Mogła bardzo kiepsko patrolować ulice. Było pewne, że ci wojacy po prostu się poddadzą, uciekną bądź nawet zasilą powstańcze szeregi.

Imperialne legie, duma Wiecznego Cesarstwa, nigdy i nigdzie dotąd nie upadły tak nisko. Wojskowa tunika dawała najmarniejszemu z rekrutów widoki na zrobienie wojskowej kariery, a jeżeli nie, to przynajmniej zapewniała wysoki prestiż i zabezpieczała przyszłość. Ale nie w tym wychodku; nie w gnijącym trupie prowincji. Tutaj nie było przyszłości dla nikogo. Garyjskie królestwo miało zostać wskrzeszone po półtora wieku niewoli i nikt nie umiał powiedzieć, jakie będzie. To miało się dopiero okazać.

Jedno wszakże wydawało się całkiem oczywiste: to królestwo nie mogło okrzepnąć z drapieżnym pirackim

księstewkiem pod bokiem. Po zniknięciu armektańskich kupców piraci mogliby łupić właściwie tylko Garyjczyków. Chyba że pragnęli zejść z pokładów, łowić ryby bądź osiąść na roli.

Gdyby chcieli, to już dawno by osiedli.

– Co poradzisz? – zapytał Raladan. – Ja też byłem piratem i wiem, co myślą piraci.

– A co myślą? Potrzebni tu nam?

Raladan patrzył z namysłem. Skinął głową i odrzekł:

– Niepotrzebni. Bez pirackich łupów już od dawna możemy się obyć. Trochę zbiedniejemy, ale mamy dużo więcej ryb niż trzeba. Oprócz tego największe łowisko wielorybów i miedź, której wszędzie potrzebują. A jeszcze w każdej wiosce wszyscy rzeźbią pierdółki z wielorybich kości, do niczego niepotrzebne, ale drogie i dlatego podobają się w Dartanie. Możemy handlować z każdym. Przeżyjemy.

– Jak tu nie będzie piratów, to Garra chyba zostawi nas w spokoju?

– Pewnie, że zostawi. Będą bać się Armektu, a nie nas. Zawsze brzydzili się Wyspami, dla Garry większy z nimi kłopot niż pożytek. Kiedyś nikt tym przecież nie rządził. Do Królestwa Garry należało kilka najbliższych archipelagów i tyle. Jeśli Ahela przestanie być schronieniem dla piratów, to Garra może handlować z Agarami i wszyscy będą zadowoleni.

– No to...? Wasza wysokość?

– Zamienimy jednego wroga na drugiego. Handel morski to jedyny, jaki mamy – tłumaczył Raladan. – Wyrzuceni z Aheli kapitanowie dobiorą się do tyłków naszym kupcom, bo dlaczego nie? I chleb będziesz

oglądał wtedy, gdy sobie upieczesz z piasku. Będziemy pili tran, jedli ryby i wykuwali zawiasy z miedzi, bo żelaza, cyny, ołowiu, a zresztą niczego nie mamy. Sól z morskiej wody wychodzi bardzo drogo. Pijesz piwo? To zapamiętaj, jak smakuje. Z makreli go nie uwarzysz.

– Mamy naszą flotę, sam żem robił w stoczni, to wiem, jakie cacka poszły na wodę. Mamy najmocniejsze okręty na świecie.

Towarzysze Rudego przytwierdzili zgodnym mruknięciem. Raladan przyjrzał się całej trójce, odnajdując potwierdzenie tego, o czym niedawno rozmyślał. Tak, ci ludzie już byli Aherami, mieli własne miejsce, własny kraj.

„Mamy najmocniejsze okręty”. W takim „my” zawierała się duma.

– Imperialni... jak to się mówi... konwojują swoich kupców – rzekł Rudy; ten człowiek naprawdę sporo wiedział i umiał zrobić użytek z rozumu. – My byśmy nie mogli?

– Myślałem o tym. Może by się dało.

Nie mógł jednak konwojować wszystkich kupców wszędzie.

Potrzebne było uznanie niezależności Agarów przez jedno (przynajmniej jedno) z mocarstw kontynentalnych. To mógł być Dartan. Ale takie jednostronne uznanie agarskiego księstwa wplątywało je w największy konflikt Szereru: waśń między królową Dartanu i cesarzową Wiecznego Cesarstwa. Raladan znał jedną z tych kobiet, druga zaś podobno była taka sama. Pakował się między młot a kowadło. Ciężki młot i solidne kowadło.

Miał już trochę do czynienia z kobietami.

ROZDZIAŁ 8



Agarski książę rzadko uzewnętrzniał uczucia. Taki był; takim też czyniło go życie, które wiódł, i ludzie, którzy go otaczali. Na wojennym żaglowcu brakowało miejsca i czasu na wzruszenia, sentymenty. Zaklinano je czasem w żeglarskich śpiewkach. Nie wszystkie piosenki były świńskie, buńczuczne albo zabawne. Niektóre opowiadały o tęskniących żonach, o nieodwiedzanym domu, o matce czekającej na powrót syna... Albo o miłości do morza.

Odwiedzał czasem Ridaretę. Odprawiał znudzoną, niepotrzebnie czuwającą perełkę i sam zajmował jej miejsce. Było cicho, spokojnie; jego córka rzadko robiła cokolwiek. Zwykle błędziła spojrzeniem po ścianach, wyglądała przez okno. On, zamyślony, patrzył na nią. Snuł plany, roztrząsał różne problemy, rozmawiał w myślach z żoną, bo choć minęło pięć lat, wciąż mu jej brakowało. Niekiedy pozwalał sobie na wspomnienia.

Wrócił z miasta. Teraz siedział w komnatce Ridarety i dumał.

Zaczynał tracić nadzieję, że odzyska swoją przybraną córkę.

Ridareta, kiedyś, mówiła o Riolacie jak o żywej, ukrytej w niej istocie. Tak samo pisała w swoim ostatnim liście. Ale to nie była istota, tylko rzecz. Tamenath

powiedziałyby: zjawisko. Wyrwany z Szerni kłębek mocy, która mogła coś sprawić, a czegoś innego nie. Miniaturka dwóch Ciemnych, czyli aktywnych Pasm, tworzących układ (gadanie starego Przyjętego mocno jednak zapadało w pamięć). Ridareta mówiła o Riolacie: „Ona czegoś chce” albo „Muszę jej coś dać”. W liście napisała: „Zrozumialiśmy się”.

Ale tak nie było. Nie można się porozumieć z bezmyślną siłą, zjawiskiem. Można je najwyżej pojąć, a potem wykorzystać.

Czy Ridareta na pewno potrafiła? Powiedzieć o niej „głupia”, to było za surowo, ale „mądra” też, niestety, nie pasowało. Nie pozjadała wszystkich rozumów, bardzo często plotła i wyprawiała głupstwa. Teraz nagle rozeznała się w pogmatwanej naturze i możliwościach tego CZEGOŚ, co zastąpiło jej życie i co wykorzystała do swoich celów? Naprawdę?

Powątpiewał.

Z drugiej jednak strony – coś zrobiła, coś się udało. Bo nic się nie działo tak jak kiedyś.

Jej pierwsze córki wprawdzie tak samo dorastały szybciej niż inne dzieci, ale poza tym były normalne. W tym znaczeniu, że zwyczajnie uczyły się wszystkiego, bawiły, poznawały świat. Zmieniały się. Wyrosły z nich kobiety – identyczne jedynie z twarzy, bo poza tym podobne i różne pod wieloma względami. Tak, odnosił niekiedy wrażenie, że mają coś w rodzaju... „drugiej pamięci”. Że przejęły liczne doświadczenia bezpośrednio od matki.

Siedząca przed nim dziewczyna nie przypominała żadnej z tamtych. Była bardzo podobna z wyglądu, to

zrozumiały i oczywiste. Ale tylko tyle. To nie był nowy, stopniowo budujący się człowiek.

Pytanie brzmiało: czy naprawdę w tym żywym naczyniu jest uśpiona i obudzi się Ridareta? Czy przechowane zostało wszystko? Może coś zniknęło, zostało zgubione...?

A może przepadło wszystko. Mogło być przecież i tak, że Ridareta zdołała przygotować dla siebie miejsce – i nic więcej. Miała go nigdy nie zająć.

Nie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że nie wie, co zrobi z tym tu nieszczęsnym, bezwolnym stworzeniem, któremu dano jakieś trwanie – lecz nie życie. Wytyczono przyszłość, która miała się narodzić z czyjejs przeszłości. W gruncie rzeczy wiedział, że już zawsze będzie przychodził do tej komnatki. Coraz rzadziej i rzadziej, z coraz mniejszą wiarą.

Wrócił wzrokiem do jej twarzy, do oczu. Przez długą chwilę wymieniali spojrzenia.

Aż zrozumiał, że wymieniają je naprawdę. Oboje.

– Próbuję się pozbierać, Raladanie – powiedziała. – Ale musisz dać mi jeszcze trochę czasu, może tylko do rana. Chcę pobyć sama ze sobą.

Milczał.

– Tylko jedno muszę wiedzieć już teraz – dodała po długiej chwili. – Czy Kesa wróciła? I czy zabiliście Moldorna?

Nie przybyły Pasma Szerni; nie rozległ się grzmot ani żaden tajemniczy dźwięk. W baśniach i legendach cuda objawiały się wszem wobec. Słońce rozrywało powłokę chmur, a po wykradzeniu ze skarbcza eliksiru życia – zamek rozpadał się w gruzy, należało od razu uciekać.

Gdy najmłodsza z Trzech Sióstr Delara stanęła na ziemi Szereru, szalała straszliwa burza, błyskawice zapalały całe niebo. Nazwano tę dziewczynę Córką Błyskawic; potem opętał ją Ciemny Przedmiot. Rubin o imieniu Riolata.

Ten tutaj.

Ridareta wróciła bez błyskawic, a nadbrzeżna twierdza, czyli zamek... Nic nie zamierzało się walić.

Mówiła wolniej niż kiedyś, starannie. Przez minione lata nie milczała jak zakłęta. Uczyła się mówić, chodzić zresztą też, jak każdy maluch, potem czasem odpowiadała na pytania, dorzecznie lub niedorzecznie. Rozmawiała sama ze sobą. Ale jednak niewiele było tego mówienia.

Raladan nadal milczał.

Dwa proste pytania uświadomiły mu, że jest coś, czego Ridareta nie pamięta i nie może pamiętać. Urodziła dziecko, które przejęło wszystkie jej cechy i wszystkie wspomnienia – ale tylko do momentu narodzin. Te wspomnienia właśnie się zbudziły, tylko że...

Jego córka pamiętała, co postanowiła. Nie wiedziała jednak, co się zdarzyło później.

– Ojczy. Odpowiedz mi.

Prawie nigdy nie mówiła „ojczy”. Tylko wtedy, gdy chciała bardzo mocno dać coś do zrozumienia. Że jest dla niej najważniejszy na świecie.

Oparł głowę o ścianę za sobą.

– Przyjęta żyje, Moldorn zginął – powiedział równie wolno i starannie jak ona, chociaż z innego powodu. – Napisałaś do mnie list. Przyniosę ci.

Zobaczyła coś, czego nikt jeszcze nie widział: dwie łyzy,

które mu spłynęły po nieogolonych policzkach.

– Dobrze, że wróciłaś, córeczko. Chyba się zestarzałem i potrzebuję cię.

– Kłopotu? – zapytała bardzo cicho i nieoczekiwanie też się rozplakała.

– Tak. Tego, którym kiedyś obarczył mnie mój kapitan. Miałem ten kłopot tak długo, aż się przyzwyczyłem.

ROZDZIAŁ 9



Cokolwiek złego dało się powiedzieć o Dranie, nie dotyczyło Starej Dzielnicy – miasta w mieście.

Podczas pamiętnej rebelii hołubiona Stara Dzielnica, znak dawnych czasów, prawie nie ucierpiała. Pozbyto się wszystkiego, co armektańskie, na przykład podestów dla miejskich obwoływaczy – a także samych obwoływaczy, bo to przecież byli niskiej rangi urzędnicy ratusza, wysługujący się cesarstwu (choć większość z nich myślała, że tylko swojemu miastu). Zniszczono bibliotekę, zamknięto miejską łaźnię i dom publiczny, usunięto z placów nawet gongi obwieszczające pory dnia – lecz to były drobne zmiany, po których wkrótce nie został nawet ślad. Tylko biblioteki nie zdołano odtworzyć, bo wszystkie armektańskie dzieła spalono, inne zaś przepadły nie wiadomo gdzie.

Przetrwało olbrzymie gmaszysko Trybunału Imperialnego. Dawno temu, w czasach Królestwa Garry, pełniło podobną funkcję, mieściły się tu bowiem sądy królewskie i ziemskie. Teraz znów w wielkich salach panoszyli się sędziowie, urzędnicy gończy i śledczy, pisarze oraz – rzecz jasna – szpicle i donosiciele, dumnie zwani wywiadowcami.

W Morskiej Prowincji nigdy się nie przyjęły maseczki, tak powszechne w wielkich miastach Dartanu. Ktoś, kto

chciał być nierozpoznany, skrywał raczej twarz pod kapturem. Dwaj tacy ludzie z zakrytymi głowami, w obszernych płaszczach, idący głównym korytarzem, nie wzbudzali niczyjej uwagi. Przeciwnie – każdy, kto ich mijał, raczej odwracał wzrok. Wszyscy tu szanowali pracę innych.

Obaj mężczyźni (bo sposób poruszania się wyraźnie wskazywał, że idący nie byli kobietami) dotarli do końca korytarza. Wartujący żołnierz otworzył przed nimi wielkie drzwi, pasujące rozmiarami do sali po drugiej stronie. Wszystko w tym gmachu wydawało się za duże albo za ciężkie. Po garyjsku.

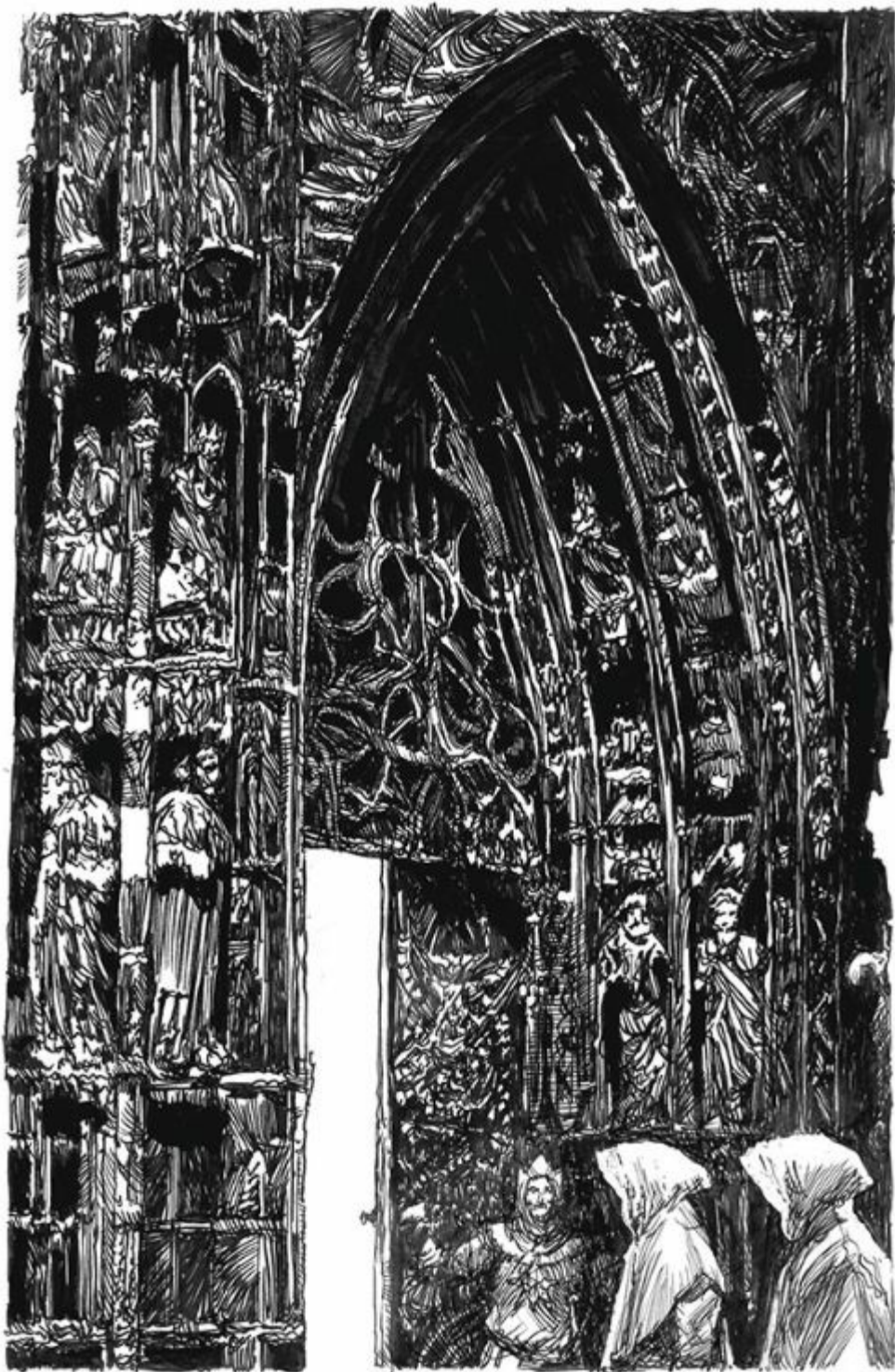
Na pewno ciężki był stół, trwający pośrodku komnaty; swoją wagę miały też liczne krzesła, stojące wokół niego i pod ścianami. Kiedyś ten stół i krzesła znajdowały się na najniższej kondygnacji gmachu, bo tam była Sala Narad. Przeniesiono ją. Nie wiadomo dlaczego.

Zakapturzonych mężczyzn oczekiwano. Przy stole siedziało sześć osób: jedna u jego szczytu, pozostałe – trzy kobiety i dwaj mężczyźni – po prawej stronie. Odsunięte krzesła naprzeciw tej piątki wyraźnie przeznaczono dla przybyłych. Nic nie mówiąc, nie witając się z nikim, zajęli miejsca i zsunęli kaptury.

Bardzo przystojny, by nie rzec: piękny mężczyzna, dopiero wkraczający w wiek średni, usiadł razem z setnikiem straży morskiej Mawewem.

– Wasza dostojność – powiedziała jedna z kobiet, ta siedząca najbliżej człowieka u szczytu stołu, a zwróciła się właśnie do niego – bardzo niechętnie pokazuję w tak dużym gronie najcenniejszych tajnych urzędników, jakich w tej chwili mamy. Jego godność T.E.Mawew jest

setnikiem we Flocie Głównej Garry i Wysp, szlachetny Enog Derrhert również kapitanem-setnikiem okrętu tej samej floty.



TRUST 22

W tym gmachu wojskowe szarże nie miały dużego

znaczenia, niemniej stało się jasne, dlaczego ci dwaj są tak cenni. Niełatwo było pozyskać żołnierza, zwłaszcza wysokiej lub chociaż średniej rangi.

– Wydaje się, że będzie potrzebne jakieś wprowadzenie – rzekł mężczyzna przewodzący naradzie, po czym dodał z nieoczekiwanym przebłyskiem humoru, wskazując skąpym gestem własną pierś: – Najwyższy Sędzia Trybunału wie oczywiście wszystko, ale nie każdy jest w tak szczęśliwym położeniu.

Siedzący przy stole ludzie odpowiedzieli uśmiechami, uznawszy żart za udany – albo po to, by się przypochlebić.

Kobieta, która wcześniej zabrała głos, piastowała stanowisko Drugiej Przedstawicielki Najwyższego Sędziego. Osobiście prowadziła sprawę, w którą byli włączeni oficerowie, dlatego od razu skinęła głową i udzieliła wyjaśnień. Była rzeczowa i zwięzła.

– Oszczędzę zbędnych szczegółów. Jakiś czas temu zatopiono jeden z najgroźniejszych pirackich żaglowców na tych morzach. Dopomógł szczęśliwy traf, ta bardzo szybka karawela, uchodząca za nieuchwytną, była poważnie uszkodzona po wejściu na mieliznę. Pojmano kapitana i kilku członków załogi. Marynarze zostali straceni. Kapitan nie. Trzymany jest w miejscu, które uważamy za bezpieczne. Zaproponował okup, a zrobił to w bardzo sprytny sposób: co kilka miesięcy wskazuje kolejną kryjówkę z pieniędzmi i kosztownościami. Stracić go zawsze zdążymy, tymczasem warto korzystać ze sposobności odzyskania części rozbójniczych łupów. Tradycyjnie są przeznaczane na pomoc dla rodzin poległych żołnierzy.

– Dlaczego go nie zmusić, by od razu opowiedział o wszystkich kryjówkach? – zapytał jeden z siedzących obok mężczyzn.

– Można, ale po co? Nie ma żadnej pewności, czy nie skłamię. Wie przecież, że po wyjawieniu całej prawdy jego życie przestanie mieć jakąkolwiek wartość.

– Kłamstwo od razu wyjdzie na jaw. Poza tym nikt nie kłamie, jeśli sprawny kat, mający dobre narzędzia...

– Dostyc. Brzydzi mnie to.

Mężczyzna zamilkł.

– Uznałam, że gdy powie, gdzie jest ostatni schowek... Może dopiero wtedy będzie warto się upewnić, czy nie ukrył niczego więcej. Wówczas dodatkowe badanie, choćby obrzydliwe, będzie miało sens. Na razie nie widzę takiej potrzeby.

– Czy nie jesteś, wasza dostojność, nazbyt delikatna do tej pracy?

– Jestem Armektanką, a ten człowiek jest wojownikiem, jakich niewielu na świecie – odparła tyleż chłodno, co dumnie. – Morskim zbójem, tak. Przed laty porzucił służbę w straży morskiej i ciąży na nim wyrok śmierci. Zostanie wykonany w odpowiednim czasie.

– On też jest Armektańczykiem. To zdrajca.

– Nie. Tylko bandyta.

– Uważam...

– Tracę cierpliwość.

Na chwilę zaległa cisza.

Spór, gorszący na poważnej naradzie w takim gronie, powinien zostać przecięty, a raczej stłumiony w zarodku przez osobę przewodzącą posiedzeniu. Ale R.Ewenet, Najwyższy Sędzia Trybunału Garry i Wysp nie kwapił się

do tego.

Z jej dostojnością T.M.A.Dorią nie było żartów. Drugiego Przedstawiciela bądź Przedstawicielkę zwyczajowo dobierał właśnie Najwyższy Sędzia; bardzo rzadko w to ingerowano. Lecz Dorię zaproponował, czyli właściwie narzucił Kirlan, podobnie jak nieobecną przy tym stole Pierwszą Przedstawicielkę, która od pewnego czasu przebywała w Doronie u boku wicekróla prowincji. Zastępowała zdjętą z urzędu tamtejszą Namiestniczkę Sędziego.

Można rzec, że to Pierwsza i Druga Przedstawicielka rządziły garyjskim Trybunałem. Nadawały kształt i bieg wszystkim przedsięwzięciom. Najwyższy Sędzia wycofał się i na dobrą sprawę ograniczył do pilnowania, by każdy robił swoje, nie przeszkadzając innym. Rozstrzygał spory, łagodził zadrażnienia. Zazwyczaj czynił to dobrze (choć na tej naradzie chyba nie zamierzał), niemniej trudno powiedzieć, że w ten sposób kierował instytucją.

W Armekcie zawsze bardzo przychylnie spoglądano na kobiety piastujące wysokie urzędy. Mężczyźni zbyt wiele myśleli o karierach i zaspokajaniu swych ambicji. Kobiety uchodziły za bardziej odporne na korupcję, mniej wrażliwe na rozkosze sprawowania władzy. Dlatego niemal każdy wysoki urzędnik imperium – o ile sam nie był kobietą – dobierał sobie kobietę jako zastępczynię i najbliższą współpracownicę, dając w ten sposób do zrozumienia, że chce być czasami powściągany i trochę kontrolowany. Jeśli czynił inaczej, przyglądano mu się podejrzliwie.

Tutaj wyszło akurat odwrotnie: to mężczyzna powściągał i tonował.

– Kapitan Kitar nie wstąpił do armii dartańskiej ani nie popiera rebeliantów garyjskich. Nie jest zdrajcą – wyjaśniła sucho Druga Przedstawicielka. – Podczas poprzedniego powstania był... walczył po naszej stronie. Jako korsarz.

– Morski rozbójnik.

– Ale nie pirat, tylko korsarz. Nazywamy tę prowincję Morską i powinieneś, panie, wiedzieć coś o morzach. Korsarz. Najemnik z listem kaperskim wystawionym w imieniu Imperatora, bo wtedy jeszcze zasiadał na tronie najgodniejszy Awenor, ojciec naszej cesarzowej. Porozmawiamy o tym, dlaczego Najdostojniejszy Imperator prosił zbójów o pomoc i czy dobrze zrobił?

Znowu zaległa cisza.

– Obecny tu kapitan Derrhert, już od wielu lat pozostający w służbie Trybunału – podjęła takim tonem, jakby nikt jej nigdy nie przerwał – bardzo szybko przewidział korzyści, jakie mogą wyniknąć z utrzymania przy życiu tak znanego na tych morzach jeńca. Już na pokładzie swojego okrętu pozwolił się „przekupić”. Kapitan Kitar nie wie, że jest w rękach Trybunału. Uważa, że płaci okup chciwemu, prawdopodobnie sprzyjającemu sprawie niepodległej Garry dowódcy cesarskiego żaglowca, który upozorował egzekucję, a teraz może umożliwić mu ucieczkę. Twoja kolej, panie – zakończyła krótko, spoglądając na drugiego z siedzących obok mężczyzn, nie tego, z którym wcześniej miała sprzeczkę.

Wezwany odchrząknął. Rozłożył przed sobą jakieś gęsto zapisane karty. Mówiąc, raz i drugi powiódł palcem po rzędkach liter, odczytując imię albo nazwę, choć nie musiał, był bowiem rzeczoznawcą Trybunału do spraw

morskich i z pewnością przytoczyłyby te imiona i nazwy nawet obudzony w środku nocy. Zapisane stronice przed nosem dodawały mu pewności siebie. Nie był równie zwięzły, jak jego przedmówczyni.

– Co to są Agary, chyba wszyscy wiedzą, każdy słyszał nazwę tego archipelagu. Świat ludzi morza jest wielki i mały zarazem, tak, doprawdy. Kapitan Kitar, dużo kiedyś się o tym mówiło, otóż kapitan Kitar był narzeczonym, a może kochankiem dowódczyni pewnego pirackiego żaglowca. Ma ona wiele przydomków, ale najczęściej wymieniane są dwa: Ślepa Foka Ridi lub Piękna Ridareta.

Urzędnik, który wcześniej domagał się tortur dla Kitara, oraz milczące dotąd urzędniczki poruszyli się i wymienili spojrzenia. Te przydomki w Morskiej Prowincji znał każdy.

– Piękna Ridareta nie żyje od kilku lat – powiedziała starsza z kobiet, bardzo skromnie ubrana, nawet jak na gusta armektańskie.

Jej dostojność Keletta była Pierwszą Strażniczką Archiwów i jedyną w tym gronie osobą nienoszącą przed imieniem żadnego inicjału na pamiątkę po znamienitym przodku. Zabawne: tytułowana „dostojnością” wysoka urzędniczka cesarstwa nie miała prawa do grzecznościowego tytułu „jej godności”.

Córka straganiarki i nieznanego mężczyzny. Wolna, więc Czystej Krwi, niemniej tylko: pani.

W Morskiej Prowincji urodzenie i tytuły miały jeszcze większe znaczenie niż w Dartanie. Co prawda Armektańczycy przestrzegali tych wydumanych form raczej dla świętego spokoju. W tym kraju cuchnęło

niemal wszystko. Dodatkowy ferment z tak błahego powodu jak nazwiska, tytuły i monogramy rodowe nikomu nie był potrzebny.

– Rzekomo. Nie żyje, tak, doprawdy. Lecz ponad wszelką wątpliwość wiemy, że ta kobieta miała, a może i ma nadal, kto wie, otóż miała jakieś tajemnicze zdolności, rzekomo wiążące się z Szernią. Jej śmierć jest, yy, niepotwierdzona. Tak, dopra...

– To legendy!

W głosie oponenta dało się usłyszeć rozdrażnienie i niedowierzanie.

– Nie, panie. Kilka lat temu była zamieszana w pewne zdarzenia, doprawdy, nie pora teraz na to... Otóż bardzo ważna osoba zaświadcza, że związki księżniczki Ridarety z Szernią potwierdzili Przyjęci. Nie mogę nic więcej, doprawdy...

Wyglądało to coraz gorzej. Mgliście.

I naprawdę niewiarygodnie. Przyjęci w Morskiej Prowincji?... Czy widziano kiedykolwiek więcej niż jednego naraz? I z kim aż tak ważnym mieli tu rozmawiać?

– Mów dalej, panie – powiedziała Druga Przedstawicielka.

– Chodzą słuchy, że księżniczkę Ridaretę widziano na Agarach. Bądź jej córkę, tak, doprawdy, ale nic o jej córce dotąd nie było wiadomo... Tak. Rozpuściliśmy pogłoski o pojmaniu kapitana Kitara. Że żyje i jest gdzieś trzymany. Wszyscy nasi tajni urzędnicy, mający do czynienia z piratami, otrzymali instrukcje, co robić, gdyby ktoś kapitana poszukiwał. Gdyby ktoś sprawdzał te plotki, tak. Kilka tygodni temu coś się zaczęło dziać –

wytłumaczył i znaczącym gestem ukazał setników po drugiej stronie stołu, uzyskując ich milczące potwierdzenie.

– Ale... po co to wszystko?

Jej dostojność Doria przymknęła na chwilę oczy, próbując powściągnąć zniecierpliwienie.

– Takich sieci zarzucamy wiele – powiedziała. – Nie powinnam tutaj tego tłumaczyć.

– A jednak zechciej, Dorio – powiedziała jej dostojność Keletta. – Na pewno pierwszy zatrzymany na korytarzu gończy urzędnik wie o tych sprawach więcej ode mnie. Jestem władczynią zakurzonych dokumentów, oglądającą światło dzienne rzadziej niż nietoperz.

– Zarzucamy wiele sieci na wszelki wypadek. Tak, czasem na podstawie plotek i pogłosek. Dlaczego? Bo to prawie nic nie kosztuje, wystarczy przekazać polecenia, by zwracano na coś uwagę. Bardzo rzadko coś w te sieci wpada, ale czasem wpada i korzyści bywają ogromne.

– Jakie korzyści mogą wynikać z takiej intrygi? Związanej z Agarami.

Najwyższy Sędzia, ku któremu zwróciły się spojrzenia, skinął głową.

– Jeszcze jakiś czas temu zgodziłbym się, że wątpliwe. Polecono, byśmy się zajęli Agarami – rzekł najkrócej jak można. – My: Trzecia Prowincja. Z rozkazu Księcia Przedstawiciela, a to znaczy, że zażądał tego Kirlan.

Wszyscy poza Dorią milczeli z niedowierzaniem bądź zaskoczeni wymieniali spojrzenia. Tylko wojskowi pozostali niewzruszeni. Rzadko się zdarzało, by żołnierz wiedział więcej niż urzędnik Trybunału. Ale teraz tak właśnie było. Straż Morska Garry i Wysp już rozpoczęła

wstępne przygotowania, oczywiście pod rygorem wojskowej tajemnicy.

– Agary to duży i rosnący problem. Teraz ty, panie – rzekła Doria, spoglądając na setnika Mawewa. – Na czym polega kłopot z tymi wyspami, słuchamy.

– Są siedliskiem piratów, a oprócz tego mają własną flotę, niedużą, ale chyba bardzo silną.

– Chyba?

– To nowe okręty. Przybywa ich, bo budowane są kolejne. Jest sześć nowych karak i kilka starszych holców. Karaki są duże, ale nie największe w Szererze, nasza... mm... armektańska Wielka Flota ma większe – uściślił, żeby stało się jasne, iż mówiąc „nasza”, nie myśli o flocie Morskiej Prowincji. – Mówi się jednak o świetnej dzielności morskiej i silniejszym niż zwykle uzbrojeniu tych okrętów.

– Dzielność morska?... – zapytała najmłodsza z urzędniczek, odzywając się po raz pierwszy.

– To... zalety, cechy żaglowca, wasza dostojność. Stateczność kursowa, sterowność w złych warunkach... Sucha żegluga przy stromej fali, ale to prawie zawsze, niestety, kosztem statecz...

– Mają bardzo dobre żaglowce – ucięła Druga Przedstawicielka. – Dalej, panie.

– Wiadomo, że Agary wykorzystują ręczną broń ognistą, być może jest obecna na pokładach okrętów. Warto też wspomnieć o bardzo silnie umocnionym porcie, szczególnie o potężnych działach ustawionych w basztach nowego typu, nazywanych tam bastejami. To właściwie platformy dla dział. Nigdzie w Szererze nie ma niczego podobnego. Wieczny pokój w granicach

Wiecznego Cesarstwa przyczynił się do upadku sztuki fortyfikacyjnej. Oblężniczej także, niestety. Jedno wiąże się z drugim.

Słuchano uważnie. Urzędnicy Trybunału naprawdę rzadko mieli pojęcie o sprawach związanych z wojskiem.

– Czym różni się działo ustawione w takiej baszcie od działa na pokładzie okrętu?

– Wszystkim, wasza dostojność. Wagomiarem... mm, rozmiarami, a więc siłą. Zasięgiem i celnością, bo nie kołysze się na wodzie wraz z żaglowcem. Ustawione na wysokości pięćdziesięciu łokci zawsze sięgnie dalej niż jego odpowiednik umieszczony na poziomie morza. No i trudniej takie działa zniszczyć, bo osłaniają je kamienne blanki twierdzy, nie deski.

– Był plan pozyskania pirackich okrętów do służby kaperskiej. Tak jak przed laty, podczas poprzedniej rebelii. Wspominała o tym jej dostojność.

– Zarzucono ten pomysł. Zbyt kosztowny i nierokujący korzyści, dziś warunki są inne niż wtedy. Poza tym nie mówimy o okrętach pirackich. Regularna flota Agarów podlega władcom tych wysp, a właściwie jednej wyspy, bo Mała Agara się nie liczy, to tylko dodatek do Wielkiej. Zawsze podzieli jej los.

– Co nas ta flota obchodzi? Nie można jej pozyskać, jak rozumiem.

– Raczej nie. A dokładnie: my nie możemy jej pozyskać. Obawiamy się, że pozyska ją Dartan. Wiemy o kontaktach samozwańców władających Agarami z dartańską monarchią.

Przy stole po raz kolejny wszczęło się krótkie poruszenie. Część obecnych sądziła dotąd, że chodzi

o przewidywany wybuch rebelii. Tutaj, w Morskiej Prowincji.

– Dartan?

– Prędzej czy później dojdzie do tej wojny. Przy czym raczej prędzej niż później. Być może wybuchnie razem z powstaniem tutaj.

Zaprotestował sam Najwyższy Sędzia, mówiąc:

– Nic tego nie potwierdza.

W Mawewie odezwał się żołnierz:

– Trybunał owszem, nic o tym nie wie. Ale wojsko zna reguły prowadzenia wojen. Nie trzeba żadnych szpiegów, by mieć pewność, że wodzowie dartańscy rozważają uderzenie na Armekt właśnie wtedy, gdy zostanie uwikłany w wojnę o Morską Prowincję.

Setnik Derrhert chciał coś dodać, ale się powstrzymał.

Odnosił czasem wrażenie, że urzędnicy Trybunału są ograniczeni. Oglądali wycinki rzeczywistości. Te, które mieli przed nosami.

Kirlan donosił o kłopotach na Północnej Granicy. Działo się tam coś dziwnego, być może szykowała się wojna taka jak przed trzydziestu kilku laty. To dlatego garyjscy rebelianci znów przycichli. Czekali. Czekał także Dartan.

Przygotowania do buntu już od kilku lat czyniono niemal jawnie. Może nawet wyzywająco. W tej części świata imperialne rządy wyglądały tak kiepsko, że nie było mowy o jakichkolwiek działaniach wyprzedzających. Czas był sprzymierzeńcem Garyjczyków – i tak samo Dartańczyków. Pół Szereru czekało, aż Wieczne Cesarstwo samo się rozpadnie albo będzie tak bliskie upadku, że wystarczy go tylko

przyspieszyć.

Te rachuby na szczęście mogły zawieść. Imperium rzeczywiście chyliło się ku upadkowi – ale Armekt już nie. Pozbierał się po przegranej wojnie z Dartanem i był prawie gotów do nowej.

Lecz nie do kilku wojen na wszystkich granicach jednocześnie.

Czy Najwyższy Sędzia Trybunału nie dostrzegał związku między nowymi kłopotami Armektu na północy a powściągliwością garyjskich rebeliantów? Przecież to garyjski Trybunał słał do Kirlanu raporty, z których wynikało, że powstania w tym roku nie będzie. To zaś z kolei oznaczało, że można wykorzystać floty garyjskie do obezwładnienia albo chociaż znaczącego osłabienia Agarów.

W Kirlanie dostrzeżono tę możliwość. Uznano, że skoro nic się w Morskiej Prowincji nie wydarzy, to warto wybiec myślami w przyszłość i rozwiązać problem, na który później nie wystarczy sił ani czasu. Może to była jedyna okazja. I zarazem ostatnia.

– Wydaje mi się jednak – powiedziała urzędniczka siedząca przy Strażniczce Archiwów – że my tutaj powinniśmy się zajmować sprawami naszej prowincji, nie innymi.

– Sprawami Wiecznego Cesarstwa – sprostował sucho Najwyższy Sędzia. – Już wyjaśniłem, czego oczekuje Książę Przedstawiciel, czyli Kirlan. Jeśli ktoś przy tym stole uważa, że Garra i Wyspy mogą być traktowane w oderwaniu od reszty imperium, to nie wiem, co tutaj robi.

Zaległo krótkie milczenie.

– Jeśli nawet Agary mogą wesprzeć naszych wrogów, to mówimy o sześciu okrętach. Jakie znaczenie może mieć sześć okrętów? – zapytano.

– Ze starszymi holkami dziesięć – odrzekł setnik Mawew. – To są dzisiaj, być może, najgroźniejsze okręty w Szererze. Obsadzone przez dobrze uzbrojonych, wyszkolonych i niezdemoralizowanych żołnierzy, obsługiwane przez Wyspiarzy, ludzi zżytych z morzem od dziecka. Liczebnie to odpowiednik flotylli straży morskiej, ale gdy chodzi o ich prawdziwą wartość w morskim boju...

Zawiesił na chwilę głos.

– Wszyscy tu wiedzą, niestety, jaką wartość bojową ma Flota Główna Garry i Wysp, a wartość Floty Rezerwowej jest podobna – powiedział bez ogródek. – Szacujemy, że agarska flotylla to odpowiednik co najmniej dziesięciu naszych eskadr. Czyli trzydziestu okrętów – dokończył.

Nie uwierzono.

– Ależ w jaki sposób...?

– Nie zgromadzimy na zawołanie trzydziestu okrętów przeciwko tamtym dziesięciu, chyba że się zgodzą przypłynąć tam, gdzie im każemy – wytłumaczył spokojnie, lecz i trochę sarkastycznie setnik. – Wynik takiego boju byłby oczywiście przesądzony, żaden okręt nie obroni się przed trzema. Lecz w kolejno rozstrzyganych mniejszych bitwach, jeśli stosunek sił będzie mniej więcej równy, tak szacujemy proporcje strat. Jeden agarski okręt za trzy nasze.

– Nie jesteśmy żołnierzami, panie. Działania flot... Zechciej powiedzieć coś więcej. Dlaczego te okręty z Agarów...?

Zamiast Mawewa odezwał się Derrhert:

– Prawie zawsze uchyla się od walki, jeśli cokolwiek będzie nie po ich myśli. Prawie zawsze zmuszą nas do walki, jeśli im się opłaci.

– Ale w wojnie z Dartanem wezmą przecież udział okręty Wielkiej Floty. Z Trzech Portów.

– Oby. Agary zrównoważą dwie flotylle Trzech Portów.

– Przecież to morski odwód imperialny, pod okiem samej cesarzowej. I jest jeszcze Gwardia Morska na największych okrętach świata.

Nadsetnik Mawew nieznacznie przygryzł wargę. Jako żołnierz czuł się bardzo niezręcznie, tłumacząc urzędnikom, że...

– To armektańskie okręty. – Lekko zaakcentował „armektańskie”. – Niedoświadczone załogi i żeglarze wywodzący się z narodu jeźdźców. Synowie Ri Silloru, nie Bezmiarów.

Nie dość, że był Armektańczykiem i żołnierzem, to jeszcze służącym we flocie. Nie chciał i nie bardzo umiał powiedzieć wprost, a właściwie tylko przypomnieć, że Armekt nigdy nie służył z doskonałych i świetnie dowodzonych sił morskich. Przed półtora wiekiem Garrę podbito po najkrwawszej wojnie w dziejach, płacąc kilkoma żaglowcami za każdy zniszczony lub zdobyty okręt wroga.

– Wydaje mi się – rzekł kłótlivy mężczyzna, karcony wcześniej przez Dorię – że przynajmniej tutaj, w Morskiej Prowincji, mamy równie dobrych żeglarzy. Nie gorszych niż ci z Agarów. Podobno nasze okręty obsadzone są najczęściej przez Wyspiarzy?

– Tak. Ale ci Wyspiarze mają za plecami niezbyt

pewnych żołnierzy, wasza dostojność. Niestety. Czy z dużym zapalem ścigałbyś nieprzyjaciela, mając przykrą świadomość, że piechota na pokładzie twojego żaglowca gotowa jest od razu się poddać, albo nawet przejść na stronę wroga dla uratowania skóry?

– Nie sądziłem, że aż tak źle to wygląda.

– Nie na wszystkich okrętach. Na niektórych.

– Ale w Armieckie, w Wielkiej Flocie służą przecież najlepsi żołnierze świata.

– Tak, tam jest akurat odwrotnie: doborowi żołnierze i dobrzy, ale nie świetni marynarze. Nieznający w ogóle tych wód i tutejszych, południowych warunków. Mówię o warunkach żeglarskich. Bezmiar Bliski, a co dopiero morza Garyjskie i Zwarte to nie jest Morze Eniwetty.

Po krótkiej chwili ciszy odezwała się jej dostojność Doria:

– Wystarczy tych strategicznych rozważań. Wojsko zrobi swoje, a my musimy pomóc. Wracam do początku rozmowy. Obezwładnienie Agarów jest warte zarzucenia wielu, a nawet bardzo wielu niepotrzebnych sieci. I zarzuciliśmy je. Jeśli chociaż jedna z tych pułapek zadziała, to korzyści mogą być znaczne.

Skinęła głową i dodała:

– W jednej z sieci coś się pojawiło. To płotki, ale może spełnią rolę przynęty dla dużo większej ryby. Szansa jest bardzo niewielka, lecz istnieje. W niczym nie zaszkodzimy poczynaniom wojska, a może zdołamy pomóc. Uważam, że warto podjąć grę, w której szansa wygranej jest znikoma, ale przegranej żadna. Omówmy teraz szczegóły.

ROZDZIAŁ 10



Przysłany z portu goniec przekazał dziwną wieść.

Zaskoczony Raladan postąpił tak, jak miał we zwyczaju: zastanowił się krótko, po czym wstał i wyszedł z domu, żeby załatwić sprawę. Na korytarzu i schodach nie spotkał żadnej perełki, więc zatrzymał się na chwilę przed wejściem. Wartownicy oddali mu honory. Zwrócił się do jednego z nich:

– Zejdź z posterunku i znajdź Lasenę. Powiedz jej, żeby szukać mnie w porcie. Gdyby coś.

– Tak, panie.

Raladan poszedł ulicą. Ominął targ, skręcił w inną ulicę – ta już wiodła prosto ku nabrzeżom. Właściwie raczej droga niż ulica. Była specjalnie zbudowanym skrótem; prawie nikt tu nie mieszkał. Omijając gęstą zabudowę Aheli, jeździły nią wozy, zmierzające z portu i do portu. Spotkał tu niewielu ludzi, więc nie musiał bez przerwy kiwać głową w odpowiedzi na pozdrowienia.

Domyślił się, gdzie może cumować „Pociecha”, i rzeczywiście już z daleka rozpoznał jej zgrabny kadłub.

Mógł od ręki pożyczyć ten okręcik Cichemu, bo dopiero co wymieniono na nim osprzęt. Na czas robót załoga była zbędna i zabrał tych majtków Ahagaden. A osprzęt wymieniono znacznie szybciej, niż przewidywano. Brakowało jeszcze nowych żagli, to jednak mogło

począć, więc Cichy popłynął pod starymi płótnami. Nie narzekał.

Trzymający wachtę na pokładzie majtek z kokardą Ridi wytrzeszczył oczy na widok nadchodzącego, którego świetnie znał, i od razu się kopnął do kajuty na rufie. Nie oczekiwano, że Raladan zjawi się we własnej osobie, a na dodatek tak szybko.

Z kajuty wyłonił się, poprzedzany przez wachtowego, trzydziestoletni jasnobrody mężczyzna. Wkraczający na pokład Raladan był zupełnie pewien, że nigdy dotąd nie widział jego twarzy. Jednakże człowiek ten najwyraźniej został uprzedzony, kogo mu przyjdzie powitać, bo okazał szacunek trochę niezgrabnym ukłonem i zaraz się przedstawił. Wymienił pospolite garyjskie imię, od razu dodając wyjaśniająco:

– Pilot i chwilowy kapitan „Pociechy”. Mogę od razu zdać komendę, bo zapłatę dostałem z góry.

Zapytany, opowiedział krótko. Wynajęli go w Dranie ci tutaj prości marynarze, potrafiący obsługiwać żaglowiec, ale niezdolni do wytyczenia kursu dokądkolwiek. Dość składowanie wytłumaczyli, że kapitan „Pociechy” i jego zastępca zaginęli w mieście i już na pewno nie wrócą. Brzmiało to tajemniczo, ale i wiarygodnie – nie takie rzeczy działy się w Dranie. Mocno się wahał, bo to w pierwszej chwili wyglądało na jakieś dziwaczne przedsięwzięcie pirackie, może nawet próbę uprowadzenia statku pod nieobecność oficerów. Potem jednak dotarło do niego, że zbuntowani żeglarze nie łaziliby bezradnie po knajpach, podpytując o pilotów, a potem nie czekaliby dwa dni, aż taki się zdecyduje. Dostałby w łeb po wyjściu z tawerny, w pierwszym

z brzegu zaułku, i obudził się na pokładzie „Pociechy” z nożem przytkniętym do gardła – tak to by wyglądało. Potem wykreślały kursy na wyścigi.

Potrzebował trochę srebra, więc się zgodził.

Kończył opowiadać w kajucie, bo od razu tam ruszyli, żeby nie sterczeć na pokładzie, gdzie już się zbierali majtkowie. Ledwie kilku.

Raladan wysłuchał opowieści, zapytał spojrzeniem marynarza (chyba najstarszego na pokładzie), który chwilę wcześniej odesłał wachtowego i teraz im towarzyszył. Uzyskawszy milczące potwierdzenie, skinął głową. Nie żył na świecie od wczoraj.

– Zwiałyś stamtąd nawet za darmo i na tratwie, hm? Co przeskrobałeś w Dranie? – zapytał jasnobrodego. – Krótko i po ludzku. Jesteśmy na Agarach, nie wydam cię Trybunałowi. A dobry szyper zaraz znajdzie tu robotę.

Mężczyzna spoglądał przez chwilę, po czym uśmiechnął się krzywo.

– Nie chcesz, nie mów – powiedział Raladan. – Pooglądaj miasto, a jak już przepuścisz srebro, zajrzyj do kapitanatu. Tam ci powiedzą, na jakim pokładzie możesz uczciwie zarobić na życie. Nieuczciwie zarabiać nie próbuj – ostrzegł – bo tu jest Ahela, nie Dran, i ani się obejrzysz, jak dostaniesz stałą robotę w kopalni, niestety w ogóle niepłatną... – Zawiesił znacząco głos. – Na twoim miejscu wołałbym poszyprować.

Jasnobrody uśmiechnął się ponownie, tak samo krzywo jak wcześniej. Ale chyba zrozumiał co trzeba.

– Zapłatę, słyszę, dostałeś – rzekł jeszcze Raladan i pokazał drzwi.

Szyper poszedł.

Raladan i stary majtek zostali sami. Znali się od zawsze, choć agarski książę nie pamiętał (przeważnie w ogóle nie znał) imienia każdego z chłopców Ridi.

Goniec, który najpierw przybiegł z portu, doniósł tylko tyle, że wróciła „Pociecha”, niedowodzona i ze szkieletową załogą. Marynarze-banici, bojący się postawić choć stopę na nabrzeżu, prosili, by powiadomić o tym księcia.

No i książę Raladan przybył.

– No to teraz ty. Opowiadaj – polecił.

Wkrótce wiedział tyle, ile majtek.

– Chłopacy przy łódce już się nie doczekali Cichego i tych, co z nim poszli – kończył marynarz, ocierając siąpiący nos kokardą Ridi. – Przytelepali się jakoś z powrotem, w dwóch. Wyszło, że najstarszy i będę kapitanował. – Wyszczrzył na chwilę uśmiech bez trzech dolnych zębów. – Poczekalim jeszcze parę dni, ale... Co było robić? No, zostawił że m w tej knajpie, tej Starej Wierzbie, jeszcze paru, żeby dowódca i Sayl, jakby jednak wrócili... Nie wiem – powiedział bezradnie. – Wyszło mi, że z tą resztą, która została na pokładzie, popłyniemy tutaj, po pomoc. No bo gdzie i do kogo? Dobrze cacko ożaglowane, przy rejowych byśmy nie poradzili. – Zrobił ręką szeroki ruch, jakby ogarniał całą karawelę. – Albo byśmy się wszyscy posrali.

– Ale się nie posraliście.

– Tylko trochę. Łajba maciupeńka, to na rumpel wystarczył jeden, a reszta do wachty pokładowej. Na okrągło.

Marynarz zarechotał, zakasłał, utarł nos o chustkę na nadgarstku i w ten sposób zakończył raport.

Raladan przeszedł się po kajucie, porozmyślał.

– Na razie nie schodźcie z pokładu. Jak uznam, że pora, to dostaniecie łódź i wrócicie na swoją „Ridi”. A na razie macie siedzieć tutaj. I nie schodzić na ląd, bo co za dużo...

– Tak, panie. Znaczy: nie, nie zejdziemy.

– Pamiętaj.

– Ale, Raladan... znaczy wysokość... Nie widzielim nigdzie...

– „Ślepej Ridi”? Bo zabrałem ją z redy i schowałem. Przyjdzie czas, to się dowiesz, gdzie jest.

Chłopisko nie musiało na razie wiedzieć, że jego kapitana wróciła. I że schował „Ślepą Ridi” w niedalekiej zatoczce właśnie z jej powodu. Nie chciał, by od razu zobaczyła swój ukochany holk. Gotowa była z miejsca wsiąść i popłynąć. Łatwo mogła wpaść na taki pomysł.

Stary żeglarz zmarszczył się nieufnie, ale w następnej chwili rozpogodził gębę, bo tylko na moment zapomniał, z kim rozmawia. Jedno o Raladanie wiedzieli wszyscy: że jak coś mówi – to mówi. I jest właśnie tak, jak mówi, nie inaczej.

– Tak, panie. Powiem chłopakom. Coby się nie zamartwiali.

Raladan ruszył ku drzwiom. Ale jeszcze przystanął.

– Skąd mieliście srebro? Na wynajęcie tego szypra.

– Cichy, zanim zeszedł na ląd, zostawił mi. Że jakby co.

– Ilu zostawiłeś w tej knajpie w Dranie?

– Trzech. Też mają trochę grosza, z głodu nie pomrą. Nie tak zaraz.

Raladan pokiwał głową niczym wspomniany Cichy i poszedł.

Ridareta miała dobrych oficerów. Takich z głowami na

karkach.

Tym bardziej niepokojąco brzmiała opowiedziana przez starego majtka historia. Musieli paskudnie w coś wdepnąć. Najpierw Sayl, a potem jego dowódca.

Sayl naprawdę miał rozum, a co więcej: potrafił go używać. Natomiast z Mevevem Cichym nikt nie chciałby mieć do czynienia. Ten kiwający głową ponurak był narwańcem jakich mało, a może i pomyleńcem, choć na co dzień udawał, że nie jest. Nikt zdrowy na rozumie nie wysadziłby jednak w Londzie, tak po prostu, setki marynarzy, żeby nie oglądając się na nic, puścili z dymem pół miasta. A wcześniej „Zgniły Trup” maszerował tym najparszywszym kanałem portowym tak, jakby to była szeroka na pięć mil cieśnina. Raladan mimo woli uśmiechnął się krzywo, bo przede wszystkim był żeglarzem i potrafił docenić żeglarski wyczyn.

Jeżeli dwóch takich poszło gdzieś i po kolei wsiąkło, to coś tu naprawdę cuchnęło.

Wracając z portu do swojej rezydencji, agarski książę już nawet spojrzeniem nie odpowiadał na pozdrowienia przechodniów. Zbyt głęboko był zamyślony.

Żeglarska bujda o niepowieszonym Kitarze coraz bardziej zaczynała trzymać się kupy. Dziwnym trafem przepadli ludzie, którzy chcieli przy tym grzebać. Przypadek? Na pewno nie.

Zdecydował, że Ridareta nie powinna się dowiedzieć. Przynajmniej na razie.

Wybierała się do Dartanu. On też.

Lecz teraz nagle wszystko się skomplikowało.

Nie chciał zostawić tych dwóch w Dranie własnemu losowi. Jak to powiedział Sayl, gdy rozmawiali ostatnio?...

„Ona ma ciebie i nas, i nikogo więcej”. Wydawało się to, niestety, bliskie prawdy. Dwaj zastępcy Ślepej Foki Ridi byli ludźmi, z którymi spędzała najwięcej czasu. Zнали jej tajemnice, dzielili los na pokładzie żaglowca. A teraz na dodatek popłynęli szukać wieści o człowieku, na którym jej zależało. Niepotrzebnie pozwolił na tę awanturę i jeszcze pożyczył okręt. Ale w gruncie rzeczy doskonale wiedział, że chłopcy Ridi i tak zrobiliby swoje. Co im mógł nakazać albo czego zakazać? Najwyżej pobytu w Aheli.

Miał dwa wyjścia: albo musiał jej o wszystkim powiedzieć – albo samemu wziąć się do rzeczy.

Tylko że nie mógł. Czas nie zamierzał zwalniać. Wiosna trwała w najlepsze, późnym latem miało wybuchnąć powstanie. Musiał zdążyć do Rollayny i z powrotem. Te sprawy nie mogły czekać. Dla ratowania paru awanturników nie mógł machnąć ręką na przyszłość swoich wysp.

Sayl i Mevev na pewno już gadali z rybami, chociaż na lądzie to raczej gryźli ziemię. Nawet jeśli ktoś z jakichś powodów trzymał żywego Kitara, to raczej nie myślał o zapewnieniu mu towarzystwa. Jakie były szanse, że cała trójka żyje? A jakie widoki na ich odszukanie i uwolnienie?

Raladan sam do siebie zgrzytnął zębami i aż się obejrzał, czy cała ulica nie słyszy.

W miarę zbliżania się do pałacu szedł coraz wolniej. Zwalniał, nawet o tym nie wiedząc. Potrzebował jeszcze paru chwil, by poukładać myśli. Musiał się zobaczyć z Ridaretą i wcale nie było mu spieszno.

Przecież miała rację, gdy w pierwszej rozmowie zapytała, czy potrzebny mu kłopot.

Zawsze była kłopotem. I widocznie musiało tak zostać. Cokolwiek się o nią otarło, od razu zaczynało strasznie cuchnąć. Przed laty cesarscy wojacy opaskudzili ją brzydkim, naprawdę brzydkim przezwiskiem. Choć wstrętne i obelżywe, to – musiał przyznać – jednak pasowało.

Co było nie tak z tą dziewczyną?

Uznał, że nic jej nie powie. Razem popłyną do Dartanu, tak jak zamierzali. Potem on załatwi swoje sprawy w Rollaynie, a ona w niedalekim En Anelu.

Próbując rządzić Agarami, stale naśladował żonę, która zawsze wiedziała, co robi. Postąpił tak i tym razem: zadbał, by po mieście rozpuszczono plotki o córce księżniczki Ridarety; wystarczyło przypomnieć spowszedniałe bajki w tawernach i na targowisku. Ahela jeszcze nie była gotowa. Na powrót Ślepej Ridi w ogóle; na jej córkę też nie za bardzo. Liczył, że za jakiś czas to się zmieni. Dlatego wyprawa do Dartanu była zupełnie w sam raz.

Ale kogo, no kogo miał posłać na Garrę, skoro sam się tam nie wybierał? Boheda na „Delarze”? Przepadł Sayl, przepadł Cichy, to przepadnie i Bohed. Prawdę mówiąc, każdy mógł przepaść tak jak tamci.

Wyglądało na to, że Sayl i Mevev, o Kitarze nie wspominając, będą musieli poradzić sobie sami.



Część druga
Sieci i ryby



Kesa wróciła.

Leżąc na kamiennej posadzce przy stole w dużej sali, Ridareta patrzyła na Przyjętą, która pojawiła się dwa kroki od niej i upadła. Sprawiała wrażenie bliskiej śmierci. Zdołała wrócić, ale to już było naprawdę wszystko. Wyczerpana walką z Moldornem, zdobyła się na ostatni wysiłek.

Przeciwnik mógł wrócić i zabić je gołymi rękami. Zamęczyć na śmierć albo udusić. Były zupełnie bezbronne. Kesa mogłaby może odeprzeć dwa lub trzy niewyszukane ataki, ale nie więcej. Natomiast na pewno nie mogła odbyć jeszcze jednej podróży. Po co zresztą? Już wiedziała, że zdoła zabrać ze sobą człowieka, lecz nie Porzucony Przedmiot. A jednak wróciła, by podzielić los okaleczonej nieszczęśnicy.

„Miałam kiedyś dziecko” – powiedziała cicho Przyjęta. „Haniebnie zaniedbana Perła, oddana później za długi... Nie wiem, do której hodowli je sprzedano, i nigdy się nie dowiem. Dzieci niewolnic to tylko przedmioty. Dziecko Perły hodowla chętnie kupi. Kocham Gotaha i bardzo

chcieliśmy mieć dzieci, ale się nie odważyliśmy. Dziecko dwojga Przyjętych? O nie. Szerń jest zazdrosna” – powiedziała gorzko. „Twoje małe Rubiny, Ridareto, to nic w porównaniu z tym, co ja i mój mąż moglibyśmy powołać na świat”.

„Wychowuj ją” – odpowiedziała niewyraźnie, ale bardzo spokojnie. „Niech ma na imię Alida. Dobsze?”

Wzruszona Kesa skinęła głową.

„Popatsz na mnie... Popatsz”.

Przyjęta spojrzała. I znowu zachciało jej się płakać, choć powinna już przywyknąć do okropieństw. Patrzyła na koszmarny strzęp człowieka; strzęp, którego już nawet Rubin nie mógł odbudować.

„Kogo mam unieszczęśliwić? Mam taka jusz sostać? Nie chcę. Keso, pomóż mi. Jeśli ma srobić to Moldorn... Ja bym chciała... jak człowiek. Nawet jezeli jusz nim nie jestem”.

„Jesteś”.

Ridareta mówiła powoli, próbując wydobyć z okaleczonych, bezzębnych ust zrozumiałe dźwięki.

„Bardzo chciałam snaleść broń... Mówił, sze snajdę. Szukałam i nie znalazłam, ale bardzo duszo się dowiedziałam. Ja dzisiaj jusz... mogłabym inaczej. Ja bym chyba musiała dalej sabijać, walczyć. Ale jusz chyba umiałabym... wybierać. Nawet walczyć moszna w dobrej sprawie. Takiej, której byś nie potępiła. Prawda?”

„Tak”.

„Gdybyś mogła... poswoliłabyś mi?”

„Tak. Bo od tego, co już zrobiliśmy, ważniejsze jest to, co jeszcze zrobimy”.

Ridareta milczała.

„To posłuchaj” – powiedziała wreszcie.

I Kesa poznała tajemnicę.

Nie od razu była w stanie pojąć, co jej opowiedziano.

Drugie dziecko. Ale temu już nie udzieliła swojego prawdziwego życia. To dziecko było tylko Rubinem.

„On tu wróci, tak? To teras... pomóż mi. Jeśli będziesz sama, to może on cię nie sabije. Walczył z tobą dlatego, że mnie broniłaś. Ja wiem. A może nie wróci?...”

Przyjęta nie chciała i nie mogła powiedzieć, że Moldorn na pewno wróci. I zabije ją choćby dlatego, że... nie będzie wiedział, kto przed nim stoi. Kesa czy Ridareta. Skoro raz zamieniły się ciałami, mogły to uczynić ponownie, miał prawo tak właśnie uważać. I najmniejsze wahanie mógł przypłacić życiem, o czym niedawno się przekonał.

„Nie wiem, czy potrafię. Nie umiem zabić”.

„Umiesz. Pszczesz to tylko... Ja nie jestem naprawdę szywa”.

„Jesteś tak samo jak wszyscy. A co to jest życie? To tylko taka siła, która coś uruchamia”.

„Wytłumacz mi. Kiedyś umarłam, jusz nie byłam szywa. Weszła we mnie moc Rubinu. Riolaty”.

„To nie ma znaczenia. Jesteś prawdziwym człowiekiem”.

„Więc mnie sabij, bo jusz nie chcę być. Nie takim. Wiesz, sze wróć”.

„Nie wiem. Mogę tylko w to wierzyć. Twoje dziecko...”

„To będę ja. Mówiłam, sze lepiej posnałam Riolatę i sdąszyłam ją smusić, sanim urodziłam... Sa cztery lata to dziecko będzie mną. Ale musisz je stąd uratować. Sabijesz tylko ciało, które... Jusz niepotszebne. Mam drugie... tylko

jeszcze... nie teras”.

Coraz głośniej rozbrzmiewały przyspieszone oddechy dwóch kobiet.

„Schowam się. Niech Raladan... niech nikt nie sobaczy tego, czym teras jestem. Obiecuj, że nikomu nie pozwolisz oglądać mnie takiej. Proszę cię”.

„Nie pozwolę. Ale ty mi obiecuj, że...”

„Wróć. Obiecuję”.

Kesa chciała uwierzyć, choć wiara to było coś, czego uczeni Szerni wystrzegali się jak ognia. Wiara nie miała wartości; dało się wierzyć w cokolwiek.

A jednak uwierzyła, bo ta wiara nie była zawieszona w próżni. Podstawę do niej zapewniała wiedza. Niekompletna i niepełna, ale jednak będąca wiedzą.

Pod ścianą stała wielka skrzynia, częściowo zbutwiała od wilgoci. Kiedyś trzymano w niej chyba różne narzędzia potrzebne... katu. Nieodzowne w tej sali przyrzady. Przerazający sarkofag, do którego z własnej woli próbowała się teraz dostać prosząca o śmierć dziewczyna.

Przyjęta patrzyła na odwróconą głowę nieszczęśliwego dzieciaka, którym kiedyś obiecała się zaopiekować. I nie dotrzymała słowa.

Ridareta oddychała z coraz większym trudem.

„Keso, proszę... Pszeciesz... ja się boję”.

Rozpłakała się po raz ostatni.

Siedząca na posadzce Przyjęta zakryła uszy dłońmi i krzyknęła. Była w tym krótkim krzyku cała nienawiść, jaką miała w tej chwili dla przeklętego świata.

ROZDZIAŁ 11



Stojący w odległości kilku mil od obwodowego miasta En Anelu niezbyt duży biały dom, raczej nowy niż stary, trochę armektański, a trochę dartański, otoczony był ogrodem, w którym buszowały trzy duże psy. Ich imiona brzmiały: Pancierz, Wełna i Grombelard. Bawił się z nimi, rzucając patyk, łysiejący krótkobrody mężczyzna w nieokreślonym wieku, chociaż na pewno niemłody. Usta miał lekko skrzywione w ironicznym uśmiechu; było to trwałe, choć niedotkliwe kalectwo, któremu zawdzięczał swój przydomek Szalonego Gotaha.

Jedyne w całym Szererze małżeństwo Przyjętych żyło dostatnio, ale nie bogato. Mieli trzy niewolnice i zatrudniali młodego ogrodnika, który był też psiarczykiem, koniuchem, pastuchem, a zresztą w ogóle pachołkiem do wszystkiego. W stajni stały cztery konie, w tym jeden pełnokrwisty ogier dartański, wart tyle, ile pozostałe razem wzięte, do tego dochodził juczny muł. Na małej łączce pasły się dwie krowy i stadko rasowych kóz – niezwykle w tych stronach, długowłose czerwone labinki, hodowane przede wszystkim w południowym Armekcie, dawały wyjątkowo dużo mleka.

Przed dom wyszła niezbyt urodziwa, niewysoka, ale bardzo mocno zbudowana kobieta w prostym przyodziewku, przywodzącym na myśl strój podróżny –

długie buty, gruba spódnica, spięty wojskowym pasem kaftan. Tak nosiły się przyboczne niewolnice, przeznaczone do strzeżenia swoich pań i panów. Mogła mieć dwadzieścia trzy lata.

Nie wiadomo, ile miała naprawdę. Przez większą część życia nie umiała liczyć.

Przed pięcioma laty mędrzec Szerni Gotah-Przyjęty, powodowany dziwacznym kaprysem, kupił ją za grosze w upadającej hodowli. Miała na imię Sema i była zwykłą chłopską córką, którą ojciec z nędzy sprzedał w niewolę. Nic nie umiała i właściwie do niczego się nie nadawała.

Kiedys.

Nie zmarnowała tej największej szansy, jaką dostała w życiu.

Dawno temu jej pan powiedział, trochę żartem, a trochę serio: „Nauczysz się trzymać miecz i łuk, może kiedyś naprawdę mnie obronisz”. Minęło kilka lat i Sema świetnie jeździła konno, dobrze strzelała z łuku. Miecz czasem nosiła, lecz niechętnie, bo wolała lekki toporek, którym – bardzo silna jak na kobietę – znakomicie umiała się posłużyć. Przyboczna strażniczka Kesy, pochodząca z dobrej hodowli, wyszkoliła „nabytek” najlepiej jak potrafiła, teraz zaś była niezmiernie rada, mając już nie tyle uczennicę, ile towarzyszkę do ćwiczeń.

Rozejrzawszy się dokoła, niewolnica odnalazła spojrzeniem Gotaha bawiącego się z psami. W pogoni za patykiem Wełna wskoczyła do maleńkiej sadzawki, wylazła i otrząsając się z wody, urządziła swemu panu kąpiel. Rozzłościł się i zaczął złorzeczyć, choć przecież to on wrzucił patyk.

Przybiegł Pancierz i próbował ukraść mokrej Wełnie

zabawkę. Zziajany Grombelard leżał pod krzakami porzeczek.

– Wasza godność – powiedziała Sema, podchodząc.

– Tak, już idę – odrzekł Przyjęty. – Zatrzymały mnie obowiązki.

Sema zawsze była poważna, prawie nigdy się nie uśmiechała. Brak poczucia humoru stanowił jedną z jej największych wad.

Kiedyś miała kłopot z mówieniem, jąkała się i zacinała. Problem nie zniknął zupełnie, ale zmalał do nieistotnych rozmiarów: tylko czasem potknęła się na trudniejszym słówku. Najbardziej wtedy, gdy była czymś poruszona.

– Jej godność kazała nat-rzeć ci uszu, panie. I kazała powiedzieć, że kazała.

– Nie nacieraj, nie trzeba. Już idę.

Oboje posługiwali się kinenem; przy każdej okazji Przyjęty uczył swoją niewolnicę tej najprostszej odmiany armektańskiego.

Wciąż trochę zrzędząc pod nosem, bo Wełna naprawdę mocno go zmoczyła, Gotah podążył do domu. Wcześniej Kesa poprosiła, by „przyszedł w wolnej chwili”. Rozumiał więc, że to nic pilnego, i nie od razu zakończył przyjemną zabawę z psami.

Sema została przed domem. Ona też bardzo lubiła psy i chętnie odebrała przyniesiony przez Wełnę patyk. Mogła zastąpić Gotaha, nic lepszego do roboty nie miała.

Kiedyś nie potrafiła nawet marzyć o podobnym życiu. Nie wiedziała, że tak w ogóle można.

Tylko część domu była po dartańsku parterowa. W głębi znajdowały się schody i Gotah ruszył na piętro. Kesa czekała nań w dziennym pokoju, położonym obok

sypialni. Tłumaczyła coś małej Alidzie. Dziewczynka układała drewniane klocki, starannie wyciosane i wygładzone przez tyleż zręcznego, co sprytnego pacholka, który wiedział, jak można przypodobać się pani.

Kesa czuła się przeszcześliwa, mając córkę. Pokochał to dziecko i Gotah. Jednakże wieczorami myśli jego żony ogarniał cień. Minęło już kilka lat od chwili, gdy się rozstała z prawdziwą matką, jednocześnie zaś bliźniaczą siostrą Alidy – była to jedna z najdziwniejszych historii, jakie się zdarzyły kiedykolwiek.

Przyjęta nie miała wątpliwości, że pewnego dnia zobaczy na progu domu księżniczkę Riolatę Ridaretę. Bała się tego spotkania.

– Znowu śnił mi się Gromb. Tak, tamten dzień – powiedziała teraz do męża, podsuwając dziecku odpowiedni klocek. – Wszystko dokładnie tak, jak było. Raczej wspomnienie niż sen.

Lekko skubnął małą za ucho. Rozchichotała się, bo to była ich własna zabawa – córki z ojcem. Skubnął jeszcze drugie drobne ucho i wskazał palcem klocki, dając do zrozumienia: wracaj do pracy, przecież coś budujesz.

– Zbyt wiele myślisz o tych sprawach – rzekł do żony, siadając na ustawionej pod oknem, miękko wyściełanej ławie; niezbyt długa, ale za to szeroka, pozwalająca nawet na poobiednią drzemkę.

– Możliwe. Ale ja już zawsze... Nie wiem, jak to powiedzieć. Już zawsze zostanę w tamtym dniu. Jakiś okruszek został tam, w przeszłości i próbuje czasem do mnie wrócić. Pewnego dnia umrę, jak wszyscy. Ale nie ta cząstka, która na zawsze utkwiała w tamtym dniu. W tej

strasznej sali tortur pod gruzami Grombu.

Milczał. Spośród wszystkich istot, które na przestrzeni wieków zostały przyjęte przez Szerń, żadna nie zespoliła się z Pasmami tak, jak jego żona. Nawet on nie wiedział, kiedy powinien traktować jej słowa jak przenośnię, a kiedy najdosłowniej.

– Wytłumaczysz?

– Nie, bo nie umiem.

– Będzie, co musi być – orzekł Gotah po krótkim milczeniu.

– Czyli co?

– Ridareta jest zarazem Riolatą. Rubinem. Mam ci opowiadać o tym, o czym wiesz? Jej pierwsze córki dorastały trzy, a nawet cztery razy szybciej niż inne dzieci. Twoja podopieczna wygląda teraz na dwanaście, może nawet czternaście lat. Lada chwila będzie dorosła. Nawet w świetle prawa imperialnego, choć to akurat nie ma żadnego znaczenia.

– Moja... podopieczna?

– Obiecałaś komuś, że się nią zaopiekujesz – przypomniał cokolwiek surowo.

– Nie dotrzymałam słowa.

– To inaczej niż Ridareta. Bo jestem pewien, że ona dotrzyma słowa i zjawi się tutaj.

– Tak – powiedziała znowu i zapatrzyła się w okno.

– Mamo, daj mi! – powiedziała Alida, niemogąca się doczekać klocka, który matka z namysłem obracała w dłoniach.

Przez chwilę spierały się o sposób ukończenia budowli.

– Będzie, co ma być – powtórzył Gotah. – Ale może... Nie wiem, tylko zgaduję. Dziecko właśnie coś mi

podpowiedziało.

Kesa zapytała spojrzeniem.

– Ten dzień, o którym mówisz – wytłumaczył. – Właściwie nie cały dzień, bo tylko jego fragment, brakujący klocek. – Pokazał zabawki małej Alidy. – Tylko ty dokładnie wiesz, co się wtedy zdarzyło. Przechowujesz to wspomnienie bardziej pieczołowicie niż jakiegokolwiek inne, bo musisz je komuś przekazać. Dziecko, które dorasta na Agarach, odziedziczy wszystkie wspomnienia Ridarety, ale tylko do chwili, gdy się urodziło. Po narodzinach jedność została zerwana, przecięta razem z pępowiną, najdosłowniej. Od tego momentu to są dwa Rubiny, nie jeden. Wiesz o tym, tylko zapomniałaś. Budząca się lub już obudzona na Agarach Ridareta nie wie, więc nie może pamiętać, o czym rozmawiałyście później. Nie będzie też pamiętać tego, jak umarła. Musisz jej o tym opowiedzieć.

Przyjęta pobladła.

– Nie.

– Jesteś jej to winna, Keso. Ridareta ma prawo znać całe swoje życie, aż do samego końca.

– Przecież to ja ją zabiłam.

– Z litości i na jej żądanie. A właściwie prośbę, bo niczego nie mogła żądać.

– Czy mi uwierzy? Że wróciłam po nią, że chciałam...

– Myślę, że uwierzy.

– Nic nie rozumiesz. Próbowałam...

– Kiedy właśnie rozumiem, Keso. Nikt cię nie zna tak dobrze jak ja.

– To, co powiedziałaś, jest straszne.

– Tylko zgaduję. To przecież nie jest wywód oparty na

wiedzy, a jeżeli nawet, to trudno ją nazwać kompletną. Przesłanki, poszlaki. Niczego nie twierdzę, Keso.

Wstał z ławy, bo rzeczywiście znał swoją żonę. Wiedział, że teraz powinien zostawić ją w spokoju. Bawiąc się z dzieckiem, jednocześnie mogła rozmyślać, porządkować to, co powiedział. I zgodzić się z nim albo nie.

Tak właśnie lubiła. On gdy myślał – to myślał. Nie chciał się zajmować niczym innym, szukał ciszy, spokoju i odosobnienia. Kesa inaczej: zawsze wynajdywała sobie jakieś niemęczące i przyjemne zajęcia. Na przykład zrywanie truskawek lub porzeczek, układanie kwiatów w wielkim dzbanie na stole. Albo zabawę z dzieckiem.

ROZDZIAŁ 12



Spośród leczonych w Aheli marynarzy zmarło aż piętnastu, pozostałym miało się na życie. Kilku już stało na nogach (albo na jednej nodze – młodemu majtkowi beł z kuszy zdruzgotał kość udową i trzeba było odjąć wszystko aż do pachwiny), inni zdrowieli powolutku, lecz było niemal pewne, że z czasem dojdą do siebie. Raladan bez większych ceregieli zapakował ich na wozy i wysłał nad nieodległą zatokę, gdzie kotwiczyła „Ślepa Ridi”. Czekwały dwie łodzie. Jeszcze tego samego dnia dobrze zaopatrzony holk podniósł kotwicę i pożeglował wokół Wielkiej Agary, a potem w stronę Małej. Na pokładzie byli niemal wszyscy zdrowi i zdrowiejący członkowie załogi.

Niemal – bo kilku „starych chłopców” z kokardami Ridi trafiło na „Delarę”; to byli ci z „Pociechy”.

Stolicę Małej Agary ustanowiono w Orce, niewielkiej osadzie, właściwie już prawie miasteczku z bardzo przyzwoitą przystanią. Miała być odtąd macierzystym portem „Ślepej Ridi”. Na razie stały tam dwa okręciki, na zmianę patrolujące wody przybrzeżne.

„Pięć lat temu wasza kapitana spaliła Orkę” – rzekł Raladan do jednego z „młodych”, tego, który tymczasowo dowodził okrętem. „Kazałem ją odbudować, jest tam teraz bardzo silna strażnica, a w niej pięćdziesięciu żołnierzy. Tak wygląda lądowe wojsko Małej Agary, a wy

będziecie jej flotą wojenną. Tam wciąż żyją ludzie pamiętający wasz okręt i to nie jest dobre wspomnienie. Chcę, by po roku, bo będziecie tam siedzieć przez rok, żegnano was w Orce jak swoich i radośnie witano, gdy zawiniecie znowu”.

Ogłupiały, przerażony kandydat na oficera potakiwał, wytrzeszczając oczy i miętosząc żeglarską wełnianą czapkę. Mieszkańcy Aheli uznawali księcia za „swego”; oficerowie pirackich żaglowców znali go lepiej lub gorzej; majtkowie ozdobieni kokardami Ridi dzielili z nim kilka sławnych przygód. Ale dla większości marynarskiej braci pilot Ślepy Raladan (bo przypomniano miano, jakie nosił za młodu) był postacią legendarną. Gdy go po raz pierwszy oglądali z bliska, nie mogli uwierzyć, że jest mężczyzną niewysokim, o zupełnie normalnej twarzy, w całkiem zwyczajnym przyodziewku. Przecież to miał być olbrzym z gizarmą zatknietą za pasek tak, jak inni nosili nóż.

„Pracujcie, budujcie, pomagajcie, żeńcie się tam. Róbcie w Orce, co chcecie. Jedna sprawa: gdy tam przypląnę, to chcę usłyszeć od każdej dziewczuchy i każdego dziada, każdego gówniarza i każdej staruchy, jakich to wspaniałych chłopców mają w swoim porcie. Żołnierze mają witać was jak braci. Jeżeli ktokolwiek stamtąd jednym słowem poskarży mi się na was... Zrozumiałeś mnie, synu? Więc powtórz pozostałym”.

W ten sposób pozbył się „Ślepej Ridi” i mógł mieć nadzieję, że jej kapitana nieprędko się dowie, gdzie szukać swojego holka. Było jasne, że w końcu pozna prawdę, to był jednak kłopot na później.

Najpierw musieli oboje wyprawić się do Dartanu.

Chciał płynąć na swojej „Delarze”, po namyśle jednak wybrał „Pociechę”. Ahagaden już oddał jej załogę, sprawdzonych i dobrych marynarzy pod komendą mądrego kapitana. Armatorem tej legalnej karawelki było kupieckie przedsiębiorstwo z Nin Aye, mające swoje przedstawicielstwo w Seyenie. Tam właśnie powinna zawinąć „Pociecha”, później zaś popłynąć do Teheglu, podłej dziury zabitej dechami, a i tak największego portu w Niskim Grombelardzie. Po drodze do tego miasteczka, bardzo podobnego do Orki na Małej, rozsiane były wzdłuż wybrzeża niewielkie porty dartańskie; w jednym z nich on i Ridareta powinni zejść na ląd. Kilkadziesiąt mil od En Anelu.

Miała tam córkę – zwyczajne dziecko, o jakim zawsze marzyła. Nie jakiś „żywy Rubin”, podobny do dwóch pierwszych córeczek, nieżyjących od dawna przeklętnic, na wspomnienie których chodziły ciarki po plecach.

Wiedział, że wszystko inne musi i powinno poczekać. Ridareta chciała najpierw odzyskać swoją przeszłość, połączyć się z nią, dotknąć. Załatwić zaległe sprawy.

Nie wierzył, że załatwi je dobrze, bo chyba nigdy niczego dobrze nie zrobiła. Widział już, że jest zupełnie taka jak kiedyś. Jeśli chciała w sobie coś poprawić, to skończyło się na dobrych chęciach. Umiała zmieniać barwę włosów i kiedyś każdego roku słuchał, że jasne byłyby lepsze. Teraz znowu zamierzała przedzierzgnąć się w blondynkę.

Była nią bez względu na kolor włosów. Niestety.

Na razie odzyskała przybrane rodzeństwo, a Izetta i Nevin odzyskali ją. Prawie się nie rozstawali. Nie wiedział, że potrzebują się aż tak.

I nie przewidział, niestety, co z tego wyniknie. Rozmawiał z synem i córką jak z dorosłymi ludźmi i zapomniał, że w rzeczywistości byli jednak dziećmi. Szczególnie Izetta.

Nigdy się nie dowiedział, czy to na pewno ona wyklepała wszystko przybranej starszej siostrze. Nie przyznała się, Ridareta zaś oznajmiła mu krótko: „Nie powiem, od kogo wiem”. I o dziwo, rzeczywiście nie powiedziała, choć próbował ją pociągnąć za język.

Mieli wypłynąć do Dartanu za trzy dni, wyruszył jednak sam.

o o o

Kiedyś, gdy osądził jej załogę, a potem złagodził karę, zmieniając ją na wygnanie z Agarów, zachowywała się podobnie. Wywalczyła tę łaskę dla swoich żeglarzy, wymusiła na nim. Nie poczuwała się do wdzięczności. Był wówczas prawie pewien, że już nigdy nie porozmawiają, a może nawet się nie zobaczą. Rzuciła mu w twarz wszystkie żale, rozgoryczenie – to, co gromadziła przez całe nieudane życie. Obwiniła go o wszystko.

Teraz wyglądała podobnie, choć na młodszej o dziesięć lat twarzy uczucia odbijały się wyraźniej. Jeszcze zanim się odezwała, odgadł, po co przyszła.

Był marnym intrygantem i w głębi duszy przeczuwał, że o czymś zapomniał, czegoś nie dopilnował.

– To o jeden raz za dużo – powiedziała. – Wytłumacz mi dlaczego. Jakim prawem decydujesz o tym, co mam wiedzieć. Mów.

Przeważnie plotła głupstwa. Ktoś kiedyś powiedział

życzliwie: „Nie jest głupia, myśli prawidłowo, tylko wolno”. Ale nawet to nie było prawdą, rzeczywistość wyglądała znacznie lepiej. Potrafiła myśleć nie tylko prawidłowo, ale i w zupełnie dobrym tempie – tyle tylko, że musiało jej się chcieć. A chciało się, niestety, bardzo rzadko. Zazwyczaj myślała o jednym, mówiła zaś o czymś innym.

Siedział przy stole w zimnej izbie twierdzy nadbrzeżnej, gdzie mieszkał równie często jak w „pałacu”. Właśnie przeglądał i uzupełniał mapy Morza Dartańskiego i wschodniego wybrzeża Dartanu; tam się wybierali.

Popatrzył z namysłem. Wciąż nie mógł się przyzwyczać do dwojga oczu w jej twarzy. Kiedyś już nie zauważał czarnej albo równie często zielonej opaski zakrywającej lewe oko, a raczej miejsce po nim. Przywykł do czegoś nienaturalnego; teraz nie umiał przywyknąć do normalności.

Odsunął mapy.

Usiadła po drugiej stronie stołu i oparła dłonie na blacie. Była wystrojona po swojemu, jej gust się nie zmienił. Na pokładzie okrętu łąziła w hajdawerach i rozchełstanej koszuli, przy byle okazji pokazując uszczęśliwionej załodze wszystko, co miała do pokazania – zawsze było dla niego tajemnicą, w jaki sposób utrzymywała autorytet. Na lądzie odwrotnie: kochała świetne stroje i tyle ozdób, ile mogła unieść.

Miała teraz na sobie ciemnoczerwoną suknię; to była odmiana. Nie przepadała za tą barwą, wolała zieloną. Może zdecydował przypadek – wszystkie kiecki, jakie przez pięć lat na nią czekały, okazały się zbyt luźne.

Kiedyś staniki sukni musiały pomieścić niemożliwie wielkie piersi, a spódnica opinała większy tyłek, bo wychudzone dziewczuchy nie trafiały w gust żeglarskiej braci.

Skądinąd akurat w tej kwestii był to gust całkiem zdrowy. Z samych gnatów dało się najwyżej rzeźbić ozdóbki na handel.

Ta tutaj czerwona suknia wydawała się prawie w sam raz. Pięć lat temu musiała być za ciasna.

Siedział i zastanawiał się nad kiecką, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Ojczy – powiedziała i nie dodała nic więcej.

Zrozumiał, że tym razem nie zamierza odejść bez słowa pożegnania. Zaznaczyła tym jednym słowem, że wciąż są sobie najbliżsi. Po prostu żądała wyjaśnień.

Może jednak czegoś się nauczyła.

– Żadne z nas nie umrze zwykłą śmiercią – orzekła z głębokim przekonaniem. – Co z tego, że jesteś długowieczny, a na mnie wszystko się goi jak na psie? Pewnego dnia ktoś utnie mi głowę albo spali na popiół i tyle będzie z mojej nieśmiertelności. Zabiłam dziesięć albo więcej „rubinków”. Wszystkie były „nieśmiertelne” tak jak ja.

Prawie nigdy o tym nie rozmawiali. Rozumiał, dlaczego kobieta-Rubin pozbywa się swoich dzieci. Dlatego że zamiast życia miały tę paskudną czerwoną moc. Odchowala pierwsze dwie córki i to było bardzo poważne ostrzeżenie. Odtąd wszystkie następne – bo żadne dziecko nie było chłopcem – traktowała jak rzeczy, jak Porzucone Przedmioty. Rubiny.

Chyba słusznie.

Nie chciał i wzdragał się o tym myśleć. Nawet dla starego pirata było to zbyt makabryczne.

Mówiła dalej. Zawsze lubił słuchać tego świetnego garyjskiego, którym się posługiwała, języka wyniesionego z domu szlachetnie urodzonych. Tak, często plotła głupstwa – ale za to jakim językiem i z jakim akcentem plotła.

A tym razem mówiła do rzeczy.

– Przecież nie chcesz mieć córki, która będzie siedziała tutaj i patrzyła w lustro. Bardzo lubię, ale nie bez przerwy. Chcesz, żeby Nevin został wodzem floty, Izetta władczynią, a ja... a ja jestem piratką, Raladanie. Dowódczynią wojennego żaglowca i półtorej setki łajdaków. Taką chciałeś i taką masz.

Niestety, wiedziała, co mówi.

– Nikt na świecie nie przeżył własnej śmierci, tylko ja – ciągnęła, bardzo spokojnie. Wyglądało na to, że gruntownie te sprawy przemyślała. – Nie potrafię ci opowiedzieć, czy się wtedy bałam. Byłam pewna, że tylko zasnę, tak jak ci napisałam w liście. Ale nie pamiętam chwili, gdy umarłam, nie wiem, co się czuje. To jest ten krótki czas, który zawsze będę znała tylko z opowieści. Kesa mi opowie, w jaki sposób...

Urwała i przez chwilę nic nie mówiła. Przełknęła ślinę.

– Wiesz, jak głupio się mówi coś takiego? „Nie pamiętam, kiedy umarłam”. A ja, Raladanie, umarłam już dwa razy. Pierwszego razu, tego, kiedy moje życie zastąpiła Riolata, też nie pamiętam. Wiem od ciebie, że leżałam skatowana w ładowni. Potem pamiętam plażę, na którą wyrzuciło mnie morze. Wiesz, jak ciężko się żyje, kiedy ciągle sobie musisz powtarzać, że nie jesteś jakimś

chodzącym trupem... jakimś upiorem z bajki o przeklętym cmentarzu...

Potrząsnęła głową.

– Nie próbuj mnie chronić przed niczym – ostrzegła. – Powiedz, a odejdę z twojego życia, ojcze. Z płaczem. Ale jeśli nie chcesz, żebym odeszła, to musisz mi pozwolić... – Znów urwała. – Powiedziałam Przyjętej, że Riolata dalej będzie zabijać, ale odtąd to Ridareta będzie nią kierować, nie odwrotnie. Już potrafię i masz dowód: siedzę tutaj i rozmawiam z tobą. Potrzebowałam prawie dwudziestu lat, żeby... żeby zrozumieć naturę Geerkoto, tak pewnie powiedziałyby Tamenath. – Popatrzyła porozumiewawczo i po raz pierwszy, odkąd weszła, uśmiechnęła się blado; oboje pamiętali wywody starego gaduły. – Kiedyś trzymałam sukę na smyczy i spuszczałam tylko wtedy, gdy musiałam. Teraz będzie inaczej. Wytresowałam ją i żadnej smyczy nie potrzebuję, ale nie zamierzam trzymać suki przy nodze. Będę ją szczyła tak często, jak tylko będę mogła, jednak zawsze wybiorę, kogo ma zagryźć. Ja wybiorę, nie ona.

Wstała.

– Musisz płynąć do Dartanu, więc płyn. Dasz mi okręt, ludzi i pieniądze. Ja płynę na Garre, Raladanie. Tam są moi oficerowie, którzy próbowali załatwić moją sprawę, kiedy ja jej załatwić nie mogłam. I może jest tam... Tak, może jest mężczyzna, który mnie nie chciał, ale wcześniej dał mi najpiękniejsze chwile w życiu. Powiem mu to, co teraz tobie. A jeżeli Kitar nie żyje, jeżeli wszyscy nie żyją...

Uśmiechnęła się i teraz to nie był blady uśmiech. Wyrazisty, lecz krzywy i paskudny.

– Wyrznę na tej wyspie wszystko, co się rusza, i nie

będę pytała, kto jest winien. Ta wystająca z morza kupa łajna dawno już powinna być pustynią. Nigdy nic dobrego mnie tam nie spotkało, a Szerer jakoś obejdzie się bez Garry. W każdym razie bez jej mieszkańców.

Były to pogrożki mocno na wyrost. Nie wątpił jednak, że Piękna Ridi potrafi dać się we znaki.

– Kogo będziesz wyrzynać? Cesarskich żołnierzy i urzędników Trybunału? Oni kochają Garrę akurat tak, jak ty.

Wzruszyła ramionami. Wyglądało na to, że w gruncie rzeczy jest jej wszystko jedno, kogo zabije i za co.

No, i tyle wynikało z zapewnień o Ridarecie trzymającej na smyczy Riolatę. Snuć słodkie jak miód opowieści o świadomym wyborze to była jedna sprawa. Dokonać nie tylko świadomego, ale i słusznego wyboru – druga.

Chciała wyjść.

– Czekaj. Dam ci „Delarę” – powiedział. – Masz rację, Rido. Nie wiem, co sobie wyobrażałem. Źle zrobiłem, nic ci nie mówiąc. No to mówię teraz: twój okręt nie odpłynął z Agarów, stoi w Orce.

Spojrzała pytająco, zaskoczona.

Krótko opowiedział, jak się mają sprawy.

– Ale nie bierz go, odradzam – rzekł na koniec. – Zrobisz, jak zechcesz, ale załoga niekompletna, a z tego, co zostało, połowa ledwie trzyma się na nogach. Nie masz oficerów. Większość majtków tylko o tobie słyszała, bajki i legendy. Kilku starych chłopców siedzi na „Delarze”. Jeśli oni ci nie wystarczą, to z całą resztą będziesz miała więcej kłopotów niż pożytku. Posłuchaj mnie, Rido, bo to jest dobra rada.

W gruncie rzeczy było mu obojętne, co spali i kogo zaszlachtuje jego córca. Byle się trzymała z daleka od Dartanu, bo tam miał do załatwienia sprawy, którym na pewno nie mógł pomóc huk okrętowych dział.

Zastanawiała się.

– Lubię mieć cię po swojej stronie. Zawsze kiedy mi trochę pomożesz, wszystko układa się dobrze. Chyba nie wezmę „Zgniłka”... znaczy teraz to „Ślepej Ridi”. – Zaśmiała się. – Dziękuję, wasza wysokość.

Skłoniła się tak, jak mówiła: nienagannie. To też wyniosła z obrosłego tradycjami domu.

– Stale do twych usług, szlachetna.

Wymienili kpiące uśmiešky i poszła.

Ale natychmiast wróciła.

– Nie, jeszcze nie pójdę. Powiedz: czego ty chcesz ode mnie? Co mam robić, jaka powinnam być? Zobacz, taka Kesa-Przyjęta chciałaby, żebym była dobra. Mądre to czy głupie, ale ona wie, czego chce, i powiedziała mi. A ty?

Na takie pytania odpowiadało się najgorzej. Krótkie, jasno postawione.

Czekała.

– Wiem, czego nie chcę, Rido. Boję się twojej nieśmiertelności. Tego, że ktoś cię kiedyś żywcem zamuruje w jakiejś ścianie, tak jak tego garbusa w Grombie. Nie wiem, jak miałbym żyć, wiedząc, że gdzieś jesteś, skazana na setki lat męczarni, a ja nic z tym nie mogę zrobić.

– Ale jeśli wylecę w powietrze razem z okrętową prochownią i nic ze mnie nie zostanie? Albo jeśli kula działowa rozwali mi głowę na kawałki?

– To co innego. Taki piracki los. Będzie mi pusto

w życiu, tak jak było pusto po Alidzie, jeszcze dzisiaj mi jej brakuje. Ale chciałbym zginąć taką właśnie śmiercią i tobie też takiej życzę, Rido. Do Grombu pojechałaś, żeby mnie ratować, okłamana przez chore na rozumie bydłę. Nie umiałem się pogodzić z myślą, że umarłaś w taki sposób i z tego powodu.

– Więc mam nie umierać ze starości?

– Nie. Nie chcę takiej śmierci dla siebie ani dla ciebie.

Głupia to była rozmowa.

Trudno. Nie dało się w życiu uniknąć wszystkich głupich rozmów.

– Nie umrę ze starości, obiecuję.

– Porządna z ciebie dziewczyna.

Jeszcze raz uśmiechnęli się kpiąco i tym razem naprawdę poszła.

Chyba jednak trochę zmądrzała – po śmierci. Podobno lepiej późno niż wcale.

Może pora, by zmądrzał i on. Najlepiej jeszcze za życia.

ROZDZIAŁ 13



Trzej majtkowie, przezornie zostawieni w Dranie w oberży Stara Wierzba, użyli za wszystkie czasy. Beznadziejna robota, jaką ich obarczono, miała polegać na czekaniu. Wszyscy trzej wiedzieli, że powrotu nieboszczyka nikt jeszcze się nie doczekał (co prawda Raladan nie zgodziłby się z nimi). Bywały jednak gorsze zajęcia od spania, jedzenia i picia, a to właśnie kazano im robić. Mieli tylko jedno zmartwienie: otóż nie wiedzieli, kto i kiedy ich stąd zabierze. Wór srebra, który im zostawiono, wydawał się niewyczerpany, ale już po kilku dniach uznali, że to tylko duża sakiewka. Potem nawet przestali mówić „duża”. Pokłócili się, czy wystarczy raz w tygodniu na dziwkę. Gdy marynarz nie wiedział, czy go stać na rzeczy niezbędne, czyli trunek albo kobietę, to znaczyło, że musi oszczędzać i jest naprawdę niedobrze.

Trochę przyciągali spojrzenia. Czas płynął, a ciągle okupowany przez tych samych trzech mężczyzn stół, choć najmniejszy i stojący w kącie izby, zaczynał zwracać uwagę. Żeglarz pił w knajpie, rzadziej nocował. Nie mieszkał właściwie nigdy. A ci trzej w izbie noclegowej mieli już własny kawałek podłogi i zabrali sobie prawie całą słomę, bo przynosili kolejną wiązkę, gdy tylko zwolnił ją ktoś inny. Gospodarz pogonił ich za to trochę, ale nie za bardzo, bo wciąż mieli pieniądze, płacili bez

szemrania i nie tylko pili, czasem także jedli – nie zawsze kupowali coś na targu, gdzie było tańsze jedzenie.

Z nudów raz i drugi najęli się do roboty: pięknie załatali dziurę w dachu, a jeden, pomocnik okrętowego cieśli, ponaprawiał stoły i ławy. Dostawali za to darmowe śniadania i zniżkę na noclegi. Wszyscy byli zadowoleni: żeglarze oszczędzali, lecz oszczędził i właściciel Starej Wierzby.

Zdaniem prostego marynarza oficer przydawał się najbardziej, gdy wykreślał kurs (wtedy go załoga nie widziała) lub wydawał komendy na żagle i ster – to nie było wcale takie proste. Nie licząc tych wyjątkowych sytuacji, żeglarz unikał i nie potrzebował oficera, darmozjada, któremu wszystko było nie w smak: niewywietrzony hamak i gorzalka cuchnąca z gęby; źle obłożona lina i brzydka plama na żaglu. Jeśli to wziąć pod uwagę, Mevev Cichy powitany został niczym król. Jeden z majtków trącił w łokieć drugiego, wskazał ruchem głowy – i gapili się w ciszy, niczym na upiora. Wstali zaraz; wtedy on też ich dostrzegł. Zaraz podszedł.

Niewiele, a rzuciliby się mu na szyję. Lecz i Cichy był niezmiernie rad.

– Tak myślałem. Jak nie tutaj, to szukałbym jeszcze w porcie – powiedział i klepnął najbliższego w ramię.

Była to wylewność na miarę przytulenia przez kogoś innego.

Tak jak powiedział: miał nadzieję, że ktoś będzie czekał. Liczył się z tym, że „Pociecha” odpłynie, zanim jednak to zrobi, mądrzy i doświadczeni chłopcy z kokardami Ridi zostawią kogoś na wszelki wypadek. A jak nie, to chociaż wiadomość. Gdzie? – no oczywiście

w knajpie, o której wiedzieli wszyscy. Pierwsze kroki skierował więc do Starej Wierzby.

Od wielu dni brał udział w zabawie, której nie ogarniał. To nie była robota dla niego. Sayl – o tak. Ten może by się połapał.

Nic jednak nie wiedział o Saylu. Tylko tyle, że żyje, ale to nie musiało się pokrywać z prawdą.

Było tak:

Po przycumowaniu łodzi do nabrzeża zostawił w niej dwóch marynarzy, a z pozostałymi poszedł prosto do domu przy ulicy Krzywej i łatwo go odnalazł, bo opis na akcie własności był wierny. Nie szedł do dartańskiego kupca, bo tak przecież zrobił Sayl, który przepadł. Lepiej było odnaleźć drugi koniec sznurka. I porozmawiać z tym końcem.

Sznurek jednak w ogóle nie chciał gadać.

To nie byli żołnierze. Tak sprawnych wojaków dałoby się może znaleźć między gwardzistami w Starej Dzielnicy, ale nigdzie indziej na tej wyspie. Mevev zamierzał powęszyć koło domu, a dopiero potem działać w zależności od efektów węszenia. Niezbyt długo powęszył. Prawdopodobnie on i jego żeglarze byli śledzeni od chwili, gdy wylądowali w porcie; możliwe, że bez przerwy obserwowano „Pociechę”, wciąż grzecznie kotwiczącą na redzie. Najpierw po cichutku wyłapano obserwujących dom marynarzy, a gdy stało się jasne, że coś śmierdzi, kilku uzbrojonych po zęby drabów wyrosło jak spod ziemi. Dwaj marynarze zginęli, jeden pognął i przepadł nie wiadomo gdzie. Ostatnia dwójka wraz ze swoim małym dowódcą mogła tylko posłusznie oddać broń. Zawsze trzeba wiedzieć, kiedy przestać.

Gdzieś ich poprowadzono ciemnymi zaułkami, zamknięto w jakiejś piwnicy. Znaleźli się dwaj majtkowie obserwujący dom (jeden z mocno rozbitą głową) i ten trzeci, który dał drapaka. Rano wpakowano wszystkich, związanych i zakneblowanych, na olbrzymi garyjski furgon. Zadaszony, skrywał zarówno sześciu jeńców, jak i trzech milczących, stale czujnych strażników z bronią w dłoniach. Gdzieś dojechali, gdzieś byli prowadzeni z zawiązanymi oczami. Rozdzielono go z marynarzami.

Siedział w małym pomieszczeniu bez okien, gdzie wstawiono stół, ławę oraz cztery prycze, i nie umiał nawet policzyć dni. Rozmyślał, ale co mógł wymyślić? Może jego imiennik, setnik Mawew zdradził. A może to Mawewa zdradzono, odkryto, komu się wysługuje, i gryzł ziemię albo siedział tutaj za ścianą, dziesięć kroków dalej. Mogło być jakkolwiek. Mevev nigdy jeszcze nie był w równie beznadziejnej sytuacji.

Nikt niczego od niego nie chciał, nikt z nim nie rozmawiał – zmieniający się dwaj smutni dozorczy chyba nawet nie umieli mówić. Tak minął tydzień, a możliwe, że trochę więcej. Karmiono go znośnie, a drewniany ceberek wymieniano na tyle często, że smród w klitce dało się wytrzymać. Zresztą szybko się przyzwyczaił i niewiele czuł.

Wreszcie ktoś się pojawił. Wyjątkowo udany żołnierz, bardzo ładny i dość młody zuch.

„Setnik Enog Derrhert, kapitan »Drugiego Szkwału«” – powiedział bez żadnych wstępów. „A ty jesteś Mevev Cichy, dowódca »Zgniłego Trupa«, który teraz pływa pod nazwą »Ślepa Ridi«. Tak?”

Krótko, po wojskowemu.

Przez chwilę przyglądali się sobie. Dzieliło ich wszystko, łączyło tylko jedno: w odstępie kilku lat zatopili dwa najsłynniejsze żaglowce Szereru. Derrhert „Kołysankę” Kitara, Mevev „Kaszalota” Brorroka. Każdy z nich słyszał o tym drugim.

„Posłuchaj mnie uważnie, Mevevie Cichy. Jestem żołnierzem, ale także tajnym urzędnikiem Trybunału. I kimś jeszcze. Otóż trzymam kapitana Kitara, który zdołał mnie przekonać, że nie warto go wieszać na rei. Nie warto z dwóch powodów. Po pierwsze, kapitan Kitara nie jest biedny. Po drugie, Trybunał i w ogóle wszystko, co związane z Wiecznym Cesarstwem, ma przed sobą w tej prowincji bardzo krótki żywot. Od dawna czekam, aż ktoś wreszcie zacznie szukać Kitara. Był ważny dla kogoś ważnego na Agarach. Wiesz, o kim mówię. Ty też nie jesteś nikim. Ani nawet twój zastępca Sayl, w światku żeglarskim można trafić na wasze imiona. Jeśli ktoś się o was trzech upomni, to... bardzo chciałbym z nim porozmawiać. Po zwycięstwie powstania Garra i Agary nie muszą wszczynać wojny. Są dawne urazy, ale to takie stare dzieje. Jeśli piraci zostawią w spokoju garyjski handel, to Garra nie da się we znaki Agarom. Słuchasz? Rozumiesz mnie?”

Mevev słuchał, a nawet rozumiał; trochę się gapił na ścianę, trochę kiwał głową. Teraz kiwnął nieco wyraźniej.

„Dam ci uciec, Mevevie Cichy. Trybunał wyobrażał to sobie trochę inaczej, otóż miały pójść pogłoski i plotki o tym, gdzie jesteście trzymani. W Trybunale liczyli, że uda się w ten sposób zastawić pułapkę na kogoś ważnego z Agarów, bo Agary mogą być cierniem w tyłku cesarstwa, jeśli dojdzie do wojny z Dartanem. Głupi plan,

wydumany. Jednak w Trybunale nie siedzą sami durnie, prawie nikt nie wierzy, że ta pułapka się uda. No ale spróbować zawsze warto. Zarzuca się wiele takich niepotrzebnych sieci, na wszelki wypadek. Gdyby wpadł w taką sieć Ślepy Raladan, może Ślepa Foka Ridi... Jakoś dużo u was tych ślepych, nie uważasz? Foka Ridi podobno od kilku lat nie żyje, ale różne rzeczy ludzie gadają. Ty mi nic nie powiesz, przecież wiem. Musiałbym cię zaprowadzić trochę niżej, tam wszyscy są bardzo rozmowni. Ale nie zaprowadzę. Mówię tylko: Wieczne Cesarstwo to dzisiaj przegrana sprawa i warto brać przykład ze szczurów: zwiać z okrętu, zanim zatonie. Uważaj mnie więc za szczura, zastępczo Pięknej Ridarety”.

Mevev znowu trochę wyraźniej skinął głową. Nie miał nic przeciwko temu, by uważać szczura za szczura.

„Pojutrze stąd uciekniesz i zrobisz, co będziesz chciał. Tylko nie daj się złapać nikomu z Trybunału, bo przywiozą cię tutaj z powrotem, a ja jeszcze będę musiał im dziękować” – ciągnął setnik. „Nie zlecam ci niczego, bo i tak wszystko przekażesz komu trzeba. Słuchaj mnie uważnie: Garra chce się dogadać z Agarami, to wszystko. Powstanie przejmie lub zniszczy okręty obu imperialnych flot prowincji, ale tylko u brzegów Garry. A na przykład te z Sary już nie. Duży kłopot. Tak się składa, że wszystkie trzy »Szkwały« tworzą najlepszą eskadrę w tej części imperium, a pozostałe eskadry Archipelagu Południowego też są dobre i mogą nieźle zaszkodzić powstaniu. Dowiecie się, gdzie i w jaki sposób dobrać się im do tyłka. W zamian oddamy wam Kitara i twojego zastępcę, bo tych kilku zwykłych majtków nawet nie liczę. A to tylko gest dobrej woli, gramy o wiele wyżej.

Garra na pewno odzyska niepodległość, ale potem będzie musiała ją obronić, bo imperium przecież nie odpuści, przynajmniej nie tak od razu. Bardzo by się przydał sojusznik. To przecież będzie działać w obie strony, bo agarskie księstwo, uznane na przykład przez króla Garry, może mieć tutaj przyjaciół, nie wrogów. To wszystko, Mevevie Cichy. Sami zaproponujcie, gdzie i kiedy będzie można o tych ważnych sprawach porozmawiać. Tutaj lub na Agarach, gdziekolwiek, tam gdzie uznacie, że jest wygodnie i bezpiecznie. Tylko to musi być szybko i niech stawi się do rozmów ktoś, kto może podejmować decyzje. To są zbyt duże odległości, żeby dziesięć razy pływać w tę i nazad. Wstępny warunek jest taki: nie czekając na wybuch powstania, zniszczycie dla nas imperialne okręty pilnujące Archipelagu Południowego. Wystawimy je wam. Flota Główna już tych sił nie odtworzy, skleci w miejsce tej dobrej flotylli prowizoryczną eskadrę albo dwie, jakieś stare okręty, pływające trumny pod żaglami, obsadzone przez byle kogo. Gdy wybuchnie powstanie, te siły się od razu rozlecą; to już nie jest zmartwienie Agarów. Zrozumiałaś?”

Mevev zrozumiał prawie wszystko oraz zapamiętał każde słowo.

„Jest w Dranie stara tawerna U Szypra, a w Bagbie wielki dom kupiecki pod nazwą Za Pół Ceny. U Szypra gospodarz, a w Za Pół Ceny bławatnik. Jednemu albo drugiemu można zostawić każdą wiadomość i po dwóch albo trzech dniach zgłosić się po odpowiedź. Pojutrze będziesz wolny, Mevevie Cichy. Kto wie, może jeszcze kiedyś się spotkamy, bo na pewno będę pływał we flocie Królestwa Garry. Ale wtedy to już będziemy

sprzymierzeńcami. Oby”.

Zapowiedział, że pojawi się raz jeszcze, żeby omówić plan ucieczki.

Cichy nic nie powiedział i w ten sposób dobiegła końca rozmowa, w której się nie odezwał nawet jednym słowem. Ani chciał gadać, ani miał o czym.

To nie była zabawa dla niego. Lecz wiedział przynajmniej jedno: gra toczyła się dalej. Kitar, Sayl i on sam, Mevev Cichy, nadal brali w niej udział.

Jeszcze wczoraj nie założyłby się o to.

Dwa dni później gdzieś go przewożono. Na postoju pozwolono mu uciec, tak jak ustalił z Derrherem. Wpadł do lasu i był poszukiwany, ale jeden strażnik został przy furgonie, a jego koledzy gonili i szukali tak, żeby nie dogonić i nie znaleźć.

Przesiedział noc w lesie. Następnego dnia odkrył, że płynąca nieopodal wielka rzeka to Bahar. Milę dalej zaczynało się południowe przedmieście Dranu.

o o o

Choć rada „nie daj się złapać nikomu z Trybunału” trafiała do przekonania, Cichy musiał jednak podjąć ryzyko i zajrzeć do Starej Wierzby. Zrobił to, ale zaraz potem zabrał swoich chłopaków. Pobiegali trochę po mieście, rozdzielili się i spotkali znowu. Nim nastał wieczór, Cichy był pewien, że nikt go nie śledzi, nikt nigdzie nie czyha.

Nie znosił podobnych wygłupów i uważał za całkiem jasne, że głupio jest się wygłupiać. Miejsce żeglarza było na morzu. Zabawy w chowanego w jakimś mieście... Nie.

Ale cóż było robić?

Nakupili jedzenia, nie pożalowali też na cztery ciepłe płaszcze, i w nocy wymknęli się z miasta. Całkiem blisko leżało zapomniane przez Szerń miasteczko o wdzięcznej nazwie Hehog. W cieniu wielkiego portu nie rozwijało się wcale; połowa ludności pracowała na roli, druga połowa szukała szczęścia w Dranie.

Jeden z majtków był wprost stworzony do celów swego dowódcy. Średniej postury i wzrostu, nieszczególny, gębę miał zarośniętą aż po same oczy, na łbie zaś szmatę, której nie zdejmował chyba nigdy. Gdy otrzymał mieszczański ubiór, a brodzisko i szmata zniknęły, żeglarz przestał przypominać kogokolwiek, najmniej zaś był podobny do siebie, czemu natychmiast dał wyraz, przeraźliwie rycząc do odbicia w wodzie. Wróciwszy do równowagi (utraconą urodę dało się z czasem odtworzyć i w końcu to do niego dotarło), mógł śmiało iść z powrotem do Dranu. Nawet w Starej Wierzbie nikt by go nie rozpoznał, a już w porcie?... Nie było mowy.

Miał właśnie pilnować portu. Nie był w stanie pilnować bez przerwy, musiał przecież jeść, spać i... Ale zajrzeć kilka razy dziennie mógł na pewno. Potrafił rozpoznać dowolny żaglowiec z Agarów, pod legalną czy też nielegalną banderą.

Byłe jaką izbę noclegową, czasem w komórce na podwórzu, miała prawie każda knajpa, bo to się opłacało. Goście siedzieli dłużej i pili więcej, pewni, że nie muszą się spieszyć ani donikąd wracać, gdyby nogi odmówiły posłuszeństwa. Pijaków kładziono we wspólnej izbie już za kilka miedziaków, a jeżeli przepili wszystko, to nawet całkiem za darmo, rano zaś częstowano kubkiem soku

z kiszonej kapusty, bo to nic nie kosztowało. Biesiadnik, potraktowany tak po ludzku, chętnie wracał w gościnne progi. W Hehogu można było znaleźć aż dwie takie świetne jadłodajnie.

Jednakże Hehog to nie było dobre miejsce, w tej dziurze wszyscy się znali. Po tygodniu Cichy i jego żeglarze kłaniali się każdemu na ulicy, zresztą z uprzejmą wzajemnością, i pytali o zdrowie małżonki albo wujka.

Rozejrzeli się po miasteczku, poczynili ostatnie zakupy i poszukali ustronnego miejsca kilka mil dalej, na nadmorskich wydmach. Rósł tam lasek, osłaniający od podmuchów bryzy. Pora roku sprzyjała biwakom, więc zbudowali sobie szałas. Nie umieli; zawalił się. To zbudowali drugi.

Do Hehogu zaglądali pojedynczo. W jednej z gospód mieli zostawiać albo odbierać wiadomości – był to powszechny obyczaj.

Biwakowali niedaleko ujścia rzeki, przy wschodniej odnodze. Pół mili od miejsca, gdzie kiedyś miał czekać Sayl. „Pociecha” wróciła na Agary i było pewne, że prędzej albo później ktoś przyplynie na Garrę z powrotem, żeby zerknąć na ujście Baharu, a jak nie, to pytać w Starej Wierzbie, gdzie przecież zostawiono trzech ludzi. To nie musiał być specjalnie wysłany żaglowiec; bądź co bądź, Ahela mocno handlowała. Cichy raczej oczekiwał jakiejś zacnej kupieckiej hogi.

A potem mogło być różnie. Miał dość srebra – niestety, nie przy sobie, tylko na „Ślepej Ridi” – by zapłacić kapitanowi łajby za mitręgę i kazać się odwieźć na Agary. Ale jeśli statek szedł dalej z ładunkiem, jeśli czekał gdzieś

kolejny fracht, to sprawa się komplikowała. Nawet zastępca dowódczyni pirackiego żaglowca nie był aż tak bogaty, by zrekompensować kupieckiemu przedsiębiorstwu pozrywane kontrakty, zapłacić za zepsutą zawartość ładowni wielkiej hogi, wynagrodzić jakieś kary umowne albo narastające z lawinową szybkością opłaty za składowanie trzystu skrzyń nieodebranego towaru. Ucieczka z Garry mogła więc oznaczać najpierw rejs dokoła Szereru, a na coś takiego nie bardzo mógł sobie pozwolić. Bo miał ważne wieści dla Raladana; rozmowa z uprzejmym szczurem Derrhertem to nie było coś, o czym mógł beztrosko zapomnieć.

Przeklinał w myślach wszystko, a najbardziej Sayla, który wpadł na pomysł, że trzeba szukać Kitara.

Na razie biwakowali w lasku i to było wszystko, co mogli uczynić. Ogolony i wytworny portowy wywiadowca miał wprawdzie przysłać wiadomość, gdyby trafił się jakiś statek płynący z Dranu na Agary, ale to musiałyby być szczęśliwy traf. W przyportowych knajpach, szczególnie tych najpodlejszych, niby można było dopytać się o wszystko, lecz nie z taką samą łatwością. Gdy się było piratem lub kręcącym lewe interesy kupcem, ostrożność popłacała. Dziw nad dziwy.

Gapili się z wydmy na kończące podróż Szlakiem Południowym żaglowce, czy aby któryś nie podchodzi bliżej ujścia Baharu, niż powinien. To ramię rzeki było nieżeglowne, dostępne najwyżej dla łódek. Nikt tu nie miał nic do roboty.

Cichy poprzysiągł sobie, że po zakończeniu tej przygody upije się zupełnie jak świnia. Obiecał towarzyszącym mu majtkom, że im też pozwoli się schlać,

a nawet wypłaci każdemu po srebrnym krążku, by sobie nie żalowali.

Tymczasem wygrzewali się na wydmie, bo pogoda na szczęście wciąż dopisywała. Wkrótce jednak mogło popadać – jak to wiosną. A dane im było czekać trzy dni, trzy tygodnie...

Trzy miesiące to chyba już nie.

ROZDZIAŁ 14



Ridareta zdążyła przywyknąć do spojrzeń, którymi ją obrzucano. Na „Delarze” znali ją prawie wszyscy, bo załoga była niemal ta sama, co przed laty. Ci majtkowie nie ginęli w bitwach. I nie porzucali służby, bo nigdzie nie mogło im być lepiej. Okręt władcy Agarów pływał pod komendą jego samego albo Rudego Boheda – to nie był żaglowiec jak każdy.

Raladan nie oszczędzał na liczbie załogi, więc praca rozkładała się na wielu. Płacone mieli dobrze; mięso w beczkach nigdy nie śmierdziało, przyodziewek trzymał się kupy, pomieszczenia – w porównaniu z tymi na innych żaglowcach – były całkiem wygodne. Na dodatek w morze wychodzili nieczęsto, niektórzy pozakładali więc rodziny i mieszkowali w domach. Pod jednym warunkiem: w każdej chwili musieli być gotowi do rejsu, więc codziennie się meldowali pełniącemu służbę oficerowi. Wachtę w porcie trzymała jedna trzecia załogi – sześciu ludzi zmieniających się co tydzień.

Teraz byli w komplecie: Bohed i drugi oficer, bosman, kucharz, cieśla i osiemnastu majtków. Do tego dziesięciu żołnierzy, bo drugą dziesiątkę Raladan zabrał na „Pociechę”. Zamiast tej zabranej dziesiątki stało sześciu chłopców z kokardami Ridi.

Wszyscy czekali na pokładzie.

Ridareta przeszła po trapie i bez żadnych ceregieli wyściskała Boheda, którego znała od zawsze. Potem poszła do swoich marynarzy, beznadziejnie sterczących na samym końcu szeregu. Nie wiedzieli, jak się zachować, i ona też nie wiedziała.

Czuła się czasem tak, jakby odbyła podróż w przyszłość. Dla niej to nie było pięć lat; raczej długi, ale przecież nie pięcioletni sen, z którego bardzo niewiele pamiętała. Wyglądała trochę inaczej niż kiedyś – ale ludzie wokół też nie byli zupełnie tacy sami. Wiele razy musiała sobie przypominać, że dla nich naprawdę minęło kilka lat – dzień po dniu, tydzień po tygodniu.

Bohed miał w rudej brodzie srebrne nitki, których nie pamiętała. Gęby majtków z jej załogi też wydawały się troszeczkę inne – temu przybyło zmarszczek, tamtemu ubyło zębów.

Naprawdę minęło pięć lat.

Wzruszył ją widok beznadziejnych strzępów, pouwiązywanych tu i tam, najczęściej przyszytych do chustek zamotanych na nadgarstkach lub okręconych na szyjach. Wciąż nosili te głupie, przekłete kokardy Ridi.

Na żadnym dużym okręcie wojennym, gdzie oprócz obsługujących żagle majtków była setka zbrojnych, kapitan nie znał imion, a najczęściej nawet twarzy wszystkich członków załogi. Wykruszali się, zmieniali, przychodzili nowi. Lecz na „Zgniłym Trupie” panowały szczególne obyczaje, bo nie dość, że rządziła nim baba, to jeszcze zdarzały się wspólne popijawy z dowództwem. To nie był zwyczajny okręt, raczej przytułek wyrzutków i wszelkiego rodzaju popaprańców, dla których nie było miejsca nigdzie.

Zwykła kobieta kapitan nie przetrwałaby na tym okręcie tygodnia. Ale Ślepą Fokę Ridi, na co dzień łażącą w słabo zasznurowanej koszuli i bratającą się z załogą na wszelkie możliwe sposoby, traktowano jednak z zabobonnym lękiem. Rzadko ktoś był tak głupi, że nie potrafił oprzytomnieć kiedy trzeba. Ci, co z nią pływali, bardzo szybko mogli się przekonać, że tylko niektóre opowieści o ich dowódczyni to morska baśń i legenda. Inne były prawdziwe. To, co trzeba, miała wzdłuż, nie w poprzek; w zamian niejedyn wilk morski wrósł w pokład z szeroko otwartą japą, gdy rozgniewana i pijana wyrznęła jego bezczelnego kamrata w szczękę i urwała tym ciosem cały łeb – zdarzyło się tylko raz, ale widziało stu. Z niebywałą szybkością goiły się na niej otrzymane w morskich bitwach rany, a niektóre były śmiertelne i banda rzeźników umiała to ocenić. Raz i drugi zresztą urządziła widowisko i pochwaliła się tym, co potrafi. Kochała swoją legendę i żeglarskie piosenki o Ślepej Foce Ridi; sporo tego ryczano w tawernach.

Kto do tych dziwów przywykł, ten następnie szybko się uczył, kiedy z kapitaną można chlać, a nawet rozchichotaną wymiętosić w dziobówce – kiedy zaś należy wykonywać rozkazy tak szybko, jak to możliwe. Miała coś wspólnego z Szernią, a Szerń z nią i warto było o tym pamiętać.

– Tak, mam dwoje oczu i za małe cycki, no wiem – powiedziała do swoich żeglarzy. – Oka sobie nie wybiję, ale cycki będą takie jak kiedyś. Obiecuję. Chyba że chcecie małe?

Rozdarli się wniebogłosy i widząc, że pozwala, porwali ją uszczęśliwieni, by następnie podrzucać do góry, ku

zdumieniu załogi „Delary”. Bohed, trochę skrzywiony (bo choć nawet lubił córcię Raladana, to nie znosił jej porządków, a raczej jej bałaganu), ostatecznie kazał załodze się rozejść. Prawie wszyscy dobrze znali Piękną Ridarecę; teraz się dowiedzieli, że naprawdę wróciła i tyle. Nie było na co się gapić.

Mieli wyjść w morze jeszcze przed południem. Raladan wyraźnie zaznaczył, kto dowodzi jego karawelą – i to nie była Ridareta. Miała rządzić Bohedem, był do jej dyspozycji wraz z „Delarą”, ale do porządków na okręcie nie miała prawa się wtrącać.

Najpierw płynęli do Dranu.

Raladan zjawił się na „Delarze” niedługo przed odcumowaniem. Dopytał, czy wszystko dobrze, wydał ostateczne rozkazy i pożegnał się z córką. On także wyruszał w podróż; obie karawele miały opuścić port jednocześnie.

Agary zostawały pod rządami i opieką dwojga ludzi: mądrej niewolnicy i tak samo rozumnego, godnego zaufania najemnika. Lasena i Ahagaden nie po raz pierwszy przejmowali rządy w księstewku – ale nigdy dotąd w tak niespokojnych czasach.

Nie pierwszy raz, ale może ostatni. Mijały lata. Dorastało przecież dwoje prawowitych władców archipelagu. To były wyspy Izetty i Nevina.

– Już się przyzwyczaiłem, Rido, że wróciłaś. I do tego, że masz dwoje oczu. Ale ciągle nie jestem pewien, czy nabrałaś choć trochę rozsądku – rzekł zupełnie szczerze Raladan.

– Nabrałam, a chłopcy są wspaniali! – odrzekła, wciąż uradowana przyjęciem, jakie urządzili jej „synkowie”. – Na tej twojej „Delarze” nie mają ani jednej okrętowej

dziwki, wiesz?

Pokiwał głową.

– Już mają. Uważaj na siebie.

Uśmiechnęła się.

– Gdy znowu się zobaczymy, będę o wiele ładniejsza – obiecała.

– To jest twoje największe zmartwienie?

– Mhm. Dopóki nie dopłynę do Dranu, to tak.

Spowaźniała.

– Raladanie, obiecałeś mi, że... To miasteczko, En Anel, jest po drodze do Rollayny. Prawie.

– Pamiętam. Dowiem się, co z twoją córką. Ale ufam tym dwojgu Przyjętym. Oni są...

Zastanowił się, a potem machnął ręką, bo nie wiedział, co właściwie chce powiedzieć.

Pożegnali się i rozstali.

„Pociecha” wyszła z portu pierwsza, „Delara” w jej śladzie. Mniejsza karawela zaraz zrobiła zwrot i poszła w stronę Bezmiaru Dalekiego. Do Seyenu było grubo ponad pół tysiąca mil lotem ptaka, ale morzem siedemset. Na Garrę o wiele bliżej; „Delara” powinna tam dotrzeć w kilka dni, nawet przy niesprzyjającym wietrze.

o o o

I tak właśnie się stało.

„Delara”, tak jak „Pociecha”, była żaglowcem legalnym. Do Dranu chcieli zawinąć na krótko, tylko po to, by zabrać zostawionych w Starej Wierzbie żeglarzy. Wydawało się niezbyt prawdopodobne, by ci trzech majtkowie mieli coś ciekawego do powiedzenia,

niemniej... Tak czy owak, należało ich zabrać.

Bohed nie umiał zgadnąć, jakie otrzyma rozkazy po wykonaniu tej misji. Ridareta nie chciała powiedzieć, co zamierza. Wcale by się nie zdziwił, gdyby wyszło na jaw, że nie wie.

Z trudem utrzymywał ją w ryzach. Przepaść między niesamowitą i dziwną legendą a codziennością była naprawdę duża. Kobieta-Rubin, nieomal jakaś Przyjęta, dowodząca przeklętym żaglowcem, oglądana z bliska jawiła się jako wesoła dziewczyna wiecznie płasająca z marynarzami w rytm bębena, okaryny i fujarki, lubiąca wypić za dużo wina, leniwa i zazwyczaj wygadująca głupstwa. O morzu nie miała pojęcia. Świetna pamięć pozwalała jej dość pewnie prowadzić żaglowiec w pobliżu znanych brzegów, bo rozpoznawała każdy klif i każdą wioskę rybacką, które zobaczyła choć raz w życiu – ale to było właściwie wszystko. Bohed znał Meveva Cichego i nie mógł się nadziwić, że ten niezły żeglarz gotów jest bez końca służyć pod swoją kapitaną, gdy od dawna mógłby mieć własny okręt, gdzie nie musiałby spełniać cudacznym zachcianek rozpapranej baby. Jaka zresztą miałyby być?...

Z kobietami na morzu nie dało się dojść do porządku. Rudy Bohed nie dziwił się byle czemu, obejrzał kawał świata. Słyszał o potężnych władczyniach – a kimże w końcu były te dwie, które teraz rządziły Szererem? Znał imiona sławnych wojowniczek, takich chociażby jak armektańska nadtyśniczka Tereza, będąca naprawdę doskonałym wodzem (w Armekcie nie mówili „doskonałą wodzą”, bo na szczęście wiedzieli, kiedy przestać; wymyślona przez załogę Ridarety nieco żartobliwa

„kapitana”, to jeszcze od biedy brzmiało, ale „wodza”?). Słyszał nawet grombelardzką legendę o Królowej czy Księżniczce Gór, która podobno umiała sobie radzić.

Władczyni, dowódczyni, a niechby nawet chodzące po górach awanturnice. Dobrze. Ale na pokładach okrętów kobiety nijak się nie sprawdzały. Bohed nie słyszał o żadnej, która byłaby czymkolwiek więcej niż tylko problemem dla załogi. Taki „Zgniły Trup” kiedyś, dziwnym trafem, wszystkich sławnych czynów dokonał, gdy Ridi nie było na pokładzie. Ot, przypadek.

Już u brzegów Garry odpadli lekko od wiatru, by podejść do ujścia Baharu. Tylko jedno z ramion delty nadawało się do czegokolwiek, tam właśnie leżał Dran. A tutaj nie było niczego. Raz i drugi „Zgniły Trup” podjął kogoś z brzegu, nie chcąc wchodzić do portu ani nawet pokazywać się na redzie.

Ridareta i jej sześciu majtków byli na pokładzie. Bohed już wiedział, że ci trzej, których należało zabrać z Dranu, mogą równie dobrze czekać tutaj.

Miała naprawdę bardzo dobry wzrok. Nawet kiedyś, jednooka, potrafiła zadziwić. Teraz patrzyła dwójgiem oczu.

Pokazała palcem.

– Widzicie?!

Nie myliła się. Čwierć mili od ujścia Baharu rozciągała się dość szeroka piaszczysta plaża – rzadkość, bo w tej części Garry plaże były zazwyczaj kamieniste. W tę i nazad biegało po tej plaży dwóch ludzi, wymachujących szmatami, zapewne częściami odzienia.

Obejrzała się i dostrzegła Boheda.

– To moi! – zawołała z taką pewnością, jakby mogła

dostrzec twarze odległych ludzików. – Możesz śmiało podejść bliżej, sondowałam dno, a potem podchodziłam kilka razy! Przy samym ujściu są mielizny, tu nie!

Bohed skinął głową na zgodę i wydał kilka rozkazów. Odpadli jeszcze trochę i poszli prosto w stronę brzegu. Kazał przygotować łódź. Obsady nie wyznaczył, bo było jasne, że powiosują chłopcy Ridi. Dodał im tylko sternika.

– Ty nie pływaj – rzekł do Ridarety. – Bądź mądra, księżniczko. Raz zachowaj się jak... kapitan.

Popatrzyła obrażona, lecz po chwili skinęła głową.

Szybko zbliżali się do brzegu. Coraz wyraźniej było widać zziębniętych mężczyzn na plaży. Już niczym nie wymachiwali, w zamian coś krzyczeli, ale słów nie dało się rozróżnić. To na pewno nie były jednak okrzyki ostrzegawcze, brzmiało w nich raczej „nareszcie!” albo „wszystko w porządku!”. Może nawet wiwatowali. Myślałby kto, że koczowali na bezludnej wyspie – i oto nadchodzi ratunek.

Kotwica poszła w dół.

Pod samą wydumą siedział jeszcze jeden mężczyzna, słabo widoczny na tle morskich traw. Dojrzeli go dopiero, gdy wstał. Ridareta wrzasnęła i rzuciła się w kierunku opuszczanej na wodę łodzi. Było jasne, że jednak popłynie.

Idący w poprzek plaży Mevev też ją dojrzał i rozpoznał. Zatrzymał się na chwilę, a potem beznadziejnie lazył i lazył, aż fale sięgały mu do pasa. Potem już tylko tkwił w morzu i czekał na swoją kapitanę.

Niektóre bajki były prawdziwe.

Łódź wkrótce wróciła, wioząc wszystkich. Wyszło na jaw, że „Delara” nie zejdzie z kotwicy tak od razu. Miał

dołączyć jeszcze jeden marynarz, któremu ci z plaży musieli zostawić wiadomość w umówionej gospodzie. Pilnował portu w Dranie i teraz mógł przestać.

o o o

Kapitańska kajuta na „Delarze” była całkiem wygodna, w każdym razie czworo ludzi siedzących wokół stołu nie stworzyło tłoku. Gwaru też nie było, choć trunku nie brakło. Na razie nikt nie miał nic do powiedzenia.

Mevev Cichy opowiedział historię swoją i Sayła, udzielił odpowiedzi na kilka pytań, potem z ulgą zamilkł. Bohed myślał; Ridareta myślała bądź udawała, że myśli; zastępca Boheda ostentacyjnie nie myślał, bo to nie były sprawy na jego miarę. Musiał wiedzieć, na czym stoi, gdyby przyszło mu objąć dowodzenie okrętem w zastępstwie Boheda – tylko dlatego siedział tu razem z pozostałą trójką.

Tallett – bo choć był Wyspiarzem z dziada pradziada, takie dartańskie imię nosił; spodobało się jego matce – umiał dochować każdej tajemnicy, czego dowiódł po wielokroć. Drugi oficer na okręcie Raladana miał dostęp, bo mieć musiał, do wszystkich sekretów wojskowych i politycznych. W zamian nie miał długiego języka. I żadnej ochoty do podejmowania jakichś decyzji o sojuszach bądź niesojuszach. Brzydził się.

Kiwały się dwie latarnie pod sufitem, cichutko skrzypiały wiązania kadłuba w rytm leniwego kołysania. Siedząca na którymś z masztów mewa darła ryj.

Najwięcej wiedział Cichy, ale nadawał się do podobnych zabaw tak mniej więcej, jak oficer Boheda.

Najważniejszą osobą była Piękna Ridi, bo jako agarska księżniczka mogła podjąć tu jakieś decyzje. Najmądrzejszy był chyba Bohed, lecz on tylko dowodził okrętem.

Nic tu z niczym nie chciało iść w parze. Wyglądało na to, że rozum Boheda musi się ożenić z wiedzą Cichego, i dopiero wtedy będzie nadzieja na dziecko: decyzję Ridarety.

Mevev co chwila popatrywał na swoją kapitanę. Nic nie mówił, tylko kiwał głową. Ale raz się lekko uśmiechnął, patrząc jej prosto w oczy.

W OCZY. Nie miała żadnej przepaski.

W odpowiedzi na jego spojrzenie i uśmiech rozpromieniła się tak, że było zupełnie jasne, że gdyby nie obecność tamtych dwóch, od razu wyskoczyłaby ze swojej czerwonej kiecki. Bo nie miała hajdawerów ani zawiązanej na supeł koszuli; to był strój kapitański tylko na jej własnym okręcie. Na „Delarze” nosiła się niczym królewna.

Czy zdążyła już zapomnieć, o czym rozmawiają?...

Jednak nie.

– Raladan. To on musi postanowić, nikt inny – powiedziała i trzepnęła dobre pół kubka wódki, po czym zaraz zagryzła śledziem.

Nie miała przesadnie mocnej głowy, a poza tym zwykle piła wino. Jeśli chcieli podjąć jakieś decyzje, to zostały najwyżej dwa kubki czasu.

– Jest w tej chwili gdzieś przy Wyspach Sierocych, a może i pod Nin Aye. „Pociecha” to szybki statek – orzekł Bohed, a Cichy skinął głową; mogło to coś oznaczać albo nie. – Nie dogonimy Raladana na morzu. Na lądzie

w Dartanie też nie. Bo wybrał się do Rollayny?

– Właściwie to nie wiem – odpowiedziała z namysłem.

– Niby tak, ale... To jest dartańska królowa – przypomniała i przygryzła lekko wargę. – Do pałacu nie wchodzi się jak do tawerny. Raladan już kilka miesięcy temu posłał kogoś, kto miał go umówić z Ezeną. Wiem, że przyszła odpowiedź, ale z tej odpowiedzi... Zrozumiałam, że w Seyenie, bo „Pociecha” najpierw zawinie do Seyenu, Raladan spotka się z kimś. Czyli będzie ktoś czekał. Ale kto i po co?... – Pokręciła głową. – Może mówił, ale nie słuchałam – wyznała z całą szczerością. – Może wcale nikt tam nie czeka, tylko stale siedzi i będzie miał wiadomość. Jakiś królewski urzędnik? No nie wiem.

– Wszystko jedno – zauważył Bohed. – Tak czy owak go nie dogonimy. A jeżeli nawet, to na pewno nie mamy tyle czasu. Mówimy o tygodniach, a nawet miesiącach. Cała ta wojenna intryga – skinął głową w kierunku Cichego – na pewno nie może tak długo czekać. Tutaj też musi upłynąć trochę czasu, nawet po przekazaniu wiadomości, że Agary są gotowe do rozmów. Te wieści nie pomkną powietrzem, ktoś je musi gdzieś zawieźć albo zanieść, ktoś inny musi rozważyć i znowu posłać odpowiedź. Twój setnik, yyy... Derrhert?... Setnik Derrhert wymyślił, że popłyniesz na Agary, a wtedy przyplynie tu z powrotem ktoś, kto może podjąć każdą decyzję, więc określi czas i miejsce spotkania. I z wielkim trudem da się to wszystko dopiąć do jesieni. Pływania i biegania po całym Szererze w tę, nazad i znowu z powrotem nikt tu nie brał pod uwagę. Wasza wysokość?

– Hm?

Nie dostrzegła lekkiej kpiny w głosie dowódcy

„Delary”.

– Ty musisz podjąć decyzję. Nawet na Agarach nikt tego za ciebie nie zrobi. Książę Nevin czy księżniczka Izetta? Piękna Lasena czy naczelny wódz floty Ahagaden?

– Agarami w imieniu Raladana rządzi w tej chwili Lasena. Po to ma się takie niewolnice, żeby pod nieobecność zastępowały...

Zamilkła.

– Lasena nie jest żeglarzem. Ani żołnierzem – rzekł Cichy. – Jeśli będzie musiała, to tak. Postanowi. Myślisz, że najmądrzej, kapitana?

Bohed wskazał Cichego otwartą dłonią tak, jakby mówił: „Proszę bardzo!”.

Nigdy nie ukrywał, że ma wcale dobrą opinię o rozsądku małomównego zastępcy Ridarety. Pomylenieć, zgoda, ale tylko czasem. Wtedy kiedy trzeba.

Znali się całkiem nieźle, kilka lat temu wracali razem z Londu na Agary. Trzeba trafu, wtedy to nikt inny jak Cichy wyratował tyłek Boheda z opresji. Gdyby chłopcy ze „Zgniłego Trupa” nie spalili portu na rozkaz „pomyleńca”... Ucieczka z miasta mogłaby się nie udać, a gdyby się nawet udała, to Rudy Bohed i jego załoga wracaliby na Agary piechotą. Jakieś tysiąc sto mil w linii prostej, z tego ładny kawałek po wodzie.

– Mają Sayla i kilku chłopaków. I Kitara – powiedziała i znowu się napiła. – Jeśli ich wypuszczą, to utopimy dla nich tych Armektańczyków.

– Ahagaden nie ruszy swoich karak bez rozkazu Raladana.

– To nie dotrzemy umowy – powiedziała i wzruszyła ramionami. – Raladan załatwi coś w Dartanie,

a może nie załatwi. A po zwycięstwie powstania Garra znowu będzie chciała rozmawiać z Agarami. Nie znam się na polityce, ale tyle wie każdy: w polityce nikt nigdy nie dotrzymuje słowa, a i tak każdy z każdym rozmawia. A najbardziej się rozmawia z tymi, którymi wszyscy się brzydzą. Po co gadać z uczciwym i spokojnym władcą, który nie szykuje niczego śmierdzącego?

Przyglądali się jej uważnie.

– Piraci z Agarów nie znikną i Garra wróci do rozmów, bo inaczej ciągle będzie miała problem – wyjaśniła. – Nowe królestwo miałyby wojować jednocześnie z Armektem i z Agarami tylko dlatego, że księżniczka Ridi, piratka i wyrzucona z Aheli banitka, nie dotrzymała słowa? A kto to jest Ridi? Hersztowa jednego okrętu. Raladan, jeżeli będzie chciał, zacznie się z nimi dogadywać od początku. I tyle.

Zastanawiali się.

– Kto wie? – rzekł na koniec Bohed. – Nie masz honoru, a nawet wstydu, księżniczko – dodał zupełnie poważnie. – Wygląda na to, że nadajesz się do politycznych rozmów z każdym.

Ucieszyła się i obdarzyła go uśmiechem.

– Ja tu przypłynęłam po moich zastępców i Kitara – rzekła jeszcze. – Całą resztę Szereru mam gdzieś. Mogę nie dotrzymać jakiegokolwiek umowy.

– Niech będzie. Jutro albo pojutrze zabieramy z brzegu tego twojego ostatniego załoganta – rzekł dowódca „Delary”, patrząc na Cichego, po czym zwrócił spojrzenie na królowną w czerwonej sukni, bawiącą się swoimi dziesięcioma naszymi, dobranymi bez ładu i składu, ale wartymi tyle, ile jego okręt. – Gdzie płyniemy potem?

Wiadomość można zostawić tutaj albo w Bagbie, tak? – zwrócił się znów do Meveva.

Zapytany potwierdził.

– „Tu” jest zawsze bliżej niż „tam” – stwierdził Bohed.

– Niby tak – powiedziała. – Ale gdzie jest Kitar? Sayl siedzi pewnie w tym miejscu, gdzie trzymali ciebie. – Popatrzyła na Meveva z namysłem. – Czyli gdzieś niedaleko Dranu i może nawet wiem gdzie. A Kitar?

– Będziesz zgadywać, kapitana?

– Tak. Próbuję od kilku dni. Już parę razy w życiu całkiem nieźle mi poszło. Tylko ten ktoś musi mocno o mnie myśleć i chyba... – Zawahała się. – Chyba musi być blisko morza, bo moje Ciemne Pasma jest nad morzem. Dwa razy znalazłam Raladana. A pamiętasz tego grubego wojaka, tutaj w Dranie? – Parsknęła, bo to była trochę dziwna, a trochę śmieszna historia.

Patrzyli w milczeniu.

– To jest... naprawdę możliwe, wasza wysokość? – zapytał zastępca Boheda, odzywając się po raz pierwszy.

Pochyliła się ku niemu tak gwałtownie, że omal nie spadł ze stołka. Parsknęła śmiechem, pogroziła mu palcem i dopiła wódkę. Była już troszeczkę wstawiona.

– Pewnie, że tak – odrzekła leniwie. – Żebyś wiedział, jakie rzeczy są możliwe. Popatrz na mnie. Ile mam oczu? A na ile lat wyglądam? No właśnie. A ty pytasz, czy ja mogę zgadnąć, gdzie ktoś jest?...

Patrzyła badawczo.

– Który mamy rok? No który? – ponagliła. – Straciłam rachubę...

– Czterysta trzydziesty trzeci ES.

– Czyli mam... poczekaj... Czterdzieści jeden lat. Jestem

sporo starsza od ciebie. Dobrze mówię?

Przyglądała mu się piętnastolatka w troszeczkę za luźnej sukni.

Łatwo przychodziło zapomnieć, kim albo CZYM była.

– Przestań, kapitana. Głupia jesteś? Będziesz nas teraz straszyć? Nawet ja się jeszcze do ciebie nie przyzwyczyłem.

Uśmiechnęła się doń.

– Dajcie mi trochę czasu. A najlepiej by było, gdyby Kitar zaczął o mnie myśleć. Bo chyba nie myśli – powiedziała z leciutką goryczą. – Jak sprawić, żeby zaczął?

– Posłać mu wiadomość. Zacząć rozmowy z żołnierzem. Postawić warunek: niech da dowód, że Kitar żyje. Księżniczka Ridareta chce dostać wiadomość od Kitara. Taką, która ją upewni, że on żyje. Bez tego nic.

Marszczyła brwi.

– Okropnie długo to wszystko będzie trwało – oceniła. – Ale chyba tak zrobimy, bo nie mam lepszego pomysłu. Czyli zostawimy wiadomość tutaj, w Dranie. W tawernie U Szypra, tak mówiłeś? – Znowu się zadumała. – Dziwnie to wszystko się plecie. Znam tę knajpę. Nawet nie wiedziałam, że wciąż stoi. Było przecież powstanie, a potem minęło tyle lat...

Patrzyła gdzieś w przestrzeń.

– Miałam powiedzieć, że przysłał mnie Ehaden – szepnęła sama do siebie; prawie nie usłyszeli. – A potem Raladan powiedział mi o nich, o Riolacie i Lerenie... O tak. O tym, że chciały mnie zabić. Moje córki.

Napiła się.

Przez chwilę w jej oczach naprawdę było widać

czterdzieści lat życia. Albo i dwa razy tyle.

ROZDZIAŁ 15



Wielkie gmaszysko Trybunału Imperialnego mieściło nie tylko archiwa, niezliczone kancelarie, sale sądowe i sale narad. Były też cele więzienne oraz izba przesłuchań, ale o nich na ogół się nie mówiło. Ponadto część budowli zapewniała wygodne pomieszczenia mieszkalne. Ten gmach kiedyś przebudowano. Jeden z korytarzy prowadził ku wąskim schodom, wiodącym na dwa najwyższe piętra, gdzie mieściły się prywatne komnaty.

Nie wszyscy najwyżsi rangą urzędnicy chcieli z tych komnat korzystać, niektórzy wybierali domy w Starej Dzielnicy. Jednakże jej dostojność T.M.A.Doria bardzo ceniła swój czas. I wygodę. Nie istniał żaden powód, dla którego miałyby używać tych koszmarnych garyjskich lektyk bądź przemierzać pieszo ulice. Tutaj od miejsca pracy dzieliły ją dwa piętra i dwa krótkie odcinki korytarza.

Nawet widok z okien był w sam raz. Dachy starej dzielnicy, potem jeszcze kawałek miasta. I nakryty niebem wąski pasek morza, w którym zanurzało się czerwone słońce – zawsze wtedy, gdy brakło chmur.

Chyba nie była prawdziwą córą Wielkich Równin. Jak na Armektankę, zbyt lubiła morze.

Służka wprowadziła zapowiedzianego przed chwilą

gościa, więc Doria stanęła tyłem do okna. Poczowała na plecach dotyk schodzącego już nad wodę słońca.

Przestronna komnatka urządzona została – jakżeby inaczej – na armektańską modłę: wygodnie, ale oszczędnie. Armektańczycy odczuwali potrzebę podkreślenia, że znają umiar. Czasem prowadziło to do zabawnych sytuacji: taniej byłoby zostawić kosztowne urządzenie komnaty, niż wymienić na nowe, skromniejsze.

Doria jednak niczego nie wymieniła. Wcześniej te pokoje zamieszkiwała inna urzędniczka, też Armektanka. Sprzęty były raczej solidne niż piękne, łóżko nieprzesadnie szerokie, zasłony i obicia gustowne, lecz niezbyt drogie. Największe wrażenie wywierała bezdrzwiowa szafa ze zwojami i księgami. Rozpowszechniane w wielkiej liczbie, bo powielano je na potęgę jeszcze dziesięć i dwadzieścia lat temu, gdy imperium mogło wydawać pieniądze na książki, nie były równie kosztowne jak przed półwieczem, wciąż jednak przedstawiały sporą wartość. Kilkadziesiąt dzieł; różnobarwne wstążki tytułowe wyraźnie wskazywały, że to nie są dokumenty. Tytuły ksiąg i zwojów nie udałooby się zebrać z pięćdziesięciu magnackich domów w Dartanie. A może i stu pięćdziesięciu.

To już prędzej zebrano by tutaj, na tej zanurzonej w przeszłości, skamieniałej niczym relikwiarz wyspie. O Garyjczykach wiele złego dało się powiedzieć, ale choć nie dzielali armektańskiej miłości do słowa, to nie było mowy, by szlachetnie urodzony człowiek nie umiał czytać i pisać. Jednym z tradycyjnych obowiązków ojca, a gdy ojca zabrakło, to stryja albo dziadka, było przekazanie tej

sztuki potomnym. O dziwo, dotyczyło to nie tylko synów. Także córek.

Tajemnicza sprawa o tyle, że w oczach Garyjczyka szlachetnego rodu (bo chłopci i mieszczenie byli jakimś cudem przytomniejsi, nie tak rozkochani w tradycji) wyżej od kobiety stała bodaj koza. A kóz nie uczono czytania.

– Służbowo czy prywatnie? – zapytała Druga Przedstawicielka.

Jeśli wziąć pod uwagę, że przyjęła gościa w sypialni – co prawda mającej wiele cech pokoju o ogólnym przeznaczeniu – pytanie zabrzmiało dwuznacznie.

– Jak zwykle, wasza dostojność – odpowiedział setnik-kapitan Derrhert, zsuwając z głowy kaptur, a następnie zdejmując płaszcz i rzucając go beztróska na posłanie. – Najpierw służbowo. Ale i tak bym przyszedł, bo jutro wracam do siebie. Koniec urlopu i koniec zwiedzania przepięknego Dranu, wojsko w takich sprawach nie żartuje. No chyba że opowiem przełożonym, że mnie zatrzymały obowiązki tajnego urzędnika Trybunału.

– Tak, a wtedy dostaniesz urlop...

– Dożywotni.

– Hm. Chciałam powiedzieć: bezpłatny i bezterminowy.

– Wszystko jedno. Nic im nie powiem, więc muszę wracać na „Drugi Szkwał”, a przynajmniej na Sarę. Dlatego mówię, że i tak bym przyszedł, żeby się pożegnać.

Lekko zmarszczył brwi.

– Pamiętaj – dodał – że wszystkie uzgodnienia Trybunału ze Strażą Morską Garry i Wysp mają mnie omijać wielkim łukiem. Jeśli ktokolwiek poweźmie podejrzenie, że pracuję dla dwóch instytucji... Chcę nadal

dowodzić okrętem. W Morskiej Prowincji tak długo jak można, a potem w którejś z pozostałych flot imperialnych, może być nawet Flota Grombelardzka, wszystko jedno.

Przyglądała mu się z uwagą. Mówił rzeczy tak oczywiste, że było to aż obraźliwe. Naprawdę bardzo mu zależało na pozostaniu w wojsku. I we flocie.

Cokolwiek myśleć, był dobrym dowódcą okrętu. I chyba tak samo udatnie mógłby dowodzić eskadrą. Ale nigdy o to nie zabiegał, chociaż mógł. Uważał, że awansuje w swoim czasie. Prawdę mówiąc, niewielu znała tak rzetelnych i uczciwych, a do tego jeszcze zdolnych ludzi.

Nigdy nie rozumiała, jak ktoś podobny łączy swoją uczciwość z krecią – bo potrzebną i pożyteczną, ale przecież krecią – robotą dla Trybunału. Z okłamywaniem w żywe oczy takiego kapitana Kitara albo Meveva Cichego. Wszystko jedno, kim byli ci ludzie, Derrhert dawał im przecież swoje słowo. Przyrzekał, zapewniał, zaręczał.

Zależało mu na Armekcie. I na Wiecznym Cesarstwie.

Ten drugi, setnik Mawew – o tak, to była kanalia. Gotów zrobić wszystko dla złota i wyratowania się z kłopotów, które sobie i rodzinie sam ściągnął na głowę. Brał żołd oficerski, potem oprócz żołdu pieniądze od piratów, a od pewnego czasu dodatkowo płacił mu Trybunał. Nie drgnęłaby jej powieka, gdyby wyszło na jaw, że spiskuje z rebeliantami i jeszcze zbiera wieści dla królowej Dartanu. A na koniec sprzedaje tajemnice handlowe Związkowi Portów Wschodnich.

Pokazała Derrhertowi palcem, gdzie powinien usiąść.

W komnacie zwracał uwagę sławetny armektański stopień, wiodący od ściany do ściany. Niewygodny, a nawet uciążliwy, był niczym sterczący z ziemi korzeń na leśnej polanie, gdzie plemię synów i cór Ri Silloru urządziło sobie koczowisko.

Derrhert pamiętał o korzeniu i nie potknął się.

Pokiwała głową.

– Opowiesz mi o wszystkich swoich nieszczęściach – rzekła żartobliwie. – Ale najpierw te inne, nudne sprawy.

Nie byli kochankami. Poznała go rok temu jako najcenniejszego tajnego urzędnika Trybunału we Flocie Głównej Garry i Wysp. Rzecz niezwykła – po prostu się zaprzyjaźnili. Może dlatego, że trochę przypominał jej brata.

– O nie, nie będą nudne. Te sprawy. I obyśmy zdążyli omówić je do wieczora. – Wskazał okno, gdzie nisko wiszące słońce już zaczynało ziewać. – Nie uwierzysz: w twojej sieci jest ryba. Nie płotka, coś naprawdę dużego. Jeszcze może się wyplątać, ale... nie bardzo na to wygląda. Jestem dobrej myśli, bądź i ty.

– Zawsze jestem dobrej myśli.

– Nigdy.

– Zawsze.

– No dobrze, więc bądź i teraz.

– Opowiadaj, najnudniejszy mężczyzno na świecie.

– Męska moc nie mieści się w słowach.

– Zaraz ci przyłożę kolanem w to, w czym się mieści.

Zostaniesz bez mocy. Opowiadaj.

– Prawie nie ma o czym. U Szypra zostawiono wiadomość. Nie spodziewałem się, że to będzie aż tak szybko, i to mnie trochę niepokoi – wyznał. – Zwłaszcza

że...

Wzruszył ramionami.

Usiadła naprzeciw, rozdzielał ich mały stół. Nigdy jej nie powiedział (rzecz raczej oczywista), że wcale nie jest piękna, zresztą chyba o tym wiedziała. Ale równie dobrze wiedziała, że dotyczy to tylko twarzy. Świetnie wyglądała w każdej sukni, a ponieważ był mężczyzną, doskonale umiał sobie wyobrazić wszystko, co pod suknią. Stroje miała dopasowane, po armektańsku śmiało porozcinane. Przynajmniej takie nosiła w prywatnych komnatach i w ogóle tym gmachu, bo gdzie indziej budziłyby zgorzienie.

Rzadko widywał lepiej zbudowane kobiety – a trzeba powiedzieć, że sporo ich w życiu oglądał. W sukniach, a nawet bez.

– Zwłaszcza że...? – ponagliła.

– Wiadomość napisano w imieniu księżniczki Riolaty Ridarety.

– Nie uwierzę.

– Jakże słusznie. Przyszedłem cię oszukiwać.

Patrzyła z głębokim namysłem.

– Naprawdę sądziłam, że to tylko zmyślenia. Że Agary podtrzymują mit swojej sławnej piratki, która...

– Wygląda na to, że nie.

– Czy to możliwe, żeby ten jej oficer, Mevev Cichy, zdążył na Agary i...

– Możliwe. Przy dobrym wietrze to tylko kilka dni w każdą stronę. Albo to ona wcześniej przypłynęła tutaj, na przykład po to, by poszukać swoich zaginionych oficerów.

– I Ślepa Foka Ridi naprawdę żyje? To nie bajki?

Pogłoski?

Wciąż nie dowierzała.

– Gdzie ją trzymali przez ten czas? I dlaczego w ogóle gdzieś trzymali?

Rozłożył ręce.

– O co, Dorio, jeszcze mnie zapytasz? Nie spałem z Piękną Ridaretą i w życiu nie widziałem jej na oczy. Kiedyś została skazana na banicję, o tym wiemy z całą pewnością, bo w agarskiej Aheli przez miesiąc o niczym innym nie mówiono, a posłyszeć o tej sprawie można jeszcze dziś. Nadal zresztą śpiewają o tym w knajpach, i to nie tylko agarskich. Może znowu zrobiła coś takiego, że... trzymano ją w jakimś więzieniu? W odosobnieniu? Nie wiem. Księżniczka Ridi to jest coś, co trzeba trzymać na łańcuchu i pilnować, żeby go nie przegryzło, nawet na Agarach to wiedzą. Chodziły słuchy, że nie żyje. A potem, że jednak żyje. Albo żyje i trochę nie żyje, bo tak się przecież zdarza każdemu.

Wzruszył ramionami.

– To nie ona zostawiła wiadomość U Szypra. Tyle mogłem sprawdzić. Że nie ona ją dostarczyła – uściślił.

– To akurat chyba nic dziwnego. Księżniczka, samozwańcza albo nie samozwańcza, do tego dowódczyni okrętu... Chyba ma kogo posłać z byle świstkiem.

– Całkiem ładny rulonik. A pismo kształtne, wyrobione, żadnego błędu, przynajmniej ja nie znalazłem. Nie wiem, kogo wożą w tej pirackiej flocie?... Trzymam jednego, który zna tyle języków co ty, a czyta i pisze znacznie lepiej niż ja. Teraz dostałem pismo, którego by się nie powstydziała kancelaria dartańskiej vany.

– Podobno Piękna Ridareta jest półkrwi Garyjką szlchetnego rodu. Może sama to napisała? W garyjskich domach przykładają wielką wagę do urody pisma. Chyba większą niż do treści. Ale ty powinieneś wiedzieć o tym więcej.

Żachnął się.

– Znowu złośliwa? – zapytał. – Już ci mówiłem, ile we mnie Garyjczyka. Imię wybrał mi dziadek. Dobry człowiek... i wystarczająco bogaty, żeby nie robić mu na złość. Gotów źle podzielić spadek, a po co? Jeszcze dzisiaj gorzej mówię po garyjsku niż po armektańsku.

Zaśmiała się, bo rzeczywiście lubiła być złośliwa. Zaraz spoważniała.

– I co było w tym pięknym ruloniku?

– Żądanie. Jej wysokość Riolata Ridareta życzy sobie mieć dowód, że kapitan Kitar żyje. Gdy dostanie dowód, da znać, gdzie i kiedy będzie z nią można porozmawiać.

– A co może być dla niej dowodem?

– Wiadomość od Kitara. Taka, którą księżniczka bez żadnych wątpliwości uzna za prawdziwą. Jeśli się zastanowić, to kapitan Kitar na pewno bez trudu wymyśli parę słów, których nie przekazałby Ridi nikt inny. Był jej narzeczonym, zdaje się? No to może mówił do niej „rybko”. Albo „moja trująca ośmiorniczko”.

– Mogłeś przynieść ten liścik.

– Od razu niszczyć takie rzeczy. Po tych spokojnych ulicach niczego nie warto obnosić, a zostawić nie bardzo mam gdzie. Bo przypomnę ci, że nie mam tutaj domu, mieszkam kątem w jednej z „izb gościnnych” garnizonu. Tak nazywamy komórkę z pryzami dla kilku osób. My, wojskowi. To nie są wnętrza podobne do tych tutaj.

– Na Sarze chyba mieszkaś nie lepiej.

– Na Sarze w ogóle nie mieszkam. Mam kajutę na swoim okręcie, miałbym dostać jeszcze kwaterę na lądzie? To by była karygodna rozrzutność. W garnizonie jest izba noclegowa dla oficerów, którzy muszą zejść na ląd w jakichś sprawach.

– Więc nie narzekaj tak bardzo. Żołnierzyku.

– Dobrze, urzędniczko. Nie będę.

– Skoro Piękna Ridi nalega, to dostarczymy jej ten dowód. Ale poza tym...? – Zawiesiła głos. – Rzeczywiście byliby gotowi wydać bitwę twojej eskadrze?

– Całej flotyli. Tak, byliby gotowi. Agary nie mają nic przeciwko temu, żeby po zwycięstwie powstania utrzymać rozejm z Królestwem Garry. I naprawdę wcale mnie to nie dziwi. To księstwko przetrwa jedynie wtedy, jeśli dogada się i z Garrą, i z Dartanem. Po zwycięstwie powstania będą mogli łupić tylko Armektańczyków, bo Armekt jest daleko. I jakkolwiek będą mu dokuczać piraci z Agarów, to nie aż tak, by pchać znaczące siły morskie na wody kontrolowane przez Garrę i Dartan – tłumaczył, a raczej tylko przypominał. – Kupcy bardzo szybko odnajdą się na nowej mapie Szereru i będą handlować z każdym, ku zadowoleniu wszystkich, bo przecież zawsze tak jest. Ale wojenny okręt armektański nie wpłynie na Bezmiar Bliski, bo to kocioł, w którym zaraz ktoś go ugotuje, nawet w czasach najświętszego pokoju, potwierdzonego dziesięcioma traktatami. I nikt nigdy się nie dowie, kto właściwie ten okręt ugotował: Dartan, Agary czy Garra. Nasz kraj ma tu samych przyjaciół.

– Okręt. Jeden. Ale wiele okrętów? Jeśli zapanuje rozejm albo pokój, to pod jakim pozorem Garra albo

Dartan miałyby zakazać Armektowi rozprawy z agarskimi piratami?

– Dorio. Tego portu na Agarach nie zdobędzie się z morza ot, tak. A w obliczu agarskiej floty nikt nie wysadzi pokładowych żołnierzy na ląd po drugiej stronie wyspy, bo jak wrócą, to nie znajdą swych okrętów. Kto je obroni na kotwiczowisku?

– Może inne okręty z żołnierzami na pokładach? – Przedstawicielka Sędziego bardzo lubiła morze, ale poczynania flot nieodmiennie ją irytowały.

– Więc jak liczną armadę trzeba by tam wysłać? Dwadzieścia dobrze obsadzonych żaglowców i jeszcze siedem, osiem wielkich statków transportowych z dodatkowym półtora tysiącem piechurów do walk na lądzie? Wiecznego Cesarstwa nie stać na taki wysiłek. Ani teraz, ani w przyszłości, do której warto sięgać myślami. O Dartan biło się paręnaście tysięcy żołnierzy, a do sterzącego z wody zadka pošlemy cztery tysiące legionistów i piechoty pokładowej? Nie licząc tysiąca marynarzy, bo na trzydziestu żaglowcach tyle będzie.

– Czyli po zawarciu jakichś umów z Dartanem i Garrą...

– Agary będą bezkarnie się żywić towarami naszych kupców. Trochę schudną, ale z głodu nie umrą. Ma prawo im zależeć na przychylności Garry.

– Na pewno jest, jak mówisz – powiedziała z namysłem.

– Ale skoro tak... Właściwie wszystko idzie po naszej myśli.

– Na to wygląda.

– Można zaufać Agarom? Że niczego nie knują? Dotrzymają umowy?

– W granicach rozsądku: tak. Jako rebeliant chyba

byłem przekonujący.

– Więc dlaczego coś mi się w tym nie podoba?

– Bo za łatwo idzie. Nie lubisz.

– Rzeczywiście nie lubię.

Uniósł dłoń z rozcapierzonymi palcami i zginał je kolejno w miarę wyliczania. Prawie się uśmiechnęła, bo to jednak było po garyjsku... Na kontynencie odwrotnie: po kolei prostowano palce.

– Zależy im, a w każdym razie Pięknej Ridarecie, na Kitarze. Agary naprawdę muszą poszukać sobie sojusznika, albo chociaż niewroga. Tylko z Armektem na pewno nie zdołają się dogadać. Mają siły więcej niż wystarczające, by puścić na dno Flotyllę Archipelagu Południowego.

Został ostatni niezgięty palec.

– Ale nie pól Floty Głównej ze wsparciem eskadr Floty Rezerwowej. Sami się stawiają na spotkanie z tymi trzydziestoma okrętami, które w jednej wielkiej bitwie nie dadzą im żadnych szans. I dartańska królowa nie skorzysta ze świetnej floty Agarów w przyszłym roku ani w ogóle nigdy – zakończył, zginając ostatni palec. – Teraz jest jedyna okazja i możliwość, by ukrećić Agarom łeb. Nie trzeba pchać floty dokoła całego Szereru przez kontrolowane przez wroga morza, bo wciąż siedzimy tutaj i w tym roku nie będziemy mieli nic do roboty. Jeśli niczego nie pokpimy, Przedstawicielko Sędziego, i pošlemy tutaj na dno ich flotę, to miesiąc później wysadzimy na Wielkiej Agarze morskich piechurów, którzy spokojnie zejdu na ląd, bo ich opuszczonych i bezbronnych okrętów nikt nie spali, kiedy będą sobie stały na kotwicy i czekały, aż pokładowi żołnierze

wykonywają robotę na wyspie. Agarskie basteje bez floty są niewiele warte, a zresztą niech sobie tam sterczą i groźnie celują z dział w morze – tłumaczył znowu. – Spalimy tę ich Ahelę, nie będziemy tego przecież trzymać, więc po naszych odwiedzinach basteje będą bronić niczego. Minie sporo lat, zanim z Agarów skorzysta ktokolwiek. Tak, nie będziemy mieli ich miedzi ani tłuszczu i fiszbinu z wielorybów, ale tak samo nieprędko będzie miał ktoś inny. A floty i państwka nie odtworzą już nigdy, bo Garra we własnym interesie na to nie pozwoli. Z istniejącym księstwem pirackim warto się dogadać, ale do powstania nowego lepiej nie dopuścić.

– Garyjczycy włączą Agary do swojego królestwa. Wzmocnią się. Zdobędziemy te wyspy dla nich. Wystarczy, że je potem obsadzą.

– Najpierw będą musieli wszystko odbudować, bo nie zostawimy tam nic. Minie dekada, zanim...

– W końcu jednak odbudują i odniosą korzyści.

– Tak i nie. Agary są silne, bo pilnują tylko swoich interesów, czyli interesów dwóch wysp. Dla Królestwa Garry utrzymywanie na końcu świata dodatkowych wojsk i floty, a o urzędnikach już nie wspomnę, to spory wysiłek i kłopot. Pożytek niby też, ale jednak... coś za coś. Jeśli doliczyć pieniądze, które będą musieli wsadzić w te spalone wysepki, zanim...

– Już wystarczy, zrozumiałam sprawy wojskowe, a inne rozumiem od dawna – powiedziała. – Zrób, co trzeba.

Wskazała okno.

– Zdążyliśmy do wieczora – oznajmiła. – Koniec z nudnymi sprawami. Mogę ci jakoś pomóc? Wyciągnąć

cię z tej twojej eskadry, sprowadzić znowu tutaj?

– Chyba nie. Wiem, że powinienem siedzieć teraz w Dranie, ale zbyt częste wezwania mogą się wydać podejrzane. Naprawdę, Dorio, gdybym rzeczywiście był rebeliantem, zostałbym przez straż morską potraktowany bardziej wyrozumiale, niż gdyby wyszło na jaw, że służę Trybunałowi.

– To smutne – skonstatowała. – I wojsko, i Trybunał tak samo służą cesarstwu.

– Ale ja jednak szpieguję własnych towarzyszy – powiedział z lekką goryczą. – Wiem, że ktoś musi to robić, jednak... Zrozum mnie.

– Rozumiem. I nie zazdroszczę.

ROZDZIAŁ 16



W Seyenie Raladan czuł się jak w domu; zawiął tutaj nie po raz pierwszy. Zresztą wszystkie porty wydawały się podobne. Ten nie był największy na świecie, ani nawet najlepiej urządzony; ba, większą liczbą mieszkańców mogło się poszczycić nawet Nin Aye, uchodzące za miasto wyjątkowo brzydkie i koszmarne rozplanowane – niepomiernie długie, wciśnięte między brzeg morza a mokradła.

Jednakże był Seyen stolicą Związku Portów Wschodnich, a co za tym szło, miał liczne cechy – no właśnie stolicy. Mieszkało tu może pięćdziesiąt tysięcy ludzi, lecz przebywało, załatwiając różne sprawy, kolejne trzydzieści tysięcy. W ludniejszym Nin Aye było tylu przybyszów, co w każdym innym porcie; w Seyenie pięć razy więcej. Bez żadnej wątpliwości w Dartanie pod względem znaczenia to miasto ustępowało tylko Rollaynie. I chyba jeszcze Llapmie; jednakże o to można by się pospierać.

Podróże kosztowały. „Pociecha”, skoro już płynęła do Dartanu, zabrała całkiem spory ładunek. Niezakontraktowany, lecz co z tego?... Na tłuszcz wielorybi i miedź popyt był zawsze i wszędzie, a w Seyenie miał swoje przedstawicielstwo legalny armator „Pociechy”. Zanim minęło pół dnia, beczki

z plastrami miedzi i drugie, trochę cuchnące, z tranem, ładowały na nabrzeżu. W zamian na „Pociechę” ładowano najtwardsze drewno, szczególnie jesion i grab, oraz wory węgla drzewnego, bo na to zawsze był popyt w Niskim Grombelardzie – Tehegl zaś był portem niskogrombelardzkim. Przytulone od północy do Puszczy Bukowej lasy armektańsko-dartańskiego międzymorza mogły dostarczyć wprawdzie drewno każdego rodzaju i każdą ilość węgla, lecz co z tego, skoro transport lądem był o niebo bardziej kosztowny niż morzem? Przewiezienie węgla wozami na odległość siedemdziesięciu mil kosztowało więcej niż ten węgiel.

Raladan nie przepadał za handlem i nie w sprawach kupieckich przybył do Seyenu. Upewnił się tylko, czy wszystko idzie dobrze, po czym zszedł na ląd. Bez żadnej zwłoki udał się do ratusza.

W kajucie na „Pocieszę” wystroił się tak, że trudno go było poznać. Od dawna wiedział, jakie znaczenie ma wygląd, i przyjął rzecz do wiadomości, bo zbyt był leniwy, by się obrażać na świat i wojować z nim o takie głupstwa. Ogolony staranniej niż zazwyczaj, miał na sobie strój godny każdego dartańskiego mężczyzny Czystej Krwi. Ba, mógłby nawet uchodzić za całkiem niebiednego magnata lub rycerza ze Złotych Wzgórz: pas bezwstydnie nabijany był złotem, taką samą nicią wyhaftowano rękawy granatowego kaftana, a czarna wełniana spódnica kryła cholewy butów ze skóry łosia. Zrezygnował tylko z asysty, choć najpierw zamierzał wziąć ze sobą dwóch żołnierzy z pokładowej dziesiątki. Machnął ręką; uznał, że nie warto. Właściwie szedł tylko po wieści.

Odwykł od takich targowisk, na których niczym go nie

częstowano i nie pozdrawiano zewsząd. Przeciskając się przez tłumek na jednym z przyportowych bazarów, przyłapał się na tej myśli i sam do siebie uśmiechnął.

W Wiecznym Cesarstwie przedstawicielem Kirłanu w każdym mieście był wójt, mający swoje miejsce w radzie miejskiej, współdziałający z burmistrzem, a czasem (może nawet: przede wszystkim) kontrolujący i ograniczający jego poczynania. Po wojnie stanowisko i uprawnienia wójtów zostawiono, bo taki system działał bardzo dobrze, zmieniono tylko nazwę – sięgnięto do historii Dartanu i odgrzebano prawie zapomniane słowo: kasztelan. Na szczęście miejskie okręgi pozostały miejskimi okręgami, a obwody obwodami; nie przemianowano ich na kasztelanie.

Raladan miał sprawę właśnie do kasztelana, czyli przedstawiciela królowej w tym mieście.

W seyeńskim ratuszu działo się to, co w każdym innym. Nie brakowało petentów. Jacyś ludzie przemieszczali się po korytarzach i schodach; jakiś woźny wykrzykiwał czyjeś imię i nazwę miasta; jakaś kobieta wszczęła bójkę z inną, która chyba próbowała gdzieś się sprytnie wślizgnąć. Dość obojętnie spoglądał na to pacholek ze straży miejskiej, podpierający ścianę – wkraczał tylko wówczas, gdy petent zaczynał tłuc urzędnika albo kładł się w jakichś drzwiach, oświadczając, że nie wyjdzie, póki nie załatwi swojej sprawy, bo go odprawiano już trzy razy.

Raladan jadał w życiu chleb z niejednego pieca. Kto go nie znał, byłby zdziwiony biegłością, z jaką agarski książę przedzierzgał się w kapitana okrętu, a jeszcze chwilę później w jednego z tłumu żeglarzy, pijących w podłej

knajpie piwo z wódką. Kilka lat wcześniej w Rollaynie zasiadał przy stole dartańskiej vany, która osobiście bawiła go rozmową. Niedługo później dowodził wyprawą w góry Grombelardu, mając pod komendą dwoje Przyjętych i jedną z najdroższych Czarnych Pereł Szereru – osobistą gwardzistkę królowej.

Teraz już potrafił wystąpić jako ktokolwiek. Wszędzie.

Poszedł tam, gdzie nie dostrzegł nikogo – jednak drzwi, które sobie upatrzył, były zamknięte. Ale następne już nie. Wszedł do ciasnej izdebki. Przy stole zawalonym jakimiś dokumentami rozmawiały dwie wypindrzone stare kwoki. We wszystkich zakątkach Szereru wyglądało to tak samo. Czasem podejrzewał, że we wszystkich innych światach też.

– Wasza godność, proszę natychmiast stąd... – zaczęła jedna z kobiet, wstając.

Użyła miejscowego języka, więc tylko się domyślił, co mówiła. Nie miało to znaczenia, bo zaraz zamilkła, odruchowo chwytając rzucony rulonik.

Spojrzała i od razu usiadła, a potem z powrotem wstała. Na czerwonym sznurku wisiała wielka plomba kancelarii królewskiej; na drugim sznurku (właściwie to były dwa splecione, zielony i granatowy, wzbogacone dodatkowo czerwoną nitką) kołysała się osobista pieczęć jej wysokości K.B.I.Ezeny, królowej Dartanu, księżnej Zachodnich Wybrzeży, pani Dobrego Znaku. Kimkolwiek była urzędniczka, musiała umieć rozpoznać list sygnowany przez swoją monarchinię.

– Czytaj, pani – rzekł Raladan, posługując się swoim bardzo dobrym kinenem.

Kinen na szczęście przetrwał wszędzie, bo przez

minione dwa wieki utrwalił się w każdej krainie cesarstwa. W zabitych dechami wioskach oczywiście nikt nie znał tego języka – dobrze, jeśli jako tako znano tam własną mowę – ale w miastach wciąż umiał się nim posłużyć nawet co czwarty człowiek; parędziesiąt najprostszych słów rozumiał prawie każdy.

Treść ruloniku była... żadna. Lecz królowa widziała kiedyś urzędnika i zasięgnęła porad, w jaki sposób go można uruchomić, bo zwyczajne sposoby przecież nie działały. Krótki tekst sformułowano w dwóch językach: po dartańsku i garyjsku. Było to kilka całkowicie pustych zdań, naszpikowanych słowami takimi jak: niezwłocznie, sprawa najwyższej wagi, szczególna troska królowej i poniosą odpowiedzialność.

– Kasztelan – rzekł krótko Raladan, po czym dodał bezradnie: – Choćbym chciał, nie podwyższę twoich poborów, pani, mogę tylko sprawić, że będą trochę niższe. Ale po co?

Urzędniczka zniknęła jak dym porwany wiatrem. Druga siedziała cicho, bez reszty zajęta pracą. W powietrzu leniwie wirował kurz podniesiony z dokumentów, którymi się zajmowała.

Dwieście lat w granicach Wiecznego Cesarstwa nie pozostało bez wpływu na dartańską obyczajowość – szczególnie w urzędach można było spotkać wiele kobiet. Dartan nigdy zresztą nie kultywował takich przesądów jak Garra; kobiety formalnie miały tu podobne prawa jak mężczyźni. Rzadko z nich korzystały, to była osobna sprawa. Nikt jednak nie utrzymywał, że – słabsze umysłowo i niezdolne do życia bez swych ojców, braci lub mężów – są źródłem wszelkiego zepsucia. To już była

wykładnia garyjska.

Dartan przed wiekami zjednoczyła kobieta: mityczna królowa Rollayna. A od tamtych czasów na tronie zasiadało kilka monarchiń.

Raladan nie zdążył porządnie porozmyślać o kobietach w Dartanie, bo urzędniczka wróciła. Towarzyszący jej człowiek (agarski książę nigdy się nie dowiedział, kto to był), trzymający w ręku opatrzony pieczęciami rulonik, lekkim ukłonem i gestem dał znak, by pójść za nim.

Przemierzyli niezliczone korytarze i schody ratusza. W wydzielonej części budynku przed dużymi drzwiami wartował nie miejski pacholek, lecz żołnierz Królewskiej Straży Krajowej.

Prowadzący mężczyzna odezwał się po raz pierwszy. Użył kinenu:

– Kogo mam zapowiedzieć, panie?

– Raladana – odrzekł Raladan.

Nie pochlebiał sobie zanadto, niemniej był całkiem pewien, że kasztelan musiał znać jego imię, skoro mu nakazano, by z ramienia królowej zajmował się sprawą Agarów.

– Dobrze, panie.

Przewodnik zniknął za drzwiami. Wkrótce wrócił, zapraszająco pokazał uchylone drzwi, po raz drugi skłonił się lekko i odszedł.

Raladan wkroczył do niedużej, prawie całkiem pustej komnatki w tej samej chwili, w której z przeciwnej strony wszedł do niej wysoki mężczyzna. Trzymał w dłoni rulonik królowej.

Zmierzyli się wzrokiem.

– „Wasza wysokość”, czy może jednak lepiej

„szlachetny”? – zapytał gospodarz po garyjsku i uśmiechnął się.

Skierowanie do stolicy Związku Portów Wschodnich człowieka, który znał najpowszechniejszy na morzach język, było posunięciem bardzo mądrym. Dowodziło, że kasztelan Seyenu nie był kimś przypadkowym. A najlepiej świadczyło o tym pytanie, które zadał. Dartańska tytulatura rozpanoszyła się w całym Szererze – kłopot był, oczywiście, tylko z Garrą. Nazwany „godnością”, a nawet „wysokością” Garyjczyk gotów był się obrazić. Właściwe było: „szlachetny”; jeśli starszy wiekiem lub znaczeniem, to: „czcigodny”.

Ale już na Wyspach mogło być tak albo siak. Po garyjsku albo na modłę kontynentalną.

– „Wasza dostojność” czy „wasza godność”? – odpowiedział pytaniem Raladan.

Wysokim urzędnikom Wiecznego Cesarstwa przysługiwał tytuł dostojności. W niepodległym Dartanie przetrwał tu i tam, gdzie indziej zaś uchodził za niesmaczną i trochę obraźliwą pozostałość po słusznie minionych czasach.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

– Porozumiemy się, panie – skonstatował.

– Ten tytuł będzie w sam raz.

– W obie strony. Jestem...

Mężczyzna, znający już przecież tożsamość zapowiedzianego Raladana, uprzejmie podał swoje, poprzedzone rodowymi inicjałami imię – niestety tak dartańskie, że gość je zapomniał, jeszcze zanim usłyszał do końca. Brzmiało niczym krótka piosenka. Jedno z tych pradawnych dartańskich Loyeouinlett, Leyoenoett,

Layo...



TRUST 22

Przeszli do drugiego pokoju. Urządzony bardzo wygodnie, był jednak bez wątpienia miejscem pracy. Jeszcze idąc, przedstawiciel królowej oddał Raladanowi jej pismo.

– Ja też wydaję takie przepustki – powiedział porozumiewawczo. – Co prawda na widok mojej pieczęci nikt nie przysiada na mięknących nogach. A tutaj wystarczyłby ten spleciony sznurek.

Zielony i granatowy były barwami Domów rodu K.B.I. Rodu zawsze ważnego, a od kilku lat pierwszego w Dartanie. Cienka czerwona nitka przy barwach rodowych oznaczała koronę – szkarłatna książęcą, purpurowa królewską.

Królowa Ezena miała obie.

Usiedli, ale nie przy wielkim stole na środku komnaty, lecz przy mniejszym pod ścianą. Stwarzało to pozór bardziej poufnej rozmowy.

Pojawiła się dziewczyna, wyglądająca na domową niewolnicę. Zręcznie rozstawiła pucharki do wina, napełniła je i zniknęła.

– Może zdziwi cię to, panie – zagaił kasztelan. – Otóż mniej się lękam samej królowej, która jest bardzo rzeczowa, ale i bardzo łaskawa, niż niektórych osób z jej otoczenia. Pierwsza Perła jej wysokości... Przecież wiesz, o kim mówię. Wszystko, co usłyszałem o Agarach i o tobie, panie, pochodzi od samej królowej, ale przekazała mi to Pierwsza Perła jej Domu. Tutaj, w tym pokoju.

Raladan skinął głową.

– Wiesz zatem wszystko, panie.

– Wasza wysokość...

Gospodarz jednak zdecydował się użyć tytułu; w gruncie rzeczy wiedział, że mu wolno (od Pierwszej Perły królowej?). O fanaberiach Raladana nic nie słyszał; to były fanaberie ukryte w prywatnych czterech ścianach.

– ...rozmowy, które prowadzisz, są szczególne. Agary... Dobrze, powiem wprost, bo uprzedzono mnie, panie, że tak właśnie będzie najlepiej.

Raladan potwierdził skinieniem.

– Dość długo, wprowadzisz przed paroma laty, ale jednak dość długo byłeś, panie, gościem królowej. W pałacu w Rollaynie, panie, jesteś znany, jeśli nawet nie każdemu, to wielu ważnym osobom. Jej królewska wysokość... – Szukał przez chwilę odpowiednich słów. – Jej królewska wysokość chce się liczyć z opinią swych poddanych, także tych najznamienitszych.

Nie powiedział „musi się liczyć”; był zręcznym dyplomatą i lojalnym reprezentantem swojej pani.

– Są wśród nich ludzie – ciągnął – mający udziały w przedsiębiorstwach handlowych, także armatorzy flot. Jej królewska wysokość zechce się z tobą spotkać, ale... – Zawiesił głos.

– Ale najchętniej w jakiejś jaskini, gdzie zobaczy nas razem tylko niedźwiedź – dokończył Raladan.

Kasztelan popatrzył z namysłem i znowu się uśmiechnął.

– Właśnie tak, choć ująłbym to oględniej. A i niedźwiedzia potem osadzi się w twierdzy, żeby nie rozpuścił jęzora – odpowiedział. – Wszystko może się zmienić i z całą pewnością kiedyś się zmieni. Droga do uznania agarskiego księstwa na pewno nie jest

zamknięta, wprost przeciwnie. Ale to już zechcesz, panie, omówić z kimś ważniejszym ode mnie. Na razie to są dwie wyspy o... bardzo szczególnej reputacji.

– Pirackie, panie. Wyspy pirackie. Myślałem, że naprawdę porozmawiamy bez ogródek. Gdzie jest jaskinia, w której powinienem czekać na królową?

– Ależ w stolicy. Każdy wyjazd królowej z miasta musi być odpowiednio przygotowany, zresztą to wielkie wydarzenie. Ale zwyczajna lektyka opuszczająca wieczorem Dzielnicę Królewską, dyskretnie strzeżona...

Tak, ten człowiek na pewno się cieszył pełnym zaufaniem monarchini. Zapewne nawet znał ją osobiście, zaliczał się do kręgu przyjaciół, nie przestając przecież być poddanym. Chyba nie w każdym dużym mieście Dartanu siedział urzędnik wiedzący o sekretnych wyprawach królowej.

Raladan uśmiechnął się.

– Będę miał schadzkę z królową w jakimś pałacyku w Rollaynie?

– Cóż... Można by tak, panie, powiedzieć.

Seyeński kasztelan, nawet jeśli naprawdę miał mocną pozycję, to jednak rozmawiał o swojej władczyni. Wobec tak prostolinijnego gościa był w kłopotcie.

Raladan lekko wzruszył ramionami i rozłożył ręce, jakby mówił: „Dlaczego nie?”.

Przedstawiciel królowej odetchnął. Wyglądało na to, że zdoła się wywiązać z niełatwego i niecodziennego zadania.

ROZDZIAŁ 17



Położona na południu Garry Bagba słynęła z najlepszej wódki na świecie. Smak, aromat, a rzekomo i moc tego cudownego, zwałającego z nóg trunku, pochodziły otóż od śliwek – a ze śliwką południowogaryjską nic w ogóle nie mogło się równać. Kto spożył taką śliwkę, ten już zawsze musiał jeść tylko śliwki.

Jedyną odtrutką pozwalającą pokonać straszliwe uzależnienie była – jakżeby inaczej – bagbianka. Śliwkowa gorzałka.

Perypetie trzech braci, którzy niebacznie zjedli po śliwce, następnie zaś wbili trzy noże w drzewo przy rozstajach i ruszyli w trzy strony świata szukać eliksiru życia (bo nie mieli więcej śliwek i śmierć głodowa zaglądała im w oczy), aż na koniec nabyli ów eliksir w niepozornej chłopskiej chacie pod Bagbą – to była bez wątpienia najpiękniejsza garyjska baśń. Najmłodszy z braci uchodził za głupka, najstarszy za ponuraka, lecz średni pojął córkę króla za żonę i otrzymał wraz z nią pół królestwa (król nalegał na zaślubiny, pokosztowawszy bagbianki – nie takie rzeczy dało się załatwić nad baryłeczką tego płynu; oto, jaki płynął morał z baśni).

Garyjczycy w oczach wszystkich innych ludów uchodzili za okropnych pod niemal każdym względem, ale... No cóż, nawet najbardziej niechętni im Wyspiarze

przyznawali, że mieszkańcy Garry mają wyjątkowe poczucie humoru. Naprawdę bardzo szczególne i przez wielu niepodzielane, niemniej z całą pewnością jedyne w swoim rodzaju.

Wiele tutaj opowiadano podobnych baśni i legend, a już tę o pysznej bagbiance znało każde dziecko.

Przejawem tego niezwykłego poczucia humoru było chyba powołanie miejskiej Floty Śliwnej – tak właśnie się nazywała. Nie wożono przecież na tych statkach śliwek, bo gniotły się i psuły na wyścigi. Wożono trącący śliwką produkt.

Podczas minionego powstania Bagba pozostała w rękach imperium, a wobec utraty Dranu i Dorony pełniła przez jakiś czas funkcję stolicy Trzeciej Prowincji. Tutaj zbierały się siły, które najpierw pobiły mających przewagę, lecz nieudolnie dowodzonych rebeliantów w bitwie pod Hergh (do tej największej bitwy powstania stawiło się po obu stronach około trzech tysięcy zbrojnych – niemniej było to decydujące starcie na lądzie), a potem przy wsparciu piechoty morskiej odbiły całą Garrę.

Flotylla Archipelagu Południowego, patrolująca najbardziej zdradliwe wody świata, stanowiła trzon sił walczących wtedy na morzu. Zabrano te żaglowce i posłano do boju na wodach Wschodniego Bezmiaru – zaledwie trzysta mil dalej, lecz w warunkach zupełnie innych, niż znały ich załogi i kapitanowie, stale lawirujący między dziesiątkami wysp. W bitwie przy Garranach nie uzyskano rozstrzygnięcia, niemniej osłabiono powstańcze siły morskie na tyle, że nie mogły zapobiec przybyciu posiłków z kontynentu. Floty

imperialne też poniosły przy Garranach straty, lecz wszystko, co z nich zostało, zebrało się w Bagbie. Z nastaniem jesieni pokładowa piechota zeszła na ląd i nim nadciągnęła zima, Garra była z powrotem w rękach Wiecznego Cesarstwa. Potem już tylko odzyskiwano pojedyncze zbuntowane wyspy i polowano na tułające się po przypadkowych przystaniach okręty.

Postawy Flotylli Archipelagu Południowego (najczęściej mówiło się tylko: Flotylla Południowa) nie zapomniano. To zawsze była elita Floty Głównej Garry i Wysp, przy wsparciu kilku eskadr Floty Rezerwowej strzegąca południowej i środkowej części Morza Garyjskiego. Dalej na północ rozciągał się już obszar kontrolowany przez eskadry z Wysp Końca, przy wybrzeżach Garry zaś – Flotyllę Dorońską.

Gdyby pułapka Trybunału Imperialnego zadziałała i zniszczono by okręty Agarów, Flotylla Południowa stałaby się bez dwóch zdań najsłynniejszą siłą morską cesarstwa; jeden okręt w każdej eskadrze zaraz mianowano by gwardyjskim. Trudno też było przeszacować znaczenie, jakie miałyby taki sukces dla zdemoralizowanych wojsk prowincji. Powszechnie już się pogodzono z utratą zamorskich terytoriów Kirlanu. Nagle szansę ich utrzymania wielu dowódców ujrzałoby w nowym świetle.

Być może spojrzano by inaczej także ze stolicy imperium. Odbudowa sił zbrojnych w tej części świata wydawała się zadaniem niewykonalnym. Lecz dosłanie kilku pełnowartościowych oddziałów dla podtrzymania odradzającego się ducha bojowego wchodziło w rachubę jak najbardziej. Topienie takich klinów i półsetek

w zdemoralizowanej tłuszczy nie miało żadnego sensu, natomiast wsparcie nimi podniesionych na duchu żołnierzy – to już była zupełnie inna sprawa.

A przecież wojska lądowe i flota rywalizowały ze sobą zawsze. Legioniści i ich dowódcy mogli nabrać ochoty, by coś udowodnić strażnikom morza – tym wojakom, którzy zamiast w spódnicach, łazili w gaciach jak baby (te z dartańskich Zachodnich Wybrzeży, podobno).

W skład Floty Śliwnej wchodziło pięć statków: trzy hogi i dwie stare kogi – te ostatnie żeglowały tylko wzdłuż wybrzeży. Na jednej z tych starych kog, stojącej u nabrzeża w Bagbie, naradzało się pięciu mężczyzn. Niewygodna kajuta pod kasztem była niewiele większa od tej, jaką na „Delarze” miała do dyspozycji agarska księżniczka i jej oficerowie.

Wszyscy uczestnicy narady wydawali się niezmiernie do siebie podobni, trochę z winy przytłumionego światła okrętowych latarni, a może za sprawą strojów. Przeważały przygaszone barwy, brązy i odcienie szarości, zwracał też uwagę prosty krój szat. Obyczaje armektańskie i garyjskie różniły się tak bardzo, jak to możliwe – a zarazem nie było dwóch krajów i dwóch narodów bardziej podobnych do siebie. Właśnie narodów, bo jedni i drudzy stworzyli naród, choć Garyjczyk obejmował tym mianem jedynie ludzi szlachetnie urodzonych.

Skromność strojów, powściągliwość w okazywaniu zamożności, szacunek dla dumy z tego, kim się jest – tutaj wszystko wyglądało tak samo.

Mężczyźni wspominali minione zmagania z cesarstwem. Rozmawiali o Flotylli Południowej i innych

eskadrach Morskiej Prowincji. O jakości wojsk lądowych. I o znaczeniu, jakie miałyby dla przebiegu mającego wybuchnąć powstania wielka bitwa morska, planowana zaledwie kilkadziesiąt mil od Bagby, u wybrzeży rozległej i bogatej wyspy Sary. Bitwa zwycięska, pokazująca siłę Wiecznego Cesarstwa na morzach.

Armekt nie odniósł takiego zwycięstwa może od stu lat.

Albo w ogóle nigdy. Dokonany przed półtora wiekiem podbój Garry zapisał się w historii jako pasmo klęsk, a potem wymęczonych starc morskich, które aż trudno było zwać zwycięstwami; dało się powiedzieć od biedy, że cesarstwo wyszło z nich obronną ręką. Zatriumfowała przewaga liczebna, lecz straty zwycięzców nieodmiennie były większe od strat pokonanych. Później stoczone na przestrzeni stulecia niezliczone morskie potyczki z piratami czy nawet buntownikami były właśnie tylko potyczkami. Nawet jeśli kończyły się zwycięstwem, to na pewno nie dało się ich nazwać kamieniami milowymi historii. Jakiś holk przepędził, a niechby i spalił inny holk, taki z czarnymi żaglami?...

Rozgromienie groźnej agarskiej floty, o której we wszystkich portach Szereru krążyły coraz bardziej niesamowite i nieprawdopodobne bajędy – to byłoby coś zupełnie innego.

– Nie, czcigodny – powiedział właśnie jeden z mężczyzn, zwracając się do siwowłosego starca siedzącego u szczytu stołu. – Nic więcej nie powiem, bo nie wiem. Flota Główna zamierza zastawić pułapkę. Aherowie przyplyną, żeby puścić na dno flotyllę, czyli dziewięć ciężkich okrętów. Zamiast tego...

– Aherowie? – przerwał sąsiad mówiącego.

– A tak, specjalnie to powiedziałem... To już prawie naród. Nie przypominają zwierząt z Wysp.

– Naród?

Garyjczycy gardzili kontynentem, lecz ludom osiadłym na Wyspach skąpili nawet pogardy. Dalonory miały status szczególny, Archipelag Południowy zasiedlali Garyjczycy – natomiast Wyspy Końca, Okrągłe i Przybrzeżne oraz mnóstwo mniejszych archipelagów zamieszkiwały zwierzęta lub najwyżej podludzie. Liczono się trochę z Potęgą, wielką wyspą na granicy Morza Zwartego i Garyjskiego, kiedyś siłą wcieloną do Królestwa Garry. Agary?... No to było trochę co innego. Jeszcze jakiś czas temu ledwie o tych wyspach pamiętano.

– To przecież sam koniec świata. Nie miesza się z kim popadnie, mają własną gwarę tak inną od wszystkich, że to już prawie osobny język. Nawet za czasów imperium potrafili żyć po swojemu. Nikomu nie rzucili się na szyję, jak ci tutaj, z pozostałych Wysp. Zostali podbici tak jak inne ludy Szereru.

– Hm. Tym bardziej warto by ich skaptować po zwycięstwie.

– Założyli to księstwko zdrajcy, którzy przyczynili się do upadku ostatniego powstania – zaprotestował jeden z mężczyzn siedzących po drugiej stronie stołu.

– Stare dzieje. Po klęsce na lądzie dla powstania i tak już nie było nadziei.

– Zdrajcy pozostaną zdrajcami.

– Zdrajczynią była pani Kahela Alida. Nie żyje od kilku lat. Poszli za nią prywatni najemnicy, opłaceni nie przez nas, tylko przez nią. Trudno to nazwać zdradą.

– Służyli w naszych sze...

– Dokończ, panie. – Siedzący u szczytu stołu najstarszy uczestnik narady uniósł rękę i przeciął spór. – To teraz chyba nieważne, Agarczycy czy Aherowie. Przypłyną, żeby zatopić Flotyllę Południową – przypomniał przerwany wątek.

– Tak, i zanim się obejrzą, odwrót im odetnie drugie tyle okrętów, a zza Sary się wyłoni trzecia podobna armada. Nie ma na świecie floty, która wyszłaby z tego cało. Jeśli agarscy dowódcy wyciągną z pułapki dwa postrzelane z dział i łuków żaglowce ze zdziesiątkowanymi załogami, to będzie prawdziwy cud, bo możliwe, że nie wymknie się żaden. Takie są z grubsza plany naczelnego dowództwa straży morskiej. Za szczegóły wykonania planu bitwy nie ręcę.

– Niemożliwe, żeby sami to wymyślili. Plan bitwy, owszem, ale pomysł zastawienia takiej pułapki... Nie stoi za tym Trybunał?

– Nie umiem odpowiedzieć.

– Kto ich do tego namówił? Mam na myśli: za kogo się podał ktoś, kto namówił Agary do bitwy z armektańską flotyllą?

– Także nie wiem. Możliwe, że podał się za nas. Za jednego z „buntowników”, choć na razie raczej spiskowców.

– Jaki interes mogą mieć Agary, przystępując do takiej awantury za „naszą” namową?

– Już w przyszłym roku, gdy wygramy, zepchniemy Armekt na kontynent. Jeszcze niedawno Agary trwały w gotowości do wsparcia Wiecznego Cesarstwa działaniami kaperskimi. Bo najwygodniejszy jest dla nich taki bałagan, jaki panuje tu teraz: wciąż okupowana

Garra i słabe imperium szykujące się do wiszącej w powietrzu wojny z Dartanem. Jednak odkąd stało się dla wszystkich jasne, że tym razem na pewno zwyciężymy, popieranie przegranej sprawy zupełnie im się nie opłaca. Będą mieli za sąsiadów Królestwo Garry, czyli nas, a nie armektańskie imperium.

– My też kiedyś myśleliśmy o pozyskaniu od nich floty kaperskiej.

– Tak, sześć, siedem lat temu. I to nasza wina, że nie pozyskaliśmy. Zabrakło jednomyślności. Bo przecież to są zdrajcy; bo po co...? – Spojrzał kpiąco na adwersarza sprzed chwili. – Agarom każdy wynik powstania byłby wtedy na rękę, wystarczyło im dobrze zapłacić i zaraz by nas wsparli. Udział w wojnie po naszej stronie przynosił im same korzyści bez względu na wynik. Po naszym zwycięstwie mieliby tutaj przyjaciół, a gdyby wygrało imperium, to byłoby nawet słabsze, niż jest dziś, skrwawione w walkach z powstaniem, a jeszcze dodatkowo przez ich kaprów. Właściwie – skonstatował – Agarom nie opłacało się tylko jedno: stanie z boku. Opowiedzenie się po jednej lub drugiej stronie zwiastowało korzyści. Wieczne Cesarstwo rozegrało to lepiej, przez kilka lat agarska flota była przygotowana do udzielenia mu wsparcia. I to był powód, dla którego wciąż zwlekaliśmy. Niejedyny i niedecydujący, ale też istotny.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Jesteśmy zbyt pewni siebie – rzekł wreszcie siwowłosy starzec. – Moja pycha już raz została ukarana. Przegrałem minione powstanie, bo zajmowałem się przeszłością zamiast teraźniejszością. Układałem prawa

dla Królestwa Garry, zamiast lepiej zadbać o wojskowe przygotowania, a szczególnie o dobór dowódców, mogących poprowadzić do zwycięstwa. Nie chcę powtórzyć tego błędu. Niemal całe życie przesiedziałem w więzieniu, najpierw imperialnym, a potem tym, na które sam się skazałem. Od piętnastu lat się ukrywam. Nie będę już królem Garry, wiek mi nie pozwoli. Ale wciąż jeszcze mogę zostać jej wyzwolicielem.

Szlachetny i czcigodny Mefed Ganedorr był najlepiej urodzonym człowiekiem na wyspie – i nie śmiałyby zanegować tego żaden z obecnych w kajucie. Wywodził się z bocznej linii ostatniej dartańskiej dynastii – jedynej linii, jaka przetrwała.

– Obym tylko nie przegapił okazji – dorzucił z nagłym przebłyskiem humoru Ganedorr. – Oto, co się dzieje: jacyś intryganci politykują w naszym imieniu i oby nie wymyślili niczego gorszego niż ta bitwa flot. Nie wiem, czy postąpiliśmy słusznie, znowu odwołując powstanie o rok. Zostawiamy wrogowi zbyt wiele pola do działania. Tym polem jest czas.

– Dużo się przez ten rok wyjaśni – zaprotestował jedyny mężczyzna, który nie zabierał dotąd głosu, i gdy się rozejrzył po otaczających go twarzach, wyszło na jaw, jak bardzo jest podobny do siwowłosego ojca. – Nowe niepokoje na Północnej Granicy Armektu mogą wreszcie sprowokować Dartan do wypowiedzenia wojny.

Słuchano z uwagą należną władcy. Bo nikt nie wątpił, że tron królestwa obejmie właśnie syn Ganedorra, szlachetny Mefed Ehold.

Też już nie był młodzieńcem. No ale jeszcze nie starcem.

– Dartan ogląda się na nas, my na Dartan. Tak jest od dekady – rzekł kwaśno mężczyzna, który wcześniej podnosił zdradę Agarów. – Nie zgadzam się z tobą, Eholdzie. Podzielam wątpliwości Ganedorra. Panoszymy się. Przygotowujemy powstanie już niemal zupełnie jawnie, ukołysani słabością i bezczynnością Armektu. Obyśmy tego nie pożałowali. Ci cuchnący końskim łajnem łucznicy już kilka razy dowiedli, że potrafią ocknąć się z drzemki.

– Nie tym razem. Wieczne Cesarstwo naprawdę się rozpada.

– Rzeczywiście? Jutro, siedemdziesiąt mil stąd, gotowi odnieść największe od stuleci zwycięstwo na morzu. Na morzu! Choć wszyscy wiedzą, że Armektańczyk zaczyna tonąć na sam widok morza. I jeżeli rzeczywiście odniosą to zwycięstwo, to jeszcze możemy mieć się z pyszna. Nie podejmę się tej sprawy, bo jestem uprzedzony do Agarów – rzekł otwarcie i szczerze. – Ale zgadzam się, że potrzebna jest czasem jednomyślność. – Skinął głową siedzącemu naprzeciw adwersarzowi. – Dlatego wbrew temu, co czuję, powiem: chyba rzeczywiście należy uprzedzić ich o pułapce zastawionej przez straż morską. Co zrobić z Agarami po wojnie, postanowimy... po wojnie. A teraz uważam, że trzeba nie dopuścić do zwycięstwa Armektu. Żadnego zwycięstwa i nad nikim.

– Zajmę się tym.

– Ty, synu? – zapytał Ganedorr. – To lekkomyślne. I niepotrzebne.

– Uważam inaczej, ojczy. Ja też pół życia przesiedziałem w różnych więzieniach. Żadne nie było podobne do tego, w którym kiedyś trzymano ciebie,

niektóre są całkiem wygodne, na przykład nasz dom tutaj. Ale to jednak więzienie. Rozpoznaje mnie własna służba i nikt więcej.

Było w tym sporo prawdy.

– Kosztem wielkich starań obaj uchodzimy za ludzi, którzy uciekli z Garry i gotowi są wrócić z wygnania dopiero, gdy kraj zrzuci jarzmo – dokończył Ehold. – Bardzo niewiele ryzykuję, wychodząc za próg domu. Znacznie mniej niż ktokolwiek inny z tego grona. Nikt mnie nie zna – powtórzył.

– Jeśli coś ci się stanie, garyjska niepodległość zacznie się od bezkrólewia i sporów o koronę – rzekł Ganedorr. – Jesteś jedynym oczywistym pretendentem, wszyscy inni mają, a raczej mieć mogą, bo nikt dotąd żadnych kandydatur nie rozważał ani nie zgłaszał... Wszyscy inni mają zasługi, czasem wysoką pozycję. Lecz nie prawa.

– Tak, ojcze, mam prawa, ale mam też czterdzieści sześć lat. Zanim skończymy powstanie i dobrze rozsiądę się na tronie, będę miał pięćdziesiąt. Chciałbym żyć w dobrym zdrowiu tak długo jak ty, ale to nie jest przesądzone. Mogę nie zdążyć udowodnić, że oprócz praw, które daje mi urodzenie, mam jeszcze cokolwiek wartego uwagi, co pozwala mi rządzić królestwem. Poza tym zechciej pamiętać, że na mnie linia rodu się nie kończy. Masz trzech dorosłych wnuków.

– To o dwóch za dużo. Dla dziadka oczywiście w sam raz, ale za dużo dla wodza wyzwolicieli kraju.

Ganedorr chciałby dodać coś jeszcze, lecz nie byli sami, a musiałyby dotknąć spraw rodzinnych. Zamilkł więc, choć powinien zakończyć: „Dwóch za dużo, szczególnie gdy najstarszy jest zarazem najmniej odpowiedni, by zasiąść

na tronie”.

Stary potomek królów potrafił sobie wyobrazić początki wskrzeszonego Królestwa Garry, gdy zabraknie oczywistego pretendenta do korony. Następny w kolejce był człowiekiem słabym, jego młodszy brat wydawał się najbardziej odpowiedni i podobny do ojca, a ostatni najodważniejszy i bodaj najambitniejszy.

Wszyscy trzej przebywali poza Garra.

Ehold, równie rozsądny jak Ganedorr, nie podjął tematu. Tak, to nie było odpowiednie grono. Współpiskowcy, przedstawiciele znakomitych rodów. Zaufani przyjaciele, lecz przecież nie rodzina.

Pokręcił głową i rzekł:

– Ujawniłbym się już dawno, lecz gdyby stało się oczywiste, że nigdy nie opuściłem swego kraju, zaczęto by tutaj poszukiwać i ciebie, ojczy. Teraz jednak został tylko rok. Uważam, że Garra, że moi poddani powinni o mnie usłyszeć. Mogę się ukrywać i uciekać, ale udawać nieobecnego już nie będę. Doprowadźcie do mojego spotkania z kimś, kto może decydować o agarskiej flocie. Chcę...

Uśmiechnął się nagle.

– Chcę poznać przyszłych sojuszników i mieć pewność, że wiedzą, komu zawdzięczają przysługę. Kto ich ostrzegł przed śmiertelną pułapką.

Znowu zaległa cisza.

– Niech tak będzie – rzekł na koniec Ganedorr. – Musimy jednak działać bardzo szybko. Jeszcze dziś pchnę gońców do wszystkich, którzy mogą coś w tej sprawie zrobić. Przede wszystkim do Dranu, bo tam najczęściej zaglądadają... nasi... – odchrząknął – nasi przyjaciele

z Agarów.

ROZDZIAŁ 18



Przepięknie ogolony i odziany marynarz Meveva najpierw cierpiał, potem ogarnęło go rezygnacja, wreszcie poczuł się dobrze w swoim nowym wcieleniu. Zwykła rzecz. Gdy już jesteś w... czarnej dziurze i wiesz, że nie wyjdiesz, to zacznij się tam urządzać.

Można by rzec, że się rozkokosił. Przede wszystkim, zdumiewająca była skłonność, jaką nagle zaczęły przejawiać ku niemu kobiety. Z trudem przychodziło zrozumieć tę płęć: nie wspaniała broda i nie chustka na głowie, lecz zwyczajny mieszczański przyodziewek zdawał się być wabikiem.

Zagubiony w świecie kobiet wilk morski zdziwiłby się najszczerzej, gdyby mu powiedziano, że jest po prostu niestary i przystojny, a bez skudłonej brody i tłustej dziurawej szmaty na łbie całkiem schludny. Nowe odzienie, dowodzące istnienia jakiejś nie do końca pustej sakiewki, do tego zuchowata gęba i nieszczerbaty uśmiech, a jeszcze w miarę obrotny język... Zapytany, podawał się za skutnika, bo naprawdę pracował kiedyś w stoczni i trochę się na tym znał. Tak, płci pięknej niewiele było trzeba.

Zdarzyła się w końcu rzecz niebywała: otóż dzielny żeglarz zaznał kobiety niekupionej i nieprzymuszonej siłą. Nieufny i wystraszony, miał doprawdy duże kłopoty

tej nocy. Jakoś sprostał, ale bardzo się wstydził i nie wiedział, co trzeba zrobić rano. Nigdy dotąd się nie obudził z ciepłą i przez sen uśmiechniętą dziewczyną przy boku.

Uciekł, zanim otworzyła oczy, bo w końcu do niego dotarło, że na pewno było z nią coś nie tego. No, zupełnie jak z jego kapitaną (ależ wyładniała z tymi dwoma ślepiami!). Każdy wiedział, że kobieta nigdy nie pójdzie z mężczyzną ot, tak sobie. Dla zarobku albo gdy ją zdrowo wyrznąć w dziób – to wtedy owszem. Bez tego najwyżej z mężem, ale to był mus, trudna rada.

A ta tutaj jakaś poplątana. Niby Armektanka, ale jeśli nawet?...

Była służącą u całkiem zamożnego krawca, też Armektańczyka. Szkutnika w nowym ubraniu zaciągnęła do swojej izdebki w małej przybudówce dla służby. Wymknął się w samą porę, miał przecież robotę do wykonania. No tak, bo ledwie trafił na „Delarę”, a już posłano go z powrotem do Dranu, by pilnował czyjegoś domu. Ot, wykonaj dobrze swoją pracę, to taka cię spotka nagroda: wpakują na plecy jeszcze więcej.

Dla pojedynczego człowieka zlecone zadanie było naprawdę trudne i niewdzięczne. Nie mógł tkwić na ulicy ani łązić po niej w tę i nazad, bo do wieczora wszyscy by go znali. Trudno też, by zmieniał ubiór pięć razy dziennie za rogiem, prostował się, to znów garbił i kuśtykał, i chodził w tym słońcu w kapturze. Lecz dano mu trochę pieniędzy, z których się musiał rozliczyć, więc nie warto było oszczędzać, bo i tak nic by z tego nie miał. Po namyśle uczynił bogatymi kilku umorusanych urwisów, wręczając każdemu cztery półgrosze miedziane

i obiecując więcej, jeśli przyniosą wiadomość.

Potem już tylko siedział w niedalekiej tawernie – a właściwie przed nią, bo o tej porze roku wystawiono na zewnątrz dwa stoły i kilka ław. Mógł popijać piwo w nieskończoność, nie zwracając niczyjej uwagi. Dom, który powinien obserwować, znajdował się przy sąsiedniej ulicy.

Stracił na gówniarzy fortunę (mógłby za to kupić ze dwa dzbanki piwa), bo doczekał się dopiero czwartego dnia wieczorem. Setnik straży morskiej Mawew najwidoczniej zdał służbę i przyszedł przenocować, a może i pomieszkać w swoim domu.

Wypłaciwszy szczeniakom obiecane pieniądze, wytwornie ogolony mężczyzna w całkiem jeszcze czystym przyodziewku co tchu ruszył do Hehogu, a potem dalej do ujścia Baharu, by przekazać wiadomość komu trzeba.

o o o

Skoro setnik nie został pojmany i pokazywał się we własnym domu, to musiał być zdrajcą i tyle.

Tak samo jak kupiec mający córkę na Agarach. Ale tego człowieka zastraszone; zdradził, bo nie miał wyboru. Bardziej jednak bał się piratów niż Trybunału i sam doniósł o swojej zdradzie, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Zrobił to o wiele, wiele za późno, może jednak warto było mu darować, przynajmniej na jakiś czas. Gołym okiem dało się dostrzec, że los wnucząt i córki – o których Trybunał nie wiedział – bardziej mu leży na sercu niż własny. Chciał płacić; gotów był się

powiesić, by dzieciaków na Agarach nie spotkało nic złego.

Imperium zostawiło go w spokoju, bo wydawało się zupełnie pewne, że dopadną go zdradzeni piraci. Miał zostać kozłem ofiarnym, osłaniającym prawdziwego zdrajcę, czyli setnika Mawewa. Który przecież o niczym nie wiedział.

Mawew jednak nie miał rodziny na Agarach – dlatego Bohed, Cichy i Foka byli zupełnie pewni, że to nie biedny przerażony kupiec wysługuje się Wiecznemu Cesarstwu.

Bohed dobrze znał Ridarete, ale przecież nawet nie w połowie tak jak Mevev, z którym pływała wiele lat. Dowódca „Delary” dostrzegał, że księżniczka jest trochę inna, ale jak głębokie to były zmiany, mógł dostrzec tylko jej zastępcę.

Nie wiadomo, czy nie dostrzegł więcej niż Raladan. Agarski książę znał swoją przybraną córkę od blisko ćwierć wieku, ale mieszkał z nią pod jednym dachem przez dwa burzowojesienne miesiące w roku, gdy „Zgniły Trup” cumował w Aheli. Potem znowu pływała z Mevevem.

Nie było jej przez prawie pięć lat. Wróciła, ale nie taka sama. Trochę bardziej wyrachowana. Kiedyś robiła, co chciała, bo taką miała zachciankę. Teraz...

Można by powiedzieć: nie rzucała się dziko na jedzenie, tylko najpierw próbowała je przyrządzić. Mevev wcale nie był pewien, czy tak działająca kapitańska w ogóle mu się podoba. Bardziej ufał jej decyzjom podejmowanym pod wpływem chwili (sam przecież postępował podobnie) niż rozumowi, o którym... no, nie miał najwyższego mniemania.

Na pewno mogła teraz spodobać się Saylowi. O, zupełnie na pewno.

Rozmawiali na pokładzie „Delary”, wciąż kotwiczącej niedaleko ujścia rzeki, ale w miejscu trochę lepiej osłoniętym od fali i wiatru. Na tle lasu i ciemnego brzegu okręt z nagimi masztami trudno było wypatrzeć z morza.

„Zabiję go” – powiedziała, gdy już przetrawiła wiadomość o setniku. „I to tak, że całe miasto będzie miało o czym opowiadać. Ale nie teraz, bo imperialni odkryją, że darowaliśmy kupcowi. Daj mu znać, żeby sprzedał wszystko, co ma, i niech się wynosi na Agary”.

„Warto zaprzętać sobie nim głowę?”

„Pewnie. Dobrze sobie radzi i jeszcze się przyda. Za rok albo dwa lata trzeba posłać go do Dartanu. A może z powrotem tutaj, tylko do Dorony albo Bagby? Otworzy uczciwy interes. Ktoś taki zawsze się przyda”.

Mevev patrzył na morze. Kiwał głową.

„Jesteś piratem, tak?” – zapytała. „Jak sobie poradzisz bez uczciwych?”

Codziennie posyłali kogoś do tawerny U Szypra. Niby nie tak daleko, ale nieszczęśnik tam i z powrotem wędrował cały dzień, i to nie oszczędzając nóg. Trudno jednak było tygodniami tkwić na redzie Dranu, a tym bardziej cumować w porcie.

Czekali na wiadomość, że Kitar żyje. I jeszcze na coś, a raczej na kogoś. Piękna Ridareta wkrótce po pierwszym piśmie posłała do Szypra drugie, w którym żądała uwolnienia Sayla i pojmanyh marynarzy.

Mevevowi Cichemu pomysł się nie spodobał. Bardzo chciał znów zobaczyć tę przemądrzałą czytanaą gębę, ale

miął wątpliwości.

„Setnik Derrhert jakoś zorganizował mi ucieczkę” – powiedział. „Teraz niby ma uciec cała reszta? Trybunał się dowie, że coś tutaj śmierdzi”.

„Obiecał, że wypuści wszystkich. A później, jak już utopimy tych cesarskich, to co? Wtedy wypuści wszystkich, a na dodatek Kitara? I nie wzbudzi żadnych podejrzeń?”

Cichy pokiwał głową.

„Ty byłeś tylko posłańcem, wypuścił cię dla siebie, nie dla mnie. A teraz niech wypłaci zaliczkę” – podsumowała.

Na tym stanęło. Czekali na wiadomość.

Doczekali się kilka dni po tym, jak Piękniś – bo takie sobie zyskał nowe miano – przyniósł wiadomość o Mawewie.

Listy były dwa – oba bez żadnych pieczęci i podpisów. Pierwszy podyktował, a może napisał własną ręką (nikt tego nie umiał ocenić) kapitan Kitar.

Żyję. Nie wiedziałem, że umiesz chodzić, a Ty tańczyłaś nabaide.

Przeczytała dwa razy i się rozplakała. Cichy nie miał pojęcia, co to znaczy.

– On naprawdę żyje – powiedziała po długiej chwili, kiedy już mogła mówić, i otarła oczy, a potem także i nos rękawem swojej czerwonej sukni.

Suknia, warto by dodać, już nie była taka bardzo luźna, coś powoli zaczynało ją rozpychać. Cichy nawet się ucieszył, ale potem sobie przypomniał, że kapitana nie wie, kiedy przestać, będą więc kłopoty, tak jak kiedyś. Włosy też zaczynały jej rosnać pięć razy szybciej niż

innym. Znowu nosiła fular na głowie, bo ogromna grzywa nie dawała żyć.

Na szczęście zapomniała, że chciała być blondynką.

Rzadko rozmyślał o podobnych sprawach, niemniej raz i drugi wyobraził sobie, że każda kobieta oddałaby pięć, a może dziesięć lat życia za możliwość poprawiania u siebie takich rzeczy niemal na zawołanie. Dwa razy większe piersi w ciągu zaledwie pół roku? Wydatniejsze usta? Oszalałyby ze szczęścia, gdyby mogły tak robić.

Tylko że mało która potrafiłaby powiedzieć sobie: „Dość!”. To jedno już wiedział na pewno. Nic zupełnie nie miał przeciw dużym cyckom. Ale obawiał się wariatek, za którymi te cycki ktoś powinien nosić.

Może należałoby wynaleźć jakąś specjalną uprząż?...

– Żyje – powiedziała jeszcze raz. – Właściwie to wiem od kilku dni, że żyje, bo... A to było najpiękniejsze, co spotkało mnie w życiu – dodała, patrząc na list, i znowu się poryczała.

Nie wiedział i nie chciał wiedzieć, o czym mowa.

Kiedyś nic nie miał do Kitara. A potem wyrznął go w mordę, bo zostawił taką dziewczynę. Która dałaby się za niego poćwiartować razem z tą całą swoją nieśmiertelnością.

– Przestań, kapitana – powiedział bardziej sucho, niż zamierzał. – Czytaj to. – Podsunął jej drugie pismo.

Po raz drugi wytarła nos rękawem.

Do kajuty wszedł Bohed, którego ściągnięto z ładowni. Coś tam się działo w zęzach; właśnie sprawdzał.

– Nie utoniemy – powiedział. – Trącał pies te poszycia. Niby lepsze niż klinkier, ale szczelność... W kółko latasz i sprawdzasz, bo jak nie...

– Kitar żyje, to na pewno od niego – rzekł Cichy i podał list, odwracając uwagę dowódcy „Delary” od rozklejonej Ridi.

Bohed przeczytał i popatrzył pytająco.

– To od niego – potwierdziła.

Już się pozbierała. Jako tako. Ale i tak zauważył.

Drugi list był nieco obszerniejszy. Ridareta czytała na głos:

– *Pani! Nie mogę teraz spełnić Twojego żądania. Wzbudziłbym podejrzenia.*

– Nie mówiłem? – mruknął Cichy.

Uniosła rękę.

– *Pora na osobiste spotkanie. Posyłając listy, nie omówimy wszystkiego. Gdzie i kiedy porozmawiamy? Czas nagli. To, o czym wiesz, nie zbierze się na zawołanie.*

– Co się nie zbierze? A, ta ich flotylla przy Sarze. – Bohed w pierwszej chwili nie pojął, ale szybko się wdroył do wyłapywania sensu z dziwaczного pisma, w którym nic nie mogło zostać nazwane po imieniu. – Pewnie, że nie. Mają tam jakiś przegląd flotylli, tak? Można znać datę, ale trudno im ją wyznaczyć.

Skinęła głową i czytała dalej:

– *Nie wątpię, że masz tutaj zagłowiec. Spotkanie dwóch zagłowców na pełnym morzu wykluczyłoby zasadzkę i jakikolwiek podstęp. Powinniśmy sobie zaufać, jeśli obie strony chcą osiągnąć korzyści. Nie zwlekajmy.*

To było wszystko.

– Zerzygam się – powiedział Mevev Cichy. – To naprawdę nie dla mnie, kapitana. Czyli Sayla nie dostaniemy. Mówiłem.

– Tak myślałam, że nam go nie dadzą. Ale sami sobie

weźmiemy, bo chyba wiem, gdzie jest. I myślę, że chłopcy są w tym miejscu co on.

Patrzyli pytająco.

– To z tego twojego... zgadywania?

– Nie. Dajcie mi trochę wódki.

Bohed przyniósł i nalał. Wypili.

Zapachniało śliwkami. Bagbianka.

– Kiedyś mieszkałam pod Dranem. Przez kilka lat – powiedziała. – Prawie nie wyściubiałam nosa, ale... Nieważne. – Machnęła ręką. – A potem nie lubiłam Alidy ani ona mnie. Ale załatwialiśmy tutaj dla niej różne sprawy – przypomniała Cichemu, bo rzeczywiście był czas, gdy „Zgniły Trup” cumował w Dranie niemal równie często jak w Aheli. – Kim była Alida, zanim trafiła na Agary i zrobiła na nich swoje księstwo? No pytam: kim?

– Wszystkim – powiedział Bohed. – Dziwką... – Urwał i się zastanowił.

– Hm?

– Dziwką, szpiclem Trybunału, a potem to już w ogóle rządziła Trybunałem – dokończył z namysłem. – Tutaj, w Dranie.

Patrzyli pytająco.

– A oprócz tego była jeszcze jedną z przywódczyni powstania – uzupełniła księżniczka i dopiła wódkę.

Zdrowo jej się po tym odbiło. Czasem zapominała, że jest damą w sukni i mówi z nienagannym garyjskim akcentem oraz intonacją córki szlachetnego domu. Znacznie lepiej niż w garyjskim domu czuła się wśród żeglarzy, przez pół życia przesiąkała ich obyczajami i donośne beknięcie to naprawdę nie było najgorsze, co mogło się jej przydarzyć.

– Wcale nie chciałam wiedzieć za dużo, bo to nudne – ciągnęła – ale i tak mi opowiedziała wszystko, co jej zdaniem powinnam wiedzieć.

– Po co ci to wszystko opowiadała?

– Jak się zastanowić, to miała rację. Nie wiesz czegoś? No to pędź na Agary, ale już! Co, daleko? No właśnie. Uważała, że będę tu zdana na siebie i muszę wiedzieć wszystko na wszelki wypadek. Bo nie popłynę na Agary, żeby ją na przykład zapytać: słuchaj, Alido, złapali człowieka, który miał dla mnie bardzo ważne wieści, gdzie też mogą go trzymać?

Od góry wskazała palcem puste wnętrze kubka: nalej!

– Niektórych ludzi nie trzymało się w miejskiej twierdzy więziennej, a już zwłaszcza nie trzymała ich Alida, kiedy rządziła Trybunałem, bo się bawiła w powstanie i nie o wszystkich jeńcach musiał wiedzieć byle dozorca. Mają tu niedaleko pod Dranem taką ruinę, niby stary zapomniany dom jakiegoś szlacheckiego syna Garry. Niby. Dom syna Garry, czyli garrysyna – zachichotała z własnego dowcipu. – Gości nie przyjmuje, wścibskich przepłasza, bo trzyma kilku niemiłych pachółków... Niby. – Znowu spojrzała na Cichego. – Pół dnia drogi od miasta. Zgadzałoby się z tym, co mi mówiłeś. Sprawdźmy? Jeśli to miejsce dalej istnieje, to możliwe, że sami sobie weźmiemy Sayla i naszych chłopców.

– Minęło piętnaście lat.

– Ale trzymali cię gdzieś pod Dranem. Sprawdzić chyba można?

– Czekaj. To chcesz topić tych Armektańczyków z Wysp Południowych czy nie chcesz? A Kitar? Co z Kitarem?

– Teraz nic mu nie zrobią, bo gdyby zrobili, to oznaczałoby koniec garyjsko-agarskiej przyjaźni, zanim się w ogóle zaczęła. A zależy im bardziej niż nam, przecież widzicie. – Puknęła palcem pismo na stole. – Sami tej imperialnej flotyli na dno nie puszczą, bo gdyby mogli, toby puścili. Nie zaszkodzi, jeśli się dowiedzą, że nie można z nami żartować. Że kiedy o coś proszę, to dostaję, a jak nie, to biorę sobie sama.

– Naprawdę się nie boisz o swojego lubego?

– Mevev, przestań! – Prychnęła i wypięła. – To oni przyszli do nas. Nie dociera? Szykują wielkie powstanie, uwolnienie tej swojej ukochanej Garry, zaplatają intrygę, jakiej świat nie widział, przybiegają z tym do nas i co? I obrażą się nagle, i zatłuką ze złości Kitara, bo uwolniłam swojego oficera? Jasne, że uwolniłam, ale mówię tylko: „No, uważajcie!” i dalej jestem gotowa zrobić to, o co mnie proszą. Racja stanu! – powiedziała staranniej niż zwykle, ale było zupełnie pewne, że od kogoś to usłyszała.

Może dawno temu od Alidy.

– Ale jak już zrobimy to, czego chcą? Nie zatłuką go wtedy?

– Nie, bo już będę wiedziała, gdzie jest. Ahagaden zatopi Flotyllę Południową, a ja w tym samym czasie odzyskam... no niech ci będzie: mojego lubego. I wiecie, co zrobię jeszcze? Wysikam się pośrodku tego pomieszczenia, w którym siedział. A może nie tylko wysikam.

Znowu jej się uroczo odbiło. Wyglądało, że jest z siebie niezmiernie zadowolona.

Ridareta snująca skomplikowane plany – to wciąż było coś nowego. Niezwykłego. Gdyby Raladan mógł siedzieć

przy tym stole, toby zadrżał. Kiedyś już słuchał takich wywodów. Niewiele, a rozwaliby Pasma Szerni. Ani trochę więcej, ani trochę mniej.

Jeszcze raz zajrzała do kubka, ale nic tam nie było. Bohed polał.

Cichy myślał, po swojemu patrząc w dal, jakby nie istniały dla niego żadne ściany. Kiwał głową.

– Szczurek Derrhert powiedział, że taki był plan Trybunału. Liczyli, że ktoś będzie chciał odbić Kitara. Mnie i Sayła też. Chcesz zrobić to, czego chcieli? A jeżeli czekają tam na nas?

– To się doczekają. Głupi plan. Nie wiem, na czym miałyby polegać? No, gdyby to sam Raladan chciał was ratować, wtedy tak. Agary bez Raladana to już nie Agary. Nikt by tam nie rządził.

Wzruszyła ramionami i dodała:

– Ale czy oni naprawdę myślą, że Raladan pędzi wyciągać z kłopotów każdego kapitana, który się doigrał? Taka robota.

– Może chcą dopaść ciebie. Każdy wie, ile dla niego znaczysz. Kto ma ciebie, ten rządzi Raladanem.

– Ale ja przecież... – Znowu wzruszyła ramionami. – Nie żyłam.

To zawsze brzmiało głupio.

– Tylko że wszystkie psy szczekały, że wcale nie wiadomo.

– Mevevie Cichy – powiedziała spokojnie – uwalniamy Sayła. I nie masz nic do gadania.

– Coś mi tu śmierdzi.

– Zawsze ci śmierdzi.

Pokiwał głową, a potem się wyszczerzył.

– Ty rządzisz, kapitana. Wiesz, czego chcesz. Tak lubię.
Mrugnęła doń i też się rozpromieniła.

– Gdzie jest ten... no ta tajemna ciupa Trybunału? –
zapytał Bohed. – Wiesz dokładnie?

– Bardzo dokładnie. Mniej więcej dziesięć mil od
Dranu. I milę na zachód od wioski...

Zastanowiła się. Wypiła trochę bagbianki.

– Jakiej wioski?

– Nie wiem. Zapomniałam.

o o o

W odległości nie mniejszej niż dziewięć i nie większej niż
jedenaście mil od Dranu było dwadzieścia wiosek albo
więcej. Czas mijał, Piękna Ridi próbowała sobie
przypomnieć, wypiła jeszcze dwa kubki bagbianki,
wreszcie orzekła: „Musimy zapytać Sa...Sayla. On będzie
wiedział... Wiedział”.

To powiedziawszy, zasnęła.

Bohed z krzywym, ale i wyrozumiałym uśmiechem
chciał coś rzec, lecz Cichemu nie było do żartów.

– Schowaj to – powiedział i pokazał wódkę. – Mówię:
schowaj. I nie ciesz się tak. Zawsze były z tym kłopoty.
Bardzo duże.

Dowódca „Delary” wzruszył ramionami, ale spełnił
żądanie. Kiedyś chodziły słuchy, że księżniczka... Ale to
było tak dawno. Zapomniał.

– Dwa. Są dwa rodzaje pijaków, słyszysz mnie? – rzekł
Mevev tak samo poważnie jak wcześniej i zamilkł,
kiwając głową. Podjął po długiej chwili: – Jeden chleje
wieczorem, trzeźwieje rano. I tak w kółko. Drugi prawie

nie pije, idzie w cug raz na trzy miesiące. Albo raz na pół roku. Ale jak już pójdzie...

Wycelował palec w półleżącą na stole Ridaretę.

– ...to nie wytrzeźwieje przez dwa tygodnie. Ani nawet na chwilę. Słyszysz mnie? Tak było kiedyś. I wygląda na to, że zostało.

– Myślałem, że to takie gadanie.

– O niej? Nie.

– Umiała się czasem napić, ale...

– Tak, w knajpie z załogą. Nawet jak jej potem nie przeszło, to już jej nie oglądałeś. Nie codziennie. Ciągnęła dalej na „Zgniłku” albo w pałacu Raladana.

Po czym dodał jeszcze:

– Już coś mnie wcześniej tknęło. Zawsze pije wino. A teraz gorzałka i gorzałka. Ale ja też przez pięć lat zapomniałem. Że trzeba bardzo uważać.

– Wypiła raz i drugi całkiem sporo wina, jeszcze zanim cię zabraliśmy. Wytrzeźwiała i tyle.

– Czasem wypije i nic. Ale teraz wolę nie sprawdzać. Przystanie czy nie przestanie.

– Da się coś z tym zrobić?

– Może. Czasem, jak jej przerwiesz na samym początku i zajmie się czymś ciekawym... to zapomni na jakiś czas.

– Chciała uwolnić Sayla.

– Spróbujemy.

– Ale nie pamięta, gdzie to jest.

– Jakoś sobie przypomni. A jak nie, to znajdziemy bez tego. Jeśli wiesz, czego szukasz, to znajdujesz.

Kiwnął głową, tak sam do siebie.

– Dawaj. Przeniesiemy ją na wyro.

ROZDZIAŁ 19



Ridareta wspomnienia i nawyki miała stare, ale ciało zupełnie nowe. Chętnie piłaby dalej, łatwo jednak dała się zająć czymś innym, bo poza ochotą do picia nic jej nie dolegało. Kiedyś roztelepałoby ją tak, że bez trunku nie doszłaby do siebie ani rusz; teraz nic podobnego się nie działo.

Zwykły poranny klin wystarczył. Cichy i Bohed jakoś ją zagadali – i zapomniała o picciu.

Wyszło na jaw, że Mevev wiedział, co mówi: wygrzebała z pamięci nazwę wioski. Nie do końca, tylko mniej więcej.

– Lakra, może Larka... Jakoś tak.

– Popytamy, znajdziemy.

Było od czego zacząć. Wieziony na wozie Cichy pamiętał, że przejeżdżali przez most – kopyta dudniły inaczej. Dran leżał na prawym brzegu Baharu, więc wioska musiała być na lewym. To ograniczało pole poszukiwań.

Ridareta, Mevev i dowódca „Delary” układali plan wojennej kampanii. We troje pochylali się nad mapą leżącą na stole. We troje – bo Tallett, nieszczęsny zastępca Boheda, trzymał wachtę na okrągło. Na redzie portu mógł ją pełnić byle kto, lecz tutaj to jednak było dzikie kotwicowisko. Oficer na pokładzie musiał być i basta.

Leżąca na stole mapa była mapą morską, bo innej nie

mieli. A przydałaby się kupiecka albo wojskowa. Morska pokazywała wybrzeże i kawałek wnętrza lądu, ale nic na tym kawałku nie było zaznaczone.

– Tu Smutny Cypel, tu Dran... I jeszcze Bahar, płynie jakoś tak. Pod miastem są aż dwa mosty, jeden wielki na południowym przedmieściu... zapomniałem, jak się to przedmieście nazywa?...

– Południowe Przedmieście – rzekła Ridareta.

– Naprawdę Południowe?...

– Mieszkałam tam parę lat. Kawałek za nim. A wielki most, o którym mówisz, nazywa się Wielki Most.

– Ale pomysłowi. Dziura w dupie to Dziura w Dupie.

– Wolałbyś Dartan? Miałbyś wtedy Przedmieście Słońca w Zenicie, albo Łuk Potęgi i Chwały, znaczy most.

Pośmiali się krótko. Tak, Dartan.

– Drugi most jest kilka mil dalej. Krótszy, węższy.

– Nie wiem, jak się nazywa.

– Krótszy i Węższy Most. Załóżmy się.

– Ta, i to po nim mnie wieźli – uznał Cichy. – Bo sporo minęło, zanim koła i kopyta dudniły na belkach. A potem właściwie prosto. W zakrytym wozie nic nie widać, no ale nie ma mowy, żebyśmy mocno skręcali. Że jakieś rozstaje, a tam w lewo albo prawo. Poczujęm. Droga pewno się trochę wiła, ale żadnych mocnych skrętów w bok. Dopiero na końcu, wiadomo.

Słuchali uważnie.

– Czyli od mostu prosto. Aż znajdziemy naszą Lakrę.

– Albo Larkę.

Bohed zaznaczył rysikiem, czyli ołówkiem; to był naprawdę użyteczny wynalazek.

– Będzie jakoś tak. Pół dnia drogi od Dranu... no to

gdzieś tutaj. Ta Larka.

– Ale nie pójdziemy tą drogą. Zobaczcie: to jest całkiem blisko zachodniego wybrzeża. Tam gdzieś zakotwicz i czekaj – rzekła, patrząc na Boheda.

– Co znaczy „gdzieś”? Musicie dokładnie wiedzieć, gdzie jestem. To po pierwsze. A po drugie, to jest przecież Drewniane Dno, bo tyle statków tam leży. Najgorsze wody Szereru.

– Przecież wiem.

– Od Dorony idziesz najpierw wzdłuż wybrzeża na północ, tam jeszcze jakoś się da – myślał głośno Bohed, pokazując palcem. – Ale później każdy wychodzi na Morze Zwarte i dopiero potem do Dranu, bo wzdłuż brzegu to jest cmentarz żaglowców. Znam jednego szypra na całych Bezmiarach, który się tam czasem zapuszczał. A wiecie, że nawet on wsadził tam kiedyś okręt na mieliznę? „Węża Morskiego”, sam mi mówił. Rzucali kotwice i jakoś go ściągnęli z przyływem, ale wszystko, co mieli w ładowniach, wylądowało w morzu.

– Przecież wiem – rzekł jeszcze raz Mevev. – Żadne mapy nie pokażą ci każdego gówna, które tam śmierdzi pod wodą.

Zastanawiał się.

– Masz pustą ładownię, to raz. I lekki okręt, to dwa. „Wąż Morski” to było bydlę zanurzone na osiem albo i dziewięć łokci. Dobrze mówię? Wypchane towarem hogi mają niewiele mniej. A ty jakie masz zanurzenie? Pięć?

– To i tak za dużo na tamte wody. Mogę tam pływać czółnem, ale nie „Delarą”.

Cichy kiwał głową.

– Ta. A wiesz, dobra myśl – rzekł po chwili. – Tutaj –

dziobnął palcem – jest wyspa. Wiecie, jak się nazywa?

– Każdy wie. Bezpieczna.

Popatrzyli po sobie.

– Bo to ostatnie miejsce, do którego można bezpiecznie dopłynąć – podsumował Cichy. – I tam będziesz czekał, przy Bezpiecznej. A na brzegu Garry łódka. Wsiądziemy do niej i przypłyniemy do ciebie. Ile to będzie? Pięć mil? Bezpieczną widać z brzegu Garry.

– Mam jedną niedużą łódź, wiecie jaką. Nie zmieścicie się.

– Zaraz się kupi coś większego w Dranie. Weźmiesz na hol. Zawleciesz do Bezpiecznej. Jak się postawi żagiel i dwudziestu chłopca do wiosł... – Pokiwał głową. – Nie dogonisz nas na swojej „Delarze”.

– Tam przy brzegu jest naprawdę parszywie. Bezpieczna dostała taką nazwę dlatego, że ktokolwiek popłynął kawałek dalej... Potem już tylko na Zwarte, bo dalej wzdłuż wybrzeża się nie da. Nawet dużą łodzią możecie się na coś wpakować.

– Ta – powiedział Cichy. – Ale jak tak będę myślał o wszystkim, to się nigdy nie wysram. Ze strachu, że pęknie mi dupa.

Teraz Bohed pokiwał głową.

– To też racja.

– Kapitana? – zagadnął Mevev. – Bo ja tu trajkoczę jak przekupa. – Zirytował się nagle. – Zawsze tyle gadasz, teraz nic. Kupisz łódkę czy nie? Jesteś księżniczka, a księżniczki są bogate. Zdejmiesz z cyków te koraliki?

– Nie muszę. Kupię. Znaczą łódkę, nie kora... Cicho, bo liczę. Sayl i twoje chłopaki to sześcioro, bo Kitarą na pewno trzymają nie tutaj. Z „Delary” zabieramy wszystkich

naszych, do tego ty i ja... Sześć i jedenaście.

– Siedemnaście – policzył Cichy, bo nie był pewien, czy Ridi da radę.

– Wiem, głupi. Kawał łodzi trzeba będzie kupić.

– Tu jest Dran. Nawet holk byś kupiła od ręki.

– A nie lepiej dwie mniejsze?

– Może lepiej. Trzeba popatrzeć. Wolałbym coś dużego, bo jak się sknoci pogoda... Pójdiesz kupić? – zapytał Boheda. – Mnie tu już chyba nikt nie szuka, ale po co kusić. Ona też niech nie złązi na ląd, bo się wszyscy zaraz oglądają. Nie dość, że baba marynarz, to na dodatek taka.

– No! – potwierdziła zadowolona.

– Nie zejdem z „Delary” – rzekł Bohed. – Ale mam zastępcę. Tallett pójdzie.

– Kawał marynarza – zgodził się Cichy. – Jak wybierze, to na pewno będzie dobrze.

– Niech zejdzie na ląd tutaj i weźmie paru chłopaków – powiedziała. – Po co stać na redzie dłużej niż trzeba i wiosłować w tę i nazad? Może ktoś wypatruje takich statków, które tu przypływają nie wiadomo po co. Niech Tallett z chłopakami idą do Dranu, kupią łódź, a jak nas zobaczą na redzie, to niech wsiadają i płyną. Podajemy im hol, schodzimy z kotwicy i od razu płyniemy wokół Cypla.

– Tak najlepiej.

– No to jeszcze raz – powiedział Bohed. – Wysadzamy drugiego na ląd, idzie z chłopakami kupić łódź. Jutro czekają na nas na redzie albo my na nich. Potem „Delara” do Bezpiecznej, a wy na Garzę. Gdzieś tutaj – znów popukał mapę – pytacie o Lakrę albo Larkę, znajdujecie ciupę Trybunału, potem wracacie na brzeg. Czekam na

was przy Bezpiecznej. Ile dni?

– Pięc, no może sześć – odpowiedziała Ridareta. – Jeśli nie przyplyniemy, to wróc tutaj. I jezeli tutaj tez nas nie będzie, to...

Popatrzyl po sobie.

– Rób, co chcesz – dokończyła. – Poczekaj ze dwa dni, a potem najlepiej wracaj na Agary i czekaj, aż wróci Raladan.

– Gdybyście wrócili na brzeg i nie znaleźli łodzi albo nie mogli do niej dotrzeć... Nie kręć głową, Rido, bo nie wiadomo, co może się zdarzyć – upomniał surowo Bohed; bardzo rzadko używał jej imienia i teraz przez chwilę wydawał się podobny do Raladana. – Zapalcie wielki ogień, a potem na wszelki wypadek idźcie stamtąd i czekajcie milę w górę mapy od tego ognia. Z morza nikt nie zwróci uwagi, bo nikt tam nie pływa. Ale ja postawię chłopaka na oku i będę wypatrywał. Jeżeli zauważę, to wyśle po was moją łódź, może się jakoś stłoczycie i pomieścicie. Chciałbym, żeby wracało was tyle, ile pójdzie, ale...

– Nie – powiedział Cichy. – Jedna łódka to za mało. Przecież sama nie przyplynie, ktoś w niej będzie. Ale pomysł dobry. Kupi się w Dranie dużą i małą łódź, będziesz miał co holować. A jakby co, to wyślesz po nas dwie. I wtedy to już jakoś się zmieścimy. Może.

Zamyślił się i zagapił na wodę przez malutkie kwadratowe okienko.

– Co znowu? – zapytała.

– Teraz chcesz hałasować? Lepiej najpierw dogadaj się ze szcurkiem Derrhertem. Zanim wdasz się w jego awanturę.

– Nie. Właśnie zanim wdam się w jego awanturę, chcę, żeby traktował nas poważnie – wytłumaczyła. – Ale teraz, kiedy nasi będą szli po łódź, niech zostawią wiadomość U Szypra. Piękniś pójdzie. I niech jeszcze zajrzy po drodze do naszego kupca i powie, żeby się stąd zbierał. Jeśli się uwinie, to może jakoś go weźmiemy na „Delarę”.

– Co ci tak na nim zależy? Może się jeszcze przydać, niby wiem...

Wzruszyła ramionami.

– To chyba głupie. Coś komuś obiecałam. Chcę czasem zrobić coś dobrego, jeżeli to nic nie kosztuje. A ten pocieszny lepiglina ma tutaj żonę, a na Agarach córkę, wnuki. Sam prosił o karę, żeby tylko nic im się nie stało.

– Będziesz pływała na „Ślepej Ridi” i rozwoziła podarki poczciwcom?

Zaśmiała się zawstydzona i ponownie wzruszyła ramionami.

– Przecież mówię, że to głupie. Wiem.

ROZDZIAŁ 20



Z Seyenu Raladan nie popłynął aż do Teheglu w Grombelardzie Niskim. Zawinęli po drodze do Aleny, ładnego portu przy ujściu Raneli. Stąd wiodła prosta i najwygodniejsza droga do Rollayny.

I tak samo tutaj, w Alenie, po zabraniu z Teheglu przypadkowego frachtu – zwykle była na to spora szansa – „Pociecha” miała czekać aż do jego powrotu.

Tym razem nie wybrał się sam. Kraj był spokojny, droga średnio długa, ale jednak samotność w podróży nie obiecywała żadnych korzyści. Towarzystwo przeciwnie. Jadąc sam, poniósłby trochę mniejsze koszty, bo kupiłby w Alenie jednego konia zamiast pięciu, które później należało sprzedać. Oczywiście ze stratą; nie miał złudzeń.

Ale to nie był rujnujący wydatek. Gdyby miał od ręki kupić pięć okrętów – wtedy potrzebowałyby czasu do namysłu.

Towarzyszyli mu dwaj potrafiący się utrzymać w siodłach marynarze i jeszcze dwaj żołnierze – ci, chociaż byli morskimi piechurami, jeździli lepiej niż on.

Nie zdjęli swoich wojskowych tunik, białych z zielonymi rybami, bo takie były żagle „Delary”, z której zostali zabrani na „Pociechę”. Tutaj mogli uchodzić za prywatny poczet dartańskiego posiadacza ziemskiego; nie takie cuda haftowano na tunikach pocztowych.

Mogli też udawać samych siebie, czyli pokładowych żołnierzy bogatego właściciela statku, któremu towarzyszą w podróży.

Bez żadnych przygód, nie mitrząc czasu, ale też nie pędząc na złamanie karku, dotarli do Rollayny. Przedmieście Kuszniaków, na którym się zatrzymali, należało do najbogatszych. Właściwa stolica – rozrastające się, olbrzymie skupisko ludzi – otoczona była na dobrą sprawę drugim, zewnętrznym miastem, umownie podzielonym na dzielnice, z których tylko niektóre zwano przedmieściami, inne nie.

Te dzielnice i przedmieścia miały własne przedmieścia, a te przedmieścia przedmieść też miały...

Ćwierć miliona mieszkańców i jakieś pięćdziesiąt, o ile nie siedemdziesiąt tysięcy przyjezdnych. Bawiących przez dzień, tydzień, miesiąc albo i trzy lata – bo tyle trwała nauka w tutejszej akademii.

Raladan znał Rollaynę na tyle dobrze, że nie szukał miejsca do spania w obrębie jej ażurowych murów, które nigdy nie pełniły funkcji obronnej. Wydawanie pieniędzy było jednym; wyrzucanie ich – czymś całkiem innym. Agarski książę nie bał się nawet tłoku, ale w Ćwiartkach zewnętrznego pierścienia, otaczającego Dzielnicę Królewską (Ćwiartki były trzy, co czyniło nazwę niedorzeczną), nie panował zwyczajny tłok – to się jawiło raczej jako wielka beczka nabita śledziami. Nawet te zachowane fragmenty miejskich murów stanowiły miejsce spotkań i spacerów; dozwolony był też handel obnośny, bo miejsca w Rollaynie się nie marnowało. Przedmieście Kuszniaków bez trudu mogło uchodzić na tym tle za... skupisko istot ludzkich, nie zwierząt.

W królującym tutaj urzędniczym gmachu, zwanym podratuszem, zostawił wiadomość o swoim przybyciu. Po odpowiedź miał posłać nazajutrz.

To „nazajutrz” było przedwczoraj i odpowiedź rzeczywiście czekała: jego dwaj biało-zieloni żołnierze wrócili z nią do wygodnej gospody, w której dzielili izbę ze swymi towarzyszami marynarzami, gdy on sam zajmował drugą, sporo mniejszą.

Nabijany złotem pas i pysznie haftowany kaftan jeszcze raz się przydały. Raladan nie widział powodu, dla którego miałyby stanąć przed królową w gorszym stroju niż przed jej kasztelanem w Seyenie. Uzupełnił przyodziewek obszernym płaszczem – niebiednym i niebogatym, takim, jaki mógł nosić każdy: mężczyzna Czystej Krwi albo mieszczuch.

I zrobił jeszcze jedno: zastąpił złotym łańcuszkiem rzemyk, na którym miał zawieszony na szyi Listek Szczęścia, Jasny Porzucony Przedmiot. Kiedyś chronił przed chorobami; teraz nie było to całkiem pewne. Porzucone Przedmioty straciły wiele swoich właściwości.

Listki Szczęścia wciąż jednak kosztowały majątek. Wiara w ich moc była trwalsza niż one same – a uchodziły za niezniszczalne.

Podciągając łańcuszek, skrzywił się w kpiącym uśmiešku: stroił się chyba pierwszy raz w życiu. Jeśli kiedyś już tak robił, to zapomniał.

A, nieprawda... Uzmysłowił sobie, że w tym samym mieście, kilka lat temu, kupił całkiem nowe odzienie. I – rzecz dziwna – przed spotkaniem z tą samą osobą. Chociaż wtedy nie był pewien, czy zostanie przed nią postawiony; nie znał jeszcze pani K.B.I.Ezeny, władczyni

wskrzeszonego królestwa.

Okryty płaszczem wyszedł na stołeczną ulicę.

Był już późny wieczór, niedawno wybiły tę porę miejskie gongi. W Armeckie po starym wybijano tylko ranek, południe i wieczór, tutaj tłuczono częściej. Raladan przemierzył opustoszałe ulice, przy miejskiej bramie spotkał się z zapowiedzianym człowiekiem, który go przeprowadził przez niewielką furtkę. Porozumieli się w kinienie, ale wiele do mówienia nie było. Poszli przez raczej senną niż naprawdę uśpioną Srebrną Ćwiartkę; teraz już byli w obrębie murów Dzielnicy Królewskiej. Przewodnik, wyglądający na rozebranego z mundurowej tuniki i zbroi oficera średniej rangi, prowadził prosto i bez wahań. Dwukrotnie zapytali go o coś żołnierze z nocnych patroli; dwukrotnie krótko odpowiedział – rzecz jasna zarówno pytania, jak i odpowiedzi padły po dartańsku.

Wreszcie dotarli na miejsce.

Tak, to naprawdę był jeden ze sławetnych białych pałacyków, w którym właściciel bywał, bo nie mieszkał. Nie dało się tutaj mieszkać; można było tylko okazać całemu światu, że jest się właścicielem domostwa w stolicy. Zausznik monarchini, rycerz albo magnat, może łaskawie zwany przez nią aż przyjacielem, zostawił swojej pani klucze do swego domu, w każdym razie można by tak powiedzieć, bo niczego tu na klucz nie zamykano. „Korzystaj, wasza wysokość, kiedy zechcesz, racz mi wyświadczyć ten honor” – musiało tak właśnie być. Dwaj śmiertelnie nudzący się słudzy, raz kiedyś wietrzący i odkurzający pokoje, mieli niekiedy zaszczyt usługiwać którejś z Pereł królowej, jeszcze częściej

królewskiej złodziejce Vasanevie, a tym razem nawet samej monarchini.

Najpierw podjęli jej gościa – bez mała czołobitnie, lecz w milczeniu. Dobrze poinstruowano tych ludzi. Przejawiali bardzo uprzejmą, niemniej całkowitą obojętność; wystrzegali się nawet spojrzeń, choć tożsamość człowieka, z którym potajemnie spotykała się vana bądź ktoś przez nią wysłany, musiała obudzić ciekawość w każdym. Odebrali płaszcz, wskazali pokój na piętrze. Oficer przewodnik został na dole.

W przebogato i niegustownie urządzonego pokoju na stole było wino i owoce. Sługa bardzo wymownym gestem i spojrzeniem dał do zrozumienia: „Oto pokój do twojej dyspozycji, panie. Zechciej odpocząć, zaspokoić pragnienie”. Wszystko umiał wyrazić gestem. Wychodząc, tak samo dał poznać, że będzie czekał na wezwanie za drzwiami.

Doprawdy, nauka obcych języków wydawała się stratą czasu. Skoro zwykły sługa doskonale obywatel się bez tego...

Skądinąd, oprócz języka rodzimego, na pewno znał przynajmniej kinen.

Jeden z pucharków na stole był napełniony i Raladan napił się z niego. Strach powiedzieć: nie przepadał za winem. Zazwyczaj pił piwo; od czasu do czasu wódkę. Nigdy nie miał specjalnej skłonności do trunków, cecha u marynarza wyjątkowa.

Potem z pucharkiem w ręku przechadzał się po komnatce. Spróbował wyrzeć na zewnątrz przez wąskie ostrołukowe okienko, ale zostało uzbrojone w lekko przydymione szkło, więc mógł się najwyżej poprzeglądać.

Nie było jasne, jaką pozycję miała królowa Ezena: najpotężniejszej czy też drugiej pod tym względem osoby na świecie.

Nie rozstali się w wielkiej przyjaźni.

Wymienili kilka listów. Uprzejmych i bardzo chłodnych.

Kobieta, która weszła do komnatki i zsunęła z głowy aksamitny kaptur, nie była królową. Beztrosko wyrzuciła płaszcz na zewnątrz przez niedomknięte drzwi. Ktoś go złapał w powietrzu i drzwi zamknęto.

– Książę – powiedziała po garyjsku i obdarzyła go uśmiechem, który mógł uchodzić za figlarny, ale i trochę kpiący.

– Perło – odpowiedział i też nie powściągnął uśmiechu.

Trudno powiedzieć, że dobrze się znali. Rozmawiali dotąd niewiele, ale w zamian... zdążyli przed laty nawiązać zażyłość zupełnie innego rodzaju. Złośliwi powiadali, że ta najważniejsza z Pereł królowej pierwszą samotną noc spędzi w trumnie.

Coś w tym było.

Nie zmieniła się wcale. Może odrobinę zeszczupiała. Wciąż daleko miała do chudości, niemniej przed pięciu laty była najzwyczajniej okrągłutka.

W niczym to nie przygaszało jej urody. Wielu uważało, że ta najdroższa i najpotężniejsza niewolnica Szereru – bo powiernica i przyjaciółka królowej Ezeny była właśnie taka: potężna – jest zarazem najpiękniejszą kobietą Dartanu. Oczywiście, nie każdy się z tym zgadzał; wystarczyło nie gustować w blondynkach.

– Trochę się spóźni – powiedziała wyjaśniająco. – Królowa.

Upił łyk wina.

– Ale nie aż tak, żebym był w niebezpieczeństwie?

Zaśmiała się krótko.

– To złośliwość?... Nie, dzisiaj nic ci nie grozi. Chociaż, jeśli chwilkę pomyśleć...

– W żadnym razie – powiedział.

– O, mój bohaterze.

Wskazał stół, a wraz z nim wino i owoce gestem tak wymownym, że nie powstydzilby się sterczący za drzwiami sługa.

Napełniła pucharek, dotknęła rubinowego płynu ustami.

– Mmm... – mruknęła, przymykając oczy i spróbowała jeszcze raz. – Wreszcie mam coś na niego.

Powiodła spojrzeniem dokoła, więc chyba mówiła o właścicielu pałacu.

– Zdrada stanu – wytłumaczyła. – Królowa nie ma tak dobrych win w swojej piwnicy. Nawet nie potrafię powiedzieć, co to jest. Ale nie pamiętam, kiedy piłam równie znakomite.

Powątpiewająco skinął głową i upił kolejny łyk cierpkiego, mocno stęchłego płynu. Nie dałby tego swoim marynarzom. No może za spanie na wachcie.

Roześmiała się, mrużąc oczy.

– Wiem, co pomyślałeś, żeglarzu. I masz rację, bo to tylko sfermentowana ciecz. Znam ludzi, którzy rozpoznają każdy smak i aromat, a są dużo mniej warci od zawartości jednego takiego pucharka. Ty do nich nie należysz – dokończyła i było całkiem jasne, że mu nie schlebia.

Nie musiała.

– Ale ja, choć rozróżniam smaki, jestem więcej warta od wina i dlatego...

Odstawiła pucharek, zwróciła się ku drzwiom i klasnęła w dłonie.

Natychmiast pojawił się sługa. Powiedziała coś po dartańsku; skłonił się i wrócił na swoje miejsce za drzwiami.

– Kazałam mu jutro przysłać trochę tego do pałacu – wyjaśniła znów po garyjsku.

– Dla królowej?

– Dla mnie. Królowa odróżnia białe wino od czerwonego. Ale z trudem i nie po ciemku.

Mogła sobie pozwolić na wszystko. Bo zawsze wiedziała, wobec kogo sobie pozwalała i na co.

– Mam więc wiele wspólnego z twoją panią.

– Więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić – odrzekła zupełnie poważnie. – I zachowaj to dla siebie, Raladanie. Ją kocham, a ciebie... lubię. Nie uwierzysz, jak niewielu jest w pałacu mężczyzn. – Znowu się roześmiała. – Najwięcej chyba w przybocznych chorągwiach królowej, ale tam... Nie umiem się zakraść. A pałacowych gwardzistów Hayny jest niespełna pięciuset.

Przyglądała mu się bezwstydnie i kpiąco. Ale zaraz spoważniała.

– Chcę, żeby wam się udało. Słuchaj mnie uważnie: zraniłeś ją kiedyś do krwi. Bardzo potrzebowała sojusznika. Nadal potrzebuje, jest sama. Nie rozmawiaj z nią jak najemnik, nie tym razem. Zaproponuj jej wsparcie i przyjaźń, a uzyskasz wszystko, o co ją poprosisz.

– Nie umiem tak rozmawiać, Anesso – odparł

z podobną powagą. – Rzeczywiście mam propozycję, która jest bardziej prośbą. Bo dzisiaj to chyba ja czegoś potrzebuję, nie twoja królowa.

– Mylisz się. Do wojny z Armektem jak dotąd nie doszło, zdążyła zbudować flotę i już nie potrzebuje twoich okrętów, a raczej: potrzebuje nie tak bardzo jak kiedyś. Ale jest sama, mówię ci to po raz drugi. To kobieta. Bardzo mądra i twarda, ale nas to zawsze kosztuje więcej niż was, mężczyzn. Nie jesteś jej poddanym, jesteś... władcą. Masz małe księstwo, ale władca to władca. Ilu jest władców w Szererze? Ludzi, którzy nikogo nad sobą nie mają? Mężczyzn, z którymi mogłaby porozmawiać jak z równymi sobie? – Rozłożyła ręce i rozejrzała się wokół, jakby chciała kogoś znaleźć.

Znowu spoglądała na niego.

Odwzajemnił spojrzenie.

– W ogóle o tym nie myślałem.

– Mężczyzna – skwitowała. – No to zacznij.

Westchnęła.

– Powiedziałam ci tyle, ile mogłam. Nie chcę, żebyś znowu wszystko zepsuł. Potrzebujesz jej, a ona ciebie. Dwoje. – Uniosła wskazujące palce obu dłoni. – Dwoje ludzi, którzy się potrzebują. Daj jej to, czego chce, a otrzymasz wszystko, o co ją poprosisz. Albo zacznij znowu udawać żołdaka, który zrobi cokolwiek za garść złota, a rozejdziecie się z pustymi rękami. Z jakąś bezwartościową umową, zawartą, bo tak było słusznie, ale uwłaczającą obojgu.

Dmuchnęła na palce, posyłając w powietrze niewidzialny puch.

Zastanowił się i skinął głową.

– Dobrze, Anesso. Dziękuję.

– Powiedziałaś mi to, bo ją kocham i chcę, żeby się powiodły jej plany. Gdy dodatkowo skorzystasz i ty, to tym lepiej.

Wzięła swój odstawiony pucharek.

– Wystarczy. Teraz mi opowiedz, piracki księżę, co by było, gdybyśmy mieli trochę więcej czasu.

– Zawiózłbym cię na okręt i dał marynarzom.

Upiła łyk wina i przymknęła oczy.

– Mhm... To zwierzęta, dziczka i brudne... O tak. Opowiadaj dalej.

o o o

Królowa nie przyszła sama.

Stojąca w drzwiach młoda kobieta o kasztanowych włosach, wzrostu więcej niż średniego, muskularna, co dało się poznać nawet przez odzienie, nie miała aż takiej urody jak Anessa. Niemniej też była Perłą i też jedną z najdroższych – człowiek, który kupił te dwie niewolnice dla przyszłej królowej Dartanu, uchodził za najbogatszego w Szererze. Ta tutaj, przyboczna strażniczka królowej i komendantka jej gwardii pałacowej, uważana była przez wielu za obronnego psa, który nie widział niczego i nikogo poza swoją panią.

Czarna Perła z armektańskiej hodowli. O tych wojowniczkach krążyły legendy, chociaż może raczej bajędy. Połączenie kobiecego piękna i wojennych umiejętności, do tego jeszcze wiedzy – to rzadko się udawało. Wydumano, że mają w żyłach domieszkę krwi

stepowych panter.

Ciekawe, jakim sposobem.

– Książę.

– Hayno.

– Cieszę się, że cię widzę całego i zdrowego. Bo jesteś zdrow? Gdybyś był chory, nie przyjechałbyś tutaj – zauważyła nie bez racji.

Nie posługiwała się tak dobrym garyjskim jak Anessa, niemniej mówiła zupełnie poprawnie.

Każdą Perłę uczono czterech głównych języków Szereru, choć garyjski i grombelardzki traktowano po macoszemu. Może nie we wszystkich hodowlach tak samo.

Raladan i Druga Perła królowej znali się i szanowali. Ale nie lubili, choć wiele razem przeszli, a nawet walczyli ramię w ramię.

Anessa miała na sobie prostą w kroju, lecz świetnie uszytą suknię. Hayna przyszła w zwykłym stroju królewskiej przybocznej: znakomitej krótkiej kolczudze wyłożonej na brązową spódnicę. Zbroja była zakryta jasnoszarą narzutą, spiętą dwoma skrzyżowanymi pasami, które podtrzymywały miecz i dwa sztylety.

Pierwsza Perła skinęła Haynie głową; ta odpowiedziała w ten sam sposób. Rzecz niewiarygodna: dwie najważniejsze Perły Domu królowej szczerze się przyjaźniły. Nauczyły się nie wchodzić sobie w drogę. Było to zjawisko nieoglądane chyba nigdzie.

Teraz obie opuściły pokój, ustępując miejsca swojej pani.

Raladan lubił kobiety jasnowłose. Nie zdołałby znaleźć odpowiedzi na pytanie, jakim cudem zawsze uważał

czarnowłosą królową Ezenę – a miała włosy tak czarne, że aż mieniły się granatem – za urodziwszą od obu jej Pereł. Wysoka i szeroka w ramionach, postawna, z dużymi piersiami i okrągłymi biodrami, wyglądała na okaz zdrowia. Gdy szła, pod spódnicą beżowo-czarnej, dość chyba wygodnej sukni rysowały się solidne uda. Ta kobieta była jak... rasowy koń. Emanowała siłą i zdecydowaniem, przejawiającymi się w ruchach.

Włosy miała splecione w wysoko upięty warkocz. Kiedyś takie uczesanie (właściwie każdy warkocz) wszędzie poza Armektem uchodziło za plebejskie. Dartańska vana uczyniła je najmodniejszym w Szererze.

Przybył przed nią, lecz nie mógł się czuć gospodarzem; miała prawo przemówić pierwsza.

– Księżę – usłyszał po raz trzeci tej nocy.

Tym razem po armektańsku.

Przywołał swój mocno wzbogacony kinen.

– Wasza królewska wysokość – odpowiedział i się skłonił.

Oceniła go wzrokiem.

– Nie zmieniłeś się.

– A ty tak, królowo.

Znowu mu się przyjrzała. Nie odwrócił spojrzenia.

Nigdy nie był kobieciarzem. I nie lubił niedomówień, lecz tym razem sobie pozwolił.

Po chwili coś zamigotało w jej różnobarwnych oczach; jedno miała czarne, a drugie zielone, jakimś cudem o tym zapomniał. Kiedyś już widywał te błyski.

Odgadła, co jej powiedział.

I lekko się uśmiechnęła.

Jednakże zaraz potem błyski w oczach zgasły, uśmiech

zniknął.

– Usiądź, panie – pozwoliła, wskazując miejsce przy stole.

Usiedli oboje.

W objęciu dartańskiego tronu dopomógł jej stary mit o powrocie królowej Rollayny; była rzekomo jej wcieleniem. Potem mit ustąpił miejsca bardziej przyziemnym domysłom: stugębna plotka kazała w niej widzieć nieślubne dziecko starego księcia Sey Aye, który nie mógł go uznać ani adoptować. Oszukał więc świat i przed śmiercią pojął córkę za żonę, by przekazać zarówno majątek, jak i monogramy przodków rodu. Legenda przegrała z szarą, lecz dającą się zrozumieć prawdą życia.

A tymczasem prawdziwa była ta pierwsza. Ezena nie miała żadnych cudownych mocy, lecz bez wątpliwości stanowiła odbicie najstarszej z trzech córek Szerni. Coś w rodzaju żywego wspomnienia, symbolu. Raladan wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny.

Ale jakie to miało znaczenie? Naprawdę zbyt wiele w życiu zobaczył, by przejmować się legendami. Stary lah'agar Tamenath dobrze mówił: dla sił Szerni brakowało miejsca tu, na dole. Kimkolwiek byłeś i skądkolwiek przyszedłeś, do walki ze światem musiałeś stanąć jak wszyscy inni ludzie, uzbrojony w nic więcej jak tylko swoje człowieczeństwo.

Ona tak postąpiła.

Robił tak i on.

Wypadało zagaic. Przecież to nie królowa Ezena przyszła do niego z jakąś sprawą.

– Wasza wysokość – powiedział – u progu jesieni

wybuchnie powstanie garyjskie i tym razem imperium przegra.

Przyglądała mu się uważnie.

– Trochę tak, a trochę nie – odpowiedziała. – Imperium na pewno przegra, tutaj zgoda. Ale nie sądzę, by powstanie wybuchło w tym roku.

Zdziwił się.

– Odkładane jest z roku na rok. Oni już chyba nie tyle nie chcą, co nie mogą dłużej czekać – wytłumaczył. – Żadnej tajemnicy nie da się utrzymać w nieskończoność. Przygotowania do rebelii są teraz tak słabo maskowane, że niemal zupełnie jawne. Imperium nic z tym nie robi, bo jest słabe i nie chce prowokować wojny, wolałoby ją odwlec o kolejne lata. Lada chwila jednak straci Garrę bez walki. Tam już nikomu nie zależy na podtrzymywaniu ścian, które i tak się zawalą. Wszyscy spoglądają ku władzom przyszłego królestwa, bo to do nich teraz trzeba się uśmiechać.

Zamilkł na chwilę i dorzucił:

– Garyjczycy muszą uderzyć, bo w przeciwnym wypadku zrobi to Armekt, choćby bardzo niechętnie. Dalsze odwleknięcie wojny nie ma sensu i chyba jest po prostu niemożliwe. Tak jak powiedziałem, przygotowania są niemal jawne. Nawet ja pokazałbym palcem miejsca i osoby, którymi należałoby się zająć. Trudno uwierzyć, wasza wysokość, że nie zna ich Trybunał.

– Jeszcze miesiąc temu uważałam tak samo – przyznała. – Ale najnowsze doniesienia temu przeczą. Garyjczycy chcą poczekać jeszcze rok, bo Armekt ma nowe kłopoty na Północnej Granicy. Może nawet takie, jak przed trzydziestu kilku laty. Oczywiście, Garra

z wielką uwagą śledzi, co z tym zrobi królowa Ezena. – Uśmiechnęła się ironicznie. – Kirlan w tym roku na pewno niczego nie przedsięwzięmie w Morskiej Prowincji.

– Wiesz, co mówisz, pani – odrzekł po krótkim namyśle. – Jestem pewien, że twoja wiedza o garyjskich sprawach jest co najmniej równa mojej, a prawdopodobnie większa. Jeśli rzeczywiście tak jest, to mam więcej czasu, niż myślałem. Ale więcej to nie znaczy dużo.

Milczała wyczekująco.

– Od naszej poprzedniej rozmowy sporo się zmieniło – rzekł, nie odwracając spojrzenia. – Mam silniejszą flotę niż kiedyś, wasza wysokość, moje księstwo okrzepło. Wiem, że i ty nie próżnowałaś, ale morskie wsparcie, które mogę ci zaoferować, wciąż jest warte wzięcia pod uwagę. Jednak... – Zawahał się. – Są co najmniej dwa powody, dla których nie chcę bądź nie mogę rozmawiać z tobą tak, jak przed laty. Jednego powodu nie zdradzę, a ten drugi...

Wciąż czekała.

– Opowiem ci, pani, o Aherach.

ROZDZIAŁ 21



Smutny Cypel i jego nasada to była najgęściej zaludniona część Garry.

Foka Ridi i Mevev Cichy wiedzieli o tym, ale nie pamiętali. Od wielu lat oglądali tylko porty. Łatwo było sobie wyobrazić, że za przedmieściami Dranu rozciąga się niemal pusty kraj, upstrzony tu i ówdzie wioskami, czasem jakimś małym miasteczkiem. Niezliczone osady rybackie na wybrzeżach wydawały się tak oczywiste jak morza, nad którymi leżały. Ale w głębi lądu?...

A tymczasem nad szeroką wstęgą Baharu wioski rzecznych rybaków, uprawiających także poletka, położone były niemal jedna obok drugiej. Z każdej dało się dojrzeć zabudowania następnej, ledwo majaczące w oddali albo bliższe i zupełnie wyraźne. Przysłaniały je najwyżej kępy drzew, bo lasów nie było prawie wcale. Ten, w którym niedawno ukrywał się Mevev, jawił się szerokim najwyżej na półtorej mili i długim na pięć mil pasem drzew, niemal nietkniętym od stu pięćdziesięciu lat – bo należał do dóbr imperialnych. Las można było wyciąć nader szybko, rezygnując raz na zawsze ze wszystkich jego zasobów, drewno także dało się sprzedać tylko raz, więc Wieczne Cesarstwo nie kwapiło się do rabunkowej gospodarki; tak wyglądała sprawa do niedawna. Nie kwapiło się tym bardziej, że pozyskane po wykarczowaniu lasu grunty uprawne w niespokojnej

provincji, żyjącej od rebelii do rebelii, słabo się opłacały, zwłaszcza że marne gleby garyjskie rodziły byle co. To nie były wioski armektańskie albo dartańskie, nieniszczone od wieków, przysparzające stałych i przewidywalnych danin, żyjące z ziemi, którą można było obsiać bodaj piaskiem, bo i tak obrodziłaby łanami zbóż.

Jednakże taki las pod Dranem był jeden; zresztą cesarstwo, od pewnego czasu stale borykające się z brakiem pieniędzy, mocno go ostatnio przerzedziło, a na przestrzeni mili wykarczowało, rezygnując z roztropnej powściągliwości. Godne uwagi bory dało się znaleźć dopiero w głębi wyspy, a najprędzej u podnóży i na zboczach nieprzyjaznych Harenów.

Ridareta i jej żeglarze maszerowali zakurzoną drogą od wioski do wioski. Zwracali uwagę. Marynarzy wzmocniło czterech żołnierzy z „Delary”, oddziałek liczył więc piętnaście osób. Bardzo szybko pochowali broń; co tylko się dało poupychano pod płaszczami albo w worach i sakwach. Z mieczem lub nożem u pasa podróżowało wielu, lecz w kolczugach, z toporami, łukami i kuszami prawie nikt. Czasem jakiś prywatny poczet, lecz takich było niewiele, bo w Morskiej Prowincji, inaczej niż kiedyś w Dartanie, rzadko komu zezwalało na utrzymywanie własnego oddziałku. Częściej widywało się zbrojnych pachołków przy kupieckich wozach – ale jedni i drudzy wyglądali inaczej.

Wędrujący żeglarze nigdzie nie dostrzegli natomiast nawet śladu żołnierzy imperium. Ani legionistów, ani strażników morza z portowych garnizonów. Bodaj jednego patrolu, pieszego czy konnego.

O wieś, której szukali, dopytali się bardzo łatwo: już drugi zatrzymany kupiec, prowadzący trzy sterane wozy, dokładnie wyjaśnił, jak iść. Wyglądał na szczęśliwego, że otaczające go ponure zbiry grzecznie proszą tylko o pokazanie drogi. Sprzedał im mapę kupiecką. Może jej potrzebował, ale sprzedałby nawet spódnicę zdjętą z zadka, byle wzięli i sobie poszli.

O nabyciu kupieckiej mapy Ridareta pomyślała wcześniej, miał o nią pytać Piękniś, ponagląjący dartańskiego kupca do zebrania manatków (jak też ten kupiec miał na imię? – wiecznie zapominała).

Piękniś nikogo nie ponaglił i nie przyniósł mapy. W zamian miał bardzo złą wiadomość: w domu nie znalazł gospodarza, jego żony ani służby. Sąsiadów nie wypytywał, lecz porządki, jakie zastał w środku, dawały do myślenia. Ten dom napadnięto i splądrowano w dużym pośpiechu, a skoro mówił to pirat, należało mu wierzyć. Ktoś został ranny lub zabity, o czym świadczyły liczne ślady krwi. Drzwi frontowe zamknięto; Piękniś wszedł tylko dlatego, że wiedział o drugich, wychodzących na tyły domu – to było wejście, z którego korzystał kiedyś Sayl. I każdy, kto przychodził do kupca nie po to, żeby coś kupić.

Być może należało wreszcie porozmawiać z kochającym grę w kwadraty i kości setnikiem Mawewem. Teraz jednak brakowało możliwości i czasu. Mieli do zrobienia coś innego.

Odszukali Larkę i przed zmierzchem znaleźli się w niewielkim lasku, bardziej zagajniku, z którego dało się dojrzeć odległe mury brzydkiej garyjskiej posiadłości. Miejscowe budowle były przysadziste, przeważnie

jednopiętrowe. W obrysach okien i drzwi królowały pełne łuki, niestrzeliste w odróżnieniu od dartańskich. Także narożniki budynków łagodzone krągłościami. Wszystko to nie musiało wyglądać paskudnie – ale drzwi wydawały się nadmiernie szerokie, a niegęsto rozrzucone okna niskie. Garyjczycy kochali się w czymś, co najbardziej przywodziło na myśl niewielkie warownie, przebudowane na sadyby mieszkalne. Dogadaliby się z Grombelardczykami.

Z tyłu widniały zabudowania mogące być stajnią lub wozownią. Może zresztą jednym i drugim.

Kiedys mógł tu siedzieć zamożny właściciel dwóch nieodległych wsi. A kto wie, może siedział nadal, odnajmując tylko część swego domu.

Nim ciemności rozgościły się na dobre, dojrzeli niewielką grupkę uzbrojonych ludzi krążącą wokół zabudowań. Wszystko się zgadzało. Pozostało sprawdzić, kto tutaj naprawdę mieszka i do czego służy budynek.

Posilili się w zagajniku. Powyciągali z worków broń, niektórzy popakowali w zamian płaszcze, by nie krępowały ruchów. Były dwie kusze i łuk. Hełmów nikt nie używał – nawet żołnierze zostawili swoje na „Delarze” – w zamian większość zuchów Pięknej Ridarety nosiła kolcze plecionki, najczęściej krótkie koszulki. W czymś takim walczyło się na morzu. Kto wyleciał za burtę, nie musiał od razu utonąć.

Ridareta już po przebyciu pierwszej mili lądem zrobiła, co mogła, żeby uchodzić za mężczyznę, bo wędrująca garyjskimi drogami kobieta na czele grupy drabów o mniej lub bardziej zakazanych gębach naprawdę zwracała uwagę, choć nie wystroiła się w swoją czerwoną

suknię i zrezygnowała z błyskotek. Największy kłopot miała z włosami, które beznadziejnie upychała pod kapturem, aż na koniec ze złością poskromiła za pomocą noża – umiały przecież szybko odrosnąć. Jakiś zdumiony podróżny na widok zaczepionych na przydrożnym krzewie kłębow brązowych kędziorów długo miał się zastanawiać, jakiej to kobiecie i dlaczego strzeliło do głowy ostrzyc się akurat w tym miejscu.

Bez kaptura na głowie wyglądała teraz jak straszdyło. Z lewej strony krzywo uchechłane kudły sięgały do ramienia, z prawej niezupełnie, a na plecach zakrywały tylko jedną łopatkę. Gdy się pokazała Mevevovi, pokiwał głową, popatrzył gdzieś na horyzont i splunął. Oberwał w łeb, ale to nie poprawiło jej humoru.

W zagajniku ułożyła plan. Był godny podziwu.

– Pójdziemy i wszystkich pozabijamy – rzekła. – Ja pójdę z jednej strony i pokażę się wartownikom, a ty i jeszcze trzej od razu pędźcie z drugiej strony do drzwi. Bo mogą być solidne i jak zamkną od środka, to mocno się napocimy, żeby wejść.

– A jeżeli będą zamknięte?

– To włączcie do środka jakkolwiek i otwórzcie.

Cichy pokiwał głową, bo to był naprawdę dobry plan. Jego kapitana mogłaby dowodzić armektańskim legionem.

Rozdzielili się, a potem z obu stron podkradli tak blisko, jak pozwalały ciemności.

Wartująca grupka liczyła chyba czterech zbrojnych. Może pięciu. Ku oburzeniu swych żeglarzy Ridi poszła na spotkanie z wrogiem, mając u boku trzech żołnierzy. Wiedziała, co robi, dwie pokładowe dziesiątki „Delary”

złożone były z prawdziwych rzeźników. Raladan nie woził ze sobą oferm garnizonowych.

Nie chciała iść całą grupą, bo zachodziła obawa, że na widok kilkunastu ludzi strażnicy posiadłości wezmą nogi za pas i zechcą rozmawiać przez okienka, z których łatwo dało się strzelić z kuszy – w zamian wejść tą drogą do środka mogło być znacznie trudniej. No bo kusze.

Wszystko szło po jej myśli. Na spotkanie czterech ciemnych sylwetek wyszło z mroku przy ścianie domu tyluż ludzi z bronią w rękach.

Prowadzący ich mężczyzna powiedział głośno:

– Stać!

Zawahał się na moment, dostrzegając w mdłym świetle padającym z okna ładną twarz piętnasto- lub szesnastolatki, która promiennie się do niego uśmiechnęła. I podeszła. Była bardzo odważnie uczesana.

Nagle skoczyli ci, co za nią szli.

Ridareta używała półmiecza, tak jak kiedyś. Pchnęła od dołu, przebijając podgardle, język i podniebienie; ostrze broni zatrzymało się dopiero w mózgu. Trzej towarzyszący jej żołnierze może nie mieli hełmów ani swoich mundurowych tunik, lecz nie postradali przez to umiejętności. Nie doszło do żadnej walki; przed domem w mgnieniu oka wykonano cztery egzekucje.

Mevev i jego marynarze właśnie dobiegali do drzwi. Z drugiej strony pędzili, rozplaszczeni dotąd na łące, żeglarze z grupy Ridarety.

Ten dom nie był żadną fortecą. Broniła go tajemnica; niezliczone wojskowe zastępy, jakieś mury i kraty zbyt niewyraźnie zwracałyby uwagę. Trybunał miał wiele jawnych więzień. Urządzanie kolejnego na odludziu zupełnie

mijało się z celem.

Solidne drzwi wejściowe były jednak uzbrojone w zasuwę i wcale nie lichą sztabę, co okazało się wkrótce. Mevev nie zdołał wejść do środka. Nie szarpał się jednak i nie zwlekał. Najchudszy z jego żeglarzy z miejsca znalazł się na ramionach dwóch innych, rozbił okno i zaraz był wewnątrz. Zaprawieni do skakania po wantach i balansowania na rejach ludzie błyskawicznie, ze zręcznością wędrownych akrobatów podsadzani byli przez towarzyszy na ramiona innych. Dom zdobyto niczym kasztel wrogiego żaglowca; tam krenelaż, tu okna – co to za różnica? Brakowało tylko olinowania, ale w zamian nic się nie kiwało.

No i trudno było uprowadzić ten budynek jako przyz.

Ridareta na wszelki wypadek wepchnęła każdemu z czterech trupów ostrze półmiecza w brzuch, zaskarbiając sobie trochę niedowierzające spojrzenia żołnierzy, zdziwionych tym, że ktoś chce po nich poprawiać.

– No wiem, wiem! – powiedziała niecierpliwie. – Uczę się od nowa, nie wolno?

Mruknęli aprobowująco, trochę ugłaskani.

Z domu dobiegły jakieś wrzaski. Zaraz potem otwarto drzwi – teraz widać było zasuwę i już bezużyteczną, wybitą z uchwytów sztabę.

Dziesięciu zbrojnych rozbiegło się po kiepsko oświetlonym domu, większość popędziła po schodach na piętro. Żołnierz i marynarz zostali na zewnątrz przy drzwiach, następna taka para towarzyszyła Ridarecie, sumiennie przetrząsającej kolejne izby. Bo właśnie izby, tu nie było komnatek, tylko pomieszczenia dla służby. Jak

zwykle przy drzwiach w garyjskim domu.

W bardzo podobnym miejscu piracka księżniczka przyszła kiedyś na świat i spędziła pierwsze kilkanaście lat życia.

Zatrzymała dwóch chłopców Meveva.

– Tam gdzieś powinno być zejście do piwnic. – Pokazała palcem. – A tam chyba kuchnia, jadalnia i pokoje dzienne. Sypialnie na piętrze, ale może coś przebudowali.

Pobiegli.

Zjawił się jej zastępca i pokiwał głową: to tutaj! Prowadzano go po tym domu z zasłoniętymi oczami, ale już był całkowicie pewien. Wskazał palcem powałę. Pokój, w którym siedział, znajdował się na piętrze.

– Idź! – ponagliła.

Znów ktoś wrzeszczał. W głębi domu trwała walka, tym razem prawdziwa, bo dzwoniło zderzane żelazo, waliły się jakieś sprzęty. Wrzaskom i rykom towarzyszył skowyt rannego i niezliczone przekleństwa. Ktoś rechotał; dawno już zauważyła, że strach i wściekłość lubiły znajdować ujście w śmiechu. Nie wiedziała, dlaczego tak.

Przekroczyła trupa przy schodach. Wyglądał rzetelnie, niemniej schyliła się i poderżnęła mu gardło tak starannie, że ostrze zatrzymało się na kręgosłupie. Przerąbywanie tego już miało się z celem. Nie lubiła kręgosłupów i w ogóle gnatów.

Weszła do wielkiej izby, z której powinno prowadzić wejście do piwnic.

Ktoś się czał przy drzwiach i silna dłoń chwyciła ją za gardło, a głęboko w brzuch weszło ostrze noża. Wściekła się z bólu i podpaliła pół chałupy, a w każdym razie izbę,

w której była, przemieniając ją w palenisko pieca.

Nie wiedziała, że jeszcze – a może znowu? – tak umie. A co gorsza, zapomniała, że wrednej rubinowej suki, którą w sobie nosiła, nie wolno ani na chwilę zostawić bez nadzoru.

Palilo się wszystko w pomieszczeniu; połowę włosów straciła natychmiast, nie musiała więc poprawiać strzyżenia, przynajmniej z jednej strony. Ryczał za jej plecami poparzony marynarz, na którego strzelił przez drzwi jęzor ognia. Ona sama na rękach i twarzy była czerwona jak rak, lecz przytomnie skoczyła na pechowego biedaka i zatłukła płomień na jego płaszczu. Idąc przodem, na szczęście osłoniła żeglarza własnym ciałem, istniała więc duża szansa, że pocierpi, ale się wylize, może nawet będzie wyglądał jak człowiek. Rany od ognia goiły się źle, lecz ten tutaj nie za mocno oberwał.

O własne zdrowie się nie martwiła. Do bólu przywykła bardzo dawno, o poranku skóra powinna już wyglądać normalnie. Nic nie było spalone lub zwęglone, tylko poczerwieniałe jak od wrzątku.

Ogień buzował w izbie. W jaki sposób miała teraz dostać się do piwnic? No jak?! – Kurwo jedna! – wrzasnęła do Riolaty.

Nadpalony półtrup, który zaatakował ją w drzwiach (wtedy jeszcze nie był półtrupem), próbował dokąś pełznąć. Nie miała zielonego pojęcia, kiedy właściwie złamała i wybiła mu z barku rękę. Teraz w nowym ataku złości podpaliła go całego na nowo, i to tak dokładnie, że z niewiarygodnym rykiem wykrzesał resztkę trupiej siły, poderwał się i na oślep runął wprost przed siebie. Zaraz wyrznął łbem w ścianę i chyba niestety skręcił kark.

Wielka szkoda, bo już, już miała poprawić.

Niepotrzebnie. Takie wyczyny kosztowały; oby chłopcy zaraz nie musieli jej nieść. Od czasu, gdy spadło Pasma Szerni, bardzo niewiele mogła i naprawdę zapomniała, jak należy nad sobą panować.

Nad SOBĄ?...

– Suko! – wrzasnęła ponownie i jednak nie zdołała się powstrzymać: podpaliła zdechłego, upieczonego połamańca trzeci raz. A potem wysadziła go w powietrze albo zrobiła coś podobnego, w każdym razie rozerwała na strzępy i dość obrzydliwie znajdował się teraz we wszystkich kątach izby, na powale i na środku podłogi.

Troszeczkę też na jej twarzy oraz nieco śmieiej na ramieniu. Nie pachniał.

To było coś nowego. Myślała, że umie tylko podpalać.

Tego dziwnego czasu-nieczasu, tych kilku lat, gdy Riolata trzymała ją w uśpieniu, prawie nie pamiętała. Niewyraźny sen, różniący się od ostatnich wspomnień z Grombelardu i od późniejszej jawy, gdy już wróciła pamięć i ta cała reszta, z której składała się dusza. Bo to właśnie było i nie było jak sen: z jednej strony krótkie niczym mgnienie oka, ale z drugiej strony pamiętała majaki. Bardzo długie. Majaki, w których nic się nie działo.

Wszystko było zaledwie wczoraj – a zarazem kilka lat temu. Nie doznawała tego, co każdy wstający z łóżka człowiek: że pomiędzy zaśnięciem a przebudzeniem nic się nie wydarzyło, czas zamarł. Prawie niczego „sprzed snu” nie zapomniała, lecz od wielu rzeczy się odzwyczaiła – czyli jednak czas zrobił swoje. O innych rzeczach nie wiedziała; należało je dopiero odkryć.

Zatoczyła się i chwyciła dłonią framugę. Wszystko się rwało na kawałki. A co się nie rwało, to było posklejane byle jak.

Działo się. Stała oparta o ścianę w jakiejś izbie, do której przyszła nie wiadomo kiedy. Dlaczego tu się nic nie paliło? Przygryzała usta. Miała ochotę na... wiadomo co. Ale ochotę już przemijającą; zdała sobie sprawę, że pomrukuje z przyjemności. Między udami czuła wilgoć, a sutki gotowe były przebić koszulę. Królowa Rubinów dziękowała, jak potrafiła najlepiej. Za to, że przez chwilę mogła być aktywna.

Ridareta, poparzona i z głęboką raną w brzuchu, wiedziała, że na jakiś czas ma wredny klejnot z głowy. Musiał popracować; wprost czuła, jak w żyłach zaczynają tętnić drobinki tego CZEGOŚ, co utrzymywało ją przy życiu. Szorstkie. Były niczym piasek. Teraz miałyby kłopot, chcąc zmusić Riolatę do jakiegokolwiek innego, zbędnego w jej mniemaniu działania.

Ech, nie było żadnego „mniemania” Riolaty. Tylko martwa i bezmyślna siła. Działająca niczym dziwny kwas, który kiedyś pokazywał pięknej pirackiej księżniczce zachwycony cudak w ponadpalanym przyodziewku – o, to była prawdziwa magia! Ciecz trawiła wszystko, co w niej zanurzono.

Tylko czy naprawdę to widziała?... Bo chyba tylko się śniło.

Z wielkim trudem trzymała się na nogach. Rubin leczył, łątał, przetwarzał w przyjemność okropny ból poparzeń. Na nieistotne bzdury, takie jak chodzenie, najchętniej nie przeznaczałyby nic.

Musiała dojść do siebie i zapanować nad tym.

Potrząsnąć Riolatą, rozdzielić jej czerwoną moc do różnych zadań. Nie mogła się teraz położyć i spać aż do wyzdrowienia.

– Kapitana?

Jeden z chłopców z niepokojem zaglądał jej w twarz, przerażony poparzeniami, ale najbardziej dziwiąc się rozmiarom źrenic, wokół których niemal zniknęły tęczówki. Raziło ją nawet przytłumione światło.

– Nic – powiedziała. – Gdzie Mevev?

Marynarz pobiegł szukać.

Chyba znowu zasnęła na chwilę. Na stojąco.

Zamiast Meveva zjawił się Sayl. Trochę starszy, niż go zapamiętała.

– Dobrze – powiedziała. – Ja wiem, że gdzieś tutaj jesteś... Zaraz cię znajdę... poczekaj.

Chciał ją chyba objąć za szyję, ale powstrzymał się, widząc czerwoną, napuchniętą skórę. Otoczył w pasie ramieniem i wyprowadził z domu. Poparzone, prawie bezwłose, zupełnie ogłupiałe stworzenie.

o o o

Straciła dwóch marynarzy, trzech innych miała rannych, na szczęście lekko. Uwolniła czterech i Sayla. Powinno być pięciu, ale jeden chyba nie dożył, chociaż jeszcze się ruszał, gdy go zabierano od towarzyszy. Mogło tak być, bo Mevev pamiętał, że ten chłopak miał bardzo solidnie rozbitą głowę, a inni to potwierdzali. Gorączkował już wtedy, gdy wywożono ich z Dranu.

Gdy w końcu stłumili ogień i zdołali się dostać do piwnic, nie odkryli niczego ciekawego. W piwnicach nie

było nikogo i właściwie niczego. Poza dość obrzydliwą salką przesłuchań, ale widywała znacznie gorsze.

Miała nowy kłopot, bo z dobrze zamykanych izb na piętrze uwolniła jeszcze trzech ludzi, o których nic nie wiedziała. Tylko tyle, że byli jeńcami. Zabrała ich ze sobą, odkładając na później dociekania, kim są i co z nimi zrobić.

Na razie pomagali nieść zabitych; powinni przecież jakoś podziękować za uwolnienie. Nie chciała zostawiać w tym domu swoich nieżywych chłopców z dwóch powodów: po pierwsze, zasługiwali na żeglarski pochówek i jeśli jedynym problemem było dowleczenie ich do morza, to zamierzała przynajmniej spróbować. Po drugie i chyba ważniejsze: podbarwione sino żeglarskie nacięcia-tatuaże, stwardniałe od szotów dłonie, w które raz na zawsze wżarły się drobinki smoły – to wszystko wyraźnie wskazywało, kim byli napastnicy.

Możliwe, że warto było się pysznić takim czynem, jak zdobycie tajnego mamra Trybunału. I pozwalać, by wszyscy wiedzieli.

A może jednak nie warto. Chciała mieć swobodę przy podejmowaniu decyzji.

Tym razem nie szukali żadnej wioski, nie pytali o drogę, próbowali więc unikać skupisk ludzkich. Maszerowali po polach i błoniach. Jeśli tylko się dało, odpoczywali w nielicznych zagajnikach bądź jakichś większych zaroślach. Do morza mieli niespełna dziesięć mil; powinni dotrzeć przed zmierzchem. Nawet pomimo tego, że pozwoliła wszystkim trochę pospać w większym od innych zagajniku. Ludzie byli na nogach drugą dobę, a nie siedzieli przez ten czas na tyłkach, tylko

maszerowali, bili się i szli znowu. Należało o tym pamiętać.

Nie wyglądało na to, żeby ktoś ich ścigał ani nawet by ktokolwiek zauważył rzeź w samotnym domostwie.

Ale nie donieśli zabitych marynarzy. Ciała ważyły sporo, ludzie szybko opadali z sił. W dużym zagajniku natknęli się na piaszczyste wykroty, tam dało się kopać nawet gołymi rękami. Dwaj mężczyźni, którzy całe życie spędzili na morzu, spoczęli w lesie, przysypani kilkułokciową warstwą piachu. Towarzysze nie usypali im pagórka, bo mógłby zwrócić czyjąś uwagę.

Zgodnie z przewidywaniami i bez przygód dotarli na brzeg morza przed wieczorem. Było jeszcze zupełnie widno.

Nie zabłądzili. Ledwie kilkaset kroków dalej, dobrze widoczny z klifu, stał ukryty w maleńkiej zatoczce ładny półbalinger.

No tak, bo w Dranie kupili coś lepszego niż tylko duża łódź. Na balingerach agarscy wielorybnicy prowadzili swoje niebezpieczne łowy. Najmniejsze z tych stateczków zwano półbalingerami. Miały mniej wiosł, lecz takie samo ożaglowanie: było nim pojedyncze kwadratowe płótno. Szybkie, zwrotne, o niewielkim zanurzeniu, nadawały się do pływania po każdych wodach. I miały wcale dobrą dzielność morską; to nie musiała być żegluga przybrzeżna. Raczej jednak nie nadawały się do dłuższych rejsów, bo – pozbawione dziobówki – były po prostu niewygodne.

Niemniej przy znośnej pogodzie bez trudu dopłynęliby tym na Agary. Od biedy wlaźłaby na to cała załoga „Delary” wraz z uwolnionymi więźniami. Tłoczyliby się

niemiłosiernie, ale nie aż tak, by losować, kto powinien wyskoczyć za burzę.

Ucieszona, zwróciła się do swoich, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo wcześniej odezwał się Cichy:

– Kapitana.

Po czym wskazał palcem kierunek.

Trzeba było mocno zmrużyć oczy, bo to było niemal prosto pod słońce. Jakies półtorej mili od brzegu dało się dostrzec żaglowiec z nagimi masztami. Miała naprawdę dobry wzrok, ale...

– To „Delara” – powiedział jeden z majtków. – Kapitana, tak po mojemu... to ona siedzi na skałach. Gdzie tam siedzi, przecie prawie leży.

Na moment pociemniało jej w oczach.

– Biegiem, kapitana – rzekł Mevev. – Trzeba tam szybko płynąć. A zaniedługo będzie ciemno. Po nocy tu lepiej nie pływać.

Skinęła głową.

– Tak. Biegiem.

Pamiętali, jak weszli na klif; można było zejść tą samą drogą. Tak zrobili i pobiegli plażą. Dostrzegł ich i zaraz ruszył na spotkanie jeden z trzech majtków, zostawionych przy półbalingerze.

Był odpływ, lecz wartownicy czuwali i łajba siedziała na wodzie, gotowa na przyjęcie załogi. Mocno brodząc, dotarli do burty. Już po drodze marynarz powiedział, co wiedział.

Kiedy zobaczyli „Delarę”, najpierw nie byli pewni. Potem wyszło, że to jednak „Delara”. Szły za nią dwa inne statki, a właściwie okręty, tak na oko szniki, chociaż trudno przysiąc, bo jednak trochę daleko. No i widzieli na

własne oczy, jak Bohed wpakował się na mieliznę, chociaż chyba raczej na skały. I to przy wysokim stanie wody. Potem „Delara” już tylko się kładła. Aż do teraz. Odpływ stanął, więc bardziej się już chyba nie położy.

– A te szniki? – dopytywała, gdy już wgramoliła się do środka. – Mevev, przy tobie komenda! – wrzasnęła przez ramię. – No? Co z tymi sznikami?

– Jedna podeszła bliżej i chyba do niej kropnęli. Znaczący hakownicy z „Delary”, było słychać. Wtedy tamten zakręcił się i poszedł. Popatrzyli i pewnie im wyszło, że Bohed już stąd nie ucieknie. Po co bić się z większym żaglowcem? Bo niby skąd mieli wiedzieć, że naszych tam na pokładzie zostało się raptem dwudziestu?

– Gdyby się wzięli we dwóch, toby ich wystarczyło nawet przy pełnej załodze.

– Niby tak, kapitana. Ale ten drugi jakoś tu chyba nie chciał pływać. Został daleko. Pewnie wolał wrócić z patrolu w jednym kawałku.

Brzmiało to prawdopodobnie.

Marynarze już byli przy wiosłach. Cichy trzymał komendę, Sayl zaopiekował się rumplem. Stateczek rozpędzał się wcale szybko. Odpływ odsłonił tu i ówdzie niebezpieczne skały; przybijali dwa dni temu też z odpływem, więc teraz szli tą samą drogą. Cichy nawigował według orientacyjnych punktów na brzegu. Wtedy mu było łatwiej, bo miał je przed dziobem, nie za rufą.

Wpakować się na skały czymś, co było zanurzone najwyżej na dwa łokcie, jawiło się pewną sztuką. Z drugiej strony, jeśli ktoś miał naprawdę pecha, to mógł się rozbić nawet, wiosłując łapami po obu stronach deski.

Nie rozbili się i zdążyli przed nocą. Już z daleka machał do nich Bohed i cała reszta załogi.

„Delara” leżała na skałach. Można było obejść ją pieszo, brodząc w wodzie najwyżej po szyję. Przynajmniej po przejściu fali.

ROZDZIAŁ 22



Bohed, rzecz jasna, nie próżnował. Zdążył wywieźć łodzią dwie kotwice i dobrze chwycić dno, skutkiem czego wiatr i pływy nie wpychały mu łajby mocniej w skały. Uporał się też z przeciekiem, a właściwie dwoma: mniejszą dziurę potraktował łatą od środka, na większą marynarze nałożyli plaster z żaglowego płótna. Było jasne, że „Delara” zacznie się kłaść z odpływem, więc dopilnował, by się położyła na bakburtę, wystawiając poszarpaną prawą. Prawdę mówiąc, niewiele się namęczył, popracował tylko kabestanem.

Teraz już poprawiał łaty i osuszał zęzy, ale miał mało ludzi i pomoc powitał z ulgą.

– Nie bardzo myślałem, jak stąd zejść, bo po co – rzekł do Ridarety i jej oficerów, gdy już opowiedział, co przedsięwziął. – Jeśli dobrze pociągniecie, to na pewno da radę. Mam już wysondowane dno, podam hol i chłopaki wezmą się do wiosł. Poprowadzisz?

Spojrzał na Cichego i znacząco kiwnął głową w stronę balingera, który się kołysał na kotwicy w bezpiecznej odległości od wrednej kupy skał.

– Ta – powiedział oficer Ridarety. – Jakby co, są jeszcze dwie łodzie. Więcej, niż damy radę obsadzić.

– Taki byłeś pewny, że wrócimy? – Popatrzyła na Boheda.

– Jakby was jutro nie było, tobym ścigał sam.

– A nie mogłeś od razu, do tyłu, zholować się swoimi łodziami? – zapytała. – Kiedy woda była wysoka?

Obejrzał się, czy nie słyszą tego marynarze.

– Na skałach? To najlepszy sposób, jaki znam, żeby rozerwać kadłub.

Wszyscy czworo musieli się czegoś przytrzymać, bo pokład zrobił się naprawdę stromy. Drobne fale sięgały do nadburcia, przelewając się czasem do środka. Było już całkiem ciemno, ale na kolumnach masztów chwiały się odstające od nich latarnie. Rzuciły kręgi światła.

– Nic z okrętu nie zdejmę, bo nic nie mam – powiedział znowu Bohed do Cichego; na księżniczkę chyba wolał nie patrzeć ze strachu, że znowu coś proponuje. – W ładowniach tylko powietrze. Najcięższe, co zostało, to załoga, a prawie cała zejdzie na wasz półbalinger i do łódek. Mogę jeszcze przeładować do ciebie peklowane mięso i fasolę, całe żarcie. I wylać trochę słodkiej wody, ale to na sam koniec, jeśli nie da rady inaczej.

– Da radę. Bardzo mocno chyba nie siedzisz?

– Nie, bo już widziałem, na co się pakuję, a cały czas miałem zrefowane płótna, przecież sznikom i tak bym nie uciekł. Wcale nie gnałem jak głupi. Myślałem, że tu za mną nie pójda, a jeżeli pójda, to będę miał więcej szczęścia. Nie miałem. Ale może w ogóle bym się na to świństwo nie wpakował, gdyby kotwica chwyciła. Gównu nie dno, piach na skałach. Wlokłem po tym kotwicę i tyle, to już lepiej zakotwiczylbym w prawdziwym gównie. Zaraz potem musiałem się bić, bo strażnik koniecznie chciał zobaczyć, czy załoga nie wyskoczy mi ze strachu za burtę. Zostawiliście mi aż sześciu żołnierzy – rzekł

z przekazem – ale dobrze wiedzą, co robić z hakownicami. Szkoda, że Raladan zabrał pierwszą dziesiątkę, a wy jeszcze tych czterech z drugiej, bo jakby tak gruchnęło dwudziestu... – Dowódca „Delary” trochę się rozgadał; choć się nie zwierzał, to było widać, że z ulgą powitał wsparcie. – Nawet w szóstkę narobili huku i dymu, przestrelili parę desek, aż tamci nie wiedzieli, co się dzieje. Myśleli chyba, że mam jakieś lekkie działa. No właściwie te wielkie pokładowe hakownice to... niewiele brakuje. Trudno toto unieść.

Wzruszył ramionami, a jeszcze bardziej zrobił to jego duży, położony na pokładzie cień.

– Z nocnym przyływem nie schodzę, nie ma mowy – rzekł na koniec. – Zobaczę, jak się będę prostował, i tyle. Jutro wydam więcej liny na sterburte, ściągniecie mnie, wtedy zejść z drugiej kotwicy i do domu.

– Byle nikt na nas nie czekał przy Bezpiecznej.

– Zobaczymy. Ale oni nie wiedzą, że jest tutaj taki ładny balinger, a chyba nie bardzo wierzą, że dam radę bez pomocy zejść z tych skał. I ja rzeczywiście wcale nie wiem, czy dałbym radę na samym kabestanie i mojej jednej łódce. Bo że mam dwie, to chyba też nie wiedzą. Albo może zauważyli.

Skinął głową Saylowi.

– Naprawdę dobrze cię widzieć – powtórzył, bo już raz to powiedział, gdy tylko wleźli na pokład. – Prawdę mówiąc, to nie bardzo liczyłem... Masz dobrą tą swoją kapitanę – rzekł poważnie. – Chociaż ja też bym się wybrał po mojego oficera i chłopaków. Jakby co.

– No. Ma dobrą kapitanę – powiedziała Ridareta bardzo zadowolona, a kiepskie światło latarni litościwie nie

pokazało jej wciąż zaczerwienionej skóry i przepięknych włosów, których trochę zostało tylko po lewej stronie.

Choć trzeba powiedzieć, że na reszcie głowy już się sypał wcale mocny jeź.

O dziurze od noża nikomu dotąd nie powiedziała. Już prawie przestało boleć – a to była rana śmiertelna. Dla każdego. Po przedziurawieniu żołądka niewiele dało się zrobić; wszystko wylewało się do brzucha i tam gniło. Skowyt konającego byłoby słycać w Dartanie.

A ona się czuła troszeczkę jak pijana. Bolało dużo mniej niż popsuty ząb; Riolata robiła swoje.

– Chodźcie gdzieś, gdzie można usiąść, zamiast wisieć na wantach – zażądała.

– Niedługo zacznie przybywać i się wyprostujemy, dam teraz chłopaków do łodzi, żeby przypilnowali. Ja tu łukować nie zamierzam. – Zażartował i nie zażartował. – Stójcie tutaj albo idźcie, gdzie chcecie, muszę pogospodarzyć. Kiedy się wyprostujemy, to zaraz będzie wiadomo, ile są warte obie łaty.

Z trudem utrzymując równowagę na przechylonym pokładzie, ruszył w kierunku rufy. Zaraz potem majtkowie zaczęli obsadzać łodzie. Należało pilnować, żeby przyływ nie przesunął karaweli gdzie nie trzeba, bo to mogło się skończyć bardzo źle.

Nim noc minęła, było już jasne, że łaty trzymają dobrze, a „Delara” nie siedzi na skałach aż tak, żeby nie dało się jej ściągnąć z dziennym przyływem. Pospali trochę, a o świcie posprzeczali się o pogrzeb, który urządzili dwóm chłopakom z kokardami Ridi. Może jednak trzeba było wlec ich dalej i po ludzku pochować w morzu?

„Delara” znowu się kładła; jej niewyspane dowództwo pilnowało, żeby się nie zdarzyła żadna niespodzianka. Pomagał Cichy.

– Po coś ty właściwie uciekał? – zagadnął Boheda, gdy znalazła się wreszcie wolna chwila.

– Może niepotrzebnie. Nie wiem i już się nie dowiem – odparł szczerze dowódca „Delary”. – Coś mi śmierdziało w tych sznikach. Nikt tu nie pływa, a ci nagle nie wiadomo skąd... Może chcieli tylko zapytać, czy nie trzeba jakiejś pomocy. No bo kupiec kotwiczący przy Bezpiecznej? Po co niby? I gdyby odbił do mnie jeden, tobym czekał. Ale szli we dwóch. Żeby spytać, czy nie trzeba pomocy? Chórem czy po kolei?

Zacmokał przez zęby.

– I gdybym miał kompletną załogę, a podszedłby jeden, tobym czekał. Sam wiesz, ilu siedzi na sznycie, trzydziestu pięciu, niechby czterdziestu. No dobra, czterdziestu paru. Dałbym sobie radę, gdyby coś. Ale z dwoma? Dwudziestu paru nas było. Na setkę? Niechby nawet niecałą.

– Masz legalną łajbę. Dartańską.

– No i do tej legalnej łajby szli równiutko jak do abordażu. A miałem raz nieprzyjemność z jednym takim. Może być, że z tej samej flotyli, albo nawet to był jeden z tych tutaj? Niedaleko, prawie na tych wodach. Wiozłem brzydkie rzeczy i nie było mowy, żebym kogoś wpuścił na pokład do kontroli. Nie za bardzo mnie wtedy gonił, bo w pojedynkę mógłby się zdziwić. Ale wiedział, kto jestem. No i jak sobie to wszystko złożyłem...

Wzruszył ramionami. Po chwili dokończył.

– Ale może trzeba było czekać. Nie wiem i chyba już się nie dowiem – powtórzył. – Nos mi powiedział, żeby wiać.

– No i siedzisz na skałach.

– No i siedzę. Ale może lepiej, niż gdybym wisiał. Nie na skałach, bo się nie da. Na rei.

– Nie bardzo będziesz teraz legalny. Szybko załatwiają takie sprawy. Zaraz w każdym rejestrze będzie nota. Jak już cię kiedyś gonili, to może właśnie dlatego teraz też?

– Mogło tak być. Oznaczeń na żaglach wtedy nie rozpoznał, za daleko. Najwyżej barwę. Do rejestrów tego nie dali. Ale mogli chcieć sprawdzić, czy to przypadkiem nie ten, co im kiedyś uciekł.

– To sprawdzili.

Bohed machnął ręką.

– Z tym akurat mam najmniejsze zmartwienie. Da się nowe znaczki na żaglach, niepodobne do tych, zmieni nazwę. Co to jest, jedyna karawela na Bezmiarach? Przetakuje się okręt, płótna rejowe mogą wymienić na skośne i gotowe, już będzie nowa sylwetka. Zaraz się zarejestruje nową karawelę gdzieś w Dartanie. Dwie Siostrzyczki Raladan już wypukał, pierwsza była „Seila”, ta jest „Delara”... No to może teraz „Rollayna”?

o o o

Okazało się, że tego dnia „Delary” nie ściągną.

Dwie szniki szły półwiatrem od północnego zachodu, od Bezpiecznej. Wyglądało na to, że chcą dotrzeć do unieruchomionej karaweli w szczycie przypływu, tak jak poprzednio. Dzięki temu z grubsza wiedzieli, którądy iść, żeby na nic się nie wpakować, chociaż na tych wodach takie rozpoznanie miało niewielką wartość. Wystarczyło odbić troszeczkę w lewo albo prawo – i gotowe. Fale

łamały się na podwodnych skałach albo nie, jakiś wredny skalny kopiec mógł być osłonięty przez inny. To było pływanie po lądzie, skrytym pod cienką warstwą wody. Tak przynajmniej uważali ludzie żeglujący zwykle po Bezmiarach, Morzu Dartańskim albo Zwartym. Bo imperialni siedzieli na własnym podwórku i znali miejscowe warunki znacznie lepiej.

Czasu nie brakowało; czuwający na oku majtek, przywiązany liną do przekrzywionego masztu, nie zasnął. Obwołał przybycie gości z wystarczającym wyprzedzeniem, by Cichy zdążył spokojnie zająć się balingerem i schować go za karawelą. Dno dokoła „Delary” wysondowali tak dokładnie, że nic złego nie mogło się zdarzyć.

Nie licząc wyższych szarż okrętowych, mieli prawie trzydziestu marynarzy (co prawda razem z kucharzem i niemłodym cieślą) oraz dziesięciu żołnierzy. Na jedną sznikę aż nadto. Bohed przecież liczył bardzo dobrze: na tych patrolowych i strażniczych jednomasztowcach rzadko pływało aż czterdziestu, bo zwykle tylko trzydziestu paru ludzi, w tym około dwudziestu żołnierzy.

No, ale były dwa.

Półbalinger mógł bez trudu zabrać pełną obsadę swoich dwudziestu wioseł, do tego dziesięciu żołnierzy i jeszcze oficerów, z których jeden musiał trzymać ster. Dodatkowo paru majtków do obsługi prostego żagla. Weszłoby więcej – może nie na rejs dokoła Szereru, ale do bitwy na pewno. Ktoś jednak musiał zostać na uwięzionej karaweli.

Szniki były szybkie, zwinne, płytko zanurzone.

Balinger był szybszy, zwinniejszy i miał jeszcze mniejsze zanurzenie. W krótkim boju, gdy wioślarzom nie brakło sił, kapitan żadnego żaglowca nie mógł nawet marzyć o wymanewrowaniu tej ogromnej łodzi, w sprzyjających warunkach wspomaganej przez wiatr, ale mogącej obyć się bez niego. Nie mógł też przed nią uciec. Wygrałby wyścig na przestrzeni wielu mil, bo ludzie musieli jeść, spać, odpoczywać – a płótna na masztach nie.

Tutaj jednak takiego wyścigu miało nie być.

– Gdy będą blisko, tak z ćwierć mili, a nawet mniej, wyskoczmy z za „Delary”. Cokolwiek zrobią, już nam nie uciekną – mówiła Ridareta, z pokładu karaweli wskazując odległe okręci.

Niewiele wiedziała o morzu, ale na zwroty żaglowców – w tym własnego – napatrzyła się dość, by trafnie oceniać takie rzeczy. Otaczający ją oficerowie mogli tylko przytaknąć.

– Dorwiecie pierwszy... i co potem? – zapytał Bohed. – Drugi podejdzie, zanim rozprawicie się z tym pierwszym.

Było jasne, że nie zejdzie z pokładu „Delary”. Walczyć miał za niego ktoś inny. Na tym kawałku morza nic nie było większe od jego karaweli – i nic bardziej bezradne.

Zaprzeczyła.

– Dorwiemy tego drugiego, nie pierwszego. Pierwszego już nie będzie.

Gapili się na nią pytająco.

– Podpalę go, a może rozwalę – powiedziała. – Z drugim... już chyba mi się nie uda. Zawsze było tak, że im bliżej, tym lepiej. Na przykład teraz, na taką odległość w ogóle nic im nie zrobię, nie chcę nawet próbować, bo

najwyżej się zmęczone. To jest...

Nie miała ochoty tłumaczyć.

– No, podejźmy do pierwszego jak najbliżej i chyba załatwię sprawę. – Wzruszyła ramionami. – Potem mnie pilnujcie, żebym nie wpadła do morza albo... no, żebym nie narobiła jakichś głupot. Mogę zasnąć, zemdleć, sama nie wiem. Z tym drugim strażnikiem radźcie sobie sami, ja już pewnie tej bitwy nie obejrzę.

– Nic ci się nie stanie, kapitana? – zapytał Sayl.

– Przecież wiesz. O was się martwię, nie o siebie. Wiesz, że czasem głupieję. – Przygryzła wargę; z chustką na głowie wyglądała prawie normalnie, z lewej strony nawet wymykał się pukiel włosów. – Jeśli wsadzę sobie rękę pod kieckę, no to niech tam. Potem będziecie mieli z czego się natrzasać. Gorzej, jeśli z rozpędu podpale chłopaków i ciebie. Ja... czasem naprawdę nie wiem...

Znów urwała.

Kiedyś pochlastała załogę ukreconym z powietrza ognistym biczem. Podobno. Żadnego bicza nie pamiętała. Mevev też nie; leżał wtedy pijany. A Sayl trzymał wachtę na pokładzie i nie widział, co się stało w kajucie pod kasztem. Wszystko opowiedzieli marynarze – a najwięcej mówiło kilka trupów.

Co prawda na trzeźwo takie rzeczy raczej się nie zdarzały (wtedy trzeźwa, niestety, nie była). Przestraszona albo wściekła, jeśli nie zdążyła pomyśleć, to owszem, mogła rozwalić komuś łeb. Ale na spokojnie chyba nie.

Chyba, może... I raczej.

Nienawidziła tej czerwonej suki.

– Ostatni raz – powiedziała i naprawdę zamierzała

dotrzymać obietnicy. – Od tego są działa, łuki... hakownice, miecze i zęby! – ciągnęła ze złością. – Tamenath dobrze mówił: podpale sobie kiedyś nie wiadomo co. Wystarczy, że cipę, bo głupia cipa to jestem ja cała. Na dodatek...

– Przestań, kapitana – rzekł Cichy. – Nie musisz. Od tego są łuki i miecze, dobrze gadasz. Damy radę bez twoich ogni i nikt nie będzie miał żadnych pretensji. Reszta nawet nie wie, co ty właściwie teraz możesz.

– Ja też nie wiem. Nie, Mevev. Ci chłopcy Boheda i nasi to najlepsi żeglarze, i wojownicy też. Do tego jeszcze żołnierze Raladana, są świetni. Ja wiem, że każdy z naszych wystarczy za dwóch. Ale abordaż to abordaż, a strzały nie odróżniają słabych od silnych. Zostanie po tym połowa? Bo coś mi się zdaje, że mniej.

Pokręciła głową.

– Swoich jednak raczej nie podpale. – Uśmiechnęła się niewyraźnie i znów przygryzła wargę. – Półmieczem zabiję jednego albo dwóch, a podpalić mogę od razu wszystkich. Może dziesięciu, a może dwudziestu chłopców nie będzie dzisiaj rozmawiać z rybami, jeśli zrobię, co do mnie należy. Tłukę was, pakuję w kłopoty, paru kiedyś zabiłam... Miejcie ze mnie też jakiś pożytek.

– Głupia jesteś – powiedział Mevev i pokazał starą szmatę na nadgarstku. – Uratowałam wtedy setkę ludzi. Co jeszcze jesteś winna załodze? Rudy, daj mi Talletta, a Sayl tutaj zostanie z tobą. Zna mnie na wylot. Powie ci, co zrobię, kiedy tylko spojrzę.

Nikt nie zaprotestował. Rzeczywiście, Saylowi łatwiej było przewidzieć decyzje Cichego, gdyby sprawy potoczyły się w jakimś nieoczekiwanym kierunku. Poza

tym żaden był z niego rębajło i wszyscy to wiedzieli. Nawet on, a może zwłaszcza on.

Szniki szły naprawdę szybko. Woda też; „Delara” już prawie się wyprostowała, Tallett pilnował, by wszystko było jak trzeba. Poluzował jedną z lin, drugą kazał troszeczkę wybrać.

– Wyznacz paru ludzi, z którymi zostaniesz – rzekł Cichy i znów spojrzał na Boheda, bo przed chwilą oglądał horyzont. – Reszta po broń i zaraz ma być na balingerze.

Bohed policzył na palcach.

– Kucharz, cieśla... bosmana zabierz ty, dobry jest. Stary kusznik. Zostawcie mi poparzeńca i tych dwóch lekko rannych, do tego dwóch zdrowych moich, chcę tu mieć jakiegoś własnego marynarza. Który wie, gdzie w ładowni są skrzynie z dziewczynami. Gdyby coś.

Przyjął do wiadomości, że teraz dowodzi Mevev. Było to oczywiste; dowódca „Delary” mógł tylko pilnować żaglowca.

Ridi też się nie pchała do dowodzenia bitwą. Pociągnęła Meveva za rękaw.

– Najpierw znajdź miejsce dla działa.

Nie zrozumiał.

– Jakiego znowu działa?

– No dla mnie. Widziałeś kiedyś taką bombardę podpalającą?

Ale wymyśliła.

– I którą stroną do wroga cię ustawić?

– Normalnie.

Zastanowiła się.

– A wiesz, może to dobry pomysł – powiedziała. – Muszę sprawdzić, czy dałabym radę wystrzelić kamienną

kulkę z... no wiecie.

Wyobrazili sobie i zarechotali.

– Przypomnij po bitwie. Skąd ci wezmę kamienną kulkę? Najwyżej ołowianą do hakownicy.

– Nie chcę być hakownicą. A taka mała kulka... Sam sobie wetknij. Masz gdzie.

Bawili się coraz lepiej.

– Najpierw spróbuj z cebulą. Jak ci się uda, to poszukam kuli.

– Nie chcę, cebula jest do dupy.

– Do dupy? – przeraził się Mevev.

Majtkowie na pokładzie zaczęli spoglądać w kierunku, gdzie śmiali się ich dowódcy. Niech tam. Dobry humor starszyny na pewno nie mógł zaszkodzić.

– Czekał... A ty nie jesteś dziewczyna?

– Jak się obudziłam, to byłam. Przez dwa dni. A teraz to już nie jestem jakieś trzydzieści razy. Dwadzieścia dziewięć i pół, bo ten twój kucharz...

Trzymali się za brzuchy, a Bohed ocierał łzy.

– Do roboty – powiedział wreszcie.

Poszedł do załogi, a Mevev do okrętowej zbrojowni. Majtkowie i żołnierze wciąż sporo mieli na sobie i przy sobie, ale warto było jeszcze pogrzebać. Zwłaszcza strzał zawsze wydawało się za dużo – do momentu, gdy ręka trafiała w pusty kołczan. Bełty do kusz schodziły sporo wolniej, a już hakownice w ogóle nadawały się do jednej salwy. Dwóch salw, bo oprócz ciężkiej rusznicy okrętowej każdy żołnierz miał jeszcze lżejszą zapasową, taką, jakie nosili strzelcy walczący w polu.

Pokładowe wojsko właśnie było zajęte nabijaniem broni ognistej. Nie potrzebowali rozkazów, ich dziesiętnik

pilnował wszystkiego.

– Jak się mówi: wsiadamy na balinger czy na balingera? – zapytała.

Sayl wzruszył ramionami.

– Nasi wielorybnicy mówią: na balingera. A tutaj Tallett kupował balinger, i tak mówi. Nie trafisz. Nazwa przyszła chyba z Północnego Grombelardu, tam to wynaleźli, bo to najstarsze łowisko wielorybów. Język to jest...

Zastanowił się.

– No, język – dokończył.

– Nie wiedziałam. Daj mi chłopców do łodzi, sama wiosłować nie będę.

Kolejne grupy sprawnie przedostały się na balinger. Balingera.

A w ogóle to półbalinger. W każdym razie siedzieli przy wiosłach.

I całkowicie zaskoczyli strażników.

Wioślarze nie widzieli nadpływającego wroga; z za dużego kadłuba karaweli ciężko było wyjrzeć, a łódź siedziała nisko na wodzie.

Ruszyli na sygnał z „Delary”.

Dwadzieścia wioseł wolno zagarnęło wodę, drugi raz też mozolnie, potem łatwiej. Siedzący przy rumplu Tallett wrzasnął:

– Heej!

Miał dobry głos. Może nie aż potężny, ale wystarczający.

– Heej!... Heej!... Heej!...

A potem to już szybciej i szybciej:

– Ha!-hej!... Ha!-hej!...

To była zabawa dla prawdziwych mężczyzn. Każdy

z tych żeglarzy potrafił wiosłować, to należało do ich fachu. Zwykle jednak pływali pod żaglami, pokład był znacznie wyżej, okręt większy... Nie czuło się dobrze szybkości. Nie aż tak.

Ta łajba aż wyła z zachwytu, rozbijając fale. Wiatr, słone bryzgi, skrzypienie wiosł i bardziej trzask niż plusk uderzanej wody w rytm falującego „ha!-hej!...”.

Zostawieni na „Delarze” majtkowie wiwatowali.

Wiatr był znośny, kwadratowe płótno mogło go złapać. Postawili więc i żagiel.

Poszli łatwiej, a przez to szybciej. Wiatr nie mógł ich przyspieszyć, co najwyżej trochę odciążyć. Wystarczyło.

Tkwiąca na skałach karawela uciekała w tył, jakby ją porwała rwąca rzeka lub prąd morski, o jakim nigdy nie słyszano. Wrogich okrętów wiosłarze nie widzieli, bo nie mieli oczu z tyłu głowy.

Nie wiadomo, co chcieli zrobić strażnicy. Już z daleka sprawdzili, że uwięziony okręt nie uciekł. Skoro nie mógł zejść o własnych siłach, to wydawało się prawdopodobne, że został opuszczony przez załogę. Czyli do wzięcia był przyz – dwie szniki z całą pewnością mogły obsadzić garścią marynarzy i zholować porzuconą karawelę. Gdyby jednak załoga wciąż siedziała na tym żaglowcu...

O pirackich, a właściwie agarskich hakownicach sporo się ostatnio mówiło – były głośne i umiały dopiec, ale bez przesady. Okrętów nie zatapiały, ktoś najwyżej mógł oberwać kulką zamiast bełtem. Co prawda kulką mógł oberwać nawet przez deskę; bełt też przebijał lżejsze drewno nadbudówek, ale grzązł. Tak czy owak, trup był najwyżej jeden, a dziura w desce podobna. Dowódcy imperialnych okrętów najwidoczniej uznali, że zdołają

sobie poradzić. Ostatecznie, gdyby na pokład uszkodzonego pirata (bo to przecież nie był żaden kupiec) znienacka wyległy uzbrojone tłumy, zawsze było wolno się oddalić. Gonić piraci nie mogli.

Nagle wyszło na jaw, że jednak owszem, mogą. Mało tego: na pewno dogonią.

Prowadzący odpadł od wiatru i szykował się do zwrotu, drugi nie zdążył powtórzyć manewru, bo kapitan pierwszej szniki się rozmyślił i jął wracać na poprzedni kurs. Cokolwiek mknęło na spotkanie, nie było bardzo duże. Półbalinger. Choćby nie wiadomo jak mocno obsadzony, mógł pomieścić najwyżej pół setki ludzi, siedzących jeden na drugim. Aż tylu chyba nie było.

Odległość między balingerem a płynącą z przeciwka szniką zmniejszała się błyskawicznie. Złożone prędkości połykały przestrzeń.

Na strażniku świetnie już słyszeli:

– Ha-hej!...

Z obu stron wyprysnęły w powietrze pierwsze strzały, niezbyt celne z powodu odległości, potem coraz bardziej dokładne. Cesarscy żołnierze byli liczniejsi, z balingera strzelało z kusz tylko kilku ludzi w jednakowych tunikach. Wioślarze rytmicznie kiwali się przy wiosłach i też ryczeli „ha!-hej!”, razem ze sternikiem nadającym rytm. Nikt tam chyba nie zamierzał dojść do abordażu; może ten balinger po prostu uciekał, chciał opuścić zdradliwe wody, przemknąć obok wrogich okrętów i tyle. Ale dlaczego w takim razie ci ludzie nie wylądowali na brzegu? Wywozili z okrętu jakieś skarby? Jakie? Równie dobrze mogliby je unieść.

Sznika mocno ostrzyła, zmierzając na przecięcie kursu

wroga. Majtkowie na pokładzie szykowali kotwice abordażowe i bosaki, lecz było wątpliwe, czy przy takich przeciwnych prędkościach uda się spiąć okręty. Z drugiej jednak strony, to przecież nie był okręt, a tylko wielka łódź.

Dwieście łokci... już tylko sto... Upadł żołnierz w białej tunice z dodaną zieloną barwą, taką jak na żaglach uszkodzonej karaweli. Trzej zabici z łuków wioślarze leżeli na swoich wiosłach, kilku innych miało strzały w ramionach, jeden trzy w ramionach i plecach – ryczał i cały czas wiosłował.

Z hukiem zapłonął żółty żagiel, a następnie cały takielunek na strażniku. Ryczący wniebogłosy ludzie spadali do morza pod postacią żywych kul ognia, inni miotali się w płomieniach na pokładzie. Jeszcze jeden ognisty wicher! Spowity płomieniami mały okręt wył ludzkimi głosami. Na balingerze wioślarze wpierali wiosła w wodę, hamując dziki pęd łodzi. Drugi z imperialnych okrętów był blisko, w śladzie torowym pierwszego. Tę sznikę już musieli zdobyć.

Strażnik nie wiedział, co robić. Z coraz mniejszej odległości widać było ostatnie słabe poruszenia na pokładzie bratniego żaglowca, milkły krzyki, już tylko ogień huczał. Z czym tutaj przyszło im walczyć, na wszystkie morza świata?... Co tu w ogóle zaszło?...

Oślupiali łucznicy i kusznicy zapomnieli o swojej broni, a sternik chyba o sterze. Sznika zeszła z kursu, zatoczyła się w drugą stronę, zaraz mogła stracić sterowność. Kapitan oprzytomniał, lecz balinger był tuż. Majtkowie puszczali wiosła, nie dbając, czy się połamią – było trochę zapasowych, a zresztą... Też mi zmartwienie. Żołnierze

w białych „kupieckich” tunikach już nie mieli kusz, trzymali w dłoniach rozżarzone pręty, wyjęte z żelaznego gara, pełnego czerwonych węgli. Poszła nierówna salwa z hakownic, zaczepianych o nadburcie i cokolwiek, co mogło wytrzymać ciężar broni. Na strażniku trzasnęły deski; ktoś wrzasnął.

Rozbrzmiał głos z rufy balingera:

– Poddać się albo skończycie jak tamci! Spaleni żywcem! Raz! Dwa!...

Słabiutki płomień próbował ogarnąć żagiel, ale przygasł. To było jednak wyraźne ostrzeżenie. Na to wyglądało.

W rzeczywistości nic więcej nie mogło się wydarzyć. Już nie. Lecz strażnicy o tym nie wiedzieli.

– Liczę! Trzy!...

Poleciała za burtę kusza, potem łuk. Zараźliwy przykład; chwilę później rzucali już wszyscy. Mignęły haki na linach, zgrzytnął bosak. Zbrojni wiosłarze z balingera przeskakiwali na sznikę, rzucali twarzami na pokład cesarskich marynarzy i żołnierzy. Jakaś garść pomyleńców poniewczasie próbowała się bronić – porąbano tych ludzi w mgnieniu oka, a jednego, który próbował piąć się gdzieś po linach, ściągnięto za nogę na pokład. Mevev podbiegł do mężczyzny w tunice z oznaczeniami podsetnika straży morskiej, wyciągającego ku niemu trzymaną za ostrze broń, i nim tamten zdążył cokolwiek powiedzieć, wbił mu z rozmachem miecz w brzuch. Jego chłopcy i ci od Boheda zarzynali i rąbali resztę jeńców, trwało to zaledwie kilka chwil, bo człowiek bez broni niewiele mógł zrobić wobec główki miecza lub żeleźca topora.

Zastrzelono łucznika na bocianim gnieździe. Zdobyty okręt ucichł.

Ridareta spała, wciśnięta w kąt na rufie balingera, obok ochrypłego zastępcy Boheda, wciąż dzierżącego rumpel. Otworzyła oczy, powiodła wokół ogłupiałym spojrzeniem – po czym znowu zasnęła, a może straciła przytomność.

Chyba nie, bo się lekko uśmiechała.

ROZDZIAŁ 23



Uwolnili „Delarę” z następnym dziennym przypływem.

Niczego nie sknocili. Karawela zeszła ze skał zupełnie gładko, chciałoby się aż powiedzieć: wdzięcznie. Załoga wiwatowała, odpowiedzieli jej spoceni, lecz dumni z siebie wioślarze na balingerze. Jedną kotwicę odcięli i zebrała ją łódź, drugą podnieśli po ludzku. Ostrożnie prowadzona, najpierw tylko na holu, potem pod bezanem, a na koniec pod wszystkimi żaglami, „Delara” poszła z powrotem ku Bezpiecznej, poprzedzana przez wielorybniczą łajbę, rozmigotaną dwiema dziesiątkami wiosł.

W dość znacznej odległości było widać dryfującą czarną bryłę. Spalona sznika nie zatonęła, resztki kadłuba kręciły się w lokalnych prądach, noszone w tę i nazad pływami.

Drugi okręcik puścili na dno. Całkiem dobry żaglowiec, jednak nie wzięli przyżu, chociaż z żalem. Brakowało ludzi do obsadzenia trzech łajb. Nie mogli się włóczyć po tych wodach z kilkusobową załogą na każdej. Ubyło dziewięciu, w tym czterech zabitych, reszta ranni – lecz jeden z nich chyba śmiertelnie. Niegroźnie pokłutych przez strzały było tyle samo; na balingerze oberwał prawie każdy – ktoś miał dodatkową dziurę w zadku, a inny pożegnał się z uchem, urwanym przez bełt

z ciężkiej kuszy. Tacy ludzie mogli wspierać przy żaglach zdrowych towarzyszy, ale dwoić się i troić w szkieletowej załodze raczej nie. Przynajmniej nie tak od razu; mogli dostać gorączki. Nie warto było śmiać się z odstrzelonego ucha, bo już niejeden wesołek wykitował z powodu gangreny.

Wymigali się dzięki świetnemu uzbrojeniu. Byle żeglarz rzadko miał kolczugę; w elitarnej załodze Boheda i wśród starych majtków Ridi – każdy. Bełt pokonywał wszystko, lecz strzała z łuku, choć przebijała plecionkę, to wytracała impet i zazwyczaj nie tkwiła głęboko. Opancerzone plecy wiosłarzy, choć jawiły się wdzięcznym celem, osłaniały jednak wnętrzości – strzała w brzuchu była znacznie groźniejsza.

Pokładowi żołnierze mieli jeszcze lepsze zbroje, nakolanki i nałokcice, płytowe obojczyki-ryngrafy, nosili nawet hełmy.

A jednak, gdyby cesarscy nie narobili ze strachu na widok kul ognia ogarniających prowadzący okręt, potem zaś maleńkiego płomyka, który jeszcze zdołała wzniecić Ridareta, mogli wygrać tę bitwę. Nie zdobyliby już „Delary”, ale podziobaną przez strzały piracką bandę z atakującej ich wielkiej łodzi chybaby pokonali.

Zwycięzcy morskiego boju znowu szli do Dranu, ale do portu miał zawinąć tylko balinger z dziesięcioma ludźmi przy wiosłach i Tallettem jako sternikiem – przy co drugim wiosle siedział rozebrany z tuniki żołnierz. Bohed nie chciał się pokazywać nawet na redzie. Poprzedni właściciel balingera przystał na całkiem dobry interes: otóż w ciągu dziesięciu dni gotów był odkupić stateczek z powrotem, oczywiście za sporo niższą cenę.

Mijał dopiero tydzień.

Natomiast gdy szło o kupioną razem z balingerem łódź, w Mevevie Cichym odezwało się skąpstwo. W Dranie wszystko dało się sprzedać od ręki – lecz za marne pieniądze; pośpiech nigdy nie sprzyjał interesom. Łódź była naprawdę dobra, a na „Ślepej Ridi” ostatnio jedną stracił. Bohed krzywił się trochę, bo dodatkowa szalupa zajmowała mu kawał średniego pokładu. Uległ w końcu i podniósł skarb Meveva z wody; do Agarów mógł się z tym jakoś przemęczyć.

Mevev nie wziął przyzu. Następnie ze stratą odsprzedał wspaniały, wojenny okręt wiosłowy. Jeśli nie miał umrzeć ze zgryzoty, to koniecznie musiał zabrać swoją łódkę.

Dziki kotwicowisko u ujścia Baharu wszystkim mocno zbrzydło, lecz było naprawdę dobre. Stanęli tam jeszcze raz. Ridareta liczyła, że lada dzień odbierze U Szypra odpowiedź na swój list. Wyznaczyła w nim czas i miejsce spotkania.

Załoga Boheda, choć zdziesiątkowana i chora, jednak nie próżnowała. Porządnych napraw mogli dokonać dopiero w Aheli, ale sporo dało się zrobić już teraz. Wzmocniono łąty, uszczelniono nadwyreżony kadłub.

Wrócili z Dranu rozeźleni wioślarze, żołnierze zbratani z żeglarzami, którym los wiecznych piechurów nie przypadł do gustu. Dostali dodatkowy przydział wódki i dali się udobruchać. Ridareta i jej oficerowie od dawna wiedzieli, jakim utrapieniem są niezadowoleni, otrzaskani w swoim fachu marynarze. Niebici w ciemę majtkowie odkryli, że nic nie dopiecze dowództwu tak, jak staranne wykonywanie rozkazów. Dokładali starań,

gotowi byli wygładzać każdą fałdę na zwiniętym żaglu, z niesłychaną pieczołowitością składać liny w zwoje – wszystko to w sam raz, żeby zdążyć na czas, ale nawet o kichnięcie szybciej. Do tego dochodził nieustanny huk najstaranniej trzepanych na pokładzie pledów i hamaków, bo gdy dwóch już swoje wytrzepało, przyłazili zaraz dwaj następni. Po dwóch dniach takiej zabawy chciało się ich prosić, by swobodniej traktowali dyscyplinę i regulaminy okrętowe.

Trudno było przecież zabronić dbania o czystość hamaków. Trzepanie i wietrzenie zalecano z całą surowością, bo zaraza na okręcie była niepotrzebna.

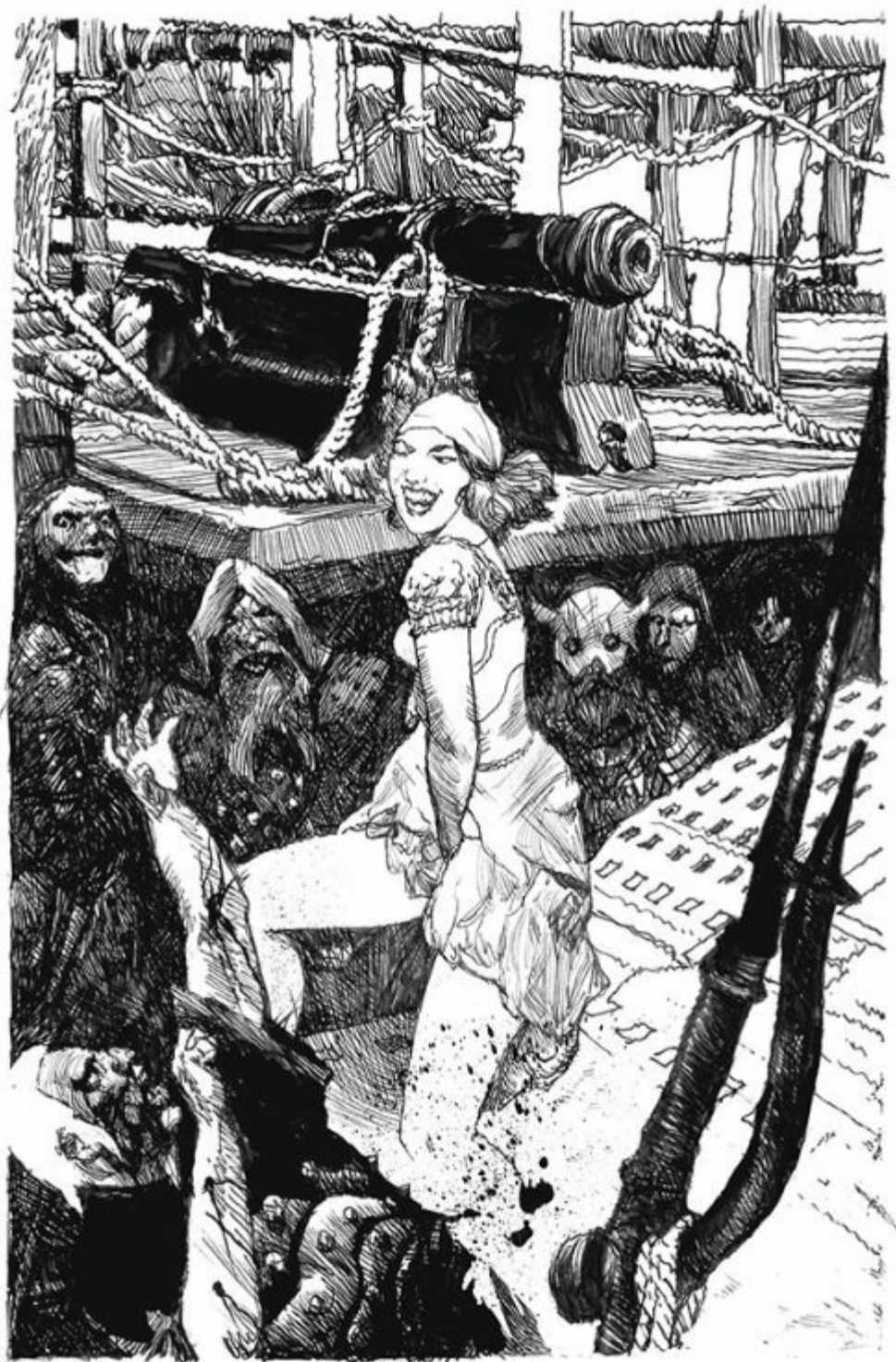
Więc trzepali.

Za dużo pływało na tym żaglowcu oficerów. Sayl i Mevev pomagali Bohedowi i Tallettowi trzymać wachty, ale Ridareta nudziła się niemiłosiernie. Miała dość „zabawy w listy”, podobnie jak „zabawy w rozmowy”. Ze zdumieniem myślała o ludziach, którzy w ten sposób spędzali całe życie. Dogadać się, ułożyć jakiś plan – dlaczego nie? Ale gmerać w czymś bez końca jak patykiem w łajnie?

Brawurowa wyprawa po Sayla nie pomogła, nawet wręcz przeciwnie. Foka Ridi przypomniała sobie, co to znaczy działać. Rana od noża, upieczenie własnego tyłka w ogniu, a nawet utrata włosów – wszystko było lepsze od beznadziejnego kiwania się przy brzegu i czekania.

Tymczasem dochodziła do siebie. Czerwona na twarzy i dłoniach już nie była, o ranie w brzuchu prawie zapomniała. Najbardziej brakowało włosów. Robiła co mogła i odrastały błyskawicznie, jednak minąć musiał co najmniej miesiąc, by zaczęły sięgać niżej ramion.

Z prawej strony, bo o te, które zostały po lewej, bardzo dbała.



TRUST 22

Na szczęście z chustką na głowie wyglądała znośnie.

Swoją drogą już nie po raz pierwszy tak się urządziła. Bardzo dawno temu stary Tamenath wprowadził jej nie ostrzegając, że poparzy sobie akurat przyrodzenie (choć usiłowała to wmówić Mevevowi), niemniej rzekł surowo: „Uważaj, co wyprawiasz! Spalisz sobie nie tylko włosy”. Niczego chyba się nie nauczyła, bo wciąż nie uważała.

Najgorsze, że znowu nie wiedziała, na czym stoi. Już myślała, że rozumie Riolatę, wie, co zrobić z tym czerwonym świństwem. I w pewnej mierze tak było. Naraz jednak odzyskała zdolności, które umarły raz na zawsze. Tak uważała.

Raladan próbował jej wytłumaczyć, co się stało z Riolatą. Pięć lat wcześniej spędził sporo czasu w towarzystwie dwojga Przyjętych. Udzielali wyjaśnień, których żądał, odpowiadali na pytania. Przekazał jej wszystko, co zrozumiał i zapamiętał.

Każdy mógł bezkarnie mówić: Riolata. Imię Rubinu już nie miało mocy Formuły.

Układ, którego wzorcem był Rubin, został rozerwany. Riolata symbolizowała teraz coś, co przestało istnieć. Dwa rozdzielone Pasma, jedno w Szerni, a drugie na zewnątrz, w niczym nie przypominały tego, czym były kilka lat wcześniej.

„Układ Pasm to nie są po prostu dwa Pasma razem lub osobno” – tłumaczył Raladanowi Gotah. „One wchodzą w złożone relacje. Gdy zmieszasz wodę i mąkę, powstanie ciasto, które w niczym nie przypomina tego, z czego zostało zrobione. A gdyby się udało ponownie rozdzielić je na wodę i mąkę? Twoja córka jest opisem, modelem wody wymieszanej z mąką. Małą bryłką ciasta. Ale tam w górze nie istnieje już to, do czego była podobna. Nikt na

świecie nie powie ci, księżę, co księżniczka Ridareta potrafi teraz wyszarpnąć ze swoich Pasm, jakie zdolności postradała, jakie nowe nabyła, a jakie się tylko zmieniły. To już musi odkryć ona sama”.

Te słowa Raladan przekazał jej prawie dosłownie, tak jak zapamiętał.

I powiedział coś jeszcze, co było niezmiernie ważne: że „wypala” Riolatę. Zbędny, niemający odbicia w siłach ponad światem Porzucony Przedmiot umierał, bo nie mógł już czerpać sił z zawieszzonego gdzieś nad Bezmiarami układu Wyklętych Pasm. Ten rozciągnięty na stulecia proces wygasania Rubinu dało się spowolnić lub przyspieszyć.

„Głodziłem cię, Rido” – przyznał się Raladan. „I to wielokrotnie. Przyjęci mi wytłumaczyli, a potem raz wymieniliśmy listy, pokażę ci. Mówili i przypominali, że gdy zaczniesz być niespokojna, trzeba dać zajęcie Rubinowi, bo inaczej nie wiadomo, co się może zdarzyć. Uwierzyłem im i to działało. Siłę, którą dawało ci jedzenie, musiał zapewniać Rubin i na własne oczy widziałem, że zapewnia. Nigdy nie osłabłaś i ani trochę nie schudłaś”.

Nie wiadomo, ile miesięcy lub lat życia – może raczej: trwania – odbierała Rubinowi, podpalając jakąś chałupę albo okręt. To drugie było trudniejsze, musiała ogarnąć spojrzeniem coś znacznie większego od izby. Na dodatek z większej odległości.

Przeczuwała, że tak właśnie jest, jeszcze zanim Raladan to potwierdził: cokolwiek robiła, wprzegając siły Geerkoto, mogło trwać dłużej albo krócej, mniej albo bardziej „cudownie”. Im „cudowniej” – tym więcej swojej

czerwonej mocy zużywała Riolata.

Należało więc zaprzestać głupich zabaw ze zmianą barwy włosów, nie przyspieszać gojenia się ran. Wygoić się musiały tak czy owak, ale należało je opatrywać, pomagając Riolacie w leczeniu, nie tłumić dającego się znieść bólu. Nie robić w ogóle niczego, co zbędne; niczego wykraczającego poza zwykłe ludzkie możliwości.

Pytanie, czy jeszcze umiała żyć w taki sposób. Współistniała z przeklętym Rubinem przez całe dorosłe życie. Teraz już zupełnie nieświadomie pragnęła albo oczekiwała czegoś – należało nie pragnąć i nie oczekiwać.

Czy to miało sens? Co właściwie było lepsze: długie życie pełne wyrzeczeń czy krótsze, ale łatwiejsze i przyjemniejsze? Pytanie stare jak świat, albo raczej: stare jak rozterki istot rozumnych.

Nie bardzo miała ochotę beczynnienie leżeć w jakimś zaciszu, dobrze spać i zdrowo jeść, żeby tylko jak najbardziej odciążyć siły podtrzymujące jej istnienie. Czterysta lat nędznego bytowania w więzieniu?... To chyba lepiej czterdzieści w jakichś innych warunkach.

Nie wiadomo dlaczego, w środku rozważań o Riolacie przyszło jej do głowy, że powinna poćwiczyć z Bohedem. To on ją kiedyś uczył walki mieczem i półmieczem. Wydawało się jej, że wszystko pamięta. Może tak – lecz ciało uważało inaczej. Uwalniając Sayla, zadała raptem jedno pchnięcie i zabiła wroga, ale to była zasługa raczej szczęścia niż umiejętności. Zabrakło w tym ciosie dawnej szybkości i siły. Pewności.

Coś podobnego czuła, walcząc z Moldornem w Grombie, gdy była w ciele Kesy. Wiedziała, co i jak trzeba zrobić – a jednak się nie udawało. Tym razem

poszło lepiej, ale chyba tylko dlatego, że ciało Przyjętej było całkiem inne, inaczej zbudowane. Zupełnie obce. Teraz, cokolwiek powiedziec, miała bardzo podobne do... utraconego.

Śmieszna rzecz: w walce przeszkadzało dwoje oczu. Kiedyś inaczej oceniała odległość, bardziej intuicyjnie. Nie miała wyboru, musiała. I mocno pilnowała lewej strony, bo tam rozciągała się ciemność.

Przeciągnęła się i wylazła z kajuty, w której siedziała sama, bo oficerowie radzili o czymś na pokładzie.

Przypomniała sobie, że ma jeńców. Nie wiadomo kogo. Trzech obcych, uwolnionych razem z Saylem. Naprawdę zapomniała; wszyscy zapomnieli. Najpierw całą grupą maszerowali nad morze, potem „Delara” tkwiła na skałach i trzeba było pobić straż morską... Nieszczęśników zamknięto w kojcu w kącie dziobówki i strącono w niepamięć. Chyba ktoś donosił im żarcie? I mieli jakiś ceberek albo pustą baryłeczkę na... te sprawy?

– Sayl – powiedziała na widok swojego oficera. – Chodź ze mną. Potrzebny wam? – zapytała ponieważ, patrząc na Meveva i Boheda, którzy pokazywali sobie nadburcie, jakby je widzieli pierwszy raz, i o coś się spierali.

Bohed machnął ręką. Sayl podszedł. Bez ulgi na twarzy, ale i bez ociągania. Widać to, o czym gadali przy nadburciu, było ważne, ale bez przesady.

Powiedziała o jeńcach.

– Wiesz o nich coś? – zapytała.

– Pierwszy raz zobaczyłem ich wtedy, co i ty. Nawet nie wiedziałem, że tam siedzą.

Sayl nie miał prawie nic do powiedzenia na temat swojego porwania. Dostał w łeb na poddaszu u kupca, obudził się w zakrytym wozie. Potem raz go odwiedził jakiś człowiek, ale nie powiedział, kim jest. Z opisu wynikało, że to setnik Derrhert. Trochę pytał, ale więcej sam mówił – zupełnie jak później z Mevevem. Wiedział dość dokładnie, kim jest Sayl. Ciekawiły go jakieś głupoty w rodzaju, czy drugi oficer „Ślepej Ridi” naprawdę zna języki. I kilka podobnych rzeczy.

„Tak jakby chciał sprawdzić, czy nie jestem głupi” – podsumował tę rozmowę Sayl.

O żadnych armektańskich eskadrach, które trzeba potopić, nie padło nawet słowo.

– Chodź – powiedziała. – Wyjmiemy ich z tej zagrody. Co Bohed tam wozi?

– Nie wiem, chyba krowy albo świnię. Raladan zawsze dbał, żeby załoga raz kiedyś miała świeże mięso.

– Ale teraz tam nie ma świń?

– Nie wiem. Okaze się, jak porozmawiamy.

Zrozumiała żart i zachichotała.

Zawołali dwóch chłopaków i kazali im wywlec nieszczęśników na pokład. Rozkaz spełniono i po niedługim czasie trzej wyciągnięci z mroku ludzie mrużyli oczy, porażeni blaskiem wiosennego słońca. Nie wyglądali na morzonych głodem bądź spragnionych. Dobre i to.

Fali i wiatru prawie nie było, słoneczko grzało. Poszli na rufę, rozsiedli się na pokładzie pod bezanmasztem – ten przynajmniej był na swoim miejscu, bo fokmaszt i grotmaszt odwrotnie. Nigdy nie lubiła karawel.

Pozwolili usiąść przed sobą uwolnionym więźniom

Trybunału. Przywołany wcześniej marynarz zjawił się po chwili z niewielkim dzbankiem wody.

– Napijcie się – powiedziała – bo dużo będziemy rozmawiać.

Chętnie skorzystali z pozwolenia. Na żadnym żaglowcu słodka woda nie była wydzielana zbyt szczerze.

Jednakże, wbrew oczekiwaniom, wiele do powiedzenia nie mieli. Jeden był zrujnowanym kupcem, przyłapanym na matactwach. Trzymano go od roku z okładem. Chyba się domyślał, dlaczego nie gnił w zwykłej twierdzy więziennej: bardzo dużo wiedział o innych kupcach, szczególnie tych podobnych do niego. Trybunał nie chciał go sądzić, zamiast kamieniołomów obiecano mu zwolnienie, to miało być mniej więcej za rok. Wszystko, rzecz jasna, po cichu. W zamian od czasu do czasu przychodził ktoś, by wypytać o jakieś ciemne sprawy tego czy tamtego zacnego handlarza albo dostawcy towaru. Pytany odpowiadał, doradzał, sypał pomysłami, a czynił tak od samego początku. Chyba się okazało, że warto posłuchać gaduły. Odpowiedzi na pytania – owszem, ale rad i pomysłów nie dało się wydusić z półżywego strzępu mięsa badanego przez kata; uznano widać, że większy będzie pożytek z kogoś w jednym kawałku, za to tak chętnego do współpracy i na dodatek niegłupiego.

Drugi jeniec był kiedyś oficerem Legii Garyjskiej, teraz już tylko dziesiętnikiem, a patent oficerski odbierano niezmiernie rzadko. Kanalia jakich mało. Zasługiwał wyłącznie na stryczek, ale obnoszenie się z egzekucją oficera, niechby nawet byłego, w prowincji, gdzie i bez takich przedstawień każdy wiedział, ile są warte wojska,

pokazywanie wszem wobec, jak wysoko dotarła zgnilizna, nie było w smak dowódcom legii ani Trybunałowi. Zniknął więc, przepadł bez wieści (na pewno zamordowali go jacyś zbóje w zaułku). Prawdopodobnie jego dni były policzone, na razie jednak nikt nie miał dla niego czasu. Wyznał to wszystko z całkowitą szczerością i wyglądał na zadowolonego.

Dość łatwo dało się sprawdzić, czy powiedział prawdę. Jeśli tak, to chyba się nadawał do załogi „Ślepej Ridi” – skoro kazał tłuc batem własnych żołnierzy, to mógł się sprawdzić w straży okrętowej, może nawet z czasem jako jej dowódca (Ridareta nie umiała odżalować Nellsa). Nie wyglądał na tchórza, a jako mężczyzna prezentował się świetnie: muskularny i całkiem przystojny. Spodobał się agarskiej księżniczce.

Trzeci z uwolnionych był garyjskim rebeliantem, chyba dość wysoko postawionym. Stwierdziwszy to na samym początku, rozmowę odbyli na końcu. Najpierw Ridareta odprawiła kupca i legionistę.

– Kupców potrzebujemy, ale mnie nie oszukasz. W każdym razie nie próbuj – rzekła do pierwszego. – Pomyśl, gdzie chciałbyś robić interesy, a może dostaniesz dwóch wyznaczonych przeze mnie pomocników i trochę złota na początek. Do spłaty z odsetkami – zaznaczyła. – A ty wracaj do dziobówki, tylko już nie do kojca. – Popatrzyła na legionistę. – Powiedz, że wzięłam cię do załogi, a chłopcy opowiedzą ci, co trzeba, i dowiesz się, kim jest twoja kapitana.

– Chyba wiem.

– Mądry mężczyzna – pochwaliła, wstała i skopała go tak, że niewiele, a wyzionąłby ducha.

Gdy skończyła, ledwie pełzł po pokładzie, z głową osłoniętą rękami. Mocno krwawił z nosa i na pewno miał pęknięte jakieś żebro, o ile nie kilka żeber. Trochę rzeził, a trochę jęczał.

– Zobacz – powiedziała, podstawiając mu przed oczy upierścienioną bosą stopę. – A następnym razem przyniosą mi drewniane chodaki. No idź już do tej dziobówki. I pamiętaj, że mamusia cię kocha, ale czasem umie dać klapsa. Co się mówi?

– Tak... kapitana – wystękał.

Rezolutny. Widać usłyszał z kojca, jak mówią o niej chłopaki. Albo zapamiętał, co powiedziała, zanim dała klapsa.

Naprawdę mógł być z niego pożytek.

– Już cię nie ma.

Pozbierał się i polazł chwiejnie, zgięty w pół. Po drodze wymiotował za burtę, bo parę razy oberwał w żołądek.

– Ty też – powiedziała do kupca. – Będziesz spał tam, gdzie załoga. Już nie w kojcu.

– Tak, kapitana! Dziękuję!

Przekrzywiła głowę.

– Dla ciebie „wasza wysokość”, kapitana tylko dla załogi. Uciekaj, bo zaraz odpocznę, a wtedy...

Nie czekał; naprawdę uciekł.

Nieco poblady rebeliant siedział naprzeciw Sayła, który z opartą o maszt głową trochę drzemał, a trochę udawał Cichego, co jakiś czas półotwartymi oczyma przepatrując horyzont, pod którym wiecznie było widać żagle jakiegoś kupca, idącego z Dranu lub do Dranu.

– Szlachetny? – zapytała uprzejmie.

– Tak, szlachetna – odpowiedział mężczyzna. – Jeśli

sobie życzysz, to będę mówił „wasza wysokość”. Ale jesteś, pani, Garyjką.

– Półkrwi – przyznała. – Szlachetna wystarczy.

Sayl już wcześniej zauważył, że jeniec wyraża się w taki sam sposób, jak kapitana. Pochodzenia naprawdę nie dało się ukryć.

– Będiesz rozmawiał, szlachetny, o poważnych sprawach z kobietą? O wojnie i polityce? – zapytała i pożałowała.

– Czy mam wybór? Przywykłem, Armekt mnie nauczył za pomocą kija. Ale rzeczywiście, pani, wolałbym nie kalać w ten sposób twojej kobiecości. Jesteście matkami, to wasza wielka misja. Zaludniacie świat. My, mężczyźni, tylko go urządzamy.

– Zaraz się wyrzygam.

– Tak, szlachetna. Tak wygląda urządzenie świata przez was.

Odważny. Niezłomny. Kochający garyjskie tradycje i obyczaje.

– Twoje nazwisko, panie.

– Oved Neleth, szlachetna.

– Riolata Ridareta. Nazwisko mojego rodu przeklełam i zapomniałam, a zresztą byłam bękartem nieuznanym przez dziadka. Moja matka źle zaludniła świat, panie. Pomógł jej w tym niewłaściwy mężczyzna, Armektańczyk. Jego inicjałów rodowych także nie używam.

Nic nie odrzekł.

– Co robiłeś w tym więzieniu? Czy setnik...

– Czekaj, kapitana – przerwał Sayl. – Ja porozmawiam i nie przeszkadzaj mi, dobrze? Najwyżej słówko na

stronie, wtedy wytłumaczę.

Skinęła głową. Sayl naprawdę rzadko pchał się do czegokolwiek. Teraz widocznie miał powód. Podkasła suknię i z powrotem rozsiadła się na pokładzie, beztrąsko pokazując zarówno brudne podeszwy stóp, jak i gołe kolana. „Kalenie kobiecości”. Miała ochotę pokazać szlachetnemu coś jeszcze. Nie dało się tym zaludnić świata, ale można go było użyźnić.

Może to dlatego Sayl wołał, żeby już nie rozmawiała.

Prawie nie słuchała pytań i odpowiedzi. Zaczynał rebeliant rozzłościł ją bardziej, niż myślała. Przez jakiś czas gniew narastał, dopiero potem powoli zaczął mijać.

Wielka misja zaludniania świata.

Los był złośliwy. Miała topić armektańską flotyllę, dopiero co zniszczyła dwie szniki, choć dziesięć razy bardziej wołałaby tutaj Armektańczyków zamiast Garyjczyków.

Nie każdy Garyjczyk miał zakuty łeb. Ale to tacy jak ten byli solą wszystkich powstań. I oni mieli wkrótce rządzić Garrą.

Rozmowa zmierzała ku końcowi.

– Na razie to wszystko, szlachetny – rzekł Sayl. – Siedź tu, wkrótce przyjdzie marynarz i ci powie, gdzie będziesz mieszkał. Możliwe, że nadal w tamtym kojcu, ale urządzimy go trochę wygodniej. Na okręcie trudno o porządne miejsce do spania.

– Rozumiem, panie.

Sayl wstał i pomógł wstać dowódczyni, trochę zaplątanej w kiece, naszyjnikach i dzwoniącej bransoletami. Zeszli z rufowego pokładu.

Nie do wiary: Bohed i Mevev stali przy nadburciu

i pokazywali je sobie, wymieniając jakieś uwagi. Ktoś musiał przebiegle umieścić w tym drewnie sztabkę złota.

Ridareta pomyślała o tym samym.

– On mówi: „To jest nadburcie” – rzekła, wskazując dowódcę „Delary” i swojego pierwszego oficera. – A tamten na to: „O tak, to nadburcie. Nadburcie!”. Wtedy tamten: „Ale czy naprawdę nadburcie?”.

Sayl pokiwał głową, chociaż wiedział, o czym gadali. Ale Ridi bywała zabawna – rzeczywiście można by odnieść wrażenie, że rozmowa brzmiała tak, jak ją przytoczyła. Czyżby dobrze czytała z ruchu warg?... A może pomagała jej Riolata.

– Słyszałaś wszystko? – Skinął głową w stronę rebelianta.

– Tak – skłamała. – Ale wytłumacz.

– Co tu tłumaczyć? Dla niego setnik Derrhert to tylko dowódca holka straży morskiej i sługus Trybunału. Może kapitan się przed nim nie zdradził i dlatego szlachetny Ovened Neleth nie wie, że trzymał go inny rebeliant. A może wie, tylko nie chce go wydać.

Wzruszył ramionami i dorzucił:

– Albo kapitan Derrhert nie jest rebeliantem.

Było tego trochę za dużo.

– Czekał, jeszcze raz – zażądała.

Powtórzył.

– Wcale tam nie słuchałaś, kapitana – skwitował, ale to nawet nie była wymówka.

Od razu tak mu się zdawało.

– No nie – przyznała się bez cienia skruchy. – Ale teraz już słuchałam. Czyli... czekaj. Albo ten nie jest rebeliantem, albo Derrhert nie jest.

– Albo jest, tylko ten nie chce go wydać.

– Mhm.

Układała to sobie.

Sayl myślał.

– Jutro wezmę go łodzią na brzeg. I czterech naszych chłopców. Po co hałasować na okręcie? Pokażę szlachetnemu Nelethowi chłopców, dam motykę, a jak już wykopie grób, o tam, za tymi sosnami, to zapytam jeszcze raz o Derrherta. Nie odpowie, to zostawię go z chłopcami. Będę płoszył kamykami mewy i wrócę dopiero, kiedy zacznie mówić. A gdy wrócimy łodzią na okręt, będzie już o jednego rebelianta mniej. Ale za to powiem ci, co wiedział o Derrhercie. Całą prawdę. Jeżeli naprawdę nic nie wie, to może Derrhert nie jest takim dobrym synem Garry, jakiego udaje.

– Albo nie chce się zdradzić nawet przed swoimi.

– Może być i tak. Nie jestem jasnowidzem, kapitana. I po tej rozmowie też nie będę.

– Ale nasz szlachetny to chyba ktoś ważny. Może się przydać, gdybym jeszcze chciała o coś się targować albo...

– Albo o kogoś? Wątpię.

– Dlaczego?

– Gdyby Derrhertowi na nim zależało, to już dawno by go uwolnił. A jeżeli Derrhert nie jest rebeliantem, to znaczy, że w ogóle nie rozmawiasz z rebeliantami. I nie oni trzymają Kitara.

Znów myślała.

– Ale szlachetny Nel..

– Znasz to nazwisko?

– Nigdy nie słyszałam.

– Ty? Wychowana w garyjskim domu, który przecież

coś znaczył?

– Niewiele. A takich garyjskich domów na tej wyspie...

– Właśnie. Bo to jest tylko mądry głupek, kapitana. Czystej Krwi albo jak tu mówią: szlachetny, ale takich szlachetnych na tej wyspie... Siedział w ratuszu w Doronie, bardzo pilny urzędnik. Do Armektańczyków odnosił się z szacunkiem. A do kobiet, które tam widział, odzywał się inaczej niż do ciebie. Uśmiechał się i udawał, że taki świat jest najlepszy. Dlatego mówię, że mądry.

– A głupek, bo...?

– Bo zrobiłby wszystko dla świętej sprawy Garry. Był wierny i przydatny, ale teraz, gdy już go złapali, nie ma żadnej wartości dla rebelii. Jako kto, wojownik z toporkiem? Nie wygląda mi na to, żeby jego ród naprawdę się liczył na tej wyspie. Nic za niego nie wytargujesz.

– Na pewno?

– Gdyby ktoś był gotów cokolwiek za niego dać, to od razu byś usłyszała. Spróbowałyby cię... No, ciebie może nie, bo kobieta. Spróbowałyby mnie skaptować albo przekupić. Złotem, czymś tam innym. Uważaniem powstańców, teraz albo kiedyś – tłumaczył Sayl. – Ale nie ma chyba nikogo, komu mogłabyś napisać: „Oddam szlachetnego Oveneda Neletha za dwie sztuki srebra”, a on by się na to zgodził. Urzędnik w stołecznym ratuszu to przydatne narzędzie, kiedyś. Teraz już bezwartościowe, a nawet kłopotliwe dla rebelii. A kto wie co wyśpiewał Trybunałowi i komu teraz służy naprawdę? Oni w ten sposób myślą, kapitana. „Święta sprawa wyzwolenia Garry”.

– Rób, co chcesz.

– Wyciągnę z niego wszystko, jeśli nie ja, to chłopcy. Jeśli się nagle okaże, że to jest siostrzeniec przyszłego króla Garry, to go przywiozę z powrotem i sam przyłożę zimny okład na rozbity nosek. A jeżeli nie, to będzie o jednego powstańca mniej.

– Dobrze – pozwoliła.

Następnego dnia łódź popłynęła na brzeg. Po dość długim czasie wrócili czterej majtkowie i Sayl.

Szlachetny Ovened Neleth nie powiedział już nic ciekawego.

ROZDZIAŁ 24



Z Rollayny do En Anelu wiodła droga uchodząca w Dartanie za wygodną. Nieutwardzona, tonąca w kłębach pyłu, pozwalała jednak przemieszczać się dość szybko i nie błędzić.

Raladan znał tę drogę, bo kiedyś już nią jechał. I znał dostatni, choć niebogaty dom, otoczony ogrodem, po którym biegały wielkie psy. Kilka mil za rogatkami En Anelu.

Właśnie wyłaniały się zza garbu dachy zabudowań. Ogrodu jeszcze nie widział.

Nie uprzedził o swoim przyjeździe. Chciał, ale się nie złożyło. Przyzwoity strój był przecież tylko przebraniem, należało to sobie powiedzieć. Pod spodem stale siedział zwykły dowódca okrętu, rzucający z rufowego pokładu rozkazy sprawnej załodze. Najpierw nie pamiętał – co tu dużo gadać – o takich ceremoniach, jak zapowiedzenie przyjazdu. Gdy sobie przypomniął, to już było po rozmowie z królową. Musiałby posłać żołnierza lub marynarza, zaczekać na odpowiedź...

Nie miał tyle czasu. Czuł, że powinien szybko wracać na Agary.

Lecz słowa danego córce musiał jednak dotrzymać.

W drodze niewiele rozmyślał o dwojgu Przyjętych i dziecku, które im powierzono. Porządkował wszystko, co ustalił z piękną vaną Dartanu.

Posłuchał dobrej rady i rozmawiał z nią nie tyle o najemnikach, ile o dwóch państwach. I to była właściwa droga. Nie wrócili do sporu sprzed lat.

Za oknami już dniało. Rozmawiali przez pół nocy. O Aherach, Dartach, Zachodnich Wybrzeżach, o Wyspach i Wiecznym Cesarstwie...

I dobrze się rozumieli.

Może także dlatego, że był mądrzejszym człowiekiem niż kiedyś. Chciał czy nie chciał, od kilku lat zajmował się sprawami, które wtedy były dlań zupełnie nowe. Odziedziczone po nagle zmarłej żonie.

Teraz to już były jego sprawy. Nie kochał ich, ale rozumiał.

„Na razie zawrzyjmy tajny układ” – powiedziała, gryząc kolejne jabłko. Zdążył zapomnieć, że lubiła owoce jak nikt inny; w postawionej na stole paterze poczyniła już spustoszenie. „Topieni przez ciebie kupcy odetchną z ulgą, gdy dasz im spokój”.

„Nie ja” – poprawił.

„Tak, wiem. Twoi... przyjaciele?...” – zapytała, z powątpiewaniem zawieszając głos. „Przecież to wszystko jedno. Agary dadzą spokój, piraci dadzą spokój... Co za różnica? Ale przymierze z pirackim księstwem nie spodoba się wielu świetnym Domom. Da im oręż do ręki. Uwierz, że niejeden szuka okazji, żeby podważyć moją pozycję. Cokolwiek powiem, jakiegokolwiek nowe prawo ustanowię, za każdym razem usłyszę: królowa osłania bandytów, mordercy pod opieką królowej. Dlaczegoż więc uczciwi ludzie mają płacić podatki? Dlaczegoż to nie wolno najać zbiegłych obwiesiów do swych pocztów i uchronić ich w ten sposób

przed katem? Będą wiernie służyć za samą obietnicę bezkarności i nie porzucą służby, bo czeka szubienica!”

Wyglądał przez okno. Już co nieco widział przez przydymione szybki, lecz miasto jeszcze się nie obudziło.

Monarchini jednak donikąd nie było spieszo. Najwyraźniej mogła wrócić do swojego domu pod osłoną nocy albo w dzień. Z całą pewnością lektyka, którą brała do takich wypraw, nie miała wyhaftowanych na zasłonkach monogramów K.B.I.

A do pałacu wiodło więcej niż jedno wejście.

„Agary utrzymają się bez pirackich łupów, królowo. Kiedyś nie, teraz już tak. Ale nie obronią się przed wszystkimi pirackimi okrętami Szereru. Nie uzyskasz żadnych korzyści, bo moja flota będzie konwojować moje statki. Zawrzemy więc układ, który się nikomu nie opłaca? Ja zbiednieję i narobię sobie wrogów, a ty nie otrzymasz oczekiwanego wsparcia?”

„Przekup ich”.

„Kapitanów? Listy kaperskie to nie jest...”

„Weź ich na żołd. Przemień we flotę Agarów. Powiedz: utrzymuję was, nie musicie już nikogo łupić, koniec z piractwem”.

Milczał.

„Powiedz jeszcze: najmujemy się do działań kaperskich, walczymy dla tego, kto zapłaci, ale kiedy nie ma żadnej wojny, to nie napadamy na nikogo”.

Myślał.

„Nie stać mnie na to, wasza królewska wysokość. Agary nie są aż tak bogate, żeby utrzymać jeszcze jedną flotę. I to taką. Ci żeglarze odwykli od wyrzeczeń i życia dla samej strawy. Może mógłbym przekonać niektórych, bo

wszystkich na pewno nie. Ale muszę mieć brzęczące argumenty”.

„Pomogę. Jeśli nagle zniknie z mórz południowych połowa okrętów pirackich, to ożywi się handel. Spadną ceny wielu towarów, odzyskam żaglowce posyłane do ochrony morskich szlaków. To nie będą stracone pieniądze, a dalej widzę już tylko zyski. Polityczne, wojskowe. Do tego jeszcze prestiż: Dartan ukrócił plagę piractwa. I Dartan ma sojusznika z bardzo silną flotą” – mówiła, obracając w palcach koniec warkocza. „Wtedy uznam twoje księstwo, Raladanie. Kraj morskich najemników, walczących nie za sprawę, lecz dla złota. Ale nie zbójów. Przyznaj, że to duża różnica. Najemników zaciąga do prywatnych pocztów połowa Domów w Dartanie. Szubieniczników nikt”.

Znowu milczał i myślał.

„Będziesz klęczał” – dorzuciła nieoczekiwanie i popatrzyła kpiąco znad ugryzionego jabłka. „Złożysz mi hołd lenny, a ja wezmę cię pod opiekę”.

Przechadzał się po komnatce. Przystanął, spokojnie wyjął nadgryzione jabłko z jej ręki i sam ugryzł. Zaniemówiła. Wtedy oddał jej owoc i znowu podszedł do okna.

„Jeżeli garyjskie powstanie rzeczywiście nie wybuchnie w tym roku... Bo jeżeli jednak wybuchnie, to wszystko zmieni, nieprawdaż?”

Ostentacyjnie dokończyła jabłko i umieściła ogryzek w pucharku z resztką prześwietnego wina.

„Nie wybuchnie” – zapewniła spokojnie.

„Jesienią większość okrętów, o których mówimy, będzie cumować w Aheli. Wczesną zimą, królowo

Dartanu, dostaniesz ode mnie odpowiedź. Nawet wcześniej, kiedy tylko minie pora burz”.

Tak mniej więcej przebiegła ta rozmowa.

Poprzedzany przez dwóch jeźdźców minął szczyt łagodnego garbu, przez który biegła droga. Widział już cały dom.

Wkrótce na spotkanie wyszło troje orężnych ludzi. Nie przejawiali żadnych nieprzyjaznych zamiarów, ale każdy przybysz musiał widzieć, że mieszkańców tego domu ma kto bronić. Muskularna wysoka kobieta miała po prawej ręce trzydziestoletniego mężczyznę, po lewej zaś krzepką dziewczynę o pospolitym wyglądzie. Nosili broń w sposób, który pozwalał odgadnąć, że to nie jest dla nich coś nowego.

Jadący przodem żołnierze obejrzeni się. Zatrzymał ich gestem i sam pojechał na spotkanie tamtej trójki.

Minęło kilka lat, lecz rozpoznał nie tylko przyboczną Przyjętej, która towarzyszyła swojej pani na wyprawie do Grombelardu, ale także ogrodnika-pachołka i młodą, kiedyś wystraszoną kobietę, której złamał rękę. Chyba nazywała się Sema.

Poznali go i oni.

– Zapytajcie pana i panią, czy mogę jechać dalej i porozmawiać z nimi. Nie zapowiedziałem się przez pośpiech.

Przyboczna spojrzała na niższą towarzyszkę i skinęła głową, tak jakby mówiła: „Ty odpowiedz”.

– Możesz jechać dalej, panie – powiedziała niewolnica, poprawnie używając kinenu. – Jesteś o-czekiwany.

Zdziwił się, ale nie dał tego poznać po sobie.

Ostatecznie, stał przed domem dwojga Przyjętych. Jeśli

gdzieś z nieba mogło padać piwo zamiast deszczu – no to tu.

Wkrótce zsiadł z kulbaki. Jeden z żołnierzy zaraz ujął zwierzę za uzdę i wraz ze swoim koniem poprowadził ku stajni, posłuszny skinieniu pachołka. Drugi żołnierz i obaj żeglarze podążyli za nimi, prowadząc własne wierzchowce.

Gotah stanął w drzwiach domu i chciał wziąć żonę za rękę, ale wyrwała się. Raladan mógł sobie powiedzieć, że nikt równie często jak on nie widywał dumnej Kesy w takim stanie. Przeżyli razem niejedno i tak się dziwnie składało, że zawsze to właśnie przy nim musiała się zmagać z największymi wzruszeniami.

Teraz jednak nie oczekiwał niczego podobnego. I potrzebował czasu, żeby zrozumieć.

Chyba po prostu nie był aż tak dobrym ojcem.

– Nie zabierzesz mi jej? – pytała rozdygotana, jeszcze idąc, a właściwie prawie biegnąc mu na spotkanie. – Przyjechałeś, żeby teraz ją zabrać?

Niewolnica-strażniczka i młoda Sema zniknęły w drzwiach domu.

Potrzebował chwili. Nie pomyślał, że to dla Przyjętej aż tak...

Ale właściwie – jak?

Czy można być rodzicem, nie będąc matką ani ojcem? Oczywiście, że można. I było to zazwyczaj więcej warte. Pochodziło z wyboru, a nie z tej naturalnej skłonności i tak samo naturalnej powinności, jaką miały nawet dwie fretki.

– Powiedz mi! – zażądała, chwytając go za rękę.

Dopiero zsiadł z konia, jeszcze czuł w dłoniach

szorstkie wodze. Zastąpiły je czyjeś smukłe palce.

– Nie, Keso-lah’egri – powiedział. – Nie zabiorę. Przyjechałem zapytać, czy niczego wam nie trzeba.

Przytrzymał jej dłonie trochę mocniej, bo się zachwiała na nogach. Ale już podszedł Gotah i objął plecy żony ramieniem.

– Przede wszystkim przywiozłem wiele nowin – powiedział jeszcze Raladan. – Mam też mnóstwo pytań, jak zwykle.

– Witaj, uczciwy piracie – rzekł gospodarz. – Bądź naszym gościem tak długo, jak tylko zechcesz.

– Chciałbym długo, lecz będę krótko. Pani... – powiedział bezradnie i uniósł znacząco dłonie.

Wciąż trzymała i zgniatała mu palce.

o o o

A jednak nie był przygotowany na maleńką, niespełna pięcioletnią Ridaretę.

Miała na imię Alida, na pamiątkę jego zmarłej żony. Było to coś bardzo istotnego, bo Ridareta nie kochała księżnej Agarów. Wybrała to imię, żeby pokazać komuś innemu, że jest ważny.

Miał przybraną córkę, a teraz chyba jeszcze przybraną wnuczkę. Nie wiedział, co z tym począć. Nigdy nie poruszał się swobodnie w tej dziwnej materii uczuć, trosk o kogoś... Niepotrzebnie utrudniały życie.

Z drugiej strony nadawały mu dodatkowy sens.

Pogodny i roześmiany dzieciak najpierw trzymał matkę – bo przecież jednak matkę, nie była dla niego nikim innym – za spódnicę, ale szybko się zebrał na

odwagę i szorstki agarski książę rad nierad musnął palcem mały policzek, pogłaskał brązowe kędzierzawe włosy. Nie potrafił nazwać tego, co czuł.

Tak właśnie kiedyś wyglądała Ridareta, nieznająca prawdziwego ojca, wychowywana w zimnym garyjskim domu, gdzie kochała ją tylko matka. Jak też miała na imię?...

Agenehe. W armektańskim brzmieniu: Agenea.

Przyszła Sema i jeszcze jedna niewolnica, którą Raladan bardzo słabo pamiętał, zwykła służka do wszelkich prac domowych. Kesa powierzyła im dziecko i zostali we troje w przestronnym pokoju – tym samym, w którym rozmawiali pięć lat wcześniej. Niewiele się tu zmieniło. Wymieniono spalone zasłony... No cóż.

Brakowało czwartej osoby, królewskiej gwardzistki Hayny; stała wtedy oparta ramieniem o ścianę.

Zbyt wiele wspomnień. Zbyt często ku nim wybiegał.

Zbyt szybko chyba się starzał. Twarz mogła być taka sama, lecz na duszy przybyło zmarszczek.

Obmył się już z kurzu po podróży, nie odmówił lekkiego poczęstunku. Wyprostował plecy i odzyskał pełną władzę w nogach, zdrętwiałych od bezczynności. Nigdy nie czuł się dobrze na koniu.

– Ridareta żyje – powiedział. – Wszystko jest tak, jak zapowiedziała. Ma szesnaście lat, na tyle wygląda.

– Wiemy. Przeczułam to. Codziennie czekałam na nią albo na ciebie.

– Nawet jeśli się zjawi w tym roku, to najwcześniej za kilka miesięcy. Z końcem lata. Tutaj, do Dartanu, mieliśmy wybrać się razem, ale zamiast tego popłynęła na Garrę.

– Co się stało?

Opowiedział. Krótko, bez zbędnych szczegółów.

– Mam nadzieję... – zaczęła Przyjęta i urwała.

– Coś ci obiecała. O to chodzi? – odgadł po długiej chwili.

– Powiedziała ci? Tak, o to. Bardzo bym chciała, żeby się jej udało.

– To piracka przywódczyni, wasza godność. „Kapitana” wojennego okrętu, była nią i zostanie. Świat jest taki, nie inny. Brakuje okazji, żeby walczyć, palić... żeby zabijać w imię dobra. To nie na zawołanie.

Wzruszył ramionami, skąpym gestem rozłożył ręce i dokończył:

– Sprawiedliwe wojny w obronie uciśnionych nie są schowane w skrzyniach, które można otworzyć w każdej chwili, żeby wyjąć to, co potrzebne. A Ridareta nie może czekać w nieskończoność. Zresztą chybaaby mogła. Ridareta, ale nie Riolata. Może nie przy pierwszej okazji, ale prędzej czy później znowu niepotrzebnie pozabijają jakichś ludzi. Obie.

– Przecież wiem. Zdumiewa, że i ty to wszystko wiesz. – Popatrzyła bardzo poważnie spod swoich niezwykłych brwi.

Nie znał żadnej kobiety, która miałaby tak władcze spojrzenie. Nawet gdy pytała o pogodę. Kiedyś przywykł; teraz szybko przyzwyczajał się znowu.

– Czas płynie.

– Mówisz inaczej, patrzysz inaczej. Nie jesteś już tylko piratem, książę.

– Chyba nie.

– Ridareta nigdy w pełni nie zapanuje nad Rubinem –

odezwał się Gotah. – Ale może chociaż próbować. To znacząca różnica, ilu ludzi zginie: pięciu czy dziesięciu. A jeżeli wśród tych pięciu koniecznych znajdzie się czterech złych... Zbrodnia zostanie zbrodnią, nawet gdy dotyka jednego człowieka. Śmierć złoicy nie wynagrodzi śmierci niewinnego. Ale jednak intencje i proporcje nie są pozbawione znaczenia.

– Uważam, że Ridareta szczerze chce dotrzymać waszej umowy – odparł Raladan i było widać, że pragnie zakończyć temat. – Co z tego wyniknie, czas pokaże.

– Czy mogę jej jakoś pomóc? – zapytała Przyjęta.

– Nie wiem. Prędzej albo później zjawi się tutaj i powie. Ale to ja widuję ją najczęściej i być może to ja jej pomogę. Jeśli będę wiedział, na czym stoję.

– Dlaczego miałbyś pomagać? – odezwał się znowu Gotah. – Znam, książe, twoje spojrzenie na świat. Podział na zło i dobro nie ma dla ciebie znaczenia, a jeśli nawet ma, to ważniejsze jest coś innego.

– To prawda. Ale twoja małżonka, panie, dopiero co powiedziała, że się zmieniłem. Przyznaję, że robię rzeczy, którymi kiedyś się nie zajmowałem. To wymusza... – nie dokończył. – Muszę umieć wybrać, co jest słuszne, a co niesłuszne. Mniejsza o dobro i zło.

– Bardzo kocie widzenie świata.

– Może tak. Co z tego?

– Chyba nic. Masz rację.

Przez chwilę milczeli.

– Bardzo dobry jest twój kinen, książe, to już prawie pełny armektański – powiedział Gotah, zmieniając temat.

– Nie myślę tylko o zasobie słów. Rozszerzenia i zawężanie znaczeń, stopniowanie... Poświęć kilka

wolnych chwil na naukę, a bez trudu opanujesz ten język w jego czystej postaci. Warto. Jest najdoskonalszym językiem Szereru.

– Możliwe. Kinen mi nie wystarczy?

– Wystarczy, ale o co pytasz albo raczej o kogo? Dla wodza piratów to więcej, niż trzeba. Dla księcia Agarów za mało.

Zastanowił się i przytaknął.

W rozmowie z królową Ezeną brakowało mu czasem odpowiedniego słowa. Nie zawsze pamiętał, jak złagodzić lub wzmocnić znaczenie innego.

– Język to potęga, może największa na świecie – dorzucił Gotah. – Nie masz nic, jesteś nagi, lecz gdy odpowiednio przemówisz, mogą cię poprzeć tysiące. Niejedno królestwo zdobyto, mając na początek tylko słowa. I niejedno stracono, bo zabrakło odpowiednich słów.

– Nie myślałem o tym w ten sposób. Ale wiesz, co mówisz, wasza godność.

– Rzeczywiście. Wiem.

– Powiedziałaś, że pomożesz Ridarecie, jeżeli dowiesz się więcej – przypomniała Kesa. – Co chcesz wiedzieć? Jeśli będę znała odpowiedź, to odpowiem.

Zmarszczył brwi. Po chwili zwrócił się do Gotaha, nie Kesy:

– Pamiętam, czym jest Rubin, i pamiętam, co mówiłaś mi, panie, o rozdzielonych Pasmach. Ale wojna Potęg dobiegła końca i...

– Nie.

Zamilkł.

– Nie dobiegła końca – rzekła Przyjęta. – Trwa

zawieszenie broni, zbrojny rozejm. Szerń i Aler nie wróciły do równowagi, powściągnęły tylko swoją aktywność wobec drugiej Potęgi. Chwilowo. Co to znaczy? Nie umiemy powiedzieć. W takiej gotowości do podjęcia zmagania Pasma mogą trwać rok, może dziesięć lat. Albo sto. Wstęgi Aleru chyba nie, bo należą do Potęgi rozbitej, rozpadającej się. Tak uważam, jednak trudno to nazwać wiedzą, raczej zgaduję. Przeczuwam.

Popatrzyła na męża.

– Wiemy tylko o jednej, Pierwszej Wojnie Potęg i nie znamy dokładnie jej przebiegu – potwierdził. – Nikt nie wie, w jaki sposób się toczą i jak długo mogą trwać takie zmagania.

– Co z tego wynika? Dla Ridarety, bo dla świata... Na to chyba nie mogę mieć żadnego wpływu.

– Dla Ridarety? Jeśli wojna zostanie wznowiona i Szerń straci kolejne Ciemne Pasma, może dobrać ostatnie „zapasowe”. To rozpięte nad Bezmiarami. Może też stracić akurat to Pasma, które dobrała wcześniej, wtedy... Rubin postrada połowę siebie, można tak powiedzieć. Jeśli Szerń najpierw dobrać ostatnie Pasma, a potem straci oba „rubinowe”... Jest to bardzo mało prawdopodobne, niemniej jeśli straci oba te Pasma, Rubin Córki Błyskawic przestanie być tym, czym jest teraz, czyli niewydarzonym modelem, zupełnie niepodobnym do tego, co miał przypominać. Przestanie istnieć jakikolwiek jego odpowiednik, prosty albo krzywy, wszystko jedno. Wtedy Geerkoto zwany Rubinem Córki Błyskawic przestanie istnieć, pozostanie rozsiana po świecie garść zwykłych czerwonych kamyków i... ciało twojej córki, z którym stanie się to, co z każdym innym

ciałem pozbawionym życia czy innej siły mogącej je zastąpić. Jednak zniszczeniu jakichkolwiek Pasm w żaden sposób nie umiemy przeciwdziałać, a utrata przez Szerń akurat tych dwóch jest niezmiernie, powtórzę: niezmiernie mało prawdopodobna. To byłby zwyczajny pech, ślepy traf. Jak posłanie do bitwy legionu i utrata czterech lub pięciu żołnierzy z jego składu, a w tej liczbie akurat dwóch noszących to samo rzadkie imię. Realnie należy się liczyć raczej ze zmienną aktywnością Pasma, które wróciło do Szerni, ale to wtedy, gdy wojna zostanie wznowiona. Gdy wygaśnie to, co nazywamy zawieszeniem broni – dopowiedział. – Księżniczka będzie mogła raz tamto, a raz siamto. Zyska jakieś możliwości, potem straci. Te, które już ma, jeżeli pozostaną, mogą się zwiększać albo zmniejszać. Kiedyś powiedziałem, że twoja córka musi się poznać na nowo. Teraz dodam, że dopóki Druga Wojna Potęg się nie skończy i Szerń nie wróci do pełnej równowagi, Ridareta będzie musiała się poznawać wciąż i wciąż od początku. Nawet teraz jej możliwości mogą lekko... falować. Szerń wciąż trwa w gotowości, nie wróciła do zwykłej drzemki – przypomniał z lekkim przebłyskiem humoru.

– Jakie mogą być... te moce Ridarety? Możliwości?

– Nie wiadomo. Raczej jednak niewielkie – uspokoił Gotah. – Możliwości Szerni narastają w sposób nierównomierny, ale z grubsza biorąc, geometrycznie, w miarę przyłączania do układu kolejnych Pasm. Matematyk Szerni przedstawiłby ci wzory, ja jestem tylko historykiem. Całość jawi się, na dobrą sprawę, wszechpotężna. Wszechpotężna z naszego, ludzkiego punktu widzenia. Ale żaden Porzucony Przedmiot nie

odnosi się do całej Szerni, nie istnieje jej wzorzec albo lepiej: jedynym wzorcem i modelem Szerni jesteście my, istoty myślące, a właściwie tylko nasz rozum. Ściśle: wszystkie rozумы razem wzięte, istniejące pod niebem Szereru – tłumaczył. – Ludzkie i kocie, bo sępicz już nie ma. Wszystkie. Porzucone Przedmioty, a w ich liczbie Rubiny, obrazują tylko wycinki, odnoszą się do pojedynczych Pasm, rzadziej do niewielkich układów. Po rozdzieleniu Wyklętych Pasm, gdy odrzucony układ przestał istnieć jako całość, możliwości księżniczki zmniejszyły się mniej więcej dwukrotnie, choć wciąż ma dostęp do treści obu Pasm. Te możliwości mogą być bardziej lub mniej różnorodne. Choć nie muszą. Najpewniej raz tak, a raz owak. Niczego tutaj, panie, nie wiadomo na pewno. Twoja córka jest... wybrykiem natury. Jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem w naszym świecie.

– Czy powinna szukać? Próbować, sprawdzać?

– Oby nie.

– Powiedziałaś, że będzie musiała poznawać się na nowo.

– Musiała. Nie powiedziałem: powinna.

– Zupełnie nic się nie przyda? Z tego, co znajdzie w Riolacie?

– Wszystko może się przydać, książę. W starej szopie i pochodnia może się przydać, i siano, i gorzałka... Nawet komuś, kto nie wie, do czego to wszystko służy.

Raladan pokiwał głową.

– Tak myślałem. I tego się bałem. Nie od wczoraj.

– Gdybym mogła coś jej doradzić... – zaczęła Przyjęta i zamilkła, przygryzając wargę. – Gdybym wierzyła, że

potrafi zupełnie obyć się bez Rubinu, to taką właśnie miałabym radę – podjęła po krótkiej chwili. – Zastąpił jej życie, to wystarczy. Oczywiście nie mówię o śmiertelnej ranie albo chorobie, Ridareta musi się wtedy ratować, a zresztą Rubin sam ją uratuje, choćby nawet tego nie chciała. Ale wszystko inne... – Pokręciła głową. – Po pierwsze, marnuje zasoby tego, co utrzymuje ją przy życiu.

– To już wiem. I ona też.

– Po drugie, książę, mój mąż tyleż malowniczo co dokładnie opowiedział ci, czym będą jej próby poznawania siebie, a właściwie Riolaty. Wymachiwaniem pochodnią w stodole. Zapomniał powiedzieć, że tam do siedzenia służy beczka z prochem.

– Nie ma bezpiecznego sposobu?

– Jeden z największych, jeśli nie największy matematyk Szerni go nie znalazł.

– I każde głupstwo tym będzie, wywijaniem pochodnią? Nawet jeśli przyjdzie jej do głowy zmienić kolor włosów?

– Och, przeciwnie. Jeśli taki rodzaj aktywności wystarczy, to niech zmienia włosy co drugi dzień. To jest marnowanie zasobów, już mówiłam. Lecz jeśli koniecznie muszą być marnowane... Oby włosy księżniczki płynęły za statkiem, a piersi nie mieściły się w drzwiach – powiedziała i lekko się zarumieniła, gdy Gotah parsknął przez nos i na chwilę odwrócił głowę, powściągając niewczesny uśmiech; mówili wszak o sprawach poważnych. – Przede wszystkim to nie jest poznawanie, bo ona już umie. Takie działanie chyba nie wystarczy, bo nie zużyje... nie zmęczy Przedmiotu, nie mam teraz

lepszego słowa. Gdyby księżniczka głodziła się, nie spała, najlepiej nawet nie oddychała... Wtedy może tak. Wszystko, co niezbędne do życia, dawałby jej Rubin, prawdopodobnie znacznym kosztem.

– O tym wiem. Postępowałem zgodnie z waszą radą.

Opowiedział krótko, jak odmawiał Ridarecie jedzenia. Tygodniami.

Wysłuchali uważnie.

– Dobrze zrobiłeś – orzekł Gotah.

– Ale teraz nikt jej niczego nie odmówi – zauważyła Przyjęta. – Mówimy o dobrowolnych męczarniach. Tym jest głód. O braku powietrza nawet nie warto wspominać.

– Ridareta... poddawała się dobrowolnym torturom.

– Wiem. I w ten sposób rzeczywiście oszukiwała Riolatę. Tak myślę. Przemiana bólu w przyjemność, szybkie gojenie ran, to chyba wymagało dużej aktywności. Rubin był po tym... zmęczony, jeszcze raz użyję tego słowa. Chwilowo wypalony takim „wysiłkiem”.

– Ridareta kiedyś mówiła: muszę obłaskawić sukę.

– Tak. Może niezbyt ładnie, ale trafnie.

Raladan pytał i słuchał, bo już od dawna wiedział, że warto. Tej wiedzy nie mógł pozyskać gdziekolwiek, od kogokolwiek. Przyjęci czasem się powtarzali, ale i powtórzenia były warte wysłuchania. Odświeżały i utrwały wiadomości niepotrzebne na co dzień.

– Czy ta aktywność musi... – Zawahał się. – Nie wiem, jak powiedzieć. Czy musi pochodzić od Riolaty? Czy aktywność Ridarety... aktywność człowieka...

– Bardzo dobre pytanie – uznał Gotah. – Być może aktywność człowieka wystarczy. Teraz ja nie wiem, jak to powiedzieć... Brutalnie i obrzydliwie, ale także zwięźle

i jasno, przebacz mi. – Spojrzał na żonę. – Jeśli Piękna Ridi ma kogoś zabić w dziwny sposób przy wsparciu Rubinu, to lepiej niech mu utnie głowę mieczem. Skutki będą podobne, metoda znana od stuleci, więc bezpieczna i przewidywalna.

– Naprawdę potrafisz być zwięzły – powiedziała.

– Działanie Riolaty może być pośrednie albo bezpośrednie – podsumował Gotah. – To tak czy inaczej aktywność. Tak uważam.

– Tak uważamy.

– Chociaż chyba nie każde działanie – uściślił, a raczej próbował uściślić Gotah. – Czesanie włosów szczotką trudno uznać za przejaw aktywności Rubinu. Zabójstwo chyba tak. Twoja córka nie była zabójczynią, stała się nią pod wpływem czegoś. Zabójstwo jest więc, w jakimś sensie, skutkiem obecności Riolaty.

– W jakimś sensie – powtórzył Raladan.

– Rozumiem twoje wątpliwości. Trudno rozdzielić te dwa byty, Riolatę i Ridaretę. Tworzą całość. Rozmawiamy z tobą o naszych przypuszczeniach, książę.

Raladan myślał.

– Tamenath uważał inaczej – rzekł wreszcie. – Powiedział jej coś w rodzaju: nie szczuj na mnie Riolaty, bo to będzie tak, jakby twoje Pasma uderzyły w Szerń, lepiej spróbuj mnie zabić mieczem. Czyli istnieje różnica między tym, co robi Riolata, a tym, co Ridareta.

– Istniała – poprawił Gotah. – Rubin był kiedyś wzorcem i symbolem układu Pasm wypchniętych poza Feren. Teraz nie jest jednym ani drugim. COŚ tutaj, na dole, odwołuje się do niektórych sił dwóch Pasm, jednego w treści Szerni, drugiego wciąż pozostającego na

zewnątrz i odgradzonego Ferenem. Szerń nie rozpozna w aktywności tych Pasm odbicia działań Riolaty, bo układ Pasm o takich właściwościach nie istnieje. Uważam, że Szerń potraktuje to jako anomalię, zaburzenie równowagi, nie atak i spróbuje tę równowagę przywrócić. Raczej wygasi niepożądaną i dziwną aktywność odzyskanego Pasma, niż je zniszczy. Cokolwiek zrobi tutaj kawałeczek ciasta – przypomniał sobie stare porównanie, użyte w toczonej przed laty rozmowie – nie powtórzą tego woda ani mąka tam.

– Zleciła zabicie królowej. Chciała cudzymi rękami zniszczyć symbol Ferenu – przypomniał Raladan po namyśle. – Uważała, że jeżeli nie zrobi tego sama, to nie zostanie potraktowane jako atak Odrzuconych Pasm na Feren.

– Miała słuszość, ale tylko dlatego, że Riolata była już wtedy symbolem czegoś, co nie istnieje. Wtedy jeszcze niestety nie wiedziałem, że Szerń dobrała jedno z Odrzuconych Pasm i rozerwała układ. Odkrył to Moldorn, nie ja.

Kesa zadrżała.

– Zimno mi, gdy słyszę to imię.

– Przebacz. Zapomniałem.

– Nie przepraszaaj. Trudno, żebyśmy przestali mówić o Szerni, dlatego że Moldorn kiedyś... Ridareta zarówno wtedy, jak i dziś mogłaby zabić królową, własnymi rękami albo nawet przy wsparciu Riolaty – wytłumaczyła Przyjęta, kończąc wypowiedź męża.

– Jeśli nie brać pod uwagę królobójstwa, nic złego by się nie wydarzyło – potwierdził cierpko Gotah. – Z tego samego powodu: bo Riolata już nie jest symbolem.

Cokolwiek zrobić z kawałeczkiem ciasta, nie da się tego powtórzyć przy użyciu wody – powiedział jeszcze raz.

– Więc cokolwiek zrobi tutaj Ridareta, Szerń nie wyrządzi jej krzywdy?

– Myślę, że wygasi aktywność Pasma, a więc także części Rubinu. Do czasu przywrócenia równowagi.

– Jesteście pewni, że tylko tyle?

Gotah wzruszył ramionami.

– To są Prawa Całości, książę. Jesteśmy odbiciem Szerni tu, na twardej ziemi. Ale Prawa Całości, podobnie jak wiele innych, ulegają czasem zawieszeniu, można je niekiedy ominąć. W obliczu czegoś tak skomplikowanego jak wisząca nad nami Potęga, pewność może mieć czasem matematyk, badający maleńki wycinek, jeden wyjęty z całości mechanizm. Natomiast filozof próbujący przedstawić pełny obraz nie ma pewności prawie nigdy.

– Tak samo jest z działalnością istot rozumnych – uzupełniła Kesa. – Jako historycy umiemy wytłumaczyć, dlaczego wybuchają wojny, co kieruje większością poczynań ludzi, a nawet kotów. Ale to nie dotyczy każdej rozumnej istoty z osobna i każdego zdarzenia.

– Jakaś wojna mogła wybuchnąć dlatego, że król miesiąc wcześniej miał katar i z napęczniałą głową nie przyjął do wiadomości słów posła – podjął zaraz Gotah, lubiący używać porównań i przykładów.

Raladan nie protestował, bo to rzeczywiście pomagało zrozumieć trudne sprawy; w podobny sposób tłumaczył je Tamenath.

– Jakie z tego można wyprowadzić prawo bądź regułę?

– dokończył Przyjęty. – Przecież wcześniej i później niejeden chory król wszystko zrozumiał należycie.

W Szerni dzieją się rzeczy podobne, chociaż wynikają z innych przyczyn.

Agarski władca ujął nasadę nosa w dwa palce i ścisnął. Potem przetarł twarz dłonią.

Był zmęczony. Bardziej rozmową niż podróżą z Rollayny.

Już nie myślał o Ridarecie i układzie Pasm. Zastanawiał się nad dwojgiem ludzi, którzy takim rozważaniom i rozmowom poświęcili życie.

Zatęsknił do krzyku mew i bryzgów słonej wody na policzkach.



Część trzecia
żaglowiec

ROZDZIAŁ 25



Nieprawdopodobny letni żar, słabo łagodzony morską bryzą, zalegał w ciasnych uliczkach Aheli. Było południe i mieszkańcy szukali schronienia w domach, na zewnątrz można było zobaczyć głównie dzieci, którym jak zwykle nic nie przeszkadzało – ani śnieg zimą, ani największe upały latem. Wytrzymałość tych niewielkich istot kazała domniemywać, że byłyby doskonałymi żołnierzami. Może należało wreszcie sformować nieduży oddział na próbę i rzucić go do boju tu czy tam?

Na razie dobrze się sprawdzały w niektórych pracach, na przykład w ciasnych chodnikach kopalń, choć akurat nie w kopalni miedzi w Arbie. Prędzej w dokach. Przydawały się tym bardziej, że można im było płacić znacznie mniej niż dorosłym. Jednakże Agary, wiecznie borykające się z niedoborem ludności, choć potrzebowały rąk do pracy, to jeszcze bardziej jakichkolwiek żywych rąk. Nawet w dokach łatwo było o wypadek, a bezmyślne dzieciaki sprowadzały niebezpieczeństwo nie tylko na siebie. Przyjmowano więc do pracy nieliczne i – co tu dużo mówić – najczęściej po znajomości, ulegając usilnej prośbie rodziców.

Nie sprawdzały się też małoletnie prostytutki. To była zabawa na raz; normalny mężczyzna potrzebował jednak pełnowartościowej kobiety, nie namiastki.

W dwunastoletnim byle czym gustowali tylko nieliczni. Zazwyczaj solidnie popaprani.

– Poślijmy to wreszcie do pracy – rzekł młody Nevin, wskazując przez okno miejską plażę, gdzie dziatwa gmerała w piasku, widocznym gdzieniegdzie spod kamieni, i trzepała się w wodzie. – Co chwila jakieś się topi, mniej tego umrze w kamieniołomach. Mogą nosić mniejsze kamienie. Trzeba zająć im czas.

– Może tak – odparła z roztargnieniem Ridareta i stanęła przy drugim oknie. – Lubię dzieci. Może rzeczywiście niech się nie topią.

Znajdowali się w nadmorskim umocnieniu, w dawnych pokojach – prędeż jednak izbach, bo choć wygodnie urządzone, to jednak były po żołniersku ciasne – księżnej Alidy. Teraz mieszkali tutaj Izetta i Nevin.

– Dlaczego mężczyzna jest pełnoletni dopiero od szesnastego roku, a kobieta od piętnastego? – zapytał niezadowolony.

– Bo szybciej jesteśmy mądrzejsze i w ogóle. Na początku.

– A na końcu?

– Na końcu to nie wiem. Mam jeszcze daleko.

– Zmieńmy to. Dzisiaj dzieci szybko dorastają. Nie wystarczyłoby trzynaście i czternaście lat?

– Może tak. Ktoś mi mówił, że kiedyś Garrą rządził dwunastoletni król. Ale żonę chyba miał starszą o trzydzieści lat. Albo więcej, bo już nie mogła mieć dzieci i ją wypędził.

– I wziął drugą?

– Tak, ale ta była młodsza od niego i jeszcze nie mogła mieć dzieci. Więc chyba też ją wypędził.

Opowiedział o swoim pomysłe na dziecięcy oddział abordażowy. Chociaż ze trzy dziesiątki, jak imperialny klin.

– Nie, za słabe – odparła. – Może do zwiadu, bo małe i zwinne. Chłopiec okrętowy się sprawdza, ale tylko jeden. Jak jest dwóch, to zaraz zaczynają psocić, a do szotów nadają się jak baby. W bitwie taki najwyżej podorzyna rannych, ale to może zrobić każdy. Chętnych jest zawsze dużo, bo to najprzyjemniejsze.

– Ale mówiłaś, że do zwiadu?...

– Ale to nie na morzu. Nie wiem, podobno najlepsze są koty. Widziałam! – pochwaliła się ucieszona. – W Londzie jest ich mnóstwo. Pazury potrafią wciągać... no chować tak jak my noże do pochwy, dlatego zawsze są ostre.

– Pamiętam. Opowiadałaś mi, jak byłem mały. Jeszcze zanim matka umarła.

– Rzeczywiście. Tak dawno i jeszcze pamiętasz? Że opowiadałam o kotach?

– Pewnie, że tak. Opowiadałaś nam o wszystkim, ciągle pamiętam. Izetta też, chociaż trochę mniej. O kotach, o Brorroku, o zabijaniu kupców... Przywoziłaś nam zawsze różne rzeczy, zabawki. Ale o kotach chyba pamiętam najlepiej. Jeszcze nigdy żadnego nie widziałem. Tylko narysowane. Kiedy trochę pływałem, to mój kapitan handlował tylko z Wyspami i Garrą. Tam ich nie ma.

– Jeszcze się napatrzysz na koty. Teraz są nawet w Nin Aye, kiedyś tam nie przychodziły. Ale po wojnie Armektu z Dartanem wszędzie się rozlażyły. Nikt nie wie dlaczego, one same chyba też nie. Są dziwne.

– Mogłyby zabić człowieka?

– Te wielkie grombelardzkie chyba tak. Zaskoczonego po ciemku to na pewno. Wydrapią oczy i poszarpią żyły.

– Opowiedz jeszcze raz! Jakie są?

– Mają miękkie futra. Tamenath zapytał jedną kocicę, bo ja nie znam grombelardzkiego, czy ją mogę dotknąć, i się zgodziła. Trochę się śmiała ze mnie. Dziwnie się śmieją, ale łatwo poznać, że to jednak jest śmiech. Usłyszałam i od razu wiedziałam. Nie wiem, czy potrafią płakać tak jak my. Chyba nie.

Opowiedziała o kotach wszystko, co wiedziała. Lubiała opowiadać, a Nevin słuchał zupełnie tak jak kiedyś. Za starych dobrych czasów.

Właściwie nie wiadomo, dlaczego o starych czasach zawsze mówiło się „dobre”.

Wyglądała znacznie lepiej niż kilka tygodni temu. Wprawdzie Nevin wciąż uważał, że koszmarne, no ale nie widział jej wcześniej. Z lewej strony włosy sięgały do połowy pleców, z prawej zakrywały część łopatki. Jednakże te krótkie wyraźnie zaczynały doganiać dłuższe, rosły szybciej. Chyba zawsze tak było.

Teraz można by pomyśleć, że celowo obcięła je na ukos – wyglądały nawet całkiem ładnie. Pomysłowo.

Odwróciła się i ruszyła do stołu, na którym leżały mapy, rysiki i jakieś czyste karty. Uszczypnął przybraną siostrę w pośladek; zamierzyła się, żeby trzepnąć go w łeb.

– No! – powiedziała ostrzegawczo. – Uważaj, bo jak ktoś nas zobaczy... Chcesz sprawdzić, co powie Raladan, znaczy ojciec, jak wróci?

– Nikogo nie ma – powiedział i przykleił jej klapsa, aż zachichotała.

– Właśnie idą.

Rzeczywiście, za drzwiami rozbrzmiały głosy. Chwilę później do fortecznej komnatki wkroczyli Lasena i Ahagaden, za nimi Bohed, Mevev i Sayl. Nikt więcej. Ridareta spojrzała pytająco, bo mieli przyjść jeszcze dowódcy wszystkich trzech eskadr i komendant formacji lądowych.

Ahagaden zrozumiał niezadane pytanie.

– Nie wezwałem ich. Najpierw tylko my – oznajmił krótko. – Bohed i twoi przyszli dlatego, że o wszystkim wiedzą, inaczej też bym ich nie chciał.

Postawny i jeszcze niestary komendant floty – zawsze z nim miała na pieńku, niestety – był jednym z najważniejszych ludzi na Agarach. Dawny najemnik księżnej Alidy, kiedyś dowodził wszystkimi wojskami, teraz tylko flotą, bo siły zbrojne rozrosły się tak, że trzeba było rozdzielić dowodzenie. Komendę nad zwykłą piechotą objął ktoś inny. Naczelnym wodzem całości pozostawał Raladan, w końcu jednak należało zrobić z tym porządek. Wkrótce zwierzchność nad wszystkimi wojskami miała przypaść Nevinowi – nominalnie, bo faktycznie chyba dopiero za kilka lat. Rozsądek i doświadczenie nie spadały z nieba w dniu ukończenia szesnastego roku życia. Młody wódz powinien najpierw tu i tam powojować pod kierunkiem mądrzejszych od siebie.

Inna sprawa, że w czasach pokoju wódz naczelny miał niewiele roboty i od biedy mógłby być nim dorsz. Regulaminy szkoleniowe, żołd, dbałość o kwatery i zaopatrzenie... Bardziej urzędnik niż żołnierz. Mający na dodatek do pomocy intendentów, płatników,

szkoleniowców – w istocie to oni wykonywali całą robotę. Dopiero wojna wymuszała zgranie działań sił lądowych i morskich, opracowanie strategii, przydzielenie zadań.

A i wówczas morskimi bitwami miał dowodzić taki Ahagaden, bo przecież nie naczelny wódz całości. I tak samo to nie głównodowodzący miał pędzić na czele piechoty w stronę plaży, na której wróg wysadził swych żołnierzy.

Otoczyli stół. Ahagaden dorzucił dwie mapy, które przyniósł ze sobą.

– Wieści z Okręgu Dranu, a nawet stołecznego, to owszem, jakieś czasem przychodzą – zagaił. – Nigdy nie są świeże, ale nieźle się mają do rzeczywistości. Co innego Archipeląg Południowy, do którego rzadko ktoś od nas pływa. To prawie udzielne księstwo. Zawsze nim było, nawet w czasach niepodległej Garry. Zebrane razem, te wyspy są większe od Agarów. Sama Sara jest większa.

– Chyba nie – powiedziała powątpiewająco Lasena.

Rozpostarł jedną z map. Puknął palcem.

– Nie jesteśmy tacy duzi, jak nas rysują – rzekł cierpko. – Kartografowie potrafią cuda, dla mnie ich dokonania to są prawie czary. Ale jednak Wielka Agara jest w rzeczywistości dwa razy mniejsza niż na większości map. Bezmiar Bliski to wodna pustynia. Odkrywcom Agarów wydawało się chyba, że znaleźli nowy kontynent. A to są dwie duże wyspy, z których żadna nie należy do dziesięciu największych w Szererze. Z wielu map tak wynika, ale nie ma mowy.

Milcząco poparli go wszyscy obecni żeglarze, nie wyłączając księżniczki. Pływali wokół Wielkiej Agary. A na innych morzach wiele razy oglądali „duże wyspy”,

które się dało przeskoczyć – oraz takie w ogóle niezaznaczone, na których mogłoby się zmieścić miasto i parę wiosek. Gdzie indziej mierzeje zamiast półwyspów i nieistniejące zatoki. Do wierności map należało podchodzić z pewną ostrożnością.

– My na pewno nie będziemy tego prostować – wyjaśnił Lasenie Ahagaden; podobno szczerze się przyjaźnili, choć twardy żołnierz nie obnosił się z takimi sprawami, mężczyźnie nie wypadało. – Niech wszyscy myślą, że jesteśmy dwa razy więksi, a nie dwa razy mniejsi. Niech się boją.

– Dobrze, co z tym Archipelagiem Południowym? – zapytała Ridareta.

– To trzy Grupy: Zachodnia, Środkowa i Wschodnia. – Ahagaden pamiętał, że w naradzie oprócz żeglarzy uczestniczą jeszcze niewolnica i Nevin. – We Wschodniej jedna, w Środkowej dwie ciężkie eskadry, łącznie dziewięć holców wspartych przez szniki. Dowództwo całości jest na Sarze i w Sarze, bo tak się nazywa największy port archipelagu. Całkiem spore miasto, jest jeszcze kilka mniejszych, a Sara ma więcej ludności niż my na Agarach. Wyspa, nie mówię o mieście. To wszystko są bardzo przestarzałe wiadomości, miasta się raczej nie rozrosły, prędzej troszkę wyludniły jak większość miast prowincji, natomiast siły tej flotyli...

Wzruszył ramionami.

– Kiedyś na Sarze stała jedna eskadra, od jakiegoś czasu są dwie, ale to już wszystko, co wiemy na pewno. Poza tym ich siły mogą być takie, jak nam powiedziano. Albo nie takie. Uczciwie: nie wiem. Armeктаńscy dawno temu bez ceregieli zorganizowali siły morskie na

wzór lądowych. Na okręcie około stu żołnierzy, tyle liczy lądowa kolumna. Trzy kolumny to półlegion, a na morzu eskadra: trzy kolumny na trzech okrętach. Trzy półlegiony-eskadry tworzą flotyllę, czyli morski legion – znów tłumaczył specjalnie Lasenie. – Oni nie lubią w tym grzebać, źle im się dowodzi eskadrą złożoną przykładowo z dwóch albo czterech okrętów. Ale mogli dodać, dajmy na to, całą nową eskadrę rezerwową. Albo dwa samodzielne okręty, tak jak przy lądowych legionach kolumny odwodowe. Nie potwierdzę składu tej flotylli. Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, co tam pływa. Wiem tyle, że to dobre załogi i okręty, może najlepsze w prowincji. Takie były i chyba są nadal.

– Możemy to puścić na dno?

– Wiesz, że tak, księżniczko. Bez trudu i bez żadnych strat własnych, chyba że będziemy mieli wyjątkowego pecha. Mówię oczywiście o stratach w okrętach, nie załogach.

– No to puśćmy.

– Nie.

– Możemy od razu...

– Nie puścimy ich na dno, wasza księżęca wysokość. Nie zabiorę floty z Agarów. Do takiej awantury nie dałbym jej nawet Raladanowi, więc zapewne skończyłoby się na tym, że popłynęłaby tam pod innym dowódcą. A ja siedziałbym tutaj, pykał fajkę i patrzył przez okno na port. Ale to tylko gadanie – dorzucił – bo Raladan nie kazałby mi tam płynąć.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Dopiero co pływałeś po Bezmiarach tylko po to, żeby żołnierzyki ci nie zardzewiały.

– W Aheli została stara eskadra, a ja mogłem zjawić się tutaj w dwa dni. Ale przede wszystkim nikt nie wyciągał mnie w morze, nikt nie wiedział, że mnie tutaj nie ma i nikt nie mógł mi wytluc połowy ludzi. Teraz ktoś mnie wyciąga i będzie wiedział, że mnie tutaj nie ma, a wrócić mogę z setką zabitych i trzema setkami rannych. Ciężko rannych – podkreślił – bo skaleczonych nie liczę.

– Te twoje pływające fortece zbutwieją i nigdy nie wystrzelą z dział do nikogo.

– Chciałbym, żeby właśnie tak było. Mają straszyć, a strzelać dopiero w ostateczności.

– Jeśli raz dobrze postrzelają, to będą straszyć bardziej.

– Zgadzam się. Pewnego dnia wybierzemy z Raladanem albo dopiero z Nevinem czas, miejsce i przeciwnika. My. Zostawię tam na morzu pływającą kupę potrzaskanych desek i może nigdy więcej nie będziemy musieli strzelać.

– Czyli nie i już?

– Powiedziałem.

– No to po co ta cała narada?

– Zwołałaś, więc się stawilem.

– W jaki sposób Raladan nie urwał ci jeszcze łba?

– Urwał parę razy, ale wyzdrowiałem.

– I ciągle jesteś dowódcą floty?

– Tak, bo właśnie Raladan przytwierdzał mi łeb z powrotem. Kiedy już zobaczył, że mam rację.

– Jaki nieomylny.

– Ridareto, dowódca floty myli się tylko raz. Trup nie może dowodzić, a jeżeli nawet nie jest trupem, to i tak nie będzie dowodził flotą, której nie ma.

– Nie każda przegrana bitwa to od razu zagłada całej floty.

– Ale ryzyko jest znaczne. Nieporównanie większe niż zagłada całej armii lądowej. Z każdym zatopionym okrętem idzie na dno jego załoga. Jeśli wygrasz, to przynajmniej powyławiasz rozbitków. Jeśli przegrasz, to nie – tłumaczył, teraz bardziej chyba Nevinowi niż Ridarecie; z samą księżniczką już właściwie skończył, ale miał okazję nauczyć czegoś młodego księcia, swojego przyszłego dowódcę. – Nawet jeśli utrzymasz plac boju, to inaczej się zbiera rannych ludzi z łąki, a inaczej z morza. Tam nieprzytomny albo połamany żołnierz leży na trawie, tutaj na dnie. Samo wyprowadzenie sił w morze to już większe ryzyko niż wyjście w pole jakiegokolwiek armii. Żadna burza nie unicestwi ci wojska na lądzie. A na morzu tak. Są przykłady.

– Nie będziesz wychodził w morze, bo się boisz...

– Dosyć, księżniczko. Powiedziałem.

Troszeczkę za ostro. Po chwili zdał sobie z tego sprawę, skinął głową cokolwiek pojednawczo i rzekł o wiele łagodniej:

– Ridareto, ocean to jest... największa i najstarsza z potęg tego świata. Pozwala nam siedzieć na swoim grzbiecie, strzeże naszego małego księstwka, które bez jego opieki nie miałyby prawa istnieć. Trochę pokory. Na lądzie pomyśl dwa razy, zanim zrobisz cokolwiek. Na morzu pomyśl pięć razy. Ocean nie wybacza nikomu, kto go lekceważy – mówił dalej. – Naprawdę o tym nie wiesz? Do Wysp Południowych przy odrobinie szczęścia dopłynę w mniej niż tydzień, a z powrotem to może trwać miesiąc. Lub odwrotnie. Nie rozkazuję wiatrom, nie zgaszę sztormu, nie przerwę ciszy morskiej. A jeżeli nie zdążę przed jesienią? Jeden statek albo okręt można odzależać,

ale jeśli przypadnie dziesięć? Budowaliśmy tę flotę przez piętnaście lat, a ja ją mogę stracić w jeden dzień. Oczywiście, jeśli coś zagrozi Agarom, to podejmę każde wyzwanie. Ale nic Agarom nie grozi.

Szlachetny Heren Ahagaden nie był milczkiem, ale nie był też gadułą. Tym razem nie szczędził słów. A dobrze się go słuchało, bo garyjski w jego ustach brzmiał tak ładnie jak w ustach Pięknej Ridarety.

Powiodła spojrzeniem po twarzach. Trwał spór dwojga. Reprezentująca tutaj swojego pana Lasena świetnie wiedziała, że się nie zna na sprawach wojennych i morskich; ufała dowódcy floty i gotowa była poprzeć go we wszystkim. Bohed o takich sprawach decydować nie chciał. Jej zastępcy zamierzali wypełnić każdy rozkaz swojej kapitanii, ale oni też niepytani woleli milczeć; gotowi byli się bić albo nie bić, nie dowodzili flotami, nie ponosili żadnej odpowiedzialności, a bez Agarów mogli żyć. Kiedyś ich stąd wygnano.

– Nevinie? – zapytała, ale więcej w tym było gorzkości niż nadziei.

Prosiła dziecko o odsiecz. Jeśli nawet nie dziecko, to jednak nie mężczyznę. Chłopaka.

– Myślę, że Ahagaden ma słuszość, siostrzyczko. Masz rację, panie – młody książę zwrócił się wprost do dowódcy floty. – Ale wiem, że ojciec bardzo chce przerwać naszą...

Przez chwilę szukał odpowiedniego słowa.

– Samotność. Obojętnie, jak bardzo straszna jest nasza flota, w końcu ktoś wystawi straszniejszą. Powinniśmy mieć sprzymierzeńców. Może... może to nie jest tak, nie musi być... – Trochę się pogubił. – Nie tak, że od razu

wszystko albo nic.

Zmieniał mu się głos i wyszło trochę piskliwie, jednakże wszyscy się przyzwyczaili i nikt nie zwrócił uwagi.

Wytłumaczył, o co mu chodzi:

– Czy dałoby się coś zrobić częścią floty? Na przykład tylko starą eskadrą? Cała flotylla imperialnych to chyba za dużo, prawda? No ale może moglibyśmy zatopić tylko jedną ich eskadrę albo dwie? To już byłoby coś. Garyjczycy by nas mieli za przyjaciół.

Młodzieńcza brawura. Bohed się uśmiechnął, Lasena karcąco pokręciła głową. Ale Piękna Ridi nie czekała nawet chwili.

– Tak, daj mi starą eskadrę.

– Co z nią zrobisz?

– Wzmocnię – powiedziała i postąpiła krok do przodu, a już miała czym walnąć go w pierś, bo suknia przestała być za luźna. – Dodam „Zgniłka”, znaczy „Ślepą Ridi” i ten mały holc, który wczoraj przyplynał.

– Przedwczoraj.

– Dobrze, przedwczoraj. „Czarny Kamień”, chyba tak się nazywa? Razem sześć okrętów. Ten holc będzie pasował, karaweli ani hogi bym nie wzięła. Kapitana nie znam, ale go kupię. Daj mi starą eskadrę – powtórzyła. – Tylko razem z dowódcą, bo ja nie znam tych waszych nowych szyków i nie umiem dowodzić kilkoma okrętami. Położę się w śladzie eskadry i będę robiła to, co ci przede mną.

– Za mało na tamtą flotyllę.

– To nie zrobię tego, czego od nas chcieli. Ale Nevin ma rację, jeśli zatopię połowę, to też coś. Nie będę czekała, aż

się wszystkie trzy eskadry zbiorą przy Sarze dla tej swojej reorganizacji. Jest szansa posłać na dno wszystkich, ale jak nie chcesz, to trudno. Przy płynę wcześniej i po prostu będę topiła to, co się nawinie. Kogoś zaskoczę, kto inny ucieknie, dogonię go albo nie. To jest wojna, na jakiej się znam.

Prawdę mówiąc, nie znała się na żadnej. Ahagaden jednak nie powiedział tego.

Myślał.

– Jeśli będę miała szczęście – mówiła dalej księżniczka – to przy Sarze złapię dwie eskadry, a w Grupie Wschodniej przy, mm...

– Przy Trakce.

– Tak, Trakka. Tam następną. Ale przeważnie połowa sił jest na morzu, na patrolach i w różnych konwojach, a druga połowa klaruje, uzupełnia, odpoczywa. Więc w najgorszym razie dopadnę tylko to, co zastanę. Razem cztery albo pięć holców. Może jeszcze coś się nawinie. Jakaś sznika, która nie zwieje dość szybko.

Ahagaden nadal rozmyślał.

Cztery stare holki dało się odżalować. Choć wyremontowane i przebudowane, dozbrojone – to jednak było zupełnie co innego niż nowe, bardzo kosztowne w budowie karaki. Wkrótce i tak mieli te holki sprzedawać lub przesuwać do floty handlowej, zastępując stopniowo właśnie karakami. Agary nie bardzo mogły sobie pozwolić na utrzymywanie czterech eskadr, załogi starych okrętów miały być przenoszone na nowe. Tylko że...

No właśnie.

– Wolałbym stracić te okręty niż ich załogi –

powiedział.

– Nie pójdę do bitwy z całą ich flotą – zapewniła. – Puszczę na dno to, co się trafi. Na nikogo nie będę czekała.

Dostrzegła wyłom w murach wrogiej twierdzy i ruszyła do szturm. Może więc nie była aż tak kiepskim wodzem.

– Wejdę w Grupę Środkową od północnego zachodu, przyłapię to, co mają w porcie i na redzie Sary. Spalę co można i będę w Grupie Wschodniej, zanim tam dotrą jakiegokolwiek wieści, przecież mnie nie wyprzedzą. Jak? Powietrzem? Zresztą zajrzę tam tylko po drodze do domu, najwyżej mi uciekną. No trudno. Naprawdę gdzieś oberwę aż tak, że będziesz płakał? Na pewno będę miała jakieś straty w załogach, ale za to... jaka zaprawa wojenna! – kusila. – Żadne pływanie po Bezmiarach i pukanie z dział do holowanego wraku nie wyszkoli ci żołnierzy tak jak prawdziwa walka!

Dołożył starań, by powściągnąć uśmiech.

– Poszłabyś pod rozkazy Starucha – zapowiedział.

– Staruch ciągle dowodzi? Piłam z nim! – zawołała uradowana. – On mnie zna i...

– O, zna. I nie wiem, czy nie zejdzie na ląd, jak się dowie, kogo miałby wziąć pod komendę.

– Nie zejdzie. On nigdy nie był na lądzie.

Tak mówili.

– Jutro nowa narada. Jeśli trzeba, to u niego na pokładzie. Będę już miała „Czarny Kamień” i jego kapitana też trze...

– Ridareto... Księżniczko Ridareto. Niczego jeszcze nie postanowiłem. Niech będzie, że przynajmniej mamy o czym rozmawiać. Jeszcze raz chcę zobaczyć te rysunki

i mapy naszych garyjskich „przyjaciół”. Potem zdecyduję. Dowodzę flotą i odpowiadam za każdy okręt, nowy czy stary.

Z namysłem popatrzył na Nevina. Ten chłopak był skromny, nawet się nie puszył, choć rozważano jego pomysł. Przyglądał się jednej z map.

Rutyna. Rozwaga i ostrożność, cechy starych wodzów. Ahagaden uświadomił sobie, że choć bez dwóch zdań słuszność była przy nim, to jednak przydawało się czasem młode, wojownicze spojrzenie. Za cenę rozsądnego ryzyka być może dało się osiągnąć całkiem sporo. Nie podobała mu się ta wyprawa do Archipelagu Południowego. Z drugiej strony jednak...

Nawet narwana i niemądra Ridareta miała trochę racji. Bo kusilo go, co tu dużo mówić. Kusila możliwość sprawdzenia, ile było warte uzbrojenie tych rzekomo najlepszych okrętów Szereru, którymi dowodził od lat. Nowe szyki, nowa taktyka walki. Staruch, świetny żeglarz i dobry dowódca eskadry, mógł to wszystko sprawdzić. Wypróbować na prawdziwym wrogu. A potem mogli tutaj siedzieć i myśleć, doskonalić dobre rozwiązania, rozmawiać o tym, co i dlaczego nie wyszło. Jeśli dołożyć rysujące się całkiem realnie zyski polityczne – może warto było posłać te holki.

Wojna. No cóż, wojna była tylko narzędziem polityki. A agarskie księstwo naprawdę potrzebowało przyjaciół.

o o o

Obrażona na brata i siostrę Izetta (nie została

dopuszczona do narady!) z nikim nie rozmawiała. Ridareta też miała kiedyś dwanaście lat i pamiętała, że w tym wieku jest się obrażonym bez przerwy.

Wywabiła Nevina i poszli.

– Gdzie idziemy?

– Gdziekolwiek – odpowiedziała. – Możemy do mnie.

Niespecjalnie daleko. Największe z nadbrzeżnych umocnień było jednak przede wszystkim fortecą, budynkiem mieszkalnym tylko trochę. Wszystkie izby-komnatki skupiono obok siebie.

Ridareta nie znosiła tajemnic. Szczególnie własnych, bo cudze obchodziły ją mniej. Ale własne koniecznie chciały wyjść na zewnątrz, stale więc gryzła się w język. Uznała, że nie wytrzyma.

Gdyby się zwierzyła Cichemu, to na pewno kiwałby głową, a na końcu powiedział: „Się popłynie”. Sayl zaraz zapytałby o coś takiego, że sama pobiegłaby do Ahagadena prosić, żeby nie dawał okrętów.

Wybrała Nevina. Zwłaszcza że po tej naradzie coś mu się należało. Zasłużył.

Nigdy nie umiała utrzymać porządku, a kręcące się w tę i nazad niewolnice ją złościły, więc też nie zawsze mogły posprzątać. W sypialni kazała Nevinowi usiąść na rozgrzebanym łóżku, sama zaś rozparła się na siedzisku, wygodnym karle przed wielkim zwierciadłem. Popatrzyła w nie z udawaną odrazą (bo właściwie włosy były ładne), trzepnęła dłonią niesforny kędzior, a następnie zwróciła się ku przybranemu bratu.

– Rozmawiamy. Uważaj i myśl o tym, co mówię, zamiast nie wiadomo o czym – przestrzegła.

Pokazał, że uważa. I nie myśli nie wiadomo o czym.

Opowiedziała mu wszystko. O niektórych rzeczach wiedział, ale na wszelki wypadek przypomniła, powtórzyła. Zresztą sama już nie była pewna, co wiedzieli wszyscy, co niektórzy, a o czym nie wiedział nikt.

– Mevev i Sayl wiedzą, że setnik-kapitan Derrhert... Ale kawał mężczyzny! – rzekła i przygryzła wargę. – Nie dał po sobie poznać, czy wie, kto uwolnił Sayla. Na pewno się domyśla, ale wie, że Sayl nic nie wie. Kapitan Derrhert to szpicel Trybunału i nie ma nic wspólnego z rebeliantami. Powiedziałam o tym Mevevowi i Saylowi, ale Bohedowi już nie. Cała ta bitwa, przegląd ich floty przy Sarze, to pułapka. Oni, Flotylla Południowa, naprawdę tam będą. Ale oprócz nich jeszcze z pięć eskadr.

– To dla...dlaczego... – zająknął się oszołomiony.

– Hm?

– Dlaczego chciałaś zaprowadzić tam całą naszą flotę? W pułapkę?

– Chciałam przyплыnąć kilka dni wcześniej, niż się umówiłam z Derrhertem. Chciałam tam być, zanim przyплыną te dodatkowe eskadry.

– Kilka dni wcześniej wystarczy?

– Na pewno. Nie ściągną tam połowy okrętów prowincji, żeby trzymać beczynn timer przez miesiąc – wytłumaczyła. – Wiedzą, kiedy i któredy przyплыnę, bo ustaliłam z Derrhertem, i zjawią się najwyżej dwa albo trzy dni wcześniej. Muszą wyплыnąć nie na ostatnią chwilę, bo to jest morze i nigdy nie wiesz, ile ci zajmie podróż, to przecież zależy od wiatru. Ale nie wyплыną miesiąc przed czasem, bo nici z tajemnicy, takie zgrupowanie żaglowców zaraz ktoś wykryje. Poza tym

trudno ogołocić całą Morską Prowincję z okrętów straży morskiej, żeby się kiwały całymi tygodniami na kotwicy na samym końcu świata. Chciałam być tam przed nimi. I będę. Mając dziesięć okrętów i jeszcze mój własny, puściłabym na dno wszystko, co się kręci przy Archipelagu Południowym, czyli zrobiłabym właśnie to, o co mnie prosił Derrhert. Ale nie wzięłabym udziału w tej dodatkowej zabawie, którą dla mnie wymyślił. Teraz będę miała tylko sześć okrętów. Też wystarczy.

– Dlaczego nie powiedziałaś Ahagadenowi?

– Przecież by nie dał okrętów. I tak nie dał, chociaż nie powiedziałam, że to pułapka. Wyobrażasz sobie jego minę, jak słucha, że mam zamiar przemknąć przed nosem połowy Floty Głównej i Rezerwowej?

– Jak się dowiedziałas, że to pułapka?

– No właśnie. Ten drugi setnik, Mawew, pamiętasz? To jest dopiero świnią. Wysługuje się wszystkim, a każdy myśli, że tylko jemu. Ale tym razem przechytrzył. Zrobię swoje i naprawdę go zarżnę, dawno już obiecałam. Chyba że nie zdążę, bo powiedziałam o nim rebeliantom.

– Czyli Derrhertowi? Ale on...

– Prawdziwym rebeliantom. U Szypra czekały dwa listy, jeden od Derrherta, drugi od nie wiadomo kogo. Od jednego z najważniejszych dowódców powstania, tyle się z tego listu dowiedziałam. Było tam ostrzeżenie, że całą tę bitwę flot wymyślił Trybunał Imperialny, a powstańcy garyjscy nie mają z tym nic wspólnego. Sayl i Mevev się dowiedzieli, że dostałam dwa listy, ale zanim przyszedł Bohed, ten drugi list schowałam i kazałam im siedzieć cicho.

– Uwierzyłaś w to ostrzeżenie?

– Tak.

Opowiedziała o przesłuchaniu szlachetnego Oveneda Neletha.

– Już wcześniej coś nam śmierdziało – podsumowała. – Ale słuchaj, bo to nie wszystko. Oprócz ostrzeżenia w liście była wiadomość, że ten, kto go napisał, jest gotów się ze mną spotkać. Właściwie to nie ze mną. – Zaśmiała się trochę złośliwie. – Z tym, kto odbiera te listy i ma najwięcej do powiedzenia w sprawie Agarów. To była taka... – Zastanowiła się. – Wcale nie propozycja spotkania, tylko gotowość do niego. Bardzo dobrze napisane, nie pamiętam już dokładnie, ale coś w rodzaju: jeśli chcesz i możesz rozmawiać o jakichkolwiek ważnych sprawach dotyczących naszych krajów, to pojutrze będę czekał tu i tu, przyjdź lub nie. Opisał takie miejsce, które znałam, na błoniach za miastem stoi samotny tysiącletni dąb, wszyscy w Dranie go znają, to miejsce zakochanych. – Znowu się zaśmiała. – Trudno tam urządzić zasadzkę. Jest lasek, ale daleko. A dąb do połowy uschnięty i nikt się na nim nie schowa.

– I spotkałaś się z nim? – nie dowierzał. – Nie bałaś się?

– W razie czego obroniłabym się – odparła zarozumiale. – Nie wiesz, że twoja siostrzyczka ma niezwykle moce? Już nie mogłam wytrzymać tego zostawiania i odbierania wiadomości U Szypra, i całej tej zabawy w wieczne spiski – przyznała. – Nikogo na „Delarze” nie okłamałam. Właściwie nie wiedziałam, co miałabym zmyślić. Usłyszeli, że mam do załatwienia na brzegu jakąś sprawę. Do dzisiaj są obrażeni, ale nic więcej im nie powiedziałam. Nikomu, dopiero tobie.

– I kto to był? Ten człowiek, z którym się spotkałaś?

– Król Garry – powiedziała niby to obojętnie. – Będzie nim już za rok.

Czternastoletni chłopak, syn agarskiego władcy, nie był chowany na odludziu. Miał prawa następcy książęcego tronu i mógł na nim wkrótce zasiąść albo odstąpić siostrze. Już od dawna stykał się z różnymi ważnymi sprawami i wiedział niejedno. Jakkolwiek jednak rozsądny i mądry, został teraz poczęstowany istną żeglarsko-rycerską legendą – podobne historie można było usłyszeć co najwyżej na targach i jarmarkach od wędrownych gawędziarzy. Jego przybrana siostra potajemnie spotykała się ze skazanymi na banicję władcami wielkich krain, snuła plany morskich bitew, mających rozstrzygnąć, być może, o losach tej części Szereru.

– I warto było... warto było się spotkać? – zapytał.

– Najpierw myślałam, że nie. – Zaśmiała się po raz kolejny. – Kiedy ściągnęłam z głowy kaptur, zgłupiał na widok kobiety. Ale muszę przyznać, że bardzo szybko doszedł do siebie. Szlachetny Mefed Ehold to syn Ganedorra, wodza poprzedniego powstania, z którym kiedyś spiskowała Alida, twoja matka. Zawsze mówiła, że Mefed Ganedorr to był bardzo mądry człowiek. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyje, Mefed mi nie powiedział, a ja nie pytałam. Chyba nie żyje, skoro to jego syn ma być królem.

– Zdradziła go. Moja matka.

– Tak, i całe powstanie, dlatego jesteśmy księżętami Agarów – odparła lekko. – Ale z królem Eholdem na pewno się dogadamy. Twój ojciec się dogada, braciszku, a za kilka lat nasza obrażalska siostrzyczka Izetta, bo ja...

ja już mam dosyć.

– I on też się nie bał spotkać z tobą? Nie myślał, że przyjdiesz z marynarzami i go porwiesz dla okupu albo...

– Przecież wiedział, że im sprzyjamy. Rebeliantom. Dogadywaliśmy się z nimi... no znaczy: z Trybunałem, ale przecież myśleliśmy, że to powstańcy. Zgadza się stoczyć dla nich bitwę, a ja go nagle porwę? I po co? To nie oni trzymają Kitarę, więc nawet go nie wymienię.

– Można ufać Garyjczykom?

– Tak – odpowiedziała bez wahania. – Albo nie, to zależy. To mendy i chce mi się rzygać, kiedy myślę o tym ich królestwie. Ale nikt nie ma samych wad, nawet oni. Jeśli szlachetny Garyjczyk ci powie, że coś zrobi, to na pewno dotrzyma. Knują, spiskują i kłamią jak wszyscy. Ale jeśli taki coś ci obieca, to dotrzyma jak dartański rycerz z bajki. Jak ten, który przysiągł stać na granicy królestwa i stał, aż słońce go spaliło w jego zbroi.

– Pamiętam tę bajkę, znam.

– Każdy zna. Powiedziała szlachetnemu Eholdowi, gdzie może być Kitar, bo chyba to odkryłam. To jest na Sarze. Nie uwolnię go stamtąd – przyznała niechętnie. – To wojskowy okręg morski, jak prawie wszystkie w tej prowincji, a od miasteczek i wiosek aż gęsto. Żołnierze na ulicach i na drogach to nie są takie smrody jak w Dranie.

Pokręciła głową i mówiła dalej:

– Ehold obiecał, że go uwolnią. Rebelianci. Mają swoich ludzi, którzy potrafią takie rzeczy. Jeśli się stawię do bitwy, to tego samego dnia Kitar będzie wolny, skorzystają z zamieszania. A potem odstawią go łodzią albo swoim stateczkiem na którąś z pobliskich wysp.

Dostanie trochę srebra i dalej będzie musiał radzić sobie sam.

– Dlaczego chcą to zrobić?

– Oni tej bitwy morskiej nie wymyślili – wyjaśniła – ale bardzo by chcieli, żebyśmy zatopili Flotyllę Południową. To naprawdę byłaby duża przysługa z naszej strony. Dla powstania. Najbardziej zależy im na tym, żeby Armekt nie mógł pochwalić się wielkim zwycięstwem. Ale gdyby zamiast tego poniósł klęskę, to cieszyliby się jeszcze bardziej.

– Wystarczy, jeżeli zatopimy eskadrę albo dwie? Bo więcej może być trudno.

– Wystarczy. Przecież wiedzą, że nie będziemy się bić z obiema flotami prowincji, bo właśnie nas przed tym ostrzegli.

– A kapitan Kitar da sobie radę? Nie możesz go jakoś zabrać?

– Nie, bo będziemy bardzo szybko uciekać, a Kitar będzie nie wiadomo gdzie. Wściekną się i będą polować na okręty, nikt sobie nie postoi na redzie albo na dzikim kotwicowisku tak, jak staliśmy teraz. A Kitar da sobie radę, zwłaszcza jeśli będzie miał trochę pieniędzy. To człowiek, którego tam nikt nie zna. Ilu ludzi wie, jak wygląda, dziesięciu? Może mniej. Będą szukać na wszystkich wyspach archipelagu? Kogo niby? Mężczyzny w średnim wieku? Jeśli uwolniony nie da sobie rady, to znaczy, że twoja siostrzyczka źle kiedyś ulokowała swe namiętne uczucia. W jakiejś skończonej ofermie.

Uśmiechnęła się i dodała:

– Ale on nie jest ofermą. Jest najlepszym żeglarzem na Bezmiarach. Takim jak Raladan. Jak nasz ojciec.

Odetchnęła głęboko.

– Musiałam komuś to wszystko powiedzieć i wybrałam ciebie. Pamiętaj, nikomu ani słowa.

Siedział i myślał. Długo.

– Nie jesteś zbyt mądra, siostró – rzekł na koniec. – Właśnie idę do Ahagadena. Nic z twojej wyprawy nie wyjdzie.

Patrzyła nań w osłupieniu.

– Ale... Ja cię zaraz zabiję – ostrzegła. – Zabiję cię po prostu.

Skrzywił się.

– E, chyba nie. Mam lepszy pomysł. Ja też chcę płynąć. Chcę wziąć udział w tej bitwie. Ojciec i tak chciał mnie posłać na jakiś wojenny żaglowiec. Do nauki.

– Ahagaden cię nie puści! – zawołała. – A Lasena?! W takich sprawach to ona tu rządzi i nikt inny! Wybierz to sobie z głowy!

– Cicho, bo wszystkich obudzisz. Wiem, że mnie nie puszczą. Chłopcem okrętowym już byłem, teraz chyba powinienem zostać „młodziakiem”, który się przyucza na oficera.

– Będiesz, ale nie teraz.

– Teraz.

– W jaki sposób chcesz...

– To już ty musisz wymyślić.

Zatkało ją. Uśmiechnął się przebiegle, po czym dorzucił:

– Wymyśl, jak mnie zabrać na „Ślepą Ridi”. Sayl na pewno dobrze mnie wyuczy, a ja się będę starał. Masz czas do jutra, żeby mi obiecać, tak jak dartańska rycerka z bajki. A jak nie, to idę na skargę do Ahagadena.

Znowu się uśmiechnął, tym razem złośliwie.

– Rozkazuję ci. Potem będziesz mogła się zemścić, bo to ty mi będziesz rozkazywać, kapitana.

– Nigdy już nawet się do mnie nie zbliżysz! – zapowiedziała rozwścieczona.

– Pół świata tego kwiatu. Idę spać, a ty dobrze pomyśl.

ROZDZIAŁ 26



Nie wiadomo, dlaczego Staruch był Staruchem. Miał najwyżej sześćdziesiąt lat, ale jakiś czas temu trochę mniej, a trzydzieści lat wcześniej miał trzydzieści. I już wtedy, podobno, mówili na niego Staruch.

Był kolejno dowódcą kupieckiego statku, potem krótko piratem, potem znowu kapitanował i handlował, tym razem na własnym żaglowcu, wreszcie został żołnierzem i chyba znalazł to, czego szukał. Wprawdzie za najlepszego dowódcę agarskiej floty uchodził nadkapitan dowodzący pierwszą eskadrą karak, ale Starucha uważano za drugiego. Dobry żeglarz. Odważny, lecz nie lekkomyślny wojownik. Mądry człowiek, choć niestety dziwak.

Ale takich na morzach nie brakowało. Co drugi kapitan uważany był za dziwaka – może tacy nadawali się najlepiej? Bądź odwrotnie: dowodzenie żaglowcem czyniło człowieka dziwakiem, nawet jeśli nie od razu, to po pewnym czasie?

Piękną Ridarete, owszem, znał. Rzeczywiście uchłali się kiedyś na wielkiej popijawie kapitanów, z której pamiętał tylko tyle, że jacyś dwaj dowódcy okrętów biegali po błocie na golasa, a potem urządzili w nim zapasy (padał wtedy rześisty deszcz). Myślał o Pięknej Ridi to, co wszyscy, bo przecież znał jej wyczyny jak każdy, gdy więc

usłyszał, że będzie ją miał pod komendą, powiedział Ahagadenowi:

– Po moim trupie. To już pewnie lada dzień, więc poczekaj chwilę, a się doczekasz.

Zawsze tak mówił. Możliwe, że to stąd się wziął jego przydomek. Zawsze obiecywał każdemu, że się przekreśli. Już jutro.

Siedzieli w kapitańskiej kajucie na flagowym okręcie eskadry. Właściwie to była kajuta nadkapitańska – kłitka wydzielona z kapitańskiej. Holk nosił dumną nazwę „Jurny Żeglarz” – chyba na kpinę ze Starucha. Nadkapitan naprawdę tak rzadko i krótko bywał na lądzie, że nijak nie mógł tam załatwić męskich spraw, a kobiet na pokład nie wpuszczał. Jeśli nosił w hajdawerach cokolwiek, to musiało być od dawna półżywe, bo służyło wyłącznie do sikania. Teraz to już choćby z racji wieku.

Dowódcy flagowych żaglowców zazwyczaj po cichu przeklinali honor, który się stał ich udziałem, bo dowodzili pod okiem kogoś starszego rangą i na własnym okręcie mieli mało do powiedzenia. Wydając rozkazy eskadrze, nadkapitan wydawał je tym samym flagowemu okrętowi i nic z tym nie dało się zrobić. Nawet jeśli obaj dowódcy dokładali starań, współdowodzenie zgrzytało.

– Dowodzisz eskadrą, a Ridi swoim holkiem – rzekł pojednawczo naczelny dowódca floty. – Nic, czego byś nie znał. Ma robić to, co jej każesz. Ten ostatni, „Czarny Kamień”, też.

– A jak nie będzie słuchała?

– To będziesz dalej dowodził swoją eskadrą, a ona niech robi, co chce. Nie jej zlecam zadanie, tylko tobie i ciebie będę rozliczał z dowodzenia. Planuj wszystko tak,

jakbyś miał cztery okręty, nie sześć. Tamte dwa masz jako wsparcie. Ułatwią ci robotę, to dobrze. Nie ułatwią, to wykonasz ją sam. Zgubią się albo odłączą, to ich problem, nie twój. Robisz swoje i przywozisz chłopaków z powrotem do domu. Flota Agarów obędzie się i bez „Ślepej Ridi”, i bez „Czarnego Kamienia”.

Staruch marudził. Mamrotał i burczał.

– Jeśli się odłączą, to najwyżej. Ale jak wjadą któremuś z moich w burtę...

– Nie przesadzasz? Nawet Ridi nie od wczoraj włóczy się po morzach. Jakoś nigdy nikomu nie wjechała w burtę. No, raz wjechali – przyznał. – Staremu Brorrokowi prosto w rufę. Ale to specjalnie i już się po tym nie pozbierał. To nie jest przyjemna dziewczynka – podsumował – ale jeśli chodzi o topienie okrętów, to długo będziesz pracował, zanim całą swoją eskadrę puścisz na dno połowę tego, co puściła ona i jej banda.

– Aż tak?

– Dobrze wiesz.

Staruch milczał.

– Nie znają nawet sygnałów.

– Dasz im po komplecie flag. Nie wszystkich, tylko tych najważniejszych. Powiesz, co oznaczają. Tyle chyba potrafią się nauczyć.

– Znaczą: na zawietrzną, abordaż, torowo za mną, na mój trawers...?

– O, widzisz. Tylko najważniejsze.

– I to samo o latarniach w nocy?

– O, widzisz.

– Nie zdążę nauczyć, bo się przekręcę, jak tylko ją

zobaczą. Wiem, co zrobiła na Małej. Każdy wie. Ona i te jej wypierdki.

– Nie wiem, czy zostało dziesięciu z tych, co wtedy z nią byli. A ona... zmieniła się. Ja też kiedyś chciałem ją utopić. Teraz nie.

– Akurat. Zmieniła się. Gdzie ją tyle lat trzymaliście? Bo w te sruły, co gadają marynarze, to nie każ mi wierzyć. Aż taki głupi nie jestem.

– Mniejsza z tym. Słuchaj dalej. Każ wygospodarować miejsce, bo wzmocnię twoje załogi, dostaniesz dodatkową dziesiątkę żołnierzy z każdej karaki. Rozdziel ich po swoich okrętach, jak chcesz.

– Przydadzą się.

– To jedno. A po drugie, gdy wrócą do swoich eskadr, to opowiedzą reszcie, jak było. Podziela się doświadczeniami.

– Skoro tak, to daj mi jeszcze paru marynarzy. Po trzech, czterech. To samo: manewrowanie i strzelanie z dział „na sucho” albo w bitwie to dwie sprawy. Niech opowiedzą reszcie.

– Dobra myśl.

Na wszystkich okrętach Szereru działa obsługiwali majtkowie, nie żołnierze. W bitwie nie obowiązywał system wacht, do żagli z nawiązką wystarczała połowa, reszta mogła kręcić palcami na brzuchu bądź obsługiwać działa. No to obsługiwała.

Regularna flota Agarów wywodziła się z tradycji pirackich. Na okrętach spod czarnego żagla podział na żołnierzy i marynarzy nie istniał – i była to jedna z przyczyn, dla których morscy zbóje rzadko brali cięgi w równorzędnej walce ze strażami morskimi imperium,

wszystko jedno której prowincji. Niemal każdy mógł zastąpić każdego, osobną grupę stanowili tylko pokładowi strzelcy, bo choć każdy człowiek potrafił napiąć kuszę albo łuk – cóż prostszego; zwłaszcza strzelanie z kuszy było niezbyt trudne – to niewielu miało talent i potrzebną wprawę. W eskadrze Starucha i pozostałych agarskich nie było już tak prosto z zasadą „każdy zastąpi każdego”, niemniej łatwo się dało wynaleźć i wydzielić garść żołnierzy do roboty przy żaglach, gdyby zaszła taka potrzeba, bądź odwrotnie – zasilić pokładową piechotę żeglarzami.

Żołd wszyscy pobierali taki sam.

Ahagaden chciał przydzielić Staruchowi i żołnierzy, i marynarzy, ale ucieszył się, że nadkapitan go uprzedził i sam wpadł na ten pomysł. Trafiła się okazja do okazania szacunku podkomendnemu.

– Dobra myśl – powtórzył. – Masz komplet dział? – upewnił się niepotrzebnie.

Był bardziej niespokojny o powodzenie wyprawy, niż chciał okazać.

– Wiesz, że tak. Gorzej z obsługą. Dodatkowy kanonier bardziej mi się przyda niż żołnierz.

Szczera prawda. Już teraz obsługa agarskich żaglowców była liczniejsza niż na innych okrętach. Zaczynało brakować miejsca dla ludzi.

Z bombard nie bardzo się dało strzelać kulami żeliwnymi. Spięte obręczami listwowe działo żelazne, zbyt słabe, nie chciało sprostać wyzwaniu. Lepsze działa z brązu kosztowały bardzo, bardzo słono i były niełatwe w wytwarzaniu. Odlewano je.

Lecz Agary miały własną miedź, a właśnie miedź

kosztowała najwięcej. Wystarczyło sprowadzić cynę. Jeszcze trochę cynku i ołowiu...

Spiż.

W ciągu minionej dekady prawdopodobnie w całym Szererze nie odlano tylu spiżowych dział, ile na tej jednej wyspie. To był największy wydatek i ogromny wysiłek małego pirackiego państewka. Komplet dział na każdej z karak kosztował prawie tyle, ile ta karaka.

Miało się okazać, czy to nie są utopione pieniądze. Utopione – oby nie w znaczeniu dosłownym.

Próby były bardzo obiecujące, lecz w prawdziwym boju nowe działa i żeliwne kule sprawdziły się tylko raz. Pięć lat temu. Przeklęty żaglowiec Ślepej Foki Ridi, nim udał się na wygnanie, został trochę przebudowany – między innymi wycięto kilka furt działowych – i wyposażony przez jej przybranego ojca, władcę wyspy.

Nieomal roznieśli z tych dział podobny wielkością, najślawniejszy żaglowiec Bezmiarów pod komendą dziadka piratów, Brorroka.

Wszystkie holki Starucha zostały przebudowane i wyposażone podobnie jak „Zgniły Trup” – choć właściwie odwrotnie: „Trupa” przebudowano wtedy na ich wzór. Siedem dział na każdej burcie to było więcej, niż miały holki imperialne. Trochę mniejszy piracki „Czarny Kamień” woził raptem cztery. I, podobnie jak na pokładach okrętów cesarskich, nie były to działa spiżowe, strzelające pociskami z żeliwa.

– Chcesz dać nowe uzbrojenie „Kamieniowi”? – zapytał Staruch.

Myślał o wszystkim.

– Nie ma czasu. A zresztą, nie. „Ślepa Ridi” to co innego,

ale nie licząc tego jednego okrętu, nowe działa ma na razie tylko nasza flota.

– Może idę do pierwszej i ostatniej bitwy – rzekł zamyślony Staruch.

– Przestałbyś już.

– Nie, ja nie o tym... Budujemy kolejną karakę – kiwnął głową w tym mniej więcej kierunku, gdzie znajdowała się stocznia – i ta już pójdzie do wymiany za jeden z moich holców. Szkoda mi tych dobrych okrętów. Co z tego, że stare? Ja też jestem stary. Przyzwyczailem się.

– Nie utrzymamy czterech eskadr. Może kiedyś. Teraz nie da rady.

– Przecież wiem.

– I w ogóle zaczynają się kłopoty. Miedź kosztuje, ale przynajmniej jest jej ile chcieć. Gorzej z drewnem.

Słabo zaludniona Wielka Agara zachowała w swym wnętrzu trochę lasów. Jak dotąd, mieli z czego budować. Po imperium „odziedziczyli” sporo sezonowanego drewna, teraz mieli już własne. Ale na karakę szło około tysiąca dobrze wyrosniętych drzew, szczególnie dębów.

Zlecenie budowy nowych karak stoczniom kontynentalnym na razie nie wchodziło w rachubę. Zdradziliby wszystkie wojskowe tajemnice: wzmocnione kadłuby, osobny pokład działowy i furty – przede wszystkim ich liczbę, bo sam wynalazek od jakiegoś czasu tajemnicą nie był. Seyeński okręt pułapka, który dał w skórę „Ślepej Ridi”, miał furty.

O pokładach na pewno też już wiadano, bo to dało się poznać nawet ze sporej odległości, a nowe agarskie żaglowce nie kotwiczyły w jaskiniach. Ale jednak szczegółów ich konstrukcji nikt nie znał. Zgadywano,

gubiono się w domysłach.

– Wiesz, że idziesz do pierwszej bitwy, jaką Agary wydają komukolwiek? Agary – podkreślił Ahagaden. – Nie kaperskie okręty piratów zaprzyjaźnionych z Agarami.

– Wiem. I wiesz co? Tylko się nie śmieję. Jestem dumny – powiedział Staruch.

Pokiwał głową.

– Bo wiesz co? Jak to się teraz mówi... No, chyba jestem Aherem.

o o o

Trudno to było nazwać inaczej, jak odprawą. Narada? – na naradzie radzono. Tutaj odbierano rozkazy i najwyżej zadawano pytania, jeśli coś było niejasne. Wokół Ahagadena skupili się wszyscy dowódcy żaglowców, łącznie z Ridaretą, której towarzyszył Mevev Cichy. Stawił się też Paktenod, kapitan „Czarnego Kamienia”. Wyspiarz z Wysp Barrierowych.

Nawet Staruch zlął na ląd. Bo musiał. Być może go nieśli, żeby czasem nie dotknął stopą ziemi. W każdym razie donieśli i był.

– Wejdziecie w Archipelag trzy dni wcześniej i dokładnie z przeciwnej strony, niż chciał setnik Derrhert. Nie damy rady całej flotylli w jednym miejscu, więc zaczynamy od silniejszej części, na redzie Sary może już będą jej obie eskadry, a jeżeli nie, to trudno – rzekł Ahagaden, po czym znacząco klepnął kilka odłożonych na brzeg stołu map. – Grupa Zachodnia. Kto nie ma którejś z tych map, niech przerysuje, wymieńcie się wiedzą, może ktoś uzupełni i doda jakieś poprawki. Setnik-

kapitan Derrhert dostarczył mapy Grupy Wschodniej i Sary, pod którą ma się zebrać Flotylla Południowa. W Grupie Zachodniej nic nie ma poza wrakami żaglowców, to najbardziej wredne wody Szereru, może oprócz wybrzeża Garry – przypomniał.

Kapitanowie o tym wiedzieli, ale dwaj nigdy po tamtych wodach nie pływali.

– Mam nadzieję, że nikogo tam nie zaniesie, do Sary podejdziecie z Morza Garyjskiego, omijając Grupę Zachodnią. Ale to jest wojna i nie wiadomo, co się może zdarzyć, kogo będziecie gonić albo przed kim uciekać. – Jeszcze raz poklepał arkusze na brzegu stołu. – Przerysować i uzupełnić. Dorzuciłem kilka map Piratków. To samo: przerysować albo uzupełnić własne mapy, jeśli macie.

Położone bliżej Garry Piratki miały sto nazw. Ta się wzięła z ponurych morskich opowieści o tym wciąż źle opisanym mrowiu drobnych wysp i wysepek. Mrożące krew w żyłach legendy mówiły o pozakładanych tam zbójceckich sadybach.

Wszystkie bez wyjątku zmyślono. Pirackie żaglowce uciekały, chowały się albo gubiły pogoń w labiryncie nienazwanych lądów, jednakże żadna z tych wysp nie była Wielką ani nawet Małą Agarą. Prawie niezaludnione lub zupełnie bezludne – jeśli nie liczyć kilku największych – nie miały do zaoferowania niczego poza chwilowym schronieniem. Czasem jakiś kapitan spod czarnego żagla przeczekiwał tam w ukryciu porę burz.

– Nie pchaj się daleko na Bezmiary, na południe od Garry i Archipelagu nikt nie pływa i nikt was nie zobaczy – przypomniał znowu Ahagaden, zwracając się wprost do

Starucha. – Żegluga przybrzeżna wokół Żabiego Ogonia i do Południowych to wszystko, nic więcej tam nie jeździ po morzu. Przejdziesz na Bezmiar Zachodni, stamtąd na Morze Garyjskie i już prosto do Sary. Nie skracaj sobie drogi przez Zachodnią ani między Zachodnią a Sarą – rzekł z naciskiem. – Znam te wody. Nie idź tamtędy, choćbyście byli spóźnieni. To już lepiej, gdybyście się spóźnili i poszli do bitwy z całą ich flotyllą. Między Zachodnią a Sarą jest sto wysp, ale na żadnej nie mieszcza się dwie mewy. Strażnicy na Sarze może mają jakieś mapy i locje tego świństwa, i znają bezpieczny szlak, ale ja nic o nim nie wiem. Omijasz Grupę Zachodnią; to rozkaz. Stracisz okręty w boju, przeboleję. Porozbijasz na skałach, nie daruję.

Staruch potwierdził skinieniem. Także dowódcy okrętów ze zrozumieniem kiwnęli głowami, a jeden wręcz zrobił minę i gest oznaczające: „Tak tam właśnie jest; byłem, widziałem”.

– Opływacie Zachodnią – mówił Ahagaden. – A dalej kogokolwiek spotkacie po drodze, wasza w tym głowa, żeby nie zwiął i nie zdążył z ostrzeżeniem. Nikt specjalnie nie będzie przed wami uciekał, tak uważam. Piraci nie zestawiają takich wielkich eskadr, więc każdy, kto was zobaczy z daleka, będzie myślał, że to jakiś konwój albo dwie eskadry cesarskich. A z bliska... Jeśli ktoś obejrzy was z bliska, to już raczej nie popłynie z ostrzeżeniem. Chyba że jesteście focze dupy.

– Ja jestem Foka i... – rzekła Ridareta.

Żeglarze poweseleli.

– Nie o tobie mówiłem, ty jesteś piąta w szyku, więc dupą całości będzie on. – Wskazał kapitana Paktenoda. –

Ty będziesz tym, co przed dupą.

Uciał gestem wzmożoną wesołość.

– Pożartowaliśmy.

Śmiechy umilkły.

– Zmieńcie żagle na białe. Nic czarnego – przykazał piratom. – Sprawę załatwi kapitanat portu. Poślijcie swoich żaglomistrzów po odpowiednie płótna.

Ahela miała za nic obowiązujący w całym Szererze porządek (przestrzegało go nawet dartańskie królestwo), zgodnie z którym białe żagle z różnymi dodatkami przysługiwały statkom handlowym. Agarskie okręty miały właśnie białe żagle. Z daleka trudne do odróżnienia od też jasnych, bo żółtych płócien okrętów Morskiej Prowincji.

– Robisz porządek przy Sarze, potem idziesz znanym szlakiem do Grupy Wschodniej. Jeśli coś tam dorwiesz, to twoje. Potem z powrotem tutaj. – Ahagaden znowu mówił do Starucha, ale zaraz powiódł wzrokiem po twarzach dowódców okrętów. – Wszyscy zrozumieli? To teraz ty – rzekł do nadkapitana. – Ja zabraniam tylko wchodzenia do Grupy Zachodniej, wykonanie reszty należy do ciebie.

– Jeśli ktoś się zapłącze albo zgubi, to już zna plan ogólny. Od Sary prosto do domu. Zajrzymy po drodze na redę Trakki. Może coś tam skubniemy, ale nie za wszelką cenę. Tylko jeśli się nadarzy dobra okazja. Pojedynczy zgubiony żaglowiec goni eskadrę. Dogoni lub nie dogoni, w każdym razie wraca prosto do Aheli, nie wdając się w żadne pojedyncze boje. Jeśli okręt flagowy zgubi się lub będzie stracony, kolejność dowodzenia taka jak w szyku torowym. „Jurny Żeglarz”, „Chętna Dziewica”, „Myśliwy”, „Potrójna Sztuka Złota”, „Ślepa Ridi”... no, „Czarny

Kamień”, ale i tak już będziesz wtedy sam. Gdyby przyszło działać w dwóch zespołach, nieparzyste prawy sztyk, parzyste lewy. Do abordażu rój: flagowiec, żołnierz lewy ogon, pirat prawy. Przećwiczmy po drodze na morzu.

– Admirale. Nadkapitanie – powiedział Paktenod.

Trochę ironicznie, ale i z należnym szacunkiem.

Stary i dziwaczny tytuł admirała pochodził z Wysp Barrierowych, z czasów gdy część archipelagu należała do dartańskich Zachodnich Wybrzeży i miała status księstwa. *Ettmihrau* znaczyło po dartańsku: morski wódz. Na Wyspach wymawiano to trochę inaczej.

Pirackiemu kapitanowi odprawa chyba się podobała (zwłaszcza że już odebrał wcale ładną zaliczkę). Może lubił towarzystwo ludzi, którzy wiedzą, czego chcą.

Wymienieni dowódcy skinęli przyzwalająco. Ahagaden powściągnął uśmiech; tytuł admirała obił mu się kiedyś o uszy. Może był lepszy od „komendanta floty”.

– Dobrze znam Archipelag Południowy i Ławicę – rzekł Paktenod.

Była to inna nazwa Piratków, też często używana i znana wszystkim.

– Jeżeli eskadra się rozproszy, wyprowadzę, jeśli pójdziecie za mną. W Grupie Zachodniej nie pływałem, bo płyną tylko jebnięci, ale we Wschodniej poprowadzę szlakiem albo z najlepszym wiatrem. Mam dobre locje. – Popatrzył na dowódców. – Dużo pisaniny, ale jeżeli ktoś nie ma, to zapraszam na pokład „Kamienia”. Zdążycie sobie skopiować.

Ahagaden nie był pewien, czy podoba mu się pomysł oddania okrętów, choćby tylko chwilowo, pod komendę

kapitana, o którym niewiele wiadano. Zawijał raz i drugi do Aheli. Nie przysparzał kłopotów, załogę trzymał krótko, ale tego pilnował każdy dowódca, który chciał być przyjmowany na Agarach. Poza tym nie wyróżniał się niczym. Wśród wszystkich pływających po morzach kapitanów takich jak Paktenod były setki.

Decyzja jednak nie należała do głównodowodzącego. Powinien ją podjąć Staruch.

– Wziąłem cię do eskadry – powiedział po długim namyśle i wcale nie ukrywał, że mocno się zastanawia. – Skoro tak, to jesteś jak każdy. Niech będzie. Jeśli rozproszymy się we Wschodniej – pokazał palcem Paktenoda – orientować się na „Czarny Kamień”, nie na flagowiec. Komenda wraca według starszeństwa po zaoczeniu Żabiego Ogonu.

Przyjęto do wiadomości.

– Wychodzimy w morze z końcem nocnej bryzy za trzy dni.

ROZDZIAŁ 27



W żaden sposób nie dało się urządzić jednej wielkiej popijawy dla tysiąca ludzi.

Załogi wychodzących w morze żaglowców zazwyczaj świętowały. Chlano na umór, na zapas; to była ostatnia okazja.

Podczas rejsu wydzielano codziennie po pół kubka wódki na głowę, lecz normalny mężczyzna potrzebował do życia w zdrowiu znacznie więcej. Na okręcie chyba tylko Foka Ridi zwiększała czasem przydział i pozwalała chłopcom się upić, ale podobnych porządków żaden przytomny kapitan zaprowadzać u siebie nie zamierzał. Baba żeglarz, wiadomo. Wozila nawet okrętowe dziwki, tak samo popaprane, jak reszta na pokładzie: matko- i dzieciobójczynie, wywłoki nawet w gronie ładacznic; kanale nieustępujące męskim członkom załogi albo i będące dla nich wzorem.

Wiadomo, że każdy chłop myśli fajfusem. One też. Nikt spoza załogi nie wierzył, że mają to, co inne kobiety.

Poprawione holki Starucha urządzone były wewnątrz nie tak jak inne. Te wywodzące swój rodowód od kogi żaglowce, przeznaczone do przewozu towarów, pierwotnie tylko przysposabiano do celów wojennych. Lecz na nowo budowanych, tych dla potrzeb straży morskich Wiecznego Cesarstwa, zmniejszano ładownie, wygospodarowując dodatkowe pomieszczenia dla

żołnierzy. Razem z marynarzami to było półtorej setki ludzi.

Na każdym żaglowcu Starucha jeszcze trzy dziesiątki więcej. Działa na jednej tylko burcie potrzebowały do obsługi trzydziestu pięciu par rąk. Na obsadzenie wszystkich dział jednocześnie, także pościgowych i rejteradowych, nie mógł sobie pozwolić żaden okręt, chyba że kosztem liczby żołnierzy. Jednakże to wciąż jeszcze abordaż, a nie działa, przesądzał o wyniku morskich bitew; żołnierze stanowili główną siłę bojową żaglowca.

Pięć niezmiernie licznych załóg rozlazło się po pięciu największych knajpach Aheli. Postawiono w stan gotowości całe wojsko lądowe, o straży miejskiej nie wspominając. Tysiąc pijanych morskich piechurów i marynarzy jednej nocy – to już nie były żarty.

Chłopcy Ridarety nie chlali razem z innymi. Czynili to na redzie, na pokładzie swojego żaglowca, zaledwie przed dwoma dniami sprowadzonego z Orki. Ahagaden i Lasena mogli uczynić wyjątek dla księżniczki i jej dwóch oficerów, ale nie było mowy o tym, by cała załoga skazanego na banicję okrętu włóczyła się po ulicach. Owszem, kilka miesięcy temu Ahela zgodziła się przyjąć rannych, lecz całkowicie znieść lub zawiesić wyrok sądu sprzed pięciu lat mógł tylko jeden człowiek: Raladan.

Na lądzie dowódca i oficerowie eskadry Starucha bawili się osobno; wyłoniono tylko nieszczęśników mających pilnować marynarskiej i żołnierskiej braci.

Piękna Ridareta długo się zastanawiała, którą zabawę wybrać. Mogła i powinna lepiej poznać pozostałych

kapitanów. Z drugiej strony – nie znała jej własna załoga.

Wybrała załogę. Uczciwie, lecz nie wiadomo, czy roztropnie. Na większości okrętów marynarz nigdy nie widywał pijanego dowódcy. Na tym – owszem. Pytanie brzmiało: czy taki obraz powinien być pierwszym, jaki ujrzał i zapamiętał.

Prawie się pochorowała, gdy Mevev krótko i bez żadnych upiększeń powiedział:

– Nie będziesz dziś pić, kapitana.

Przyglądała mu się, jakby oszalała.

– Żartujesz? To ostatnia okazja...

– Nie.

Znów patrzyła. Bezwiednie wskazała palcem ścianę kajuty; spoza tej ściany dobiegały zmieszane melodie i słowa dwóch żeglarskich piosenek. Wyglądała jak żywy obraz nieszczęścia i rozżalenia, przy czym jedno i drugie szybko przeradzało się w złość.

Powiedział, dlaczego „nie”.

– To pierwsza okazja, nie ostatnia – zakończył. – Nie schlejesz się przy pierwszej okazji, bo potem nie zaprowadzisz porządku. Kiedy już do nich dotrze, kim jesteś, wtedy tak. Jeżeli musisz, to pij.

Miał rację i wiedziała, że tak jest.

– Mam się nie upić? Z załogą? To po co tutaj zostałam? Na okręcie?

Była tak zawiedziona, że prawie zrobiło mu się żal.

– Dobrze zrobiłaś. Jesteś z nimi, z nami wszystkimi. Ja też nie będę dziś pił. Ani Sayl. I żaden z kokardą Ridi.

Troszeczkę ją pocieszył.

– I nie będziecie pić?

– Po kubeczku. A ty się napij wina, wystarczy. Byle nie

za dużo.

Przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Zamiast dawać jakieś widowisko, potańcz z nimi. Nie słyszałaś jeszcze, jak grają. Takiej muzyki nigdy nie mieliśmy. Było pięciu, ale jeden niedawno wykitował i zostało czterech. Bębenek, flet, okaryna...

Była już całkiem pocieszona.

– Dobrze.

Wskazał palcem ładną zieloną suknię, którą miała na sobie. Zupełnie nieźle leżała.

– Zostań w tym, kapitana. Błyskotki też nie zaszkodzą. W portkach się jeszcze nabiegasz.

– I tak bym nie założyła, bo nie mam na co – rzekła i się obraziła. – Wiem, że nie jestem taka ładna, jak kie...

– Kapitana. Nawet nie próbuj – ostrzegł.

Potrafiła zamęczyć. „Powiedz, że jestem ładna! Chciałbyś, żebym miała czarne włosy? A może dłuższe i zupełnie proste?”...

Ale teraz się zamknęła.

Znów pomyślał, że zmądrzała, odkąd... Może dostała nowy mózg albo częściej używała starego.

– Chodź. Wygłosisz mowę. Jeszcze się nie schlali i rozumieją. Czekaaj. Zawiąż chustkę na głowie.

Wiedział, co mówi, ale i tak się odęła.

Wyszli na pokład i wspięli się na kasztel rufowy.

Wachtę trzymał Sayl i kilku starych. Postawili sobie na rufowym kasztelu baryłkę piwa, z której czerpali raczej powściągliwie – zwłaszcza że Sayl siedział właśnie na tej baryłce i mierzył uważnym spojrzeniem każdego, kto pochrząkując, przyłaził ze swoim drewnianym kubkiem.

Jednemu już pokazał gestem i spojrzeniem: „Jazda stąd,

na razie ci wystarczy”.

Ciepła letnia noc wywabiła wszystkich na pokład. Pomieszczenia załogi zawsze cuchnęły stęchlizną i niedomytym marynarzem (tego już wprawdzie nikt nie czuł), poza tym przesycala je wilgoć. Nie było na to rady.

Na kolumnach masztów i kasztelach zawieszono trzy razy więcej latarni niż zazwyczaj. Gwarny tłum rozochoconych majtków tu falował, tam podrygiwał, przemieszczali się z kubkami w dłoniach pojedynczy żeglarze szukający lepszego towarzystwa lub zmierzający do burty z zamiarem podniesienia poziomu morza. Zmieszane głosy rozmów, pokrzykiwania i rechoty nie mogły zagłuszyć starej pieśni:

*Żegnajcie nam dziś, dartańskie dziewczyny,
Żegnajcie nam dziś, marzenia ze snów!
Ku brzegom garyjskim wyruszać nam pora,
Lecz kiedyś na pewno wrócimy tu znów!*

*I smak waszych ust, dartańskie dziewczyny,
W noc ciemną i złą nam będzie się śnić...**

Miała przynajmniej sto pięćdziesiąt lat. Śpiewali ją armektańscy żeglarze, czekający w dartańskich portach na rozkaz wyjścia w morze. Po wielu klęskach mieli znowu się zmierzyć z flotami wrogiego morskiego królestwa, lecz tym razem zamierzali zwyciężyć.

I zwyciężyli. Lecz wbrew obietnicy w ramiona dartańskich kochanek wróciło bardzo niewielu.

Świat był dziwny. Nigdzie ludzie nie postępowali tak okrutnie i bezwzględnie wobec innych ludzi, jak na morzach. Rzadziej widywano szlachetne porywy serc. Tu

się walczyło o wszystko: łyk słodkiej wody i kęs strawy; o miejsce w łodzi z tonącego okrętu i kurczowo trzymany pod pachą kawałek złamanej deski. Zabijało wszystko: woda, zimno, rekiny wyczuwające krew poranionych...

Zarazem jednak rozumiano wspólnotę losu ludzi morza. Gdy nie huczały działa i milkły wrzaski walczących – każdą piosenkę mogli śpiewać wszyscy, pasowała do każdego okrętu i każdego żeglarza, czasem wystarczyło zmienić słowo. Nie miało żadnego znaczenia, czy była kiedyś śpiewana przez wroga. Może to wcale nie Armektańczycy ułożyli Dartańskie dziewczyny? Dlaczegoż słowa nie mogły pierwotnie brzmieć tak:

Żegnajcie nam dziś, garyjskie dziewczyny...

...

Ku brzegom Armektu wyruszać nam pora...

To się dało zaśpiewać w każdym porcie i pod każdym niebem. A może i w każdym z istniejących światów.

Dartańskie dziewczyny wygasły. Śpiewano teraz miejscową pieśń wielorybników z południowego wybrzeża:

*Przygotuj, kobieto, beczułki,
bo jutro przy płyną tu stada.
Zarabiam harpunem na życie,
więc przestań już płakać i gadać.*

*Nie każda łódź będzie strzaskana
i nie każde wiosło złamane.
Już przestań, bo muszę się wyspać;
bo wstaję do pracy nad ranem.*

*Popłynę jak zawsze, z innymi,
nie będzie nikt sam na Bezmiarze.
Tam każdy pomaga drugiemu
– tak trzeba, bo tak rozum każe.*

*Chcesz przekląć swych synów i męża
przez głupie na los narzekanie?
Są gorsze nieszczęścia, kobieto,
niż łodzią po morzu pływanie.*

W ten sposób dzielni ludzie dodawali otuchy swoim żonom. Kobietom, które przecież wiedziały, na czym polega fach ich mężczyzn, a czasem nawet oglądały z brzegu wyrzuconą z wody w powietrze, zdruzgotaną uderzeniem potwornego ogona łódź, z której się sypały figurki wioślarzy i harpunników. Ich synów i mężów, ojców i braci.

Zdobycz zawsze sprawiedliwie dzielono między wszystkich wielorybników, także tych, którzy nie wrócili, ale przecież mieli żony i dzieci, czasem jeszcze starych rodziców. Lecz setki napełnionych tłuszczem baryłek nie mogły wynagrodzić każdej straty. Wieś, owszem, dbała o byt dotkniętej nieszczęściem rodziny – ale wieś nie była przecież mężem.

Agary nie dostawały swojego bogactwa darmo.

Mevev wyrznął w gong. Wybijane wachty i półwachty należały do najważniejszych sygnałów na okręcie i nikt nie mógł hałasować gongiem ot, tak sobie. Lecz Mevev do niedawna był dowódcą, a teraz zastępcą dowódczyni żaglowca.

Co wolno oficerowi, to nie każdemu smrodowi.

– Hej!

Przywalił w gong jeszcze raz.

Ruszyła się Garda, straż okrętowa – połowę tego oddziałku stanowili chłopcy z kokardami Ridi. Był też legionista, skopany przy ujściu Baharu. Starał się.

Lecz niewiele mieli roboty. Żeglarze szybko się uspokoili. Tak jak powiedział Mevev: nie byli jeszcze schlani.

Setka i trochę, do tego kilka okrętowych dam. Mało. Zginęło lub zmarło od ran około czterdziestu, a z tych, którzy się wylizali, nie wszyscy wrócili na okręt – jeden dawał sobie radę bez ręki albo z drewnianym kulasem, inny nie. Ubyło więc jeszcze kilku.

Gapili się na młodziutki, obwieszane klejnotami dziewczęcę w zielonej sukni. Nareszcie mogli robić to otwarcie i do woli, bo wcześniej rzucali tylko ukradkowe spojrzenia. Głupio było sterczeć na pokładzie i oglądać dowódczynię okrętu. A wiadomo, czy tak wolno; może obrażalska? Teraz zaczęła mówić, więc nie tylko mogli – nawet powinni na nią patrzeć.

Ładna bestia. Ale żeby zaraz...?

I niby naprawdę była przeklęta przez Szerń? Nie dało się jej zabić? Tak na oko wystarczyłoby złapać jedną ręką, drugą za głowę i – chrруп!...

– Idziemy się bić! – powiedziała.

Nie miała mocnego głosu, jednakże słychać ją było wystarczająco dobrze.

Rozbrzmiały okrzyki, ten i ów uniósł zaciśniętą pięść. Dobrze gada! Chcieli i umieli się bić. Z tym fałszywym kupcem to było co innego. Nieuczciwie.

– Nie będziemy się plątać po morzach! Dołączamy do naszej eskadry z Agarów! – zawołała znowu. – To będzie bitwa, słyszycie!?! Będą śpiewać o nas w każdej tawernie!

Żaden z członków załogi nie wiedział, o czym mowa. Wyprawa do Archipelagu Południowego była dotąd objęta tajemnicą.

Znów rozbrzmiały okrzyki, ale trochę niepewne. Dotąd pływali samotnie i polowali na to, co się trafiło. Bitwa?... To coś nowego. Przydałby się tłusty kupiec, bo zaraz by było trochę srebra. Po sprzedaniu ładunku załoga dostawała swoją część do podziału. A z samego statku też dało się coś zebrać. Kapitańska kajuta należała do oficerów, ładownia do podziału na wszystkich, ale reszta statku – broń, różne szmaty, klamoty... To już były łupy dzielnych żeglarzy.

Bitwa?...

Przy wielu okrętach wroga mogło nie być czasu na zdobycz.

– Dobrze nam zapłacą, każdy coś dostanie! Sama podzielę! A jeżeli ktoś się przede mną popisze, to wynagrodzę dodatkowo! Zawsze wynagradzam, jeśli ktoś zasłuży! Zrozumiano?!

Potwierdzono radośnie.

Foka Ridi wiedziała, co może trapić jej żeglarzy.

Trochę dziwnie mówiła – tak wyraźnie i ładnie, że aż śmiesznie. Starzy opowiadali, że kapitana była kiedyś garyjską księżniczką z najbogatszego domu. Dopiero potem trafiła na morza.

Legendę o córce Demona Walki znali wszyscy.

Ale ta mała śliczność tutaj?... W jaki sposób mogła być tak młodym dziewczęciem? Chyba naprawdę umiała się odmładzać. Piękna Foka Ridi – bo „Ślepa” przecież nie. Podobno kiedyś nie miała oka. Tak mówiono.

Było w tym wszystkim całe mnóstwo zagadek. Mevev

Cichy i Sayl, i jeszcze ci z kokardami Ridi... Oficerów nikt nie nagabywał, ale starzy członkowie załogi, odkąd wrócili na okręt, nie robili nic innego, tylko odpowiadali na pytania i zaczepki majtków nieznanających dotąd kapitany. Gadało się o niej od zawsze i wszystko już zostało powiedziane. A teraz jeszcze powtórzone sto razy.

Tyle tylko, że mijały lata... Nikt już właściwie nie wierzył w te dziwne bajki o Ślepej Foce Ridi. Jej zapowiadany powrót stał się legendą taką jak wszystkie inne.

– Pijemy i tańczymy! – wrzasnęła. – Chcę słyszeć muzykę, ale już!

Odwrzaśnięto ochoczo. Muzykanci pobiegli po swoje instrumenty. Wcześniej było słycać tylko bębenek, bo pozostali pragnęli śpiewać i pić.

Dziewczę w zielonej sukni wmieszało się w tłum, ale już robiono miejsce. Tańczyła z okrętową dziewczuchą, przyskoczyli dwaj żeglarze potrafiący wywijać. Rozradowana Ridi popisывała się przed załogą, a tańczyć naprawdę umiała. Gdybyż wszystko robiła równie dobrze...

Zadumany Mevev spoglądał w dół z rufowego kasztelu. Wydobył z zanadrza fajkę; w kapciuchu oprócz tytoniu miał kilka suchych drzazg. Napchał tytoniu do fajki, otworzył latarnię, przeniósł ogień na drzazgę i wkrótce wypuścił pierwszy kłęb dymu.

Okrętowi muzykanci hałasowali jak opętani. Kapitana i dziewczuchy tworzyły mały krąg wewnątrz większego – na każdą kobietę przypadało dwóch tancerzy. Kręgi rozpadły się, tancerki chwyciły partnerów pod ramiona. Kilka takich trójek, jedna za drugą, przemieszczało się po

pokładzie w rytm muzyki, trochę boczkiem, trochę do przodu. Dudniły bosc pięty o deski, srebrzyście brzęczały niezliczone precjoza Ridi. Wokół wrzeszczeli, śpiewali i pili rozochoceni marynarze.

Kilka lat temu tak właśnie wychodzili z portu, udając się na wygnanie. Popłynęli na Małą Agarę i puścili z dymem dwie wioski. Właściwie jedną; drugiej też się trochę dostało, lecz przetrwała.

Cichy popatrzył w stronę brzegu, gdzie widniały niewyraźne światła portu i miasta.

– Co jest? – zapytał Sayl, z trudem przebijając się przez hałas.

Mevev wzruszył ramionami i pokiwał głową. Oparty łokciami o barierkę nadal patrzył na miasto. Pykał fajkę. Chciał powiedzieć, że już nigdy tu nie wróca.

Takie miał dziwne wrażenie.

Nie gadało się o takich rzeczach na okręcie, więc jeszcze raz wzruszył ramionami.

Niżej na pokładzie, w środku wielkiego kręgu, Ridareta tańczyła nabaide. Bardzo trudny taniec – samotna tancerka w kręgu mężczyzn, którzy tylko przeplatali krok i nadawali rytm, klaszcząc. Bardzo niewiele kobiet dobrze tańczyło nabaide. Żeglarze kochali ten taniec, ale zazwyczaj w środku pierścienia tancerzy nie było nikogo. Bawili się tylko klaszczący, przeplatający krok mężczyźni.

Nie tym razem. Ryczano, wiwatowano. Dzwoniąca bransoletami i naszyjnikami dziewczyna w zielonej sukni tańczyła jak nikt nigdy na tym okręcie.

Nie na „Ślepej Ridi”. Na „Zgniłym Trupie” to owszem.

Na odchorowanie zabawy mieli dobrą. Odchorowali i następnego ranka wyszli w morze z końcówką nocnej bryzy.

Prowadził „Jurny Żeglarz” kursem południowo-zachodnim. Odstępy między okrętami ustalono na trzy długości, cały szyk rozciągał się więc na przestrzeni jednej trzeciej mili. Wiatr był dobry, a nawet najlepszy – dmuchało niezbyt mocno, ale jednostajnie, niemal prosto ze wschodu. Pełny baksztag; przy ożaglowaniu rejowym już lepiej iść się nie dało.

Odczytano to jako pomyślną wróżbę. Przy tym wietrze mogli dotrzeć na miejsce w tydzień – sporo szybciej niż trzeba, bo ostrożnie dali sobie dziesięć dni. Oznaczało to, że po ominięciu Grupy Zachodniej ukryją się za horyzontem i staną w dryfie, tylko korygując położenie. Nie mogli przyplłynąć za wcześnie, bo ryzykowali, że w domu nie zastaną gospodarzy. W każdym razie nie całą rodzinę.

Ale to dopiero za tydzień. Wiatr wcale nie musiał się utrzymać.

Żeglarze i żołnierze agarskiej eskadry byli przyzwyczajeni, ale towarzyszący im piraci rzadko oglądali tak duży wojenny szyk. Czasem jakiś konwój, lecz kupcy pływali raczej rojem, grupując się wokół eskortującego okrętu. Teraz załogi „Ridi” i „Kamienia” chętnie obejrzałyby sześć idących jeden za drugim holców. Niestety, trzeba by wysiąść i popatrzeć z boku. „Kamień” widział tylko rufę i żagle „Ridi”, która niemal kompletnie zasłaniała resztę. Pocieszano się, że prędzej czy później będą zmieniać kurs na zachodni (co prawda mogło to zdarzyć się w nocy). Było też prawie

niemożliwe, by kreśląc taką pętlę, nigdy nie musieli lawirować na wiatr – musiałby się zmieniać na zawołanie.

W biegnących falach, wietrze niosącym drobinki wody, odległym horyzoncie i kopule nieba zawsze była zakłęta, stale rozbrzmiewała jakaś... bezgłośna muzyka. Melodia potężna i łagodna zarazem, dziwnie wzniosła, nieodmiennie rozkołysana. Słyszał ją każdy, kogo otaczało tylko morze. Wszyscy wiedzieli, że wcale nie jest bezkresne – i tak samo wszyscy o tym nie pamiętali. Było światem.

Zobaczyli stado delfinów; wzięto je za kolejną dobrą wróżbę. Wspaniałe stworzenia śmigają nad wodą bądź płynęły tuż pod powierzchnią tak, jakby żaglowce stały w miejscu. Lekkość ich poruszeń i szybkość wydawały się niewiarygodne – i nie miało żadnego znaczenia, czy widziało się te mądre istoty po raz pierwszy, czy dziesiąty lub pięćdziesiąty. Zaciekawione podchodziły do samych burt, a po pewnym czasie oddaliły się całym stadem.

Na holkach wszyscy już wiedzieli, gdzie i po co płynie eskadra. Tajemnica przestała mieć sens; na pewno nikt nie mógł powędrować do najbliższej knajpy, by wygadać wszystko po pijaku. Można było, rzecz jasna, trzymać marynarzy w niepewności i pozwalać na snucie domysłów. Tylko po co? Załoga, której dowództwo pokrótce przedstawiło swoje zamiary, czuła się obdarzona zaufaniem.

Tak na przestrzeni wieków postępowali Armektańczycy i zdołali podbić cały Szerer. Ginął tysięcznik, setnik szedł do niewoli – a obejmujący dowództwo nad garścią żołnierzy dziesiętnik wiedział, co

jest celem kampanii, dokąd iść, jakie miasto albo bród koniecznie należy utrzymać. Prowadził swoich ludzi gdzie trzeba i spotykał na miejscu innych funkcyjnych, a czasem tylko prostych wojaków, którzy wiedzieli to, co on. Odtwarzały się rozbite legiony. Przy wysokim morale żołnierzy wiedza każdego z nich o celu kampanii, albo tylko bitwy lub przemarszu, mogła zaowocować ostatecznym zwycięstwem w całej wojnie.

W pewnej mierze dotyczyło to także mórz. Oglądana z pokładu wyspa była lądem jak każdy. Nie miała nazwy i leżała nie wiadomo gdzie. Lecz na żaglowcach nawet prości marynarze mieli jakieś pojęcie o archipelagach Szereru, a przynajmniej mórz południowych. Sara – to nie była obca nazwa. Wiedzieli, gdzie się znajdują, i to dodawało pewności siebie. Wyrzucony na ląd rozbitek mógł użyć rozumu, coś wymyślić, ocalić życie, a nawet wolność. Nie działał po omacku.

W ciągu pięcioletniej nieobecności kapitan Mevev Cichy zaprowadził i utrzymał na okręcie wcale znośny porządek. Ridi potrzebowała trochę czasu, by zaprzepaścić jego dzieło; na razie zresztą wcale się nie przymierzała. Było jasne, że w końcu wszystko się ułoży po staremu, ale to nie z powodu jej złej woli, tylko zwykłego babskiego rozpaprzenia – każdy żeglarz miał na ten temat wyrobione zdanie.

Kobiet na morzach było rzeczywiście niewiele. Wystarczyło, że w dowodzeniu zbłądziła się jedna, a przyszyto łatkę wszystkim innym.

No trudno.

Tymczasem dyscyplina wyglądała zupełnie dobrze, wymierzono nawet kilka łagodnych, ale jednak

przykładnych kar, bo podczas pijackiej zabawy ten i ów troszeczkę się zagalopował.

Pojawił się inny problem. Jak duży? – odpowiedzi mógł udzielić tylko czas.

Otóż nad ranem, niedługo przed podniesieniem kotwicy, wróciła na „Ślepą Ridi” mniejsza z łodzi (kupione w Dranie cudo Meveva było już umocowane na pokładzie). Kapitana posłała kilku ludzi na nocny spacer po morzu. Przywieźli kogoś. Sayl i Mevev bardzo szybko dowiedzieli się kogo.

Wobec Ridarety to zawsze Sayl był tym „cichym”, nie Mevev. Rzadko się odzywał niepytany, najchętniej udawał, że go nie ma. Ale przez minione pięć lat nabrał trochę śmiałości. Zresztą: nabrał, nie nabrał... Tak czy owak, nie wytrzymałby.

– No, kapitana... – rzekł i westchnął, po czym bardzo uroczyście się pokłonił młodemu człowiekowi wprowadzonemu do kajuty. – Wasza wysokość.

Cichy popatrzył, pokiwał głową. Zarechotał krótko i się zamknął. Wyglądało na to, że ma inne zdanie niż Sayl. Chyba uznał żart za udany.

– Mój brat płynie z nami – powiedziała zimno Ridareta.
– I koniec z „jego wysokością”. Zrobicie z niego oficera żaglowca.

Obaj wiedzieli, że Nevin był chłopcem okrętowym, a nawet już trochę pokładowym majtkiem.

– Ta... – powiedział Cichy. – Druga wachta. Pierwszą, przy schodzeniu z kotwicy, biorę ja.

– Tak, panie – odparł przyszły wódz agarskiej floty.

– Ma mieć wszystkie wachty bez przerwy! – zażądała gniewnie dowódczyni okrętu. – Poza tym ma pomagać

w kuchni, uczyć się na cieślę i obsługiwać działa!
I przyuczyć się na żaglomistrza, i pilnować...

– Jasne, kapitana – powiedział Cichy uspokajająco. –
Zabijemy go jak najszybciej.

Chyba wciąż był rozbawiony.

Saył mniej.

– Nikt o tym nie wie, kapitana?

– Nikt.

– Szybko się domyślą, gdzie może być. Dziwnym trafem
przepadł razem z eskadrą. Poślą za nami jakąś sznikę.

– Izetta powie, że się wybrałem do miasta – rzekł
Nevin. – Czasem tak ro...

– Milcz, synu, gdy rozmawia dowództwo – ostrzegł
Mevev. – Kiedy trzymasz oficerską wachtę na pokładzie,
jesteś tam ważniejszy od Szerni. Ale poza tą wachtą jesteś
majtkiem na wojennym żagłowcu.

Pokiwał głową i dodał:

– Mam dwóch „młodych” takich jak ty. Śpią
w dziobówce z marynarzami. Na razie na „Ridi” jest
komplet oficerów. Cała reszta to zwykli marynarze.
Obojętne, czego się uczą. Przemowa.

Z jakichś powodów Cichemu awantura najwyraźniej
się spodobała. Wyglądało na to, że zrobi z tego chłopca
oficera.

Młodziak miał ikrę. Wdrożył w czyn swój zamiar, choć
było wyraźnie widać, że przybrana siostrzyczka nie jest –
bardzo oględnie mówiąc – zachwycona. Czyli znalazł na
nią sposób. No, no.

Saył się domyślił, że właśnie to przypadło do gustu
Mevevowi. Był o wiele starszy, lecz poza tym taki jak
Nevin. Wpadał na jakiś pomysł i od razu zaczynał działać,

w ogóle nie myśląc, co dalej. I jak dotąd, przeważnie mu się udawało.

Ridareta poczerwieniała. Powiedziała kilka słów, z których przynajmniej dwa nadawały się wyłącznie do rozmów pod pokładem.

– Nie każecie mi go odstawić? Czyli: będzie się uczył na oficera? – wyszczała. – Jak nie ma żadnego powodu, to potrafisz na mnie wrzeszczeć! – rozdarła się wniebogłosy. – „Nie będziesz piła, dziwko! Jazda tańczyć! Paskudna jesteś!” A teraz nie każesz mi go odstawić na ląd?!

– Kapitana, ty głupia jesteś? Jak: odstawić? Zanim popłyną do brzegu i wrócą, eskadra będzie pod horyzontem.

– I co z tego?!

– Tak chcesz zaczynać swoją zabawę? Wyłamując się Staruchowi z szyku jeszcze przed zejściem z kotwicy? Ale ci będzie po czymś takim ufał! – powiedział z podziwem Mevev. – Ale okręt i załoga, no, no!

Popatrzyła, ruszyła do drzwi i trzasnęła nimi tak, że zadygotał cały kasztel.

– Dobra pobudka dla załogi – uznał Cichy. – Zaprowadź go do dziobówki i wynajdź miejsce do spania. Druga wachta twoja, obejmiecie razem.

Sayl westchnął i skinął na ucznia.

– Weź swój worek, Nevinie.

Młodziak przynajmniej wiedział, co zabrać na morze. Dobrze i to. Chłopcem okrętowym i majtkiem rzeczywiście już był.

W drodze do dziobówki zamienili dwa słowa. Ośmielony chłopak pochwalił się znajomością przyrządów. Ojciec go nauczył, jak określać pozycję

okrętu. Także metodą zliczeniową.

Wyglądało to lepiej, niż mogło się wydawać w pierwszej chwili.

o o o

Sayl, rzecz jasna, miał słuszność.

Cokolwiek nakłamała Izetta (o ile w ogóle kłamała, bo nienawidziła brata, który był głupi, robił, co tylko chciał, zostawił ją i był głupi, i był starszym bratem, i był głupi), drugiego dnia po południu ujrzeli żagiel na horyzoncie. Coś ich goniło od strony Agarów.

Być może Ahagaden – kto wie?... – na wieść o zniknięciu Nevina uśmiechnął się półgębkiem a skrycie, gdy tylko ochłonął z zaskoczenia i przeszła mu pierwsza złość. Mógł o wyprawie chłopaka pomyśleć to samo, co Cichy. Był żeglarzem i żołnierzem na dodatek.

Lasena jednak z całą pewnością nie zrozumiała żartu.

Głównodowodzący na łeb na szyję wyprawił w pościg najszybszy okręcik, bo było jasne, że jeśli tego nie zrobi, to pani agarskiego archipelagu – co z tego, że tylko tymczasowa, rządząca pod nieobecność swego właściciela? – wymyśli i zleci coś, od czego wszyscy na tej wyspie się rozpłaczą i pozabijają nawzajem. Na pewno mogła i potrafiła.

Eskadra nadal szła swoim kursem. W końcu jednak na okręcie flagowym dostrzeżono pościg. Staruch nie mógł wiedzieć, ale musiał podejrzewać, że to nie jest przypadkowy żaglowiec, tylko sznika agarska.

Przewidziano taką możliwość. Że zajdzie coś, o czym trzeba będzie powiadomić pozostającą na morzu eskadrę.

To mogły być ważne, niemniej tylko przydatne wieści, niepilne. Albo coś zupełnie wyjątkowego. Całkowita zmiana planów, natychmiastowy rozkaz powrotu...

Przewidziano i to. Na sznikach nie wożono dział, ale można było zabrać hakownice. Alarmujące wieści najwyższej wagi miano ogłaszać już z daleka salwami. Gdyby z wiatrem doleciał grzmot prochowej broni...

Ale nie dolatywał.

Ahagaden musiał posłuchać żądania Laseny, bo to była ogłoszona przez nią wola Raladana; perełka tylko przed swoim panem odpowiadała za podjęte decyzje i nikt inny nie miał prawa ich negować. Nie mógł jednak i nie zamierzał wyjść na durnia przed swoim, dowodzącym sześcioma okrętami podkomendnym. Miał zatrzymywać eskadrę, narażać ją na stratę czasu, którego później mogło zabraknąć – z powodu jednego chłopca? Choćby nawet ten chłopiec był nie wiadomo kim.

A kimże był takim? Kimś, kto jutro miał stanąć na kasztelu innego wojennego okrętu. Cóż takiego się przydarzyło Nevinowi, co miało się nigdy nie przydarzyć?

Z okrętu na okręt wyrykiwano pytania i odpowiedzi. Staruch upewnił się, że goniąca ich sznika jest szybsza (to było jasne, skoro tyle nadrobiła od Agarów) i nie wysyła umówionych sygnałów alarmowych, po czym wszystko, co zrobił, to lekko zmienił kurs i poszedł pełnym wiatrem, dając wreszcie załogom możliwość podziwiania całego szyku, gdy kolejne okręty załamywały linię, powtarzając manewr. Poszli nieco wolniej, natomiast jednomasztowa sznika, której nic nie odbierało wiatru – tylne żagle nie zasłaniały przednich – przeciwnie, trochę dzięki temu

zyskała na szybkości. I tak prędzej lub później musieli płynąć bardziej na zachód. Można to było zrobić już teraz, przebyć kawałek drogi, a potem znowu wyostrzyć i przejść w wystarczającej odległości od Żabiego Ogonia.

Ridareta lojalnie chciała posłać na flagowiec uspokajającą wiadomość w rodzaju: „To na pewno do mnie, bo coś im zabrałam”. Sayl i Mevev odradzili.

– Ryczymy jak wściekli, a i tak ledwie słyhać. Z piątego okrętu w szyku do pierwszego mogą dotrzeć jakieś głupoty. Jeden nie dosłyszy, drugi coś przekręci i Staruch zacznie refować płótna, bo zrozumie nie wiadomo co. Tego chcesz?

Mieli słuszość.

Sznika dogoniła ich dopiero w nocy. Okręcik zrównał się ze „Ślepą Ridi”, podszedł na tyle blisko, że mogli dokrzyczeć się bez trudu i całkowicie zrozumiale.

– Pocałujcie mój okręt w dupę, możecie abordażować! – wyryczał, ku radości załogi, obdarzony potężnym głosem majtek, któremu dowódczyni dyktowała słowo po słowie.

– Mam rozkaz zabrać jego wysokość Nevina! – nadeszła odpowiedź. – Wiemy, że jest na „Ślepej Ridi”!

– Nie dam nikogo z załogi!

– To rozkaz!

– Abordażujcie! Mało nas, przyda się więcej! Kto tu wejdzie, już go nie puszcę z powrotem!

– Płynę do nadkapitana!

– Płyn! Powiedz, co usłyszałeś ode mnie!

– Płynę!

– A płyn! Już widzę, jak zatrzymuje eskadrę i każe abordażować jeden z własnych okrętów z powodu jakiegoś szczeniaka!

– Zrobi tak!

– Już widzę! Powiedz mu, że będę uciekać, aż się zmęczy!

Dowódca szniki nie był głupi i na pewno wiedział, że Piękna Ridi ma rację. Musiał myśleć to, co Ahagaden: tysiąc ludzi miało nie zdążyć gdzieś przed zmierzchem albo przed świtem, bo z pokładu jednego okrętu zdejmowano jakiegoś chłopaczka? Kto mógł niby zaręczyć, że nie braknie im tego ukradzionego czasu za pięć albo sześć dni?...

Niemniej posłany z misją kapitan musiał wypełnić rozkaz, a przynajmniej spróbować.

Okręcik poszedł szybciej, wzdłuż linii kołyszących się latarni, oznaczających pozycje kolejnych żaglowców eskadry. Patrzoneo za nim; białeły w mroku odkosy dziobowe jego i poprzedzającego holka.

Trochę trwało, nim posłaniec z Agarów zmniejszył powierzchnię płótna i zaczął zostawać w tyle. Mógł odejść od razu z powrotem, ale jeszcze raz chciał spróbować.

– Dowódca eskadry rozkazuje oddać chłopaka! – doleciało na pokład „Ślepej Ridi”.

– Nie oddać?! – Tym razem odwrzasnęła sama, już bez pomocy majtka o potężnym głosie.

– Oddać!

– Nie słyszę! Weź od niego i przywieź mi rozkaz na piśmie!

Sayl parsknął, zakrztusił się i odszedł pod maszt. Cichy odwrócił głowę, choć w kiepskim świetle latarni niewiele było widać.

Czasem naprawdę kochał tę dziewczynę.

Z pokładu szniki doleciało przekleństwo. Było jasne, że

mogą tak pływać między pierwszym a piątym okrętem eskadry aż do samych Wysp Południowych.

– Zamelduję w Aheli co trzeba!

– „Ridi” ma dwie rufy! Tam jest jedna...

Odwróciła się i ku nieprzytomnej radości załogi zadarła spódnicę sukni, po czym pochyliła się cokolwiek.

– ...a tu masz drugą!

Nie wiadomo, czy dobrze widzieli, bo sznika była niższa, a przeszkadzało jeszcze nadburcie holka. Jednakże na „Ślepej Ridi” rechotał kto żyw.

Na sznicy znów ktoś zaklął, ale doleciał też śmiech i kilka całkiem pochwalnych okrzyków załogi – niektórzy majtkowie stali wyżej niż inni, a już ten na bocianim gnieździe...

Po chwili ktoś wrzasnął:

– Uwaga na żaglu!

– Tak, panie!

– Ster!

– Tak, panie!

Zakrzątnięto się. Robili zwrot.

– „Ślepa Ridi”! – dobiegło jeszcze.

– No co?!

– Powodzenia!

Załoga holka wiwatowała.

Niewysoki, drobny majtek podbiegł do kapitany i od tyłu objął ją w pasie. Odwróciła się.

– Tak nie wolno, marynarzu – powiedziała groźnie i pocałowała brata w czoło. – Jestem dowódczynią okrętu. Jazda stąd.

Wrócił do innych, poklepywany po ramionach. Może się chcieli podlizać, a może go po prostu przez minione

dwa dni polubili.

Nie migał się od roboty i próbował być taki jak oni.

* Polskie słowa Andrzej Mendigrał przy współpracy Grzegorza Wasilewskiego – pozwoliłem sobie nieznacznie zmienić tekst (przyp. aut.).

ROZDZIAŁ 28



Sala Narad w gmachu Trybunału wydawała się niemal pusta – cztery osoby przy wielkim stole to nie było grono na miarę tej komnaty. Najwyższy Sędzia ze swoją Drugą Przedstawicielką u boku, Pierwsza Strażniczka Archiwów i setnik-kapitan straży morskiej Mawew.

– Tak, to już niedługo, a dokładnie: za tydzień – rzekła jej dostojność T.M.A.Doria, odpowiadając na pytanie drugiej kobiety. – Dlatego szlachetny Enog Derrhert nie mógł tu przyjechać, musi być obecny na pokładzie swojego okrętu. Flotylla Archipelagu Południowego weźmie na siebie główny ciężar tej morskiej bitwy. – Uśmiechnęła się lekko sama do siebie, bo przyszło jej na myśl, że już zupełnie dobrze włada wojskowym językiem. – Trwają ostatnie przygotowania.

Jej dostojność Keletta wojskowej mowy jeszcze nie opanowała. Nie w takim stopniu.

– Czy... zbierze się tyle okrętów, ile trzeba? – zapytała. Doria spojrzała na setnika.

– Panie.

Skinął głową.

– Eskadry wsparcia wyruszą lada dzień. To ogromne przedsięwzięcie – wyjaśnił. – Okręty nie stoją na kotwicy, są na morzu, więc najpierw trzeba je zebrać. – Starał się mówić przystępnie. – Flota Główna i Rezerwowa zabiera

żaglowce z konwojów, ściąga z patroli, towarzyszy temu spore zamieszanie. Dezorganizowany jest cały system dozoru. Tylko kilka odwodowych eskadr, rozsianych po całej prowincji, jest gotowych do natychmiastowego użycia, ale nawet one muszą dopłynąć na miejsce. To razem trzy eskadry: z Wysp Barrierowych, Wysp Końca i stąd, z Dranu. Druga zbiorcza flotylla składa się, a raczej będzie się składać z okrętów, o których mówiłem: pościąganych z konwojów i patroli.

– Czy na pewno zdążą?

– Na morzu nie istnieje „na pewno”, wasza dostojność. Niekorzystne wiatry wzięliśmy pod uwagę. Ale tylko niekorzystne. Ciszy morskiej lub sztormu nie przewidzi nikt. W działaniach flot przypadek, szczęście albo pech zawsze odgrywają większą rolę niż w działaniach wojsk lądowych. Nie bez powodu żeglarze uchodzą za przesądnych.

– Ty też, panie, jesteś przesądny?

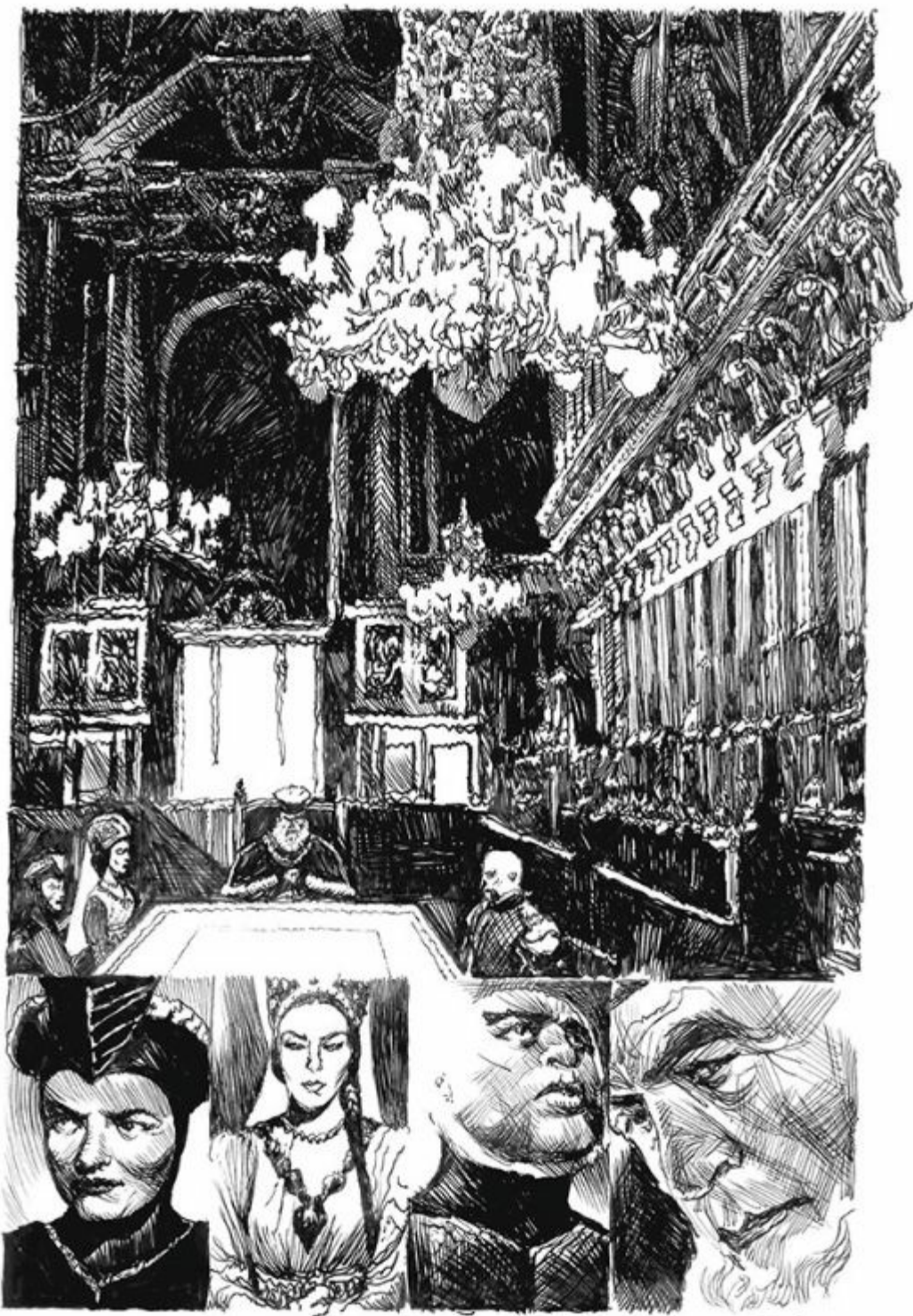
Najwyższy Sędzia odzywał się rzadko. Niekiedy lubił żartować, lecz tym razem chyba nie żartował. Zapytał zupełnie poważnie i w głosie pobrzmiwało coś więcej niż zwykła tania ciekawość.

– Co wasza dostojność masz na myśli?

– W tym wąskim gronie... – zaczął R.Ewenet i z namysłem pokiwał głową. – Tak, w tym wąskim gronie, a zwłaszcza pod nieobecność drugiego oficera, który był tu z nami poprzednio, zapytam bez ogródek: czy twoja skłonność do gier, panie, może mieć jakieś odbicie w sposobie pełnienia służby?

Mawew nie był głupcem. Doskonale wiedział, że Trybunał ma rozeznanie w słabościach swego

wywiadowcy (a jeszcze takich słabościach). Jednak zadane wprost pytanie sprawiło, że lekko poczerwieniał.



TR 51 22

– Rozdzielam te sprawy.

– Dowodząc okrętem, nie przejawiasz skłonności do ryzyka, panie? Ufasz jakiejś... szczęśliwej gwiazdzie?

– Nie bardziej, niż musi ufać każdy kapitan. A ryzyko, wasza dostojność, wpisane jest w fach żoźnierski. I żeglarski.

– Tylko zapytałem. Mów dalej, panie.

– Jeśli agarskie okręty zachowają się tak, jak tego oczekujemy...

– Skąd pewność, że tak właśnie będzie? – przerwała jej dostojność Keletta.

– Nie ma pewności, pani – odparł setnik, chyba bardziej szorstko, niż zamierzał. – Powtórzę: na morzach nie istnieje „na pewno”. A każdy plan, to dotyczy w ogóle wszystkich wojen, każdy plan może zawieść. Agarska flota według własnego mniemania idzie do bitwy z równorzędnym liczebnie przeciwnikiem, a agarscy dowódcy wiedzą, że eskadry z Sary są najlepsze, jakie mamy w tej części Szereru. Uważają, że otrzymali od rebeliantów wiarygodne i sprawdzone wiadomości, bo gdyby sądzili inaczej, to nie zgodziliby się na stoczenie tej bitwy. Z trudnym przeciwnikiem, na wodach, które znają gorzej niż ten przeciwnik, z daleka od własnych lądów, pozbawieni jakiegokolwiek wsparcia. Przyjęli plan, czyli uznali go za dobry i wykonalny. Skoro tak, to na pewno skorzystają z przekazanych im map i udzielonych wskazówek.

– Opłyną więc Półwysep Południowy...

– Tak, Żabi Ogon. Tak nazywają go żeglarze, nazwę Półwysep Południowy można przeczytać tylko na mapach. Nie wszystkich.

– Skąd ta dziwna nazwa?

Dociekliwość Strażniczki Archiwów, a wcześniej Najwyższego Sędziego – to było coś zastanawiającego.

Jej dostojność Doria popatrzyła pytająco, ale nie uzyskała odpowiedzi. Tych dwoje prowadziło jakieś... przesłuchanie? Co to miało być?

– Nie wiem – rzekł kapitan. – Garka to w gwarze niektórych Wysp „żaba”. Kiedyś Garę na Wyspach pogardliwie nazywano Żabą, Żabim Królestwem. Może stąd.

– Mów dalej, panie.

– Spodziewając się, skąd i którędy popłyną, możemy ich kontrolować do ostatniej chwili. Będziemy wiedzieli, że już są, i damy znać na Sarę. Gdy wyjdą z Grupy Wschodniej, część sił skrycie podąży za nimi, odetnie odwrót bądź włączy się do bitwy przy Sarze, zależnie od okoliczności. Kolejne trzy eskadry będą czekać w gotowości u zachodnich wybrzeży Sary i te mogą się stawić do bitwy niemal od razu. Flotylla Południowa będzie czekać na redzie portu, który leży na północnym wybrzeżu wyspy – przypomniał. – Zwiąże agarskie okręty walką. Agarczycy nie będą jej unikać, bo przecież właśnie po to tu płyną: żeby zniszczyć eskadry archipelagu. Nie wiedzą, że zaraz przybędzie w sukurs drugie tyle okrętów, a potem jeszcze trzecia flotylla.

– Czy na pewno wszystko... – zaczęła Strażniczka Archiwów, po czym urwała i przywołała nieco krzywy uśmiech na swoją niemłodą i niezbyt ładną twarz. – Tak, już pamiętam. Nie istnieje „na pewno”.

– Czy wasza dostojność... i ty, panie – rzekł kapitan, zwracając się kolejno do wypytyjących do urzędników – wiecie o czymś, co powinienem... co powinna wiedzieć

Straż Morska Garry i Wysp? Czy coś się... nie udało? Skąd nagle tyle wątpliwości? Jest jeszcze czas, można zmienić plany. Wojsko potrafi szybko działać w zmieniających się sytuacjach – dorzucił ostrożnie, bo nie chciał urazić ludzi, którzy działali inaczej: cokolwiek robili, musieli mieć to na piśmie, zatwierdzone i potwierdzone, zgodne z rozporządzeniem...

– Odnalazłam w archiwach i przekazałam wszystko, co wiadomo o Agarach i ich flocie – powiedziała Keletta. – Do dzisiaj wiruje tam kurz podniesiony z dokumentów i raportów, które dla Trybunału nie miały większej wartości, ale nagle okazały się bardzo zajmujące dla żołnierzy. Dowództwo w Sarze przyjęło odpisy tych dokumentów, potwierdziło ich przyjęcie i podziękowało. Tutaj, w Dranie, tak nie jest. A kilka dni temu przyjąłem posłańca z Wysp Barrierowych. To samo. Żądania... no może prośby o wyjaśnienia, dodatkowe wiadomości. To niepokojące. Nikt poza Flotyllą Południową nie wydaje się zachwycony tym skomplikowanym planem.

– O jakości sił morskich w naszej prowincji już rozmawialiśmy. Okręty i załogi są takie, jakie są. Gdyby wszystkie wyglądały podobnie, żaden plan nie miałby sensu. To się może udać jedynie przy udziale dobrych eskadr Flotylli Południowej. Te okręty przyjmą na siebie pierwsze uderzenie i główny ciężar walki, już to powiedziałem. Inne tylko je wesprą.

– Czy wszystkie inne eskadry są niedobre?

– Wasza dostojność... Nie. Mają różną wartość. Przynajmniej kilka okrętów wchodzących w skład sił wsparcia to dobre żaglowce z doświadczonymi załogami.

– To wystarczy przeciw tej groźnej agarskiej flocie?

– Tak.

– Nawet przy braku szczęścia?

– Tak. Ten plan polega na liczbie żaglowców i żołnierzy na ich pokładach, nie na szczęściu. Obejdziemy się bez niego. Klęska jest bardzo mało prawdopodobna, właściwie niemożliwa, a zwycięstwo odebrać nam może tylko pech, ale to nie to samo, co brak szczęścia. Brak szczęśliwych przypadków nie oznacza, że muszą się zdarzyć nieszczęśliwe.

– To brzmi przekonująco.

– Wasza dostojność, mój okręt też weźmie udział w tej bitwie. Wypływamy pojutrze. Czy wyglądam na kogoś, kto wybiera się na spotkanie ze śmiercią?

o o o

Setnik odszedł. Nim to zrobił, jeszcze raz szczegółowo przedstawił plan wojennej pułapki, odpowiedział na wszystkie – czasem trochę dziwne – pytania.

Po jego odejściu narady nie zakończono.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Druga Namiestniczka, nawet nie próbując ukrywać, że nie w smak jej rola biernej obserwatorki, obecnej przy dziwnym przesłuchaniu. – Wydawało mi się, że to ja prowadziłam tę sprawę?

– Z ramienia Trybunału, oczywiście tak – odpowiedział jego dostojność R.Ewenet. – Ale nasza rola się skończyła, teraz to już sprawa wojskowych.

– Co z tego?

Najwyższy Sędzia i Strażniczka Archiwów wymienili spojrzenia.

– Dostał szansę – powiedziała Keletta. – Jeśli nic nie zrozumiał, to jest głupcem. Jeśli zrozumiał i nie skorzystał z jedynej możliwości ocalenia skóry, to jest... bardzo złym graczem. Trzeba wiedzieć, kiedy przerwać grę, a on nie wie. Gotów grać do samego końca. Zadłuży się, zrujnuje i dalej będzie grał. Naprawdę taki jest. Żaden pożytek z idioty. Nie wykorzystamy go.

– O czym mówisz?

– Służy w wojsku, lecz szpieguje dla nas, dla Trybunału. Ale jeszcze wysługiwał się piratom. Mało? Jest rebeliantem, Dorio. Przekonanym, że wywiódł w pole wszystkich. Uważa tak nawet teraz, kiedy dano mu do zrozumienia, że powinien przestać ufać swojej szczęśliwej gwiazdzie.

– Nie zapytam, czy masz pewność. Obraziłabym cię, Keletto.

– Jestem tylko starą kobietą, zakopaną w zakurzonych dokumentach. Żadna ze mnie wywiadowczyni.

– Więc tym bardziej bym cię obraziła. Jeśli taka stara kobieta, zakopana w dokumentach, mówi to, co ty przed chwilą... Musisz mieć pewność.

„Stara kobieta” – w istocie tylko niemłoda; do starości brakowało jej co najmniej kilku lat – uśmiechnęła się lekko.

Przez chwilę milczeli wszyscy troje.

– Nie wróci do domu ani na swój okręt – rzekł Ewenet, odpowiadając na niezadane pytanie. – Myślę, że właśnie został pojmany i wraca do tego gmachu. Jest tu kilka starych, dawno zapomnianych cel.

– Wojsko będzie go poszukiwać.

– Ale przecież nie tutaj. Nikt nie wie, że odwiedzał

siedzibę Trybunału.

– Pojmanie pozostającego w służbie żołnierza... Nie mamy prawa.

– Dorio.

Została łagodnie skarcona, więc tylko skinęła głową.

– Przyznamy się do tego zatrzymania albo nie – powiedział Najwyższy Sędzia. – Zawsze mogę wyrazić ubolewanie i przeprosić straż morską za pomyłkę. Nie wywlekliśmy go z garnizonu ani z pokładu okrętu. Został zatrzymany jakiś spiskowiec, a nie każdy gończy Trybunału zna twarze wszystkich oficerów.

– Już jutro zgłoszą nam zaginięcie dowódcy jednego z okrętów.

– Najprędzej za trzy dni, o ile w ogóle. Gdyby wojsko pędziło do nas z doniesieniem o każdym oficerze, który wypił gdzieś trochę za dużo albo zdrowo oberwał od „przyjaciół” dziewczyny z zaułka, bo jej trochę za mało zapłacił... Takie sprawy załatwiają sami, nie trąbią o każdym wojaku, który się spóźnił na służbę. A już na pewno nie chwalą się tym przed urzędnikami Trybunału. W tej prowincji? Musieliby się chwalić codziennie.

– Przepraszam, wasza dostojność. Tylko głośno myślałam.

Przytaknęła.

– Nie jestem zdziwiona. To kanalia – powiedziała Doria.

– Nie lubię go, nigdy nie lubiłam i... to właśnie dlatego uważałam, że nie powinnam być nadmiernie podejrzliwa. Brakowało mi dystansu i chłodnego spojrzenia.

– Intuicja, w każdym razie, cię nie zawiodła.

– Jakaż to intuicja? Wiedziałam przecież, że wysługuje

się trzem stronom. Dlaczegoż by nie czwartej?

– Bo aż tak głupich graczy nie ma.

– Jeden, jak widać, jest.

– Dorio – powiedział bardzo poważnie Najwyższy Sędzia Trybunału – a ten drugi? Szlachetny Derrhert. Wiem, że się przyjaźnicie. I to chyba bez dwuznaczności, a zresztą choćby i nawet, to nie ma nic do rzeczy.

– Miałoby, gdyby był moim kochankiem, bo to ogranicza trzeźwy osąd – zauważyła spokojnie. – Ale rzeczywiście nie jest. I myślę, że za niego mogę ręczyć. O ile w ogóle można ręczyć za kogokolwiek.

– Nie można.

– Wiem. Ręczę w granicach... ludzkiej oceny. Nie mam żadnych cudownych zdolności, podobno ma je księżniczka Riolata Ridareta. Ja nie.

– Zgadzam się z twoim osądem, nie mam żadnych podejrzeń wobec kapitana-setnika Derrherta. Tylko zapytałem.

Uśmiechnęła się niewesoło.

– Skoro mowa o intuicjach i ocenach: mam przecucie, że to wszystko źle się skończy.

– Nic nie możemy zrobić. Odwołać taką wojskową operację może Księżę Przedstawiciel Cesarzowej. Nie odwoła jej z powodu działającego w straży morskiej wywiadowcy Trybunału, który sprzedał się rebeliantom i zmawiał z piratami. A setnik Mawew, cokolwiek o nim myśleć, w sprawach wojskowych chyba wie, co mówi. Trzydziestu wojennych żaglowców nie zatopi nawet słynna agarska flota. Pułapka może się najwyżej nie udać. Ale Mawew trzymał się ostatnio z daleka od piratów i na pewno niczego im nie zdradził. A jeżeli zdradził, wtedy

nie przyplyną. Floty prowincji odbędą niepotrzebne ćwiczenia, tylko tyle.

– To prawda. Ja też nie widzę sposobu, w jaki Agary miałyby zatopić w odległości pięciuset mil od swoich brzegów trzydzieści okrętów imperium z czterema tysiącami ludzi na pokładach. Jeśli potrafią takie rzeczy, to nic nie ma sensu. Przecież zaraz potem popłyną do Zatoki Królewskiej, a pojutrze będziemy poddanymi Wiecznego Cesarstwa Agarów – orzekła sarkastycznie.

– Zostawmy wojnę wojskowym. Sprowokowaliśmy flotę wroga. Wystawiliśmy im ją, tak to się mówi? Reszta należy do nich.

o o o

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Pierwsza Strażniczka Archiwów Trybunału Garry i Wysp znalazła wolną chwilę. Musiała.

Ubierająca się skromnie, niczym niewyróżniająca się kobieta mieszkała trochę nie po armektańsku. To były naprawdę wygodne i niebiednie urządzone komnatki, chociaż mieściły się w kamienicy, nie w żadnym pałacu albo gmachu. Jej dostojność Keletta miała do dyspozycji pół piętra domu w Starej Dzielnicy. Niżej, wyżej i obok mieszkało jeszcze kilkoro innych urzędników wysokiej rangi.

Szczęśliwej gwiazdzie nie należało ufać. Zwodnicza też była wiara w szczęście albo pech. Wpisanie takich rzeczy w życie czyniło z niego loterię; kto codziennie rzuca kośćmi, ten na pewno prędzej albo później przegra. Wszystkie rzuty nie mogą być udane.

Co innego jeden rzut, raz kiedyś. Oczywiście, zawsze mógł przydarzyć się pech. Jednakże takie ryzyko wydawało się do przyjęcia.

Jej dostojność Strażniczka Archiwów nie miała czasu i musiała właśnie teraz zawierzyć szczęściu, a przynajmniej nie mieć pospolitego pecha. Nigdy nie pisała tak otwarcie; tym razem musiała. Brakło czasu na niedomówienia, posyłanie dodatkowych wyjaśnień, gdyby powstały wątpliwości.

Panie,

źle się stało, że tak późno poznałam tożsamość M. Ostrożność popłaca, ale posunięta zbyt daleko jest tchórzostwem. Umawiając Twoje spotkanie z R.R., nie wydał Cię w ręce Trybunału tylko dlatego, że nie widział w tym żadnej własnej korzyści. Nie wiedział też, kim jesteś – tutaj ostrożność okazała się bardzo potrzebna. Nie podejrzewał, że przekazuje wiadomość od kogoś tak wysoko postawionego.

Panie, okręty z A. wciąż jeszcze mogą wpaść w zastawioną pułapkę. Poznałam dzisiaj wszystkie szczegóły i dokładne terminy. Dodatkowe eskadry ściągnięte do A.P. pojawią się tam prawdopodobnie trochę wcześniej, niż wolno było podejrzewać. Dziesięć okrętów, choćby najlepszych, nie obroni się przed trzydziestoma, a niechby tylko dwudziestoma. W najlepszym wypadku poniosą duże straty, a ocalałe wymkną się z bitwy, zostawiając imperialnym żaglowcom zwycięstwo. Nie wierzę, by udało się jeszcze zdążyć z ostrzeżeniem, ale posyłam ten list, bo już nic więcej nie mogę zrobić. Może jest jakiś sposób, o którym nie wiem, by zapobiec najgorszemu.

Trzeba zawrócić okręty z A. Na pewno już wypłynęły. Jeśli to tylko możliwe, zawróć je, Panie. W przeciwnym razie nie pozyskamy sojuszników, a w zamian damy wrogowi

upragnione morskie zwycięstwo.

Nie złożyła żadnego podpisu.

Przeczytała list i po raz kolejny tego dnia skrzywiła usta w lekko kpiącym uśmiechu. „Tożsamość M.” i „spotkanie z R.R.”... Trudno było w jednej chwili odłożyć na bok utrwalone przez lata nawyki. W tak otwartym liście podobne niedomówienia nie miały żadnego sensu. Gdyby ktokolwiek dowiódł, że to ona go napisała i posłała...

Po sąsiedzku z całą setnika-kapitana Mawewa była przynajmniej jeszcze jedna pusta. Rebeliantka obok rebelianta? Byłoby całkiem miło.

Rozsądek uspokajał. Podpowiadał, że nikt tego listu nie przechwyci. Rozsądek i matematyka. Szanse dało się obliczyć.

Co prawda setnik Mawew też tak uważał.

Chociaż raczej nie. Polegał na szczęściu, kochał ryzyko i nie dopuszczał myśli, że w końcu musi przegrać.

Gdy wygralesz – zabieraj wygraną i już nigdy nie siadaj do gry.

Ani ona, ani przyszły władca Garry nie ryzykowali bez potrzeby. I wierzyła, że odbiorą nagrodę.

Jednakże miała na myśli tylko przekazanie tego listu. Agarską flotę, płynącą do bitwy i będącą nie wiadomo gdzie na morzu, dało się ostrzec albo nie. To już nie zależało od szczęścia, pecha ani wyważonego, możliwego do przyjęcia ryzyka. Tą grą rządziły suche, bezduszne liczby, oznaczające czas, prędkość, odległość... Liczby ograniczające ludzkie możliwości.

Posłała list, zawierając jego dostarczenie sprawdzonemu i pewnemu człowiekowi. A ponieważ

umiała liczyć i nie kusiała losu bez potrzeby, nie zdarzyło się nic niefortunnego.

Pismo trafiło w ręce szlachetnego Mefeda Eholda.

ROZDZIAŁ 29



Ten sam wiatr, który marynarze Starucha uznali za dobrą wróżbę, sprzyjał „Pocieszę” płynącej ku Agarom. Zgrabna karawelka naprawdę dobrze radziła sobie na otwartym morzu i Raladan był rad, że ją wybrał. Gdyby nie skromne rozmiary, wolałby chyba „Pociechę” niż „Delarę”. Przewyższała większą siostrę szybkością i zwrotnością.

Zjawił się w Aheli wcześniej, niż przewidywał. Nikt zresztą się nie spodziewał, że jego dartańska wyprawa potrwa tak krótko. Lasena nie знаła się na żegludze, ale i Ahagaden był pewien, że powrotu księcia Raladana należy oczekiwać najprędzej za tydzień, ale raczej za dwa tygodnie. Zaczęłyby się niepokoić po upływie dwudziestu dni, a poważnie dopiero za miesiąc.

Agarski władca przywoził z kontynentu dobre nowiny. W zamian czekały na niego inne. Z całą pewnością nieoczekiwane; czy dobre – to dopiero miało się okazać.

Podróż morska nie zmęczyła pierwszego żeglarza Bezmiarów. Raladan był raczej znudzony długim rejssem. Wcześniej utrudziły go konne przemarsze; na pokładzie „Pociechy” odpoczął.

To i owo ujrzał już w porcie. Brakowało starej eskadry.

Nim dobrze postawił stopę na lądzie, już wiedział, że okręty popłynęły na wojnę. Gadali o tym wszyscy w Aheli,

bo już tylko ptak mógłby wyprzedzić eskadrę Starucha i zdążyć na Garrę z jakimś ostrzeżeniem. Agarskie holki najprawdopodobniej docierały właśnie do celu – ucięto więc niezliczone pogłoski i plotki, obwieszczając przez miejskich obwoływaczy, że eskadra poszła do bitwy z Armektańczykami. Szczegółów nie ogłoszono.

Raladana nie niesiono w lektyce ani nie wieziono w zakrytym furgonie. Już na portowym nabrzeżu został rozpoznany. Triumfalnie rozdarło się jakieś spocone chłopisko, uwijające się wraz z innymi, targającymi skrzynie do otwartej furty ładunkowej kupieckiego statku:

„Damy im, wasza wysokość! Dobrze będzie!”.

Zaraz potem wiwatowali wszyscy na nabrzeżu.

Nim Raladan dotarł do pałacu, wiedział tyle, ile mieszcuchy w Aheli.

W ten sposób zyskał świadomość, że wyprawił flotę na wojnę. Dla każdego na tej wyspie było wszak oczywiste, iż bez woli księcia Raladana nic się nie mogło zdarzyć. W jaki sposób miałby objawić tę wolę z odległości kilkuset mil – nie wiedział. Na pewno wszystko dawno zaplanował i wydał potrzebne rozkazy. Jeszcze zanim wypłynął do Dartanu. A może i dwa lata wcześniej.

„Pociechę” wypatrzono i rozpoznano z daleka, przecież nie dopiero wtedy, gdy cumowała do nabrzeża. Ahagaden i Lasena mieli czas, by się przygotować do rozmowy.

Prawdę mówiąc – już od dawna byli przygotowani.

Dowódca floty z niejakim, starannie skrywanym rozbawieniem obserwował, jak pierwsza niewolnica domu szykuje się na powrót swego pana. I swego mężczyzny, co tu dużo mówić. Znał Raladana od bardzo

dawna, ale jednak nie tak dobrze, jak jego... kobieta. Tak, bo to działało w obie strony. Niewolnica, służka? Agarski książę miał kilka niewolnic, ale tylko jedną Lasenę. Innych kobiet chyba nie dostrzegał; dużo o Raladanie dało się powiedzieć, lecz nie to, że szastał swą męskością na lewo i prawo.

Nigdy nie próbowała jakkolwiek rywalizować z pamięcią o Alidzie. W jaki sposób miałyby to robić?...

Ahagaden właśnie się dowiedział, że Raladan lubi dobrze zjeść. Spożyli razem niejedną porcję, ale dotąd nie zwracał uwagi na takie rzeczy.

– Gdy wraca z morza, jest głodny – wytłumaczyła z roztargnieniem, pochwycając jego spojrzenie w kierunku obficie zastawianego stołu. – Kocha pływanie i w ogóle, tylko że... Na okręcie je to, co wszyscy, i nie narzeka. Ale kiedy wraca, od razu pyta o coś, co nie jest grochem ani solonym mięsem.

Pokiwał głową. Ze zrozumieniem – bo i on po powrocie z morza najpierw myślał o normalnym jedzeniu.

Dla dowódcy okrętu zawsze znalazło się coś więcej niż dla prostego marynarza. Suszone owoce i kamionka z miodem. Kawałek dobrze uwędzonego sera. Oficer mógł to trzymać w kajucie; marynarz najwyżej w swoim worku, nawet gdyby było go stać na frykasy. Towarzysze zaraz zeżarliby mu wszystko, a jak nie towarzysze, to szczury. Tak czy owak, okrętowa kuchnia pozostawiała wiele do życzenia.

Ahagaden ucieszył się w duchu, że Raladan jest jednak człowiekiem i ma jakieś ludzkie słabości. Bo bywały chwile, gdy wątpił.

Zdążyła zastawić stół jak należy.

Poprzedzany przez jedną z perełek Raladan wkroczył do fortecznej komnatki, obrzucił uważnym spojrzeniem dowódcę swojej floty i mocno niepewną Lasenę, po czym skinął głową w odpowiedzi na powitanie i ostrzegawczo uniósł palec.

– Ani słowa – powiedział.

Powtórnie skinął głową, spojrzawszy na stół, i zasiadł przy jego szczycie. Można było przewidzieć, że tak się zachowa.

Zaprosił oboje gestem.

– Najpierw zjedzmy.

Nie było im dane.

Drobna blondyneczka wpadła do izby z szybkością mewy rzucającej się na rybę.

– Ojcie – powiedziała – flota wypłynęła na wojnę! Ridareta też popłynęła, i... – Zająknęła się. – Dobrze, że wróciłeś, witaj, ojcie. A Nevin...

– Izetto – powiedziała Lasena i Ahagaden odniósł wrażenie, że zaraz chwyci wychowanicę za głowę, po czym wepchnie jej twarz w miskę z kaszą.

Raladan westchnął. Popatrzył na ładny kawałek pieczystego, który już sobie nałożył.

– Izetto, czy jadłaś już dzisiaj? Ja nie.

W mgnieniu oka znalazła się za jego krzesłem. Można powiedzieć, że przepędziła stojącą tam niewolnicę. Nalała piwa do kufla, już sięgała po pasztet. Dla nikogo w tej izbie nie było tajemnicą, że kochała usługiwać ojcu przy stole. Wiedział o tym także niebędący domownikiem Ahagaden.

I nawet w zakutym męskim łbie zagościła myśl, że te przedwcześnie dorosłe, a właściwie zmuszone do

dorosłości dzieciaki umiałyby wyleźć ze skóry, by się przypodobać najważniejszemu dla nich człowiekowi. Być z nim, towarzyszyć mu wszędzie i przy każdej czynności. Odkąd poświęcił im trochę uwagi, gotowe były go nie odstępować. Lecz wiedziały, a może tylko czuły, że skutek będzie odwrotny do zamierzonego, szukały więc okazji. Sposobności.

Nevin chyba nawet bardziej niż Izetta. Mocniej się pilnował, lecz spod maski młodego mężczyzny stale wзираł chłopiec zapatrzony w ojca. Najmądrzejszego i najsilniejszego człowieka na świecie.

Jedli w milczeniu. Raladan nigdy nie był gadatliwy i każdego innego dnia uznano by jego zachowanie za normalne. Przy stole rozmawiali zazwyczaj współbiednicy. O ile zasiadali jacyś współbiednicy, bo jego wysokość nie był łaskaw celebrować posiłków; to zdarzało się najwyżej raz kiedyś. Równie często można go było zobaczyć na schodach, idącego dokądś z kawałkiem koźliny w ręku. Jadł obiad.

Teraz jednak przy stole nie rozmawiał nikt.

Raladan na szczęście wiedział, że co za dużo, to niezdrowo. Rzeczywiście był głodny i naprawdę chciał uporządkować myśli. Ale nie zamierzał bawić się w niemowę do wieczora. Zjadł kawałek mięsa, popił piwem. Popatrzył na Lasenę i Ahagadena, po czym skinął głową.

– Lepiej ty opowiesz, komendancie – rzekła i na chwilę przymknęła oczy. – To wojskowe sprawy.

Ahagaden opowiedział. Można by rzec: złożył raport. Tak zwięzyły, że niewolnica domu popatrzyła z niedowierzaniem.

Jednakże Raladan nie wyglądał na kogoś, kto niewiele zrozumiał.

– To nie wszystko. – Westchnęła. – Izetto? Powiedz ojcu o Nevinie. Ty wiesz chyba najwięcej na ten temat.

Rozżalona dziewczynka, której odebrano radość wyjawienia największych tajemnic, momentalnie znalazła się na wolnym krześle przy stole. Usiadła obok Ahagadena i jęła udowadniać, że podczas mówienia można wcale nie brać oddechu.

Nie minęło wiele czasu, a Raladan wiedział wszystko, co trzeba.

Zastanawiał się przez długą chwilę.

Nikt mu nie przeszkadzał.

– Zuch chłopak.

To było pierwsze, co powiedział.

I gorzej – bo wyglądało, że skończył.

Lasena czekała. Powolotku w jej oczach pojawiło się coś niedobrego. Już otwierała usta, gdy Raladan uniósł rękę i ją uprzędził.

– Wiem. O tym porozmawiamy później.

Pokręcił głową, bo miał świadomość, że teraz jego kolej. Rad nierad opowiedział o wszystkim, co załatwił w Dartanie – i była to opowieść na miarę tej, którą go uraczył Ahagaden. Raport, może meldunek.

Lasena od dawna wiedziała, że mężczyźni są różni. Że podobnie jak psy, zachowują się tak samo tylko na pierwszy rzut oka. Widziała w życiu niejednego gadułę, któremu nie sprostałyby trzy straganiarki.

Ale ci dwaj tutaj pasowali do siebie. Pasowali do siebie jak Pustka i Nic – takie powinni nosić przydomki.

– To już wszystko? – zapytała. – Tyle masz do

powiedzenia o spotkaniu z królową Dartanu? Powiedziała cztery słowa, a ty dwa? Weszła do pokoju i jakoś wyglądała czy wetknęła tylko głowę przez okno? Wasza wysokość?

To ostatnie dodała złośliwie i zaakcentowała tak wyraźnie, że nie mogło być wątpliwości, iż się nie pomyliła, nie zapędziła i nie przejęzyczyła.

Wymieniły spojrzenia z Izettą, a potem jeszcze ze stojącą pod ścianą służką. Bez względu na wiek i zajmowaną w domu pozycję, obecne w pomieszczeniu kobiety myślały to samo.

Tyle miał do powiedzenia – o spotkaniu z królową Ezeną?

– Jeszcze o tym porozmawiamy – rzekł uspokajająco. – I co sądzisz? – zagadnął, patrząc na Ahagadena.

– Jeśli vana da pieniądze, to się może udać – rzekł naczelny wódz floty. – Mamy czas do jesieni. Wtedy ściągnie tu połowa czarnych żagli ze wszystkich mórz. Do tego czasu pomyślimy, jak najlepiej przedstawić im sprawę.

Skinął głową sam do siebie.

– A co ze mną? – zapytał. – Jestem jeszcze komendantem floty?

– Dobrze, że zatrzymałeś karaki. Jeszcze lepiej, że posłałeś holki Starucha.

Ahagaden nieźle sypiał po nocach, bo w gruncie rzeczy był pewien, że postąpił tak, jak należało. Liczył się jednak z tym, że Raladan mógł w Dartanie ustalić... coś. Coś, co w innym świetle pokazywałoby rozpoczętą wojenną awanturę.

Ale niczego takiego nie ustalił. Wysłuchawszy

„raportu” księcia, Ahagaden już wiedział, że wszystko w porządku. Pytanie, czy jest jeszcze komendantem floty, zadał półzartobliwie; znał odpowiedź.

Raladan wzruszył ramionami, po czym podsumował:

– Jeśli Staruch nie da się utopić, to właściwie nie możemy przegrać. Pośle na dno Flotyllę Południową? Dobrze. Nie pośle? No to Garyjczycy się dowiedzą, że przynajmniej próbował, a cokolwiek o nich mówić, to jest naród żeglarzy. Wiedzą, że na morzu nie wszystko się udaje, nie można się zacząć w żadnych krzakach. Gdyby Staruch tylko zrobił paradę wzdłuż Archipelagu, to i tak pokaże, na co sobie mogą pozwolić Agary.

– Demonstracja siły?

– Otóż to. Eskadra z wysp uznawanych za pirackie może paradować na redzie portu, gdzie siedzą najlepsze w tej części świata siły imperium. Mało? Byle tylko nie wpakował się na coś, na czym sobie połamie zęby. Ale to stary wyga. Jeśli niebo nie spadnie mu na głowę, to się wykaraska ze wszystkiego.

Ahagaden uważał tak samo.

– Wszystko ustalała Ridareta. Opowiem ci z grubsza, z kim i o czym rozmawiała, ale po pierwsze, wszystko wiem... wiemy od niej. Po drugie, o tym chyba lepiej opowie ci twoja perełka. To taki przekładaniec, że aż... Tam każdy knuje z każdym i zdradza każdego. Nie na moją głowę. Może zresztą i na moją, ale to wtedy, gdybym sam prowadził rozmowy. Nie prowadziłem, wszystko opowiedział mi ktoś inny. Namyśliłem się, teraz mam pytania, których nie zadałem, bo nie było kiedy. Popłynęła.

Raladan spojrział na Izette.

– A ty, córko, co mi jeszcze powiesz? Kłamałaś, żeby nie wydać brata? – zapytał wprost.

Poczerwieniała.

– Tak – powiedziała bardzo cicho.

– To bardzo niedobrze, Izetto. Nie należy kłamać.

Lasena popatrzyła na oboje. Ahagaden zaczął się zastanawiać, czy ta ładna kobieta umie zgrzytnąć zębami. Chyba się przymierzała. W każdym razie wyglądało na to, że zaraz powie kilka naprawdę mocnych słów. Dowódca floty zaczął się zbierać, bo było jasne, że jego udział w rodzinnych awanturach jest zbędny. Nie wątpił, że o morskich bitwach i układach z dartańską królową zdążą jeszcze z Raladanem porozmawiać.

Skarcona Izetta patrzyła na ojca, a potem się uśmiechnęła. Próbowwała to ukryć – no właśnie jak dziecko. Zacisnęła usta.

Dogadali się. Zerknęła ukradkiem na Lasenę i nie było jasne, czy zaraz pokaże jej język, czy raczej zagra na nosie. Jakkolwiek się maskowała, wszystko było widać jak na dłoni.

Szybko się opanowała. Krew matki. Było jasne, że za rok albo dwa lata nikt już się nie domysli, co czuje i co rozważa to jasnowłose dziewczętko.

– Porozmawiamy później – rzekł jeszcze raz Raladan, czyniąc pojednawczy gest ku Lasenie. Po czym dodał wbrew własnym słowom: – Nie to mnie martwi, że popłynął. Zastanawiam się tylko, czy pod dobrą komendą. Twoja starsza siostra, Izetto...

Nie dokończył.

– Jest głupia – powiedziała i się odęła.

Nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył.

Po czym nagle dorzucił coś, co wynagrodziło dziewczynie wszystkie zawody i rozczarowania:

– Dobrze, że ty tu zostałam. Będziemy mieli trochę czasu dla siebie.

Zsunęła się z krzesła i nim zdążył zareagować, wlała mu na kolana i objęła za szyję. Nigdy dotąd tego nie robiła – i nie wiedział, co począć z rękami.

Ahagaden poszedł, bo naprawdę był zbędny. Już na korytarzu usłyszał Lasenę, która powiedziała dziwnie miękko:

– Po prostu przytul to dziecko.

Dowódca floty uśmiechnął się lekko, pokręcił z niedowierzaniem głową i poszedł ku schodom.

ROZDZIAŁ 30



Pogoda trochę się psuła: mocniej kołysało, wiało teraz bardziej z północnego wschodu. Eskadra szła półwiatrem na północny zachód. Gdy trochę się przejaśniało, na prawym trawersie na linii horyzontu jawiły się ledwie widoczne zarysy odległych lądów. Znajdowali się na wysokości Grupy Zachodniej Archipelagu Południowego.

Przezorny Staruch zostawił sobie kilka dni w zapasie; okazało się, że niepotrzebnie. Przez całą drogę mieli sprzyjający wiatr. Należało teraz pójść jeszcze kawałek i poczekać ze dwa dni. Inaczej zachodziła obawa, że uderzą w próżnię.

W istocie i tak mieli przybyć trzy dni przed czasem – ale o tym wiedziała tylko Ridareta.

Wieczorem z flagowego okrętu odebrano rozkaz do stanięcia w dryf. Żaglowce ostrzyły na bajdewind, padały komendy na żagle i ster. Po zwrocie przez sztag odpadali do półwiatru, zacinali stery. Rejowe płótna zwinięto, pracowały tylko bezany.

Eskadra kiwała się na wodzie.

Horyzont był czysty. Tutaj nikt nie pływał, bo nie było dokąd ani po co. Szlak z Wysp Końca do Archipelagu Południowego przebiegał kilkadziesiąt mil dalej na północny wschód. I nie należał do najbardziej

uczęszczanych. Nie było też mowy, by dostrzeżono ich z jakiegoś statku lokalnej żeglugi przybrzeżnej, o ile w Grupie Zachodniej istniała handlowa żegluga przybrzeżna. Drobnym kupcem na jakiejś łupinie – raz kiedyś. Tutaj w morze wychodziły najwyżej łajby rybackie.

Nadeszła nowa komenda z flagowca: „Odprawa kapitanów!”. Wkrótce pięć łodzi kolejno przycumowało do burty „Jurnego Żeglarza”.

Powoli zapadał zmierzch. Trochę się chmurzyło, ale nie bardziej niż w dzień.

Nadkapitańska klitka była właściwie tylko sypialnią dowódcy eskadry; jakiś czas temu z trudem zmieścili się tam Ahagaden i Staruch. Dla siedmiorga ludzi jedynym odpowiednim pomieszczeniem wydawała się kajuta kapitańska. Tam właśnie się zebrali.

– Jesteśmy sporo za wcześnie – zagaił nadkapitan. – Jeśli pójdziemy dalej, zjawimy się przy Sarze grubo przed czasem.

– Nikogo tam nie będzie. Przecież nie stoją w porcie i na redzie i nie czekają na nas – przyznał jeden z kapitanów.

– Coś tam na pewno stoi. To port gospodarzy pikniku – przypomniał inny. – Ci z Trakki przyłyną tylko na przegląd, ale gospodarze? Jedna z eskadr stoi zawsze jako odwodowa. A ta druga mogła wrócić do Sary kiedykolwiek, wczoraj albo przedwczoraj. Patrol czy konwój, cokolwiek robili, mogli wrócić. I już nie zdążą z kolejnym wyjściem w morze i z powrotem.

– Jeśli nie wrócili, przyłapiemy tylko trzy holki. Potem, w Grupie Wschodniej, nie wiadomo.

– Jeden holk będzie tam na pewno. Jeśli gdzieś stoi pojedyncza eskadra, to okręty pełnią służbę na zmianę. Dwa w morzu, jeden w porcie, a jego załoga pełni służbę miejską. Dziwne, że muszę to tłumaczyć. Z kim tu rozmawiam? Z marynarzami czy z młynarzami? Brzmi podobnie, ale to dwa różne zajęcia.

Kapitan „Myśliwego” nie przejął się połajanką. Staruch zawsze zrzędził, a w różnych portach wojennych zasady wyjścia w morze wcale nie wyglądały tak samo. Czasem na patrol wypływał jeden okręt, drugi stał w gotowości na redzie, a trzecia załoga pełniła służbę miejską. Bywało też, chociaż rzadko, że do jakiegoś wyjątkowo dużego lub ważnego konwoju przydzielano całą eskadrę, chociaż oznaczało to niemal zupełne ogołocenie ulic z patroli. Stojące w portowych miastach garnizony Legii Garyjskiej patrolowały miejski okręg, nie ulice.

– Jeśli w Trakce cumują u nabrzeża, to ich nie dostaniemy.

Rozmawiali o tym już na odprawie w Aheli. Tylko pomylenieć wpakowałby eskadrę między falochrony, w ciasny kanał portowy. Taki wyczyn udał się raz, jednemu okrętowi – „Zgniłemu Trupowi” w Londzie. Powtórzenie tej sztuki przez sześć holków nie mogło być brane poważnie.

– Zaraz mają przejść do Sary, więc mogą już stać na redzie.

– No dobrze. Jeśli nawet w Trakce przyłapiemy jeden, a wcześniej w Sarze trzy... Czyli co, wrócimy z wielkiej wojny i na redzie Aheli pukniemy cztery razy z działa? To po co ta cała awantura? Tyle może zatopić tych dwoje. – Wojowniczy dowódca „Myśliwego” wskazał Ridarete

i Paktenoda. – Jeśli sklecą ze swoich dwóch okrętów eskadrę, pójdą na Szlak Południowy i przyłapią jakiś mały konwój, to zrobią tyle samo. Jeden strażnik, dwóch kupców... Trafi im się gdzieś jeszcze jeden i gotowe.

Trochę to było naciągane: jakiś konwojujący strażnik i paru kupców – to się miało nijak do zatopienia choćby dwóch, trzech okrętów z najlepszej flotylli Floty Głównej. Mimo to większość kapitanów poparła wywód aprobującym go pomrukiem.

Staruch myślał.

– Tak – powiedział wreszcie. – Zatopienie całej Flotylli Południowej to byłoby coś. Po to tutaj przyplłynęliśmy.

Znowu aprobujący pomruk.

– I jeśli będziemy mieli szczęście – ciągnął nadkapitan – to zdybiemy ich wszystkich: tutaj obie eskadry, a w Trakce ostatnią albo chociaż dwa holki. Miałbym się czym pochwalić, zanim wyciągnę nogi, a coś słabo ostatnio ze zdrowiem. Ale nie będziemy kusić losu.

Powiódł spojrzeniem po twarzach.

– Odpocząć do rana – rozkazał. – O świcie idziemy na Morze Garyjskie. Jeśli wiatr się nie zmieni, to trochę pohalsujemy. Potem już prosto do Sary.

– Będziemy za wcześnie. – Kapitanowie nie chcieli odpuścić.

– Lepsze jest wrogiem dobrego. Bierzemy to, co się trafi, i wracamy do domu.

– Przyplłynęliśmy po to, żeby wziąć, co się trafi?

– Dosyć. Zdecydowałem.

Popatrzył na dwoje piratów. Ridareta wyglądała dość niezwykle, bo pozbyła się sukni. Miała w zamian całkiem przyzwoite granatowe hajdawery i brunatny kaftan, spod

którego wyglądała biała, zupełnie czysta koszula. Strojem niewiele się różniła od reszty kapitanów; istniała nadzieja, że do bitwy zdejmie swoje bransolety, naszyjniki, kolczyki i pierścionki. Jeśli zdąży, bo musiało to zająć pół dnia. I jeżeli ma w ładowni dość skrzyń, żeby pomieścić to wszystko.

Wystroiła się w mundur agarskiej floty: na głowie zamotała ciemnoczerwoną, prawie bordową chustkę żeglarską, a może raczej żołnierską. Sukienne tuniki się nie sprawdzały – najpierw były, potem z nich zrezygnowano, nosili je tylko oficerowie. Morska i lądowa piechota Agarów, zrazu przy cichej akceptacji dowództwa, a potem już zgodnie z regulaminami, za swój wojskowy strój uznała szmaty na głowach – w służbie miejskiej nie noszono hełmów, a na pokładach tym bardziej. U podstaw tego obyczaju bez wątpienia legła żeglarsko-piracka tradycja. Już od kilku lat tkano specjalny, zastrzeżony dla wojska wzór. Z biegiem czasu ustalili się dodatkowy obyczaj nieobejmujący żołnierzy: obsługa dział do bitwy (jak dotąd raczej tylko do ćwiczeń) wiązała czarne szmaty na głowach, reszta załogi jakiegokolwiek, byle nie czerwone i czarne.

– Na razie jestem z was zadowolony – rzekł do piratów Staruch. – Nie przeszkadzacie. To dużo, jeśli wziąć pod uwagę, że prawie nigdy nie pływacie w szykach. Macie dobrych żeglarzy i pod całkiem dobrym dowództwem. – Uśmiechnął się.

Jaki łaskawy.

Nic jednak nie powiedzieli.

Po drodze przeprowadzili manewry. Podzielili się na dwie eskadry, potem znowu scalili, przeszli z szyku

torowego w czołowy i z powrotem. Znow się podzielili, stworzyli dwa roje, wrócili do szyku torowego i znowu zeszli w jedną eskadrę. Było trochę kłopotów z odczytaniem sygnałów (nic nadzwyczajnego; z tym zawsze były kłopoty), ale nie z wykonaniem manewrów. Dobry dowódca, nawet jeśli nie był pewien, jaki rozkaz przekazano z okrętu flagowego, zazwyczaj potrafił poznać po jego poczynaniach, co należy zrobić. Reagował z opóźnieniem, ale prawidłowo.

– Jeszcze raz przypomnę: w roju walczą flagowiec i żołnierz, pirat pilnuje, by nikt im nie przeszkadzał. Włączacie się do walki w razie konieczności, a nie dlatego, że trafiła się okazja. Przychodźcie z pomocą tylko na wezwanie. Zrozumiano?

– Tak, nadkapitanie.

Ridareta była najzupełniej pewna, że pierwszy i ostatni raz dołączyła do floty wojennej. Tych rozkazów, napomnień i pouczeń nie dało się wytrzymać. Miała okręt, którym właściwie nie dowodziła.

Natomiast Paktenod nie wyglądał na obrażonego. Chyba nawet mu się podobało, że jest częścią takiej morskiej potęgi, wojennej maszyny. Pirat o duszy żołnierza.

Właściwie, dlaczego nie?...

Dziwnie łatwo i często przenikały się te dwie profesje. Kapitan K.D.Rapis, jej prawdziwy ojciec, najsłynniejszy pirat wszystkich czasów, był najpierw żołnierzem imperium. Kitar także.

Nawet Raladan wodził kiedyś cesarskie eskadry. Nie był wprawdzie żołnierzem, a tylko pilotem na wojennym żaglowcu. Niemniej służył przy wojsku.

Być może to działało w dwie strony. Zejście na drogę bezprawia raz na zawsze zamykało drogę do służby w straży morskiej. Lecz gdyby istniała możliwość – kto wie jak wielu zmęczonych kapitanów spod czarnego żagla wybrałoby w drugiej połowie życia spokojniejszy, bardziej uładowany byt oficera floty imperium? Takie zajęcie pozwalałoby wygodnie korzystać z zebranych przez całe życie owoców.

Kobiety, hulanki, sypanie złotem i srebrem dla kaprysu... To wszystko było dobre za młodu. Przychodził czas, gdy kobiety bardziej męczyły, niż cieszyły, całonocna libacja kończyła się chorobą. Pobolewały stawy i w ogóle gnaty. Jedzący nadpsute peklowane mięso człowiek, od dwudziestu lat siedzący w wilgotnej kajucie pod kasztelem, zaczynał tęsknić do czegoś, co mógłby nazwać domem. Chciał dalej pływać, owszem – ale chciał też mieć dokąd wracać.

Staruch omówił z podkomendnymi jeszcze kilka szczegółów. Pytania? Nie było. Odprawę zakończono.

Kapitanowie kolejno opuszczali kajutę.

– Wasza wysokość, ty jeszcze zaczekaj.

Wkrótce zostali sami.

– Co to za historia z chłopcem?

Opowiedziała, jak było.

– Dlaczego się zgodziłaś? – zapytał, bo przyczyn oczywiście nie podała.

– To mój brat. Prosił, a ja wiedziałam, że Raladan i tak chce go posłać na morze. Gdyby był w Aheli, toby pozwolił – odpowiedziała bez mrugnięcia okiem. – Przypadkiem Nevin ma siostrę dowódczynię żaglowca. Niech raz w życiu odniesie z tego korzyść. Spełniłam

marzenie brata i tyle.

Uwierzył. I popatrzył dziwnie łagodnie.

– Może nie jesteś taka straszna, jak mówią. Wykaż się w tej bitwie dyscypliną, księżniczko. Słyszałem, że lubisz być sławna, ale w wojsku nie zdobywa się sławy na własną rękę. Wykonuj rozkazy, a ja zdążę opowiedzieć, zanim umrę, że uzyskałem od ciebie dobrą pomoc i wsparcie. Do swojej pirackiej sławy dołożysz drugą, inną. Taką, jakiej na własną rękę nie zdobędziesz.

Przez chwilę walczyła z pokusą, by mu powiedzieć o wszystkim. Że nie ma żadnego przeglądu Flotylli Południowej, jest specjalnie zastawiona pułapka, o której wie tylko ona. Że z całej prowincji płyną tu wojenne żaglowce i jeżeli choć kilka eskadr zjawi się szybciej, niż przewidywała, to sześć okrętów agarskiej eskadry natknie się na znacznie silniejszego wroga.

Nie powiedziała. Odważny, ale i rozsądny nadkapitan gotów byłby zawrócić do Aheli.

Podjął decyzję, że nie będą czekać. Szybciej przybyć do Sary się nie dało, więc ryzyko było nawet mniejsze, niż zakładała pierwotnie. Raczej mogły się ziścić obawy kapitanów: że prawie nikogo nie zastaną. Gdyby dowódca eskadry postanowił inaczej, może powiedziałaaby mu wszystko. W trakcie rejsu sporo przemyślała i nie była taka pewna jak dotąd, że świetnie wie, co robi.

– Dobrze – obiecała. – Rzeczywiście, jeszcze się napływam pod swoją własną komendą. A tym razem grzecznie będę robiła, co mi każą. No chyba że...

– Żadnego „chyba że”, księżniczko Ridareto. Wziąłem cię do mojej eskadry.

– Dobrze, dowódco – powtórzyła. – Żadnego „chyba że”.

Poparła przyrzeczenie skinieniem głowy i opuściła kajutę, brzęcząc bransoletami. Usłyszał, jak krzyknęła na obsadę swojej łodzi.

ROZDZIAŁ 31



Na okrętach Eskadry Szkwałów wydano załogom obiad. Daleko nie każdy posiłek przyrządzany na żaglowcu w porze południowej zasługiwał na tę dumną i szlachetną nazwę. Teraz jednak eskadra kotwiczyła na redzie macierzystego portu i choć załogom nie dostarczano frykasów, to jednak mięso było świeże, pojawiły się także jarzyny i trochę owoców. Obdzieleni strawą majtkowie i żołnierze rozłazili się po zakamarkach okrętów, wykrobywali miski drewnianymi łyżkami, potem chrupali kwaśne psiary sprzedawane straży morskiej pod dumną nazwą jabłek.

Na redzie nie było tłoku. Największy port Archipelagu stanowił jednak przede wszystkim przystań wojenną. Wyspa Sara prowadziła wcale duży handel, lecz nie taki, by kupcy czekali w kolejce do nabrzeży rozładunkowych. Na redzie kotwiczyli jedynie ci, którzy z jakichś powodów musieli zmitrężyć trochę czasu, a nie chcieli uiszczać opłat portowych. Teraz, oprócz Eskadry Szkwałów, kiwała się na falach tylko zbutwiała koga, starsza chyba od tych wchodzących w skład Floty Śliwnej, i duża karawela należąca do Związku Portów Wschodnich – ci handlarze docierali najzupełniej wszędzie i wszędzie robili dobre interesy.

Z północnego zachodu, szlakiem od Wysp Końca,

nadciągała oczekiwana druga eskadra Sary o pięknej nazwie: Gwiazdzista – niemal równie sławna jak Eskadra Szkwałów. Okrętom użyczyły swoich nazw armektańskie gwiazdozbiory: Rumak, Topór i Wilk. To im „Szkwały” już wczoraj ustąpiły miejsca przy nabrzeżach w wojennej części portu. Wracającym z morza załogom należał się choćby krótki odpoczynek i zabawa na lądzie. Łatwiej też było uzupełnić zapasy w porcie niż na redzie.

Wyłaniające się późnym rankiem zza horyzontu żaglowce najpierw stanowiły tylko punkciki na morzu, potem plamki. Nie od razu dały się policzyć – wkrótce jednak uznano, że to bratnia eskadra, bo kupieckie konwoje nie pływały w szyku torowym, raczej skupiały się wokół okrętu eskorty. Jednak już przed południem dowodzący „Drugim Szkwałem” kapitan Derrhert odebrał meldunek, że idą aż dwie eskadry. Najwidoczniej Wyspy Końca z jakiegoś powodu dołączyły do Gwiazdzistej swoje trzy odwodowe okręty Floty Rezerwowej. Kilka dni wcześniej niż trzeba.

Większość tych żaglowców należała do „małej floty wysp”. To nie była oficjalna formacja, ani nawet nazwa. Pod banderą Wiecznego Cesarstwa służyły załogi wywodzące się z dwóch zwaśnionych od stuleci morskich ludów: Wyspiarzy i Garyjczyków. Wyspiarze zwykli zaznaczać swą odrębność – ich żagle, choć żółte, czyli w barwach wojsk Morskiej Prowincji, zazwyczaj były jaśniejsze od garyjskich. Co prawda tylko te nowe. Płótna płowiały, jakoś barwników pozostawiała wiele do życzenia. Nawet w bardziej dopieszczonej Flocie Głównej trudno było znaleźć dwa tak samo „żółte” żaglowce. Te tutaj nie były wyjątkiem: z daleka płótna wydawały się

trochę żółte, trochę w barwie lnu, jasnoszare lub prawie białe. Gdyby nie szyk i brak rozmaitych kolorowych oznaczeń na żaglach, te holki mogłyby uchodzić za kupieckie.

Poza tym holk, choć zazwyczaj mniejszy i po prostu gorszy od karaki, był jednak drogim okrętem. Kupcy woleli podobne do nich hogi, też chodzące na wiatr, lecz wolniejsze, bo bardziej pękate, ale dzięki temu mające sporo większą ładowność. Oczywiście było na morzach mnóstwo holków handlowych, rzadko jednak zdarzało się kilka w jednym konwoju.

Kończący obiad żołnierze i żeglarze tłumniej niż zazwyczaj wylegli na pokłady „Szkwałów”, bo nadpływająca eskadra stanowiła pewną rozrywkę. Warto było się gapić, potem zaś ryczeć i machać do przepływających obok bratnich załóg. Kląć i złorzeczyć na huśtanie wywołane odkosami fal dziobowych – nie mogliby pływać trochę delikatniej?!

Niebo wyglądało raczej paskudnie, dość mocno zachmurzone. Widoczność nie najlepsza. Wydawało się jednak, że coś jest nie tak z żaglami coraz bliższych okrętów. Światło na morzu lubiło płatać figle... ale to nie były żółte żagle, obojętnie, jak bardzo spłowiałe. Nie i już.

Ktoś rozdarł się wniebogłosy, wałnął pięścią w łeb i nie czekając na nic, pognał prosto do kajuty kapitańskiej, niemal wyrywając drzwi. Zapomniał o oficerze na pokładzie, chciał prosto do kapitana. Pochylony nad stołem Derrhert, omawiający coś ze swoim zastępcą, gwałtownie się wyprostował, zaskoczony nagłym hałasem.

– Wasza godność... to nie nasi! – wrzasnął majtek. –

Agary! One mają białe... Ja tam był w tej ichniej Aheli!

Derrhert wiedział, jaką barwę mają żagle wojennych okrętów pirackiego archipelagu. Te wyspy nie leżały poza światem, pływało tam całe mnóstwo kupców, a Trybunał rozmawiał z niejednym z nich; ba, w Aheli siedziało dwóch tajnych wywiadowców. Teraz jednak nie mógł zrozumieć, czego chce ten wrzeszczący, chyba pijany marynarz. Zamierzał go przywołać do porządku, ale stojący w drzwiach majtek wyciągnął łapsko, dźgnął palcem powietrze, pokazując północny zachód, i wyryczał raz jeszcze:

– A-GA-RY!

Do Derrherta nagle dotarło. Rzucił się ku drzwiom, odepchnął marynarza i wypadł na pokład.

Sześć holców szło ostrym baksztagiem prosto na kotwiczowisko. Bardzo ładnie pomagała im ciągnąca w stronę lądu bryza. Były o półtorej mili, nie więcej.

– Gotowość bojowa!

Marynarze i żołnierze pognali ku lukom pokładowym. Pierwszy oficer wybiegł z kajuty i popędził do zbrojowni.

– Bezan!

– Tak, panie!

– Kotwica! Uwaga, ster!

– Tak, panie!

– Tak, panie!

Wróg pojawił się pięć dni przed czasem i z przeciwnej strony, niż miał przybyć. Na „Drugim Szkwale” jeszcze nie utrzymywano wacht bojowych, okręt był pod każdym względem niegotowy do walki. Prawie na pewno tak się miała sprawa na wszystkich holcach eskadry.

– Działa!

– Tak, panie!

Służbiste potwierdzenia nie mogły zaczarować rzeczywistości. Przy pełnej bojowej wachcie pokładowej można było zrobić wszystko jednocześnie: już biegliby ludzie do kabestanu; już byliby inni przy żaglach. Nabite działa wystarczyłoby sprawdzić. Teraz marynarze i żołnierze dopiero tłoczyli się na wąskich schodniach, biegli po broń, pędzili na stanowiska. Rozpalano ogień w maźnicach.

Na szczęście czasu było dość – przy tym wietrze półtorej mili dało się pokonać całkiem szybko, ale przecież nie w mgnieniu oka. Wszystkie trzy holki mogły zejść z kotwicy, postawić żagle, wziąć dowolny wiatr. Nie kotwiczyli przy samym brzegu; mogli pójść z bryzą ku niemu i uzyskać wystarczającą prędkość do wykonania dowolnego manewru. Kłopot był innego rodzaju: to nie na „Drugim Szkwale” powiewała flaga dowódcy eskadry.

A na „Pierwszym” nic się nie działo.

Na szczęście dostrzegli gorączkową krzątaninę, a może i dosłyszeli hałasy na „Drugim”. Rozdarł się wreszcie marynarz na oku i niedługo potem na fokmaszt wystrzelił proporzec dowódcy, na sztagu zaś załopotiała płachta sygnałowa, nakazująca podniesienie bander głównych i wojennych.

Od tej pory do kapitana-setnika Derrherta niewiele już należało. O wszystkim decydował nadsetnik dowodzący trzema „Szkwałami”.

Wielka eskadra agarska zbliżyła się znacznie. Widoczne już były kreseczki flag na topach masztów, choć nie dało się odgadnąć barw i wzorów. Lecz agarskie okręty chyba się nie wyłamywały z ogólnie przyjętych

zwyczajów. Oznaczało to, że na grotmaszcie powiewa flaga główna – zazwyczaj kraju, prowincji albo rodzaju sił zbrojnych – na tylnym tradycyjnie trójkątna bandera wojenna, na fokmaszcie zaś flaga dowódcy lub tylko długie języki flag wiatrowych, pomagających w najważniejszym ustawieniu żagli.

Daleko na horyzoncie pojawiły się kolejne okręty. Kilka; na razie nic więcej nie dało się powiedzieć; w całości mógł je obejrzeć tylko majtek w bocianim gnieździe. One też szły w szyku torowym – chyba. Odległość była jeszcze zbyt duża.

Kolejna eskadra agarska? Raczej nie, bo czemu miałyby służyć takie rozdzielenie sił? Osłabiało każdą grupę okrętów, w zamian ułatwiało ich wykrycie przez niepożądane oczy. To mogła być oczekiwana bratnia Eskadra Gwiazdzista.

Agarczycy musieli ją widzieć od dawna – jedni i drudzy szli znanym szlakiem. Uciekali przed nią?... Raczej tylko próbowali jak najszybciej przypłynąć do kotwicowiska pod Sarą i sprawdzić, co stoi na redzie, po czym wydać temu bitwę albo nie. Swoboda manewru, inicjatywa – wszystkie taktyczne przewagi były po stronie „gości”.

Flagowy okręt Eskadry Szkwałów podniósł kotwicę i poszedł pełnym baksztagiem ku Sarze, sygnalizując: „Szyk roju!”. „Drugi” i „Trzeci Szkwał” poszły za nim, trzymając się na obrzeżach ćwiartki rufowej.

Eskadra mogła uciec do portu – tylko ktoś niespełna rozumu wprowadziłby jej śladem sześć okrętów za falochrony, a potem poszedł ciasnym kanałem portowym do bitwy, z której bez względu na wynik nie zdołałby się wycofać. Lecz decyzja o ucieczce musiała zaważyć na

losach drugiej imperialnej eskadry – ci marynarze i żołnierze (o ile, rzecz jasna, to naprawdę byli oni) płynęli na pomoc Sarze i wydawało się wątpliwe, by uciekli, jeśli wróg zawróci. Nie znali losu „Szkwałów”; nawet z mniejszej odległości niewiele mogli dojrzeć na tle miasta i wyrastającego z portu lasu masztów.

Płynące teraz półwiatrem „Szkwały” nabierały szybkości. Brzeg był blisko; nie mogli dalej płynąć tym kursem.

Lecz również nie mogli zrobić zwrotu przez rufę i odpaść do prawego baksztagu lub półwiatru – od sterburty tak samo mieli brzeg, tworzący tu łagodne zakole. Pozostało iść do portu albo wyostrzyć i lewym halsem popłynąć na wschód, najpierw wzdłuż falochronu. Wróg, chcąc przechwycić eskadrę, także musiałby wyostrzyć i ruszyć na przecięcie jej kursu. Czy było dość czasu, by minąć wejście do portu, pójść jeszcze kawałek wzdłuż brzegu i po zwrocie do pełnego bajdewindu ruszyć na spotkanie napastników? Po czym przepłynąć przed dziobami okrętów wroga, idąc w tym kierunku, z którego nadciągnął – czyli na spotkanie tych dalekich, prawdopodobnie bratnich żagli na horyzoncie?

W grę wchodziło jeszcze przyjęcie bitwy u wejścia do portu.

Eskadra siedziała na własnym podwórku. Oprócz trzech ciężkich okrętów, tworzących jej rdzeń, miała do dyspozycji dwie szniki: jedną własną i jedną Gwiazdzistej – te okręciki nie wychodziły na dalekie patrole ani do ochrony konwojów. Każdą eskadrę wspierały dwa takie żaglowce, na zmianę pełniące służbę bliskiego zwiadu. Do dłuższych rejsów nie dało się na nich upchnąć dużo

więcej żołnierzy, niż przewidywał regulamin. Lecz do bitwy na redzie portu?... Dowódca eskadry mógł być niemal pewien, że na pokłady „odpoczywających” sznik pakuje się właśnie wszystko, co żyje i może nosić broń, nawet lądowe szczury z garnizonu Legii Garyjskiej. Do burty uwikłanego w abordażowy bój holka mogła podejść choćby mała sznika, miotająca dziesiątkami strzał i bełtów, gotowa przerzucić na pokład wroga dodatkowych żołnierzy.

Eskadra mijiała wejście do portu i kapitanowie „ogonów” roju już wiedzieli, że następnym rozkazem danym przez prowadzącego będzie rozkaz do zwrotu przez sztag. Ucieczka półwiatrem wzdłuż wyspy nie wchodziła w rachubę – już kilka mil dalej brzeg uciekał ku północy, czyli musieliby pójść prosto na spotkanie chcącego ich przechwycić wroga. Osiągnęliby to samo, oddalwszy się od portu i wsparcia, którego mógł udzielić. Należało więc podjąć próbę przemknięcia przed dziobami lub przerwania szyku Agarczyków – a może po nowemu: Aherów. Gdyby się nie udało, mogli przyjąć bitwę i liczyć na rychłą odsiecz ze strony sznik, przeciągając bój do momentu przybycia Eskadry Gwiazdzistej.

Zwrot flagowca przez sztag został poprzedzony czytelnym sygnałem: „Torowo!”. „Pierwszy Szkwał” poszedł prawym bajdewindem i dalej odpadał niemal do półwiatru, od nowa nabierając szybkości. Dwa podległe okręty jednocześnie wykonały zwrot niedługo potem, w śladzie flagowca, mając go na lewym trawersie.

Szli torowo.

Aherowie wyostrzyli, po czym trzy okręty wyszły

z linii, tworząc po zwrocie drugą eskadrę, idącą teraz w szyku czołowym, lewym halsem niemal prosto na północ. Wykonano ten manewr sprawnie; wyjście z linii co drugiego okrętu zostawiało sporo miejsca i nie groziło zderzeniem. Tam siedzieli prawdziwi żeglarze, na pewno nie gorsi od cesarskich. Okręty odzyskały prędkość po zwrocie i wykonały kolejny – teraz eskadry tworzyły dwie równoległe linie idące kursem północno-wschodnim ku wschodowi.

Nierówna bryza wiała niemal prosto z północy, ale trudno jej było ufać – bardzo ostre kursy mogły się zakończyć utratą sterowności. Idące na północny zachód holki imperialne miały teraz nieco lepszy wiatr w żaglach i byłaby nadzieja na przerwanie szyku wroga – ale nie dwóch równoległych szyków, zwłaszcza że wróg znajdował się od nawietrznej. „Szkwały” znalazłyby się między liniami, z których druga natychmiast mogłaby pójść pełniejszym wiatrem i mając przewagę szybkości, przechwycić uciekinierów.

Było już jasne, że Eskadra Szkwałów nie zdoła się przebić, by popłynąć na spotkanie Gwiazdzistej – wróg nie chciał popełnić błędu. Nadsetnik podjął decyzję o wydaniu bitwy bliższej eskadrze wroga. „Szkwały” po raz kolejny przyjęły szyk roju, bo był najlepszy do walki abordażowej.

Dobre pół mili dalej pierwsza eskadra agarska dalej szła kursem północno-wschodnim ku północy, gdy okręty drugiej kolejno odpadały do baksztagu, zachowując szyk torowy. Wkrótce to samo zrobiła pierwsza eskadra. Dwie linie okrętów ustawionych jeden za drugim szły na spotkanie imperialnego roju.

Za rufami cesarskich żaglowców łodzie wyprowadzały z za falochronu pierwszą sznikę. Przy bryzie wiejącej w sam dziób nie zdołałyby wyjść z portu o własnych siłach. Widać już było maszt drugiej szniki, wciąż ze zwiniętym płótnem.

Odległość między wrogimi formacjami malała.

Poczynania Aherów mogły dziwić: przy takim złożeniu prędkości własnej i przeciwnika prawie nie było mowy o przejściu do abordażu. Wyglądało to tak, jakby agarski dowódca – albo raczej dowódcy obu eskadr chcieli dokonać tego, czego zaniechali imperialni: przejść na wylot przez rój i zostawić strażników morza za rufami swoich okrętów... otwierając w ten sposób Eskadrze Szkwałów drogę ku nadpływającej Gwiazdzistej.

Dwa rzędy holków z białymi żaglami, nie wytracając prędkości, wzięły między siebie „Pierwszy Szkwał”, próbujący podejść do burty prowadzącego, na której już dało się odczytać nazwę „Jurny Żeglarz”. Agarskie eskadry nie szły całkiem równo, bo druga nie nadążyła, i ustawiły się „w schody”: wiceflagowiec prowadzący tę eskadrę miał na lewym trawersie ostatni żaglowiec pierwszej.

Śmigwały już w powietrzu strzały z łuków i kusz, niektóre zapalające; krzyknęli pierwsi ranni. Flagowy „Szkwał” dał ognia z baterii dziobowej i przyniósł sobie chlubę, trafiając jednym z pocisków blisko kluzy, nieco powyżej linii wodnej. Zaraz potem mogły przemówić działa prawej burty, bijąc w kadłub przemykającego przeciwnika. To było dobre strzelanie, na pokładzie Ahera poszła w drzazgi szalupa, rozbrzmiały ryki i wycia rannych ludzi.

„Jurny Żeglarz” odpowiedział pełną salwą burtową oddaną z odległości może czterdziestu łokci. Towarzyszył jej drugi grzmot, rozbity na dwadzieścia mniejszych. To nie były działa. Ciężkie hakownice?...

Poprzez kłęby dymu dało się dostrzec nazwę kolejnego żaglowca w linii: „Myśliwy”. Otworzył ogień zaraz po „Żeglarzu”, tak samo nie zmniejszając prędkości.

Nikt tej nazwy nie czytał.

Być może w przyszłości miały się pojawić na morzach znacznie większe i solidniej budowane okręty, zdolne długo wytrzymać każdy ogień. Jednakże zakładkowe poszycie sześćdziesięciolokciowego holka nie było w stanie sprostać żeliwnym pociskom wystrzelonym z cięższych i mocniejszych dział, niż zazwyczaj wożono na pokładach. Pięć kamiennych kul imperialnych, z których dobrze trafiły dwie, miało się całkiem nijak do siedmiodziałowej salwy okrętu z białymi żaglami. Za zdruzgotanym nadburciem „Pierwszego Szkwału” zaczął się walić na pokład rufowy kasztel; trzask pękających desek z trudem się przebił przez ryki przygniecionych szczątkami bądź spadających na pokład żołnierzy i marynarzy. Kule z hakownic łamały i przebijały deski. Salwa kolejnego w szyku „Myśliwego” dopełniła dzieła, do reszty masakrując nadburcie i wybijając dziury w kadłubie. Zaraz potem trzeci w szyku okręt z białymi żaglami oddał salwę – nie tak równą jak poprzednicy, lecz jej siła była równie duża, znowu strzeliło siedem dział. Tutaj też mieli hakownice, co prawda nie dwadzieścia, bo najwyżej kilka.

Prawie jednocześnie w przeciwną burtę „Szkwału” trafiło siedem pocisków z flagowca drugiej eskadry; część

nazwy tego okrętu zakrywały jakieś splątane zwisające liny i dało się odczytać tylko: „Dziewica”. Ta formacja tak samo torowo przechodziła na wylot przez szyk imperialnych, rozstrzeliwując po drodze „Pierwszy Szkwał”.

Chyba jeszcze nigdy w dziejach wojen gotowy do boju i sprawny okręt nie został całkowicie wytracony z walki za pomocą samej artylerii. „Potrójna Sztuka Złota”, podobnie jak poprzednicy zasypująca wroga dziesiątkami bełtów i strzał, dokonała dzieła, z bardzo małej odległości demolując flagowiec do reszty, choć strzeliło tylko sześć dział – czasem któreś nie wypalało. Płonął fok, którego nie miał kto gasić, z wnętrza kadłuba dobiegały opętańcze skowyty, na pokład runęła grotreja z żaglem. Ostatni w szyku mały holk puknął słabo z czterech dział burtowych – to były zwykle bombardy i zwyczajne kamienne kule, ale i one trafiły, zbierając ostatnie żniwo. Zdemolowany trup okrętu bardziej przypominał kupę połamanych desek niż wojenny żaglowiec imperium. Zataczał się na wodzie; nad sterem nikt nie panował, nie rozbrzmiewały rozkazy. Stracił sterowność i mocno przechylił się na burtę, czerpiąc wodę wybitymi dziurami.

Huk dział nie ustawał. Agarscy kanonierzy przebiegli na drugą burtę i tłukli teraz do „Trzeciego Szkwału”, a wcześniej przemówiły działa pościgowe. Żołnierz nie pozostał dłużny, ale jego bateria burtowa mogła uczynić tylko to, co zwykle: zadać straty przeciwnikowi i nieco go osłabić przed bojem abordażowym. Wielokrotnie cięższa salwa agarskiej eskadry zaraz nauczyła „Trzeci Szkwał” moresu. Obrywał tylko w bakburtę, nie został wzięty

w dwa ognie przez dwie linie, lecz i tak zebrał ciężki. Nadpływające okręty zachowały specjalnie dla niego pociski w działach dziobowych i rejteradowych, w sumie więc otrzymał podobną porcję żeliwa. Znowu przemówiły hakownice, choć tym razem te lżejsze, zapasowe.

Druga eskadra z mniejszym od innych holkiem na końcu dobierała się właśnie do „Drugiego Szkwału”, zasypywanego deszczem strzał, odgryzającego się z największą zaciętością, lecz właściwie bezbronnego wobec trzech mknących żaglowców, które ani myślały się wikłać w bój abordażowy. Nie musiały.

Sześć agarskich okrętów przeszło przez szyk cesarskich, w ogóle nie łamiąc linii. Nikt nie poszedł dotąd na dno, lecz flagowiec strażników płonął i nie miał żadnej wartości bojowej, a na dwóch pozostałych straty i zniszczenia były przerażające. „Trzeci Szkwał” stracił fokmaszt; „Drugi” miał kilka pożarów, które z trudem gasiła zdziesiątkowana załoga. Po stronie wroga tylko „Dziewica” unosiła na rufie mały płomień, który jednak zagrażał bezanowi i objął go na koniec, pogarszając sterowność okrętu. Płonący żagiel zdołano ściągnąć z masztu, nim ogień się przeniósł dalej, lecz „Chętna Dziewica” wyszła z linii, opuszczając flagę wicedowódcy; natychmiast ją podniosła „Sztuka Złota”.

Pięć agarskich okrętów szło teraz na spotkanie dwóch sznek, które mogłyby nawet przeważać szalę bitwy, włączając się do walk abordażowych, lecz nie mogły marzyć o pokonaniu półdziesiątki całkowicie sprawnych holców. Szybkie okręciki lawirowały pod wiatr – wróg nadciągał baksztagiem na skrzydłach morskiej bryzy.

W tych warunkach zwrotność rozpoznawczych okrętów okazała się niewystarczająca: „Jurny Żeglarz” i „Myśliwy” doszły do ich burt i udaremniły ucieczkę. Śmignęły haki i kotwice abordażowe, zaczepiono bosaki. Niższe i mniejsze okręty walczyły zaciekle, lecz stłoczeni na pokładzie żołnierze, których było dwa razy więcej niż zwykle, choć ślali mnóstwo pocisków, to zarazem stanowili łatwy cel. Osiemdziesięciu ludzi na pokładzie szniki stworzyło po prostu tłum. „Potrójna Sztuka Złota” jęła krążyć wokół szcepionych żaglowców, gęsto włączając do walki swoich licznych strzelców pokładowych. Majtkowie uwijali się przy działach, czyszcząc je i ładując ze sprawnością nabytą przez lata ćwiczeń. Okręt podszedł wreszcie do szniki walczącej z „Myśliwym” i niemal zgniół ją, przyciskając do burty bratniego żaglowca. Półtorej setki żołnierzy w czerwonych chustkach na głowach posyłało pociski z kaszteli bądź szykowało się do abordażu; na sznicie gotowych do walki pozostało może czterdziestu zbrojnych, czyli najwyżej połowa.

Masa najrozmaiciej uzbrojonych ludzi w czerwonych chustkach na głowach runęła na pokład okręciku, atakowi towarzyszył triumfalny ryk. To był łatwy abordaż – burty holców piętrzyły się nad uwięzioną między nimi szniką. Okryci lekkimi kolczugami, rzadziej brygantynami morscy piechurzy z holców wywijali każdą bronią, mieczami i toporami, pałkami okutymi żelazem – ten ostatni oręż łamał gnaty nawet przez giętką zbroję. Przedostawszy się na okręt wroga, agarscy żołnierze natychmiast sięgali po noże i półmiecze; wolna ręka już nie była potrzebna do przytrzymywania się lin. Trafili na

równych sobie, ale kilkakrotnie mniej licznych wojowników.

„Jurny Żeglarz”, choć trzymał drugą sznijkę przy burcie, to nie wszczął walki wręcz. Prowadził tylko walkę strzelczą. Posyłający pociski z dużej wysokości, skryci za krenelażem kaszteli dwakrotnie liczniejsi łucznicy i kusznicy mieli ogromną przewagę nad stłoczonymi na ciasnym pokładzie strzelcami wroga. Zrozpaczeni i wściekli cesarscy piechurzy próbowali wspinać się na burty wrogiego okrętu, by stanąć do walki twarzą w twarz. Zestrzeliwano ich, spychano bosakami, spadali między kadłuby lub na głowy towarzyszy niżej. Nie było mowy, by w takich warunkach dotarli na pokład przeciwnika. Dokonaliby tego, gdyby wróg został związany walką przez dorównujący mu okręt – wtedy pokonaliby nielicznych, skierowanych przeciw nim obrońców i przeważyli szalę.

Największym wrogiem każdego żaglowca był ogień; należało go tłumić natychmiast, w zarodku. Lecz płonące pociski wypuszczano oszczędnie, bo zabawa ogniem na własnym pokładzie uchodziła za niebezpieczną co się zowie – prawie tak niebezpieczną, jak ostrzał ze strony wroga. Trafiony łucznik z nałożoną na cięciwę zapalającą strzałą potrafił ją upuścić, a nawet posłać we własny żagiel. Bardzo niewiele strzelców wyznaczano do trudnego zadania, jakim było przerwienie ognia na nieprzyjacielski okręt. Podpalano wroga smolnymi wieńcami dopiero wtedy, gdy dogasała walka.

Czasem jednak, przy łucie szczęścia, strzelcy wcześniej osiągnęli cel.

Pożaru na „Drugim Szkwale” nie udało się opanować. Rozbrzmiał potężny grzmot, gdy wyleciała w powietrze

prochownia. Cały dziób rozleciał się w drzazgi, zasypując morze deszczem połamanego i nadpalonego drewna. Okręt przechylił się gwałtownie i zaczął pogrążyć w morzu, nisko nad powierzchnią snuł się kłęb szaroczarnego dymu.

„Trzeci Szkwał” nie miał płomieni na pokładzie, lecz powalony fokmaszt, częściowo tkwiący w wodzie, niemal całkowicie uniemożliwił sterowanie okrętem. Zakrawało na jakiś ponury wojenny żart, że jedynym jako tako sprawnym żaglowcem pozostawał najbardziej zdemolowany, niemający połowy załogi flagowiec. Fok spłonął, lecz zerwanie grotrei okazało się zbawienne, bo ogień nie przeniósł się dalej. Idący na samym bezanie holc odzyskał sterowność, ale nie mógł przed nikim uciec ani nikogo dogonić.

Próbował jednak przyjść z pomocą mordowanym sznikom.

Dwa okręty pilnowały, by nie przyszedł.

Lekko ranna „Dziewica” odeszła nieco na bok, towarzyszył jej najmniejszy z holców. Ostatni okręt, ze szkarłatnym napisem „Ślepa Ridi” na rufie, krążył wokół pola morskiej bitwy niczym szczerzący zęby pies.

Niekarna piracka załoga Ridarety wściekała się i pomstowała wniebogłosy. Chcieli włączyć się do walki i chociaż podorzynać cesarskich, skoro niemal całą robotę już wykonali inni.

Dowódczyni nie pozwoliła. Rozzłoszczona tak samo jak jej chłopcy, raz w życiu postanowiła, że położy uszy po sobie. Tylko raz! Obiecała coś Staruchowi i zamierzała dotrzymać.

Ale właśnie się rozwiewała jej legenda. Rozgoryczona

załoga wkładała oto między bajki wyczyny swojego żaglowca w czasach, gdy nosił jeszcze nazwę „Zgniły Trup”. Do niedawna odnosili zwycięstwa pod komendą Cichego; tylko raz dostali łupnia od żaglowca pułapki. Ale przynajmniej walczyli! Teraz trochę postrzelali z łuków i dział, po czym całą robotę zostawili innym. Sławę, zwycięstwo i zdobycz.

Bohatersko wloką się ku sznikom „Pierwszy Szkwał” był najwspanialszym prezentem, jaki mogła dostać Piękna Ridareta. Powinna, a nawet musiała złapać go za łeb. Pirat miał przecież pilnować, by nikt nie przeszkadzał żołnierzom z eskadry Starucha.

„Czarny Kamień” kontrolował wejście do portu – zza falochronu mogło przecież wypłynąć coś jeszcze, a szczipione ze sznikami okręty Starucha nie były zdolne do boju manewrowego. Na „Dziewicy” naprawiano uszkodzenia; bez skośnego płótna na bezanmaszcie okręt był po prostu wołowaty.

Mevev już ryczał komendy do zwrotu. „Ślepa Ridi” poszła bajdewindem na spotkanie flagowego holka cesarskich, który ledwie się trzymał na wodzie.

Kilka mil dalej widać było żółte żagle nadpływającej z odsieczą eskadry.

Staruch powinien trochę się pospieszyć.

W wodzie pływali liczni rozbitkowie z „Drugiego Szkwału”, który jakimś cudem jeszcze nie poszedł na dno – z morza wystawała tylko rufa, niemal pionowo godząca w zachmurzone niebo, oblepiona przez kurczowo trzymających się marynarzy. Wielu zsunęło się do wody. Twarz jednego z tych nieszczęśników, których „Ślepa Ridi” właśnie brała pod kil lub podtapiała wezbraną po

przejściu okrętu falą, wydała się Ridarecie znajoma. Wrzasnęła na Cichego i pokazała palcem. Spojrzał, zarechotał, twierdząco kiwnął głową i wrócił do swojej roboty. A pracował ciężiej niż zwykle, bo miał u boku chłopaka, który chłonał każdy jego rozkaz, każde słowo i rozognionymi oczami rozglądał się po okręcie. Temu młodemu człowiekowi należało pewne rzeczy objaśniać i tłumaczyć.

Przystojny setnik-kapitan Derrhert, uczepony oplątanej linami belki, na pewno bardzo się cieszył, że wymyślił plan zwabienia agarskiej floty w pułapkę.

Ridareta wrzeszczała co tchu w płucach, wiwatując na cześć wolnej Garry, ale nie mogła mieć pewności, czy dosłyszał.

Lecz nazwę na rufie żaglowca bez wątpliwości przeczytał.

Telepiący się na wodzie „Pierwszy Szkwał” i idąca ostro pod wiatr „Ridi” nie zeszły się z taką prędkością jak wcześniej. Żołnierz miałyby przewagę prędkości i manewru – ale musiałyby mieć żagle, a wiózł tylko jedną skośną szmatkę na bezanmaszcie. Na dobrą sprawę musiałyby poprosić pirata, by ten zechciał się zgodzić na abordaż. Dowódczyni okrętu zgodziła się chętnie, najpierw jednak pokładowi strzelcy zasypali wroga ulewą pocisków, a strzelali na wyścigi, bo naprawdę się bali, że za chwilę kapitana zmieni zdanie i znów im każe wyjść z walki. „Pierwszy Szkwał” odpowiadał słabo z pogruchotanego dziobowego kasztelu – rufowy prawie nie istniał – lecz nie aż tak słabo, by się dało wzruszyć ramionami. Zleciał na pokład „Ridi” zabity łucznik, kilku innych odniosło rany. Walnęła pojedyncza bombardarda

strażnika, którą wykopano z połamanych desek i zdołano nabić na nowo.

Ale kanonierzy na „Ślepej Ridi” też przecież nie próżnowali. Ich okręt dość długo udawał pasterskiego psa i działa zostały nabite. Nim liny i bosaki szepiły oba kadłuby, poszła salwa burtowa – sześć pocisków, bo jedno działo nie wypaliło, tak jak wcześniej na „Sztuce Złota”. To był ostatni kopniak, jaki musiał wytrzymać flagowiec Eskadry Szkwałów. Teraz przeciwnik zamierzał już tylko skakać mu po brzuchu – aż do skutku.

A jednak piraci nie mieli przed sobą łatwej walki. To naprawdę była dobra eskadra i naprawdę dobrzy żołnierze.

Ridarecie brakowało jednej trzeciej załogi. Na okręcie musiał ktoś zostać, więc do abordażu poszła niepełna setka, skutkiem czego jęły się tam mordować mniej więcej równe gromady. Wojskowa sprawność szła o lepsze z piracką zajadłością. W pierwszej chwili przewaga liczebna była po stronie atakujących, lecz wkrótce z zakamarków okrętu jęli się wyłaniać wszyscy jeszcze zdolni do boju, lekko i ciężej ranni; biegli ci od steru i oficerowie, marynarze ramię w ramię z morskimi piechurami. Bronili swej skóry nawet ci, którzy zwykle woleli siedzieć gdzieś w ładowni, bo od wojowania byli przecież żołnierze i to oni przeskakiwali na pokłady wrogich żaglowców. Brali srebro za wojaczkę i mieli przywileje, których w imperialnych wojskach odmawiano służbom – żeglarz na cesarskim okręcie był kimś w rodzaju wozaka z taborów.

Lecz czasem nawet wozaków wróg zmuszał do walki o życie.

Źle to wyglądało i Mevev zostawił Nevina pod kasztelem, po czym wrzasnął na dowódczynię:

– Biorę resztę! I tak nigdzie nie popłyniemy!

Wskazał niezliczone kotwice i liny spinające okręty.

Wszystko, co jeszcze zostało na „Ridi”, jęło pod wodzą Sayla i Meveva przeskakiwać na pokład nieprzyjacielskiego okrętu. Zaniechano nabijania dział, ostatni łucznicy zbiegali z kaszteli, bo i tak nie mogli strzelać do zmieszanej zgrai walczących. Bitewny gwar znowu się wzmógł. Nikt nad tym nie panował i zapanować nie mógł – prawa walki na morzu niewiele miały wspólnego z regułami bitew lądowych. Tu się staczało niezliczone pojedynki, urządzano polowania i pościgi pośród olinowania i szczątków nadbudówek. Ściągano się z wantów i wyrzucano do morza, a w użyciu była każda broń – jakiś rozbrojony majtek walczył nożem i odciętym od liny hakiem abordażowym. Właśnie wbił go w pośladek próbującego umknąć na resztki kasztelu żołnierza i wyzwolił nieprzytomny ryk bólu, który wzniósł się ponad hałas bitewny.

Zleciał do morza wrzeszczący marynarz z tryskającym krwią kikutem ręki; ktoś mu ją odrąbał mieczem lub toporem.

Szła w sukurs „Ślepej Ridi” „Chętna Dziewica”, na której podniesiono nowy bezan. Chciał jej towarzyszyć „Czarny Kamień”, ale wyręczane z małej odległości rozkazy nie pozostawiały wątpliwości: wracaj! Mały holk rad nierad zawrócił, idąc ku reszcie eskadry, wciąż jeszcze unieruchomionej. Przecinano tam właśnie liny spinające szniki z holkami, odpychano kadłuby bosakami. Podkładano ogień na jednym z opanowanych żaglowców,

drugi obsadzono załogą przyzową. Żołnierze w czerwonych chustkach popędzali nielicznych wziętych do niewoli marynarzy i strażników morza. Własnym rannym pomagano wrócić na pokład, niemogących chodzić układano w zdobyczej, opuszczonej na wodę łodzi, by ostrożnie przewieźć z powrotem.

„Dziewica” była już blisko szepionej z „Pierwszym Szkwałem” „Ridi”.

Na pokładzie pirackiego holka zostało tylko kilku ranionych jeszcze przed abordażem łuczników, młody Nevin na pokładzie rufowym i stojąca pod masztem dowódczyni. Dyszeli dwaj mokrzy, opici morską wodą marynarze, których w trakcie walki wyrzucono za burtę i którzy z najwyższym trudem zdołali wrócić na okręt.

Na pokładzie strażnika nadal trwała walka. Ciągłe nierozstrzygnięta.

Niemal przy samej burcie runął na pokład jakiś człowiek i Ridareta rozpoznała Meveva. Bardzo zdrowo oberwał, miał rozbitą głowę. Chwycił go za kapotę jakiś wielki żołnierz, poderwał na nogi, pchnął na maszt. Półprzytomny oficer chyba nawet nie widział, jak przeciwnik zamierzył się mieczem. Nie było cudów – musiał rozrąbać łeb.

Nie mogła podpalić żołnierza, bo razem z nim spłonąłby Cichy. Rozerwała piechura na strzępy – tak jak nożownika w płonącej izbie w tajnym więzieniu Trybunału.

Wielki żołnierz rozleciał się w postaci krwawych strzępów mięsa i kości.

A razem z nim wszyscy ludzie, których miała w polu widzenia.

Wrzawa na „Szkwale” umilkła jak ucięta nożem.

o o o

„Chętna Dziewica” zdjęła z „Pierwszego Szkwalu” niespełna trzydziestu ludzi, w tej liczbie kilku jeńców. Nie wszyscy walczący byli na pokładzie, zmagano się także pod dziobowym kasztelem i w ładowni. Z samego pokładu zabrano kilku rannych, którzy leżeli zasłonięci przez resztki nadburcia bądź szczątki rufowego kasztelu. Pozostali ludzie, żywi i nieżywi, wszyscy, jacy byli w zasięgu wzroku Ridarety, stanowili krwawą miazgę pokrywającą cały holk.

Porzygało się kilku żołnierzy i majtków.

Komendę nad „Ślepą Ridi” objął drugi oficer „Dziewicy”. Piękna piratka nieruchomo siedziała pod masztem, trzymana za rękę przez brata. Leciutko uśmiechnięta, gapiła się gdzieś w chmurne niebo. Chyba nie słyszała, co się do niej mówi.

Szły w niebo kłęby dymu z podpalonej szniki i flagowca, rwane wiatrem smugi snuły się nad wodą. Na powierzchni wciąż się trzymał „Trzeci Szkwale” i obsiądnięta przez rozbitków rufa „Drugiego”. Pływali podtopieni, często ranni żołnierze i marynarze, z wielu stron dobiegały krzyki i prośby o pomoc. Ktoś wygrażał, ktoś tylko kłął.

Eskadra Gwiazdzista nie zrezygnowała. Na tych okrętach nie znano przebiegu bitwy, słyszano tylko huk dział. To była wprawdzie zupełnie wyjątkowa kanonada – niemniej przecież tylko kanonada. Strażnicy morza nie chcieli porzucić swoich towarzyszy – a poza tym umieli

liczyć. W takim boju wróg musiał ponieść bardzo wysokie straty i trzy dobrze obsadzone żaglowce z wypoczętymi załogami miały pełne szanse uporania się z tym, co zostało. Wciąż trzymały się na wodzie dwa „Szkwały” – jeden chyba zdobyty, ale drugi jeszcze nieopanowany przez wroga. Staruch odesłał do tyłu zdobyczną, obsadzoną przez kilku ludzi sznikę i dwa najslabsze holki – mały i kiepsko uzbrojony „Czarny Kamień” oraz „Ślepą Ridi” ze szkieletową załogą – po czym tak jak poprzednio podzielił siły na dwie, co prawda mniejsze eskadry. Idąc przeciw Gwiazdzistej, jeszcze raz ostrzelał „Trzeci Szkwał”, bo miał pewność, że zdąży naładować działa przed spotkaniem z nadpływającym nowym wrogiem. Nieszczęsny holk zgruchotano do reszty, runął kolejny maszt. Próbującą walczyć na odległość załogę zasypano setkami strzał z przepływających okrętów. Znów ozwały się ciężkie hakownice. Staruch zostawił za sobą dryfujący, zasłany trupami i rannymi wrak, zdążył nabić działa przed spotkaniem z nowym wrogiem, po czym powtórzył wszystko, co przećwiczył w pierwszej części bitwy. Eskadra Gwiazdzista, tak jak wcześniej „Szkwały”, wchodziła do bitwy w szyku roju, bo zostawiał kapitanom dość swobody i pozwalał się skupić na wybranym celu. Cztery agarskie okręty tak samo wzięły między swoje linie flagowiec wroga i podobnie zdemolowały go z dział, a potem poczęstowały salwami z drugiej burty dwa pozostałe holki. Wróg był od nawietrznej, miał przewagę manewru i tym razem nie mogło się udać przejście na wylot przez szyk, lecz Staruch nawet nie próbował. Po obezwładnieniu flagowca, mając dwukrotną przewagę w ludziach i okrętach, wcale nie chciał uchylić się od

abordażu.

Sprawdziły się dawane z flagowych okrętów sygnały. Nadciągał przyzwany „Czarny Kamień”, który miał dopilnować, by dowódca Eskadry Gwiazdzistej nie pozbierał się po salwach Starucha. Mały holk piracki nawiązał zupełnie równorzędną walkę z pogruchotanym strażnikiem, który stracił działo burtowe, były więc cztery bombardy przeciw czterem. Nie próżnowali łucznicy. Żaden z okrętów nie dążył do abordażu – żaglowiec Paktenoda był mniejszy, a strażnik bardziej postrzelany. Dwa holki próbowały się podpalić za pomocą ognistych pocisków i od czasu do czasu tłukły do siebie z dział. Zdołały wymienić kilka salw.

Nim nastąpiła noc, było po bitwie. Na „Wilku” i „Toporze” podłożono ogień; oba okręty, opuszczane przez niedobitki załóg, płonęły. Przypilnowany przez pirata, a potem otoczony przez agarskie okręty flagowy „Rumak”, mający na pokładzie wielu zabitych i rannych, opuścił wojenną banderę, zdając się na łaskę zwycięzców. Załoga poszła do niewoli, a zdobyczny okręt, mocno pogruchotany, lecz jako tako sterowny i zdatny do żeglugi, obsadzono załogą przysową. W tym czasie piraci podjęli z wody znaczną liczbę rozbitków, a wśród nich lekko rannego dowódcę „Drugiego Szkwału”, przyjęli też nieszczęśników siedzących na rufie holka, wciąż jeszcze sterczącej z wody.

Na wrak „Trzeciego Szkwału” szkoda było czasu – okręty mijały go kolejno, na pożegnanie druzgocząc burtowymi salwami. Załoga uciekła z pokładu, więc łucznicy bez trudu podpalili to, co zostało z takielunku. Wiwatujący żołnierze i żeglarze oglądali za rufami swych

okrętów wyskakujących do morza ocalałych członków załogi, próbowano tam spuścić na wodę uszkodzoną łódź. Wypalony i podziurawiony kadłub, nawet jeśli nie miał pójść na dno, przedstawiał już tylko wartość właśnie drewna opałowego.

Staruch miał dosyć walki i nie zamierzał dokonywać żadnych więcej bohaterskich czynów. Przekazał dowództwo Paktenodowi, do którego w ciągu minionej bitwy nabrał szacunku i zaufania. Dobrze uczynił. Piracki kapitan naprawdę znał te wody i pewnie poprowadził okręty szlakiem między Grupą Wschodnią a Środkową. Do Trakki już się nie wybierali.

Następnego dnia byli na Bezmiarze Południowym i „Jurny Żeglarz” ponownie znalazł się na czele eskadry, wraz ze zdobytymi okrętami mającej teraz rozmiary flotyli.

W zabitych, rannych i jeńcach straż morską Archipelagu Południowego utraciła pięciuset do sześciuset żołnierzy piechoty morskiej, do których należało doliczyć kilkudziesięciu legionistów wspierających załogi sznik i około dwustu marynarzy. Do niewoli trafiło wielu oficerów: nadsetnik-komendant eskadry, trzech kapitanowie i kilku podsetników; ponadto trzech szyprów-pilotów. Biorąc pod uwagę, że były to dobre załogi i doświadczeni dowódcy, straty Wiecznego Cesarstwa wydawały się niepowetowane. Jeśli garyjscy rebelianci oczekiwali od agarskiej floty czegoś więcej, to znaczyło, że niczym zadowolić ich nie można.

Odliczając załogę „Ślepej Ridi”, z której ocalało niewielu, Staruch poniósł straty dziesięć razy mniejsze niż cesarscy. Wielu rannych miało wrócić do służby, nikt

nie dostał się do niewoli.

Wojny morskie wkraczały w epokę huku i ognia.



Epilog

Nowe czasy

ROZDZIAŁ 32



Na północy Szereru pora burz była nią tylko z nazwy. Lond, Rina i Rapa, a nawet miasteczka Niskiego Grombelardu i północnego Dartanu, po drugiej zaś stronie kontynentu Trzy Porty i mniejsze nadbrzeżne miasta aż po Półwysep Akara handlowały między sobą prawie normalnie. Lecz na morzach południowych z końcem lata i początkiem jesieni zatłoczone były wszystkie porty. Sztormy srożyły się rzadziej niż kiedyś i miały mniejszą siłę, lecz wciąż trzeba było wiele odwagi i zamiłowania do ryzyka, by korzystając z poprawy pogody, przedsięwziąć coś więcej niż krótki rejs przybrzeżny.

W agarskiej Aheli jak zwykle zebrała się cała handlowa flota archipelagu i większość pirackich okrętów pływających po morzach Szereru – był to jedyny port udzielający gościny tym ostatnim.

Dla miejskich kupców, karczmarzy, stręczycieli i ich podopiecznych – czas żniw. Żeglarze przepijali i przepuszczali w każdy sposób srebro, a mieli go czasem niemało, zwłaszcza ci z okrętów pirackich. Przez dwa pierwsze miesiące jesieni Ahela gościła setki, a nawet tysiące spragnionych każdej rozrywki mężczyzn. I bogaciła się.

Przez cały rok od piratów kupowano łupy. Te wydatki szybko się zwracały. Zawsze z nadejściem łagodnej

morskiej zimy ahełczycy mieli i towary, i pieniądze, które wcześniej za nie wyłożyli.

Wielka uczta, wydana przez władcę Agarów, na którą zaproszono wszystkich kapitanów i oficerów spod czarnego żagla, nie była czymś niezwykłym. Każdej jesieni urządzano kilka takich biesiad, bo nie tylko książę Raladan, ale i dowódcy okrętów lubili się pokazać. Najświetniejsza oberża na wyspie, opatrzona nazwą Czarny Żagiel (a jakże), widziała wiele libacji, których nie powstydziliby się dartańscy magnaci. Łąły się strumieniem najdroższe wina, które mało kto tutaj umiał docenić, ich aromat przepadał w śliwkowym zapachu bagbianki (ten napitek odwrotnie, cenili prawie wszyscy). Jagnięcina i gęszina, jesiotry – nie brakowało niczego.

Lecz to miała być ostatnia taka jesień, a strojni, rozweseleni kapitanowie ściągający w progi pałacu Raladana jeszcze o tym nie wiedzieli.

W dawnym budynku agarskiego Trybunału nie było takich komnat, jakie dało się znaleźć chociażby w wielkim gmachu w Dranie. Lecz sala sądowa, gdzie przed laty rozstrzygano procesy i ogłaszano wyroki, już od dawna nie pełniła swojej funkcji, albo raczej: nie miała stałego przeznaczenia i wykorzystywano ją w różnych celach, zależnie od potrzeby. Nie po raz pierwszy urządono w niej ucztę i podejmowano gości.

Wystrojone służki, których nikt tutaj nie śmiał zaczepiać i poklepywać, usługiwały przy ustawionych w podkowę stołach. Aż trzy z tych kobiet miały certyfikaty niewolnic pierwszego sortu. Ceną, urodą i umiejętnościami ustępowały jedynie Perłom, ale w oczach dowódców okrętów niczym się od nich nie

różniły. Niewielu zresztą kiedykolwiek widziało prawdziwą Perłę – to już trzeba by biesiadować u dartańskiego rycerza, i to zamożnego, nie pierwszego z brzegu. Lasena, którą znali wszyscy, jak zwykle bardzo poważnie traktująca swoje obowiązki, zawsze miała miejsce u boku Raladana, ale (o tym też niemal wszyscy wiedzieli) od dawna była w tym domu kimś więcej niż niewolnicą. Pozostałe zajmowały się przybywającymi gośćmi. Oprócz niewolnic domu krzątało się mnóstwo ostatnich, najętych na tę okazję posługaczek, pracujących na co dzień w oberżach i tawernach.

Mogłoby się wydawać, że sala goszcząca hersztów najgroźniejszych morskich band Szereru będzie istną jaskinią zbójców, pijanych dzikusów, tarzających się w jedzeniu i sikających pod ścianami, wyciągających noże dla rozstrzygnięcia sporu o wyższość pieczeni nad pasztetem. Nieprawda. Fach dowódcy okrętu nie spadał nikomu z nieba, trzeba było się go wyuczyć. Wszyscy ci ludzie, wywodzący się z różnych krain, mający najróżniejsze pochodzenie i przeszłość, umieli choć jako tako czytać i pisać, liznęli nieco matematyki, bo bez tego się nie dało określić pozycji okrętu na otwartym morzu, zazwyczaj znali co najmniej dwa języki: ojczysty i – choćby kulawo – garyjski, bo ten drugi był w świecie żeglarzy tym, czym kinen w całym Szererze. Kinen zresztą też znało wielu. Najprędzej kojarzyli się z imperialnymi oficerami średniej rangi. Tak mogłoby wyglądać niesłużbowe spotkanie nadsetników i setników Legii Armektańskiej dużego garnizonu.

Co prawda rzucały się w oczy kosztowności. W legendach o piratach to i owo było prawdą. Nikt się nie

obwieszał błyskotkami tak jak Piękna Ridareta – no ale była kobietą. Niemniej dużą popularnością cieszyły się w tym gronie złote łańcuchy i pierścienie, także kolczyki w uszach, droga broń wysadzana klejnotami. Wydawało się, że ci ludzie chcą każdemu z góry dać odpowiedź na pytanie, dlaczego robią to, co robią. Otóż dla złota na szyi, które można nosić dla kaprysu, bo nie trzeba wymieniać na strawę.

Każdy miał też przyzwoity przydzwiewek. Trzymany choćby na taką okazję: wizyty w domu władcy pirackiego księstwa. A przecież niektórzy z tych ludzi mieli jeszcze kochanki w wielkich miastach portowych – i to naprawdę rzadko były tanie dziwki, chędożone w zaułkach przez zwykłych żeglarzy. Urzędniczki miejskie, bogate (ciekawe, dzięki czemu?...) mieszczyki, żony armatorów, nawet damy dartańskich Domów.

Dobrze ubrany był także gospodarz. Strój, który oglądał seyeński kasztelan, a potem dartańska vana, miał wiele zastosowań. Miejscowe święto, jakaś uroczystość albo właśnie wystawna uczta... Ten haftowany złotem kaftan to nie były wyrzucone pieniądze.

Natomiast prawie nikt w tym gronie zbójów i morderców nie miał broni. Mały sztylet ze szmaragdem lub innym szlachetnym kamieniem w rękojeści, zawieszony przy czyimś pasie, to był tylko dodatkowy klejnocik, nie bojowy oręż. Już wbity w pieczone prosię nóż do krajania mięsa miał dużo większą wartość jako narzędzie do zabijania.

Gwar. Zgodnie z miejscowym obyczajem – a może brakiem dobrego obyczaju?... – na nikogo tutaj nie czekano. Ucztę miano rozpocząć z wybiciem przez

miejskie gongi wieczornej pory, ale kto przyszedł trochę wcześniej, ten jadł wcześniej; kto się spóźnił, ten się dosiadał i nadrabiał. Rozbrzmiewały rozmowy, ktoś sobie podśpiewywał. Zebrało się tutaj prawie pół setki ludzi; samych pirackich kapitanów kilkunastu, do tego ich zastępcy. Zwykle tylko jeden zastępca, bo drugi miał służbę na okręcie. W mieście, gdzie każdego dnia i każdej nocy bawiły się na lądzie załogi licznych żaglowców, ktoś musiał być stale gotów do okiełznania jakiejś nadto rozbrykanej gromady; ktoś musiał za tych ludzi odpowiadać.

A jednak to była biesiada sporo mniejsza niż zwykle. Trochę dziwiła nieobecność dowódców okrętów i eskadr agarskich, nie było też najważniejszego żołnierza na wyspie, Ahagadena. Raladan przeważnie zapraszał całą brać żeglarską, również kapitanów statków handlowych, a niejednokrotnie także dowódców lądowych wojsk wyspy. Teraz byli tylko piraci.

Siedzący u szczytu stołu księżę archipelagu miał u boku Lasenę, po lewej ręce zaś córkę. Młody Nevin siedział przy Lasenie.

Goście zaspokoiли pierwszy głód, trochę wypili. Zgodnie z miejscowym obyczajem – albo znowu: brakiem dobrego obyczaju – przemieszczali się teraz wzdłuż stołów, nachylając ku tym, którzy wciąż siedzieli. Wszczynano nowe rozmowy, rozbrzmiewały śmiechy. W grupce stojącej pod ścianą – każdy tam miał w dłoni kubek albo kufel, puchar albo dzbanek – śmiech przerodził się w chóralny rechot. Widać ktoś opowiedział wyjątkowo zabawną historię.

Brodaci i gładko ogoleni; długo- i krótkowłosi; łysi

i łysiejący. Brzydki i bardzo ładni; czarnowłosi, blondyni, posiwiali i tylko szpakowaci. Młodzi i starzy, wysocy i niscy, grubi i chudzi. Potężnie zbudowani i cherlawi. Trudno było dostrzec w wyglądzie tych ludzi jakąkolwiek cechę łączącą wszystkich. Nawet blizny na gębach należały bardziej do legendy niż rzeczywistości – ślad po ostrzu miał może co czwarty.

Ku Raladanowi nachylał się krępy mężczyzna w średnim wieku. Zamienili kilka zdań. Żeglarz próbował szeptać, ale w istocie cicho dudnił.

– Zgadłeś, że jesteś potrzebny – rzekł gospodarz przez ramię. – Właśnie chciałem posłać do ciebie Nevina. Nikt tu nie ma takiego głosu jak ty, a nie przyniosę przecież hakownicy. Poproś o ciszę. Przemówię.

– Aaa... – zahuczał z szacunkiem krępy pirat, po czym się wyprostował i nawet nie krzyknął, tylko głośno i dobitnie rzucił ku środkowi sali: – Hej, hola!

Bez wątpienia: gdyby mu płacono za siłę tego basu, byłby najbogatszym człowiekiem na świecie.

Rozmowy i śmiechy umilkły. Zwrócono się ku szczytowi stołu.

Raladan wstał.

– Tylko na chwilę, zaraz znowu usiądę – powiedział. – Należy oszczędzać nogi. Będę mówił i powiem rzeczy ważne. Siedźcie albo stójcie, jak kto woli. Ale lepiej bliżej niż dalej, bo nie mam takiego głosu. – Wskazał kciukiem za siebie, gdzie krępy pirat skromnie położył dłoń na piersi, po czym dokądś poszedł.

Zaśmiano się krótko tu i tam, ale posłuchano. Jedni wrócili na miejsca przy stole, inni podeszli trochę bliżej. Każdy już zajrzał do kufła albo kielicha, ale nikt jeszcze

nie był porządnie pijany.

Raladan usiadł i ulokował plecy na wygodnym oparciu krzesła. Położył prawą rękę na stole i krótko zabębnił palcami.

– Przyszły nowe czasy – rzekł i drugą ręką uniósł kufel z piwem. Pociągnął łyk. – Agarskie księstwo będzie nim już nie tylko z nazwy. Wkrótce przybędzie tutaj na stałe przedstawiciel królowej Dartanu, a może i króla Garry, a ja tak samo poślę do ich stolic swoich przedstawicieli. Przyszły nowe czasy – powtórzył.

Tu i tam mruknięto aprobująco, ale ze złotą myślą w rodzaju „przyszły nowe czasy” mógł przecież zgodzić się każdy. I zawsze.

– Mam flotę, będę potrzebował znacznie większej. Proponuję wam żołąd – oświadczył krótko Raladan. – Oprócz regularnej floty chcę mieć drugą, taką jakby kaperską. Najemną.

Nauczył się niejednego. Po starym mówił krótko i zwięźle, ale od pewnego czasu już wiedział, że to słowa opisują rzeczywistość i nadają jej kształt. Kiedyś nazwałby rzeczy po imieniu – teraz nadawał rzeczom imiona. Takie, jakie wybrał, nie inne.

Słuchali.

– Każdy, który się zgodzi wstąpić do floty Agarów, będzie mógł określić warunki. W pewnych granicach. Mogę wypłacić ustaloną sumę raz do roku i wtedy nic więcej mnie nie obchodzi. Mogę też traktować was i wasze załogi tak jak własne. Co to znaczy? Przyzwoity żołąd, zaopatrzenie w żywność i broń, konieczne naprawy w moich stocznicach, leczenie chorych i rannych. Arba w środku wyspy to już prawdziwe miasto, kazałem tam

zbudować kilka dużych domów, są i karczmy. Niezdadni do dalszej służby członkowie waszych załóg, tak jak moi starzy żołnierze, którzy nie mają domów, dostaną w Arbie ką, a na utrzymanie rentę podobną do wojskowej. Bardzo niską, ale pozwalającą przeżyć kalece lub starcowi, który nic nie robi. Ciasna, ale sucha izdebka, w której dziadek jakoś się zmieści, a od biedy wprowadzi babcię. Albo większa izba, którą zechce dzielić z kilkoma takimi jak on.

Ten i ów uśmiechnął się lekko. Rentę to i owszem, ale kąta do zamieszkania nie zapewniały weteranom nawet cesarskie legie. Może gdzieś w Armekcie, w prowincjach na pewno nie.

– Możemy też pogadać o połączeniu jednego z drugim. Coś zapewnię wam i waszym okrętom, a na inne wydatki dam złoto. Nie ma żadnego pośpiechu, możecie liczyć, naradzać się i myśleć ile tylko chcecie. Oferta będzie ważna... długo. Tak długo, aż znowu przyjdą nowe czasy. Bo będę rządził tym księstwem jeszcze przez kilka lat, ale potem jego władczynią zostanie księżna, dzisiaj tylko księżniczka, Izetta, a dowódcą floty mój syn Nevin.

Tytuły córki wymówił bez drgnięcia powieki.

– Nie podejmę decyzji za przyszłych władców tych wysp, ale jestem pewien, że dotrzymają moich przyrzeczeń i zawartych umów. Możliwe, że nie zechcą zawrzeć nowych. Dlatego mówię, że oferta jest ważna, aż przyjdą nowe czasy. Potem nie musi zostać ponowiona.

Słuchano. Ten i ów wymieniał ciche uwagi z sąsiadem.

Raladan nie przeszkadzał i na razie nie mówił nic więcej. Dał czas.

– Bardzo łaskawie jak dla kaprów – rzekł ktoś na

koniec. – Wystawisz listy kaperskie? A przeciw komu?

– Nie wystawię listów. Dam nowej flotyli barwy Agarów i żołąd albo zapłatę taką, jak powiedziałem. Kapitanowie tych okrętów będą najemnikami wykonującymi rozkazy. Popłyną tam, gdzie ich poślę.

– A przeciw komu?

– Możliwe, że przeciwko Wiecznemu Cesarstwu. I na pewno przeciw piratom.

Wszczęło się poruszenie.

– Co to znaczy?

– Regularna flotyli Agarów musi stać tutaj, w Aheli. Ta druga będzie ochraniać kupieckie konwoje. Nie tylko agarskie, bo także sprzymierzeńców. Dartańskie, może garyjskie.

– Czekał – powiedział ktoś z drugiego końca sali. – Znaczą: jeśli nie przystanę do tej twojej floty, to ktoś inny z tych tutaj puści mnie na dno, jak tylko się dobiore do jakiegoś Dartańca?

– Na to wychodzi.

Gwar rozmów narastał.

– Z kim ty chcesz wojny, Raladan?

– Z nikim. Możesz po staremu pływać, gdzie ci się podoba. W takim razie rzeczywiście dam ci list kaperski i nic więcej. Będziesz mógł zawijać do Orki na Małej.

– Z listem kaperskim?

– Przeciw Armektańczykom. Możesz ich topić ile wlezie.

– Armektańców? Już dzisiaj trudno znaleźć tu jakiegoś, wszystko chodzi w konwojach. A po buncie Garyjczyków? Kto tu zobaczy armektański statek?

– Zobaczysz, nie martw się. Kupcy handlują zawsze

i z każdym. Nie minie rok, a do Dranu będą pływać jak zawsze.

– Tak, dziesięciu od razu, w towarzystwie dwóch albo trzech holców straży morskiej. To właśnie nazywa się konwój. Jak nie wiesz, to ci tłumaczę.

– Co ci na to poradzę?

– To, że jest jeszcze Dartan, Garra, Wyspy... Ale słyszę, że to wszystko będzie pływać pod twoją opieką?

– Na to wychodzi.

– Czego ty...

– Przecież ci bardzo współczuję – powiedział zimno Raladan. – Dlatego mówię, że cię przytulę i nakarmię. Mało? Jak mało, to radź sobie sam.

– Mam zebrać własną eskadrę?

– Zbieraj. Bo to pierwszy raz będzie pływać jakaś piracka eskadra? Nikomu z was nie mówię, co ma robić – rzekł spokojnie i dobitnie Raladan. – Mówię tylko, że przyszły nowe czasy i mogę pomóc każdemu, kto się w nich nie odnajdzie. Mało? – zapytał raz jeszcze.

Kilka głosów rozbrzmiało jednocześnie, ale przebił się przez nie bas, który nie miał sobie równych w Szererze:

– A, spierdalaj!

To jednak nie było do Raladana. Krępy pirat zwracał się do jasnobrodego rozmówcy i gdy tylko normalnie gadał, to jeszcze nic się nie działo. Teraz jednak przemówił podniesionym głosem. Chyba nie zauważył, że wszyscy umilkli, bo tłumaczył dalej:

– Od paru lat pływam jak głupi, na szlakach patrole, Dartańczycy zaczęli konwojować własnych kupców, bo kiedyś to nie mieli czym. Zaraz będzie tutaj Królestwo Garry i wtedy to już w ogóle będę spierdalał przed

każdym. To wiesz co? To ja już wolę się tobie dobrać do dupy, jak napadniesz na mój konwój. Same te twoje pierścionki to już niezłe łupy. Potem wrócę tutaj na obiad, za który zapłaci jego szyperska wysokość. – Wycelował palec w Raladana i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wszyscy słuchają.

Raladan skrzywił się lekko i pokiwał głową, jakby mówił: „Rzeczywiście zapłaci”.

– Dobrze mówi – powiedział ktoś.

– Źle, bo to nie jego szyperska, tylko jego książęca słoneczna wysokość król Agarów, Bezmiarów i skwarów – poprawił się krępy mówca.

– A ja już pływałem ze Staruchem i mi się opłaciło – rzekł kapitan Paktenod.

O tym akurat wszyscy wiedzieli, zresztą nie tylko na Agarach. Największa od minionego powstania morska bitwa natychmiast doczekała się kilku piosenek, wrykiwanych w knajpach całej Morskiej Prowincji. Jeden kuplet zaczynał się tak:

*Na południu u dnia schyłku
Armektańczyk wziął po tyłku.
Może to są słowa głupie,
No to: wziął po dupie.*

*Hej, zagraj, bracie, w kości!
Pijmy, gdy się piwo leje!
Niech się snują opowieści,
Choć za oknem dnieje!*

Słowa nie były mądre, ale za to śmieszne, a melodię od razu mógł podchwycić każdy. Te kuplety miały wielką popularność. Żaden nie był dwuwierszem, jak za

dawnych czasów, ale językoznawcy w tawernach nie bardzo się tym trapili.

Przy ustawionych w podkowę stołach, pod ścianami i na środku sali rozmawiano, kłócono się. Pytano i odpowiadano.

Raladan znów uniósł kufel i pociągnął kolejny łyk piwa. Wodził wzrokiem po brodatych i niebrodatych twarzach, wyławiał urywki rozmów. Wielu z tych ludzi znał dobrze, innych gorzej. O kilku mógł od razu powiedzieć, jaką decyzję podejmą – i był prawie pewien, że trafi.

Wiedział, że będzie miał drugą flotyllę, a jak dużą, to się okaże.

Niedawno uspokoił Starucha.

„Nie wycofam twoich holków, jeszcze trochę muszą popływać” – powiedział. „Dartańska vana ma pieniądze. Jeśli starczy dla najemników, to tym bardziej wystarczy dla ciebie. Masz w tej chwili najświetniejszą eskadrę na Bezmiarach, a takiej wojennej sławy nie sprzedaje się z byle powodu”.

Nadkapitan szczerze się uradował, bo naprawdę był przywiązany do swoich wysłużonych, choć przecież ciągle sprawnych okrętów. Oznajmił, że ostatnio czuje się jakby lepiej i na pewno przeżyje jeszcze bite pół roku, a kto wie, może i rok.

Dwaj dowódcy wraz ze swymi oficerami, nie żegnając się, ruszyli do drzwi i opuścili gościnny dom władcy wyspy. Jeśli coś Raladana zdziwiło, to że wytrzymali tak długo. Znał obu.

Kilku innych spierało się i wyraźnie wybierało ku szczytowi stołu z zamiarem wszczęcia kłótni. Tego też się

spodziewał i był przygotowany.

– Pogonić ich, ojciec? – zapytała z wielką powagą dwunastoletnia księżniczka.

Uśmiechnął się.

– Dobra myśl. Ciekawe, co odpyskują przyszłej księżnej. Skarcę cię, że się wtrącasz.

– Dobra myśl – odrzekła trochę grubszym, prawie ojcowskim głosem.

Tłumiąc wesołość, zerknął na Lasenę.

Jak zwykle, trochę oburzona.

Co było nie tak z kobietami? Gdy w zasięgu wzroku zjawiało się dziecko, większość z nich od razu głupiała. Przystawały rozumieć żarty, dziwacznie się nadymały.

– Pogódź się. Wypij trochę wina – powiedział łagodnie.

– Dzisiaj dzieci szybko dorastają.

– Tak, a dorośli szybko dziecinnieją.

Nie podobało się jej to, co postanowił. Bo uznał za całkiem dobry i przyjął pomysł Nevina – od przyszłego roku na Agarach pełnoletnim mógł być piętnastoletni mężczyzna i czternastoletnia kobieta. Mogli, nie musieli; decyzję zostawiono opiekunom, czyli najczęściej rodzicom.

– Im krócej są dziećmi, tym lepiej – orzekł i naprawdę tak myślał. – Życie jest za krótkie, żeby je marnować na dzieciństwo.

– Dzieciństwo to zmarnowane lata?

– A jakie? Dobrze wspominasz swoje dzieciństwo?

– W niewolniczej hodowli? To chyba co innego.

– Naprawdę? Każde dziecko to tylko niewolnik, niemający nic do gadania. Wyzwolę moją córkę tak szybko, jak to możliwe.

– Syna też?

– Syn wyzwolił się sam. Teraz już będzie go uczył Ahagaden, nie ja.

Grupka kapitanów zmierzała w stronę stołu.

o o o

Raladan swe opinie na temat dzieciństwa formułował cokolwiek na wyrost. Zachował jakieś niewyraźne strzępy wspomnień, rozmazane twarze i niezrozumiałe głosy. Ale umiał obserwować świat i dawno zauważył, że do dzieciństwa tęsknią ludzie słabi i niezdecydowani, którym przez całe życie potrzebny był taki albo inny ojciec-wódz, podejmujący za nich decyzje, osłaniający w biedzie. Ludzie rzutcy i zdecydowani, potrafiący i chcący działać, nie tęsknili. W dziecięcych czasach niczego sobie nie zawdzięczali; nic od nich nie zależało. Owszem – to była klatka. Nawet jeśli wykuta ze złota.

Tak więc Raladan, choć nie pamiętał dzieciństwa, to nie rozpaczał z powodu braku tych wspomnień, bo nie sądził, by mu się mogły podobać.

Tymczasem – i to było dobre – nie czuł też swego wieku; wszystko jedno, ile naprawdę miał lat. Po przehulanej i nieprzespanej biesiadnej nocy zdrzemnął się trochę, wyleczył małym kubkiem wódki, zjadł kawałek wczorajszej ryby i gotów był załatwiać kolejne ważne sprawy.

Poszedł do przestronnej izby, w której czasem przyjmował delegacje mieszczan, i kazał sprowadzić jednego z jeńców wyłowionych z wody przez Starucha. Czekając, kazał sobie przeczytać różne petycje i skargi

mieszczan. Zawsze trochę tego było.

Setnik-kapitan Enog Derrhert wyglądał nieco mizernie, ale trzymał się prosto. Jako tako połatał zniszczony przydziewek – ten sam, w którym przystąpił do bitwy, a potem moczył się w morzu. Raladan nie widział powodu, dla którego miałby rozpieszczać jeńców nowymi szatami. Oficerowie dostali zwykłe płaszcze dla ochrony przed zimmem. Wystarczyło.

Raladan odprawił czytającą pisma dziewczynę, rozsiadł się wygodniej na krześle i bez ceregieli wskazał jeńcowi drugie.

– Usiądź, szlachetny.

– Wolałbym „wasza godność”. Jestem Armektańczykiem.

– Więc ulokuj na krześle, setniku, swoją godność. Bardzo dobrze się biliście.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Przez chwilę nic nie mówili.

– Popłyniesz do domu, panie. Zaraz po burzach odeślę cię na Garrę. Nie zdążysz się zadomowić w tej miłej forteczce więziennej.

Setnik zdziwił się.

– Tylko ja mam wrócić do domu? I dlaczego akurat ja?

– Obaj wiemy, dlaczego akurat ty. Chcę, żeby moje posłanie dotarło do dwóch instytucji cesarstwa, nie do jednej.

Derrhert nic nie powiedział.

– Wasi marynarze i żołnierze trafią do pracy – powiedział Raladan. – Ciężkiej, ale nie morderczej, bo chcę ich zachować przy życiu, a nawet zdrowiu.

Niektórzy już pracują; to ci, którzy postanowili wykonywać swój fach na pokładach moich okrętów. Dobry żeglarz zawsze się przyda. Tych ludzi już nie odzyskasz.

Setnik skinął głową. Majtkowie z imperialnych okrętów nie byli i nie czuli się żołnierzami, zatrudniano ich przy wojsku i to wszystko. Dla wielu z nich nie miało znaczenia, od kogo i pod jaką banderą dostają jadło z okrętowej kuchni i grosz za ciągnięcie szotów.

– Nie pamiętam, ilu zostało do pracy w kopalniach, ale każę, by podano ci liczbę. Pewnego dnia może zawinąć tutaj statek, wiozący jakichś żeglarzy przyłapanych na kradzieży sakiewki, a może i zdjętych z pokładu zdobytego przez straż morską pirackiego okrętu. Po co ich wieszać na rejach? Przywiezicie ich tutaj, a ja w zamian przekażę waszych marynarzy i żołnierzy. To uczciwa propozycja i dotrzymam słowa.

– Prawo Wiecznego Cesarstwa nie zezwala na taką wymianę. Przestępcy muszą być ukarani.

– Tak jak kapitan Kitar? Mówiąc osobno: czuje się bardzo dobrze i jest teraz w Dartanie.

Derrhert znowu nic nie powiedział.

– Straż Morska Garry i Wysp, a gdy już jej nie będzie, Armektańska Straż Morska na pewno znajdzie sposób, by bez wielkiego rozgłosu odzyskać dobrych żołnierzy – skwitował Raladan. – I lojalnych wobec imperium żeglarzy, którzy wybrali ciężką pracę w kamieniołomach i kopalniach, zamiast jako wolni ludzie wykonywać znany sobie fach na pokładach moich okrętów.

Skinął głową.

– Tę sprawę mamy załatwioną. Teraz druga, podobna.

Może się zdarzyć, że imperialni żołnierze pojmagają kogoś ważnego, oficera albo dowódcę żaglowca, albo kapitana statku kupieckiego, który czymś zawinił. Miał w ładowni niedobre towary. Takich ludzi też można przywieźć na Agary, a ja zwolnię za nich jeńców oficerów. Ci jeńcy nie będą pracować w kopalniach, choć nie mówię, że dam im próżnować.

Nie kłamał, miał pewien pomysł. Mała Agara była po prostu więzieniem. Do Orki zawijało bardzo niewiele żaglowców, bo prawie nie handlowała. Stały tam dwie małe szniki, na zmianę patrolujące wody przybrzeżne. Odbierano daninę od rybaków, przysyłano na wyspę to, co niezbędne. W samej Orce wszyscy wszystkich znali i dziesięciu jeńców mogło chodzić wolno. Wystarczyło, by się rano i wieczorem meldowali komendantowi tamtejszego garnizonu. Mieli znikome szanse na ucieczkę z wyspy, a jeszcze mniejsze na ujście przed pościgiem w jakiejś skradzionej rybackiej łodzi. Jak daleko od brzegu mogli odpłynąć w ciągu jednej nocy? Tu ze wszystkich stron był ocean.

No, chyba żeby chcieli od razu wracać na Wielką.

Orka była już prawie miasteczkiem. Od pomysłowości więźniów zależało, w jaki sposób zarobią na swoje utrzymanie. Zdrowi mężczyźni, oprócz jednego rannego, który jednak miał spore widoki na pełny powrót do zdrowia. Raladan nie zamierzał ich karmić w ahelskiej twierdzy więziennej.

– To wszystko, wasza godność – oznajmił. – Na razie, setniku, będziesz siedział tam, gdzie siedzisz, bo choć moja flota i basteje od dawna nie są tajemnicą, to jednak nie chcę, byś się im przyglądał całymi tygodniami.

Powiedz swoim towarzyszom, że cię wypuszczam. Powód podaj prawdziwy albo jakiś wymyśl. Mogą napisać listy do rodzin, zabierzesz je ze sobą, ale od razu mówię, że zechcę je najpierw przeczytać. To wszystko – powtórzył.

– Jaki masz, panie, interes, wszczynając wojnę z Wiecznym Cesarstwem? Kirlan wciąż jest najpotężniejszą stolicą Szereru.

– Różnie mówią, ale jeśli nawet rzeczywiście jest... Lada rok zamiast Trzeciej Prowincji będzie tutaj Królestwo Garry. Z drugiej strony mam Dartan. Jedyny kraj, którego się nie boją Agary, to Armekt, wasza godność. Odgradzony od Bliskiego Bezmiaru wszystkimi innymi krainami, nie jest i nie będzie w stanie zagrozić mojemu księstwu, tym bardziej, że go potem nie utrzyma. Straci je na rzecz Garry lub Dartanu, więc byłby to wysiłek głupiego.

Kolejny raz skłonił setnika do milczenia. Wiedział, co mówi, i trudno było wejść w spór.

Pokazał Derrhertowi ręką, że skończył. Za drzwiami czekali dwaj żołnierze gotowi odprowadzić go z powrotem do celi.

Setnik wstał z krzesła, skłonił się po wojskowemu i ruszył ku wyjściu.

– Zaczekaj, panie, jeszcze jedno – rzekł agarski książę. – Przegraliście bitwę, do której parło cesarstwo, nie ja. To jest moja odpowiedź na pytanie, jaki widzę zysk w wojnie z Armektem. Nie widzę żadnego. Możemy sobie nie wchodzić w drogę, a powiem jeszcze, że nigdy nie pogardzałem twoim krajem, panie. Przeciwnie. I nawet chciałbym, żebyś o czymś opowiedział rodakom.

Zmarszczył brwi i zastanowił się krótko.

– Właściwie o kimś, nie o czymś. Opowiedz, panie, o Aherach. Gdzie jak gdzie, ale w twoim kraju każdy zrozumie, o co chodzi. Od dawna jesteście narodem.

Wstał z krzesła, pożegnał jeńca skinieniem i wyszedł drugimi drzwiami.

ROZDZIAŁ 33



Tym razem gospodarze ładnego domu pod En Anelem zostali uprzedzeni. Przyjechał dość schludnie odziany marynarz, nieźle trzymający się w siodle. Trudno powiedzieć, że dobrze patrzyło mu z oczu, ale był tylko posłańcem. Miał zapytać, czy dwoje Przyjętych zechce przyjąć gościa, i zaraz wracać, gdyby odpowiedź była odmowna – lub poprosić o nocleg w przypadku zgody.

Urządzono mu posłanie w izdebce pachółka-ogrodnika, który właśnie się z niej wyprowadził. Lada dzień miał sprowadzić świeżo poślubioną żonę i przygotowano trochę większe pomieszczenie dla dwojga.

Ridareta przyjechała nazajutrz z drugim marynarzem u boku, niemłodym i trochę szczerbatym. To byli ostatni dwaj „chłopcy” z kokardami Ridi, jeśli nie brać pod uwagę dwóch kalekich żeglarzy w Aheli.

Czy opłacało się kiedyś klęczeć na rynku, by wywalczyć dla skazańców zaledwie kilka lat?...

Lecz to było stu ludzi, którzy mogli potem rozporządzić swoim życiem tak, jak chcieli.

Kesa wybiegła na próg, a potem dalej – zupełnie tak jak wtedy, gdy zjawił się Raladan. Ridareta rozpląkała się, jeszcze zanim zsiadła z konia.

Gotah czekał w domu. Nie chciał asystować przy spotkaniu kobiet, które przeżyły coś, co nigdy nie było

udziałem żadnych istot na świecie. Razem stoczyły koszmarną walkę z człowiekiem, który chciał zabić obie, urodziły wspólne dzieci... Potem jedna z nich zabiła drugą. Nie dało się tego opowiedzieć ani wytłumaczyć w dwóch słowach.

W dwustu słowach zresztą także nie. Potrzebna by była opowieść o rozmiarach armektańskiej sagi.

Gotowe były tak stać i płakać przed domem do wieczora, więc w końcu wyszedł i zaprowadził je, wciąż objęte, do domu. Służba i żeglarze Ridarety wsiąkli gdzieś bez śladu. Można podejrzewać, że stał za tym gospodarz. Tego dnia i tej nocy troje ludzi miało do załatwienia sprawy, którym nikt nie powinien się przyglądać.

Czworo ludzi. Pięcioletnia Alida też przecież była człowiekiem.

Najważniejsza sprawa. Wszyscy troje wiedzieli, że musi zostać załatwiona jako pierwsza. Bez tego rzeczowa rozmowa o czymkolwiek wydawała się niepodobieństwem.

– Chodźmy do niej – powiedziała Kesa.

Gotah po raz drugi został sam. Nie był z kamienia i nie umiał znaleźć sobie miejsca, ale czuł, że będzie lepiej, jeśli dwie matki jednego dziecka pójdą do niego same.

Ale nie, nie był z kamienia. Kochał małą Alidę i nie wyobrażał sobie... Bardzo dużo wybaczył Raladanowi, którego kiedyś nie potrafił szanować. Zrozumiał, co tym mężczyzną kierowało. Już wiedział, że można być ojcem, nie spłodzwszy dziecka. I wiedział, ile to znaczy.

Wyszedł przed dom i poszedł rzucać patyki psom.

W małej komnatce na piętrze dwie kobiety znowu płakały. Ridareta po raz pierwszy widziała prawdziwe

i żywe własne dziecko. To nie był wypełniony czerwoną mocą Rubinek. Przestraszona mała dziewczynka, nierozumiejąca, co się dzieje, dlaczego mama i obca pani płaczą.

Kesa stała pod ścianą, przygryzając kostki palców. Ridareta usiadła na podłodze na podwiniętych nogach.

– Witaj... Alido. Jestem...

Przygryzła palec tak samo jak Kesa.

– Jestem twoją starszą siostrą – powiedziała i przytuliła dziecko. – Pamiętaj... że masz zawsze kochać mamę.

Znowu się rozplakała.

Przyjęta zakryła twarz dłońmi.

o o o

Używany w Szererze od wieków pogodowy kalendarz nie był doskonały, ale nikt nie wymyślił lepszego. Po Kaszlu, nazywanym równie często Wiatrem Rocznym, nastawała kilkudniowa cisza, a jej pierwszy dzień był uznawany za początek nowego roku. Lecz cisza nastawała tylko na południowych morzach. Tradycyjnie z Llapmy i mniejszych, najbardziej wysuniętych na południe miast kontynentalnych wyruszali wtedy kurierzy. Rozstawione sztafety czekały; pędzący traktami gońcy w każdym mijanym skupisku ludzkim okrzykiwali dzień roku i jechali dalej.

Do odciętego górskimi masywami Grombelardu Północnego „wieść noworoczna” mogła wędrować nawet dwa tygodnie. Wiózł ją z Riny pierwszy ruszający do Londu statek.

Na Morzu Dartańskim osłabł wiatr, ale ciszy nie było.

W portowej Alenie, gdzie przed kilkoma dniami Ridareta zeszła na ląd, wieść o nowym roku wykrzyczano zaledwie dzień wcześniej, teraz przypominali ją miejscy obwoływacze.

Na otaczających Garrę morzach cisza ustąpiła pierwszym jesiennym sztormom, ale w głębi Dartanu można było najwyżej wyobrazić sobie ich siłę. Tutaj wciąż trwało lato. Piękna złota jesień, tak dartańska jak to tylko możliwe, miała dopiero nadejść. Dni były wprawdzie krótsze, lecz popołudnia wciąż upalne, a ranki niezbyt zimne.

Dwie kobiety, mężczyzna i dziecko siedzieli w ogrodzie wprost na trawie, wciąż zielonej, choć już nie tak soczystej. Niewiele było na niej opadłych z drzew liści. Słońce chyliło się ku zachodowi. W jego ostatnich promieniach wygrzewały się trzy zmęczone zabawą psy. Jeden leniwie pogryzał wielką, zupełnie wycmoktaną z mięsa kość.

Dziecko spało z głową na kolanach siostry. Zawsze ufna i odważna, niebojąca się świata Alida tym razem wyczuła, że młoda pani jest naprawdę kimś bardzo wyjątkowym i ważnym. Garnęła się do niej; poznawała znaczenie słowa „siostra”. Ze śmiechem przeglądały się w sadzawce, odkrywając podobieństwo każdego rysu twarzy. Były tak blisko i tak dobrze czuły się ze sobą, że Kesa, uwolniona przecież od największej nękającej ją udręki, poczuła raz i drugi kobietą, albo może raczej matczyną głupią zazdrość.

Gotah wiedział o wszystkim, co kiedyś wydarzyło się w Grombie, ale nigdy nie wypytywał o najintymniejsze szczegóły. Jego żona i siedząca tu kobieta przeżyły razem

coś naprawdę niewiarygodnego, nieludzkiego. Prawie nierzeczywistego. Gotów był znowu odejść i zostawić je same, ale odgadł, że tym razem Kesa oczekuje wsparcia, a Ridareta – chyba kogoś, kto potwierdzi, że to wszystko prawda. Że tak właśnie było. Potrzebowała choćby milczącego świadectwa człowieka, który widział zakrwawioną, skuloną na posadzce lochu żonę, trzymającą w objęciach kłębek szmat, spowijających maleńkie, mniejsze od innych niemowlę.

Wszystkie wątki tej opowieści mogli spiąć tylko we troje.

Potem milczeli.

Kesa zaniosiła śpiącą Alidę do domu. Gdy wróciła, Gotah był sam. Ruchem głowy wskazał w głębi ogrodu Ridarete, siedzącą przy wielkim kamieniu.

– Wiele rzeczy zapisano w Księdze Całości, ale nawet tam nie ma wzmianki o kobiecie, która... przyszła na własny grób – zażartował słabo. – Nie wiem, jak o tym mówić. Brzmi niedorzecznie.

Usiadła na trawie obok niego.

– Więc przestańmy. Dzisiaj wszystko zostało powiedziane i rozstrzygnięte. Może miałeś rację, tłumacząc, że gdy opowiem o tamtym dniu Ridarecie, to nareszcie go przeniosę do przeszłości.

– Byłaś powiernicą. Musiałaś jej przekazać pamięć o tym, co się wtedy wydarzyło.

– Przekazałam.

– Ona też chyba nie chce stale do tego wracać. Odzyskała ostatni kamyczek mozaiki i umieściła go na swoim miejscu.

Patrzyli na siedzącą przy kamieniu dziewczynę.

– Rzekłbym, że wygląda... normalnie – powiedział Gotah, próbujący wreszcie odzyskać zwykły humor i wrócić do przyziemnych ludzkich spraw. – Wprawdzie trudno powiedzieć, że to są małe piersi... hm... – odchrząknął zakłopotany.

Tego dnia nie udawały mu się żarty.

– Oho, mężczyzna – zauważyła ironicznie Kesa, bo i ona potrzebowała trochę lżejszej rozmowy, chwili zwykłych przekomarzań. – Tak, mężu, to nie są małe piersi, szczególnie u szesnastolatki, bo na tyle wygląda z twarzy. Ale gdzież im do tego, co było.

– Oj, było – rzekł z niedowierzaniem, zaskarbiając sobie jeszcze jeden ironiczny uśmiezek żony. – Ja takiego „było” nie widziałem u żadnej kobiety, a nie żyję na świecie od wczoraj. Prawda, ta straganiarka w En Anelu. Ale ona waży więcej niż my troje razem.

– Straganiarkę też obejrzałeś?

– No jak?... Gdy tam wejdiesz na rynek, to nie widać niczego więcej.

Zaśmiała się i aż obejrzała, czy Ridareta nie słyszy.

– Jest w ciąży.

– Straganiarka?

– Och, już przestań. Ridareta.

– Naprawdę?

– Tak mi się wydaje.

– Kolejny „Rubinek”. Tamenath miał rację, Riolata próbuje odtworzyć taką Ridaretę, jaką zastała. I nie zmarnuje żadnej okazji, a okazji... hm, na pewno były.

Przysunęła się trochę bliżej, więc ją objął.

Słońce zachodziło za drzewami. Ridareta wróciła i tak samo usiadła na trawie.

– Chciałabym zostać jeszcze dzień albo dwa.

– Tak długo, jak tylko chcesz – odrzekł Gotah, a Kesa potwierdziła skinieniem.

– Dlaczego nie można mieć takiego domu? Takich psów i ogrodu, takiej córki... takiej małej siostrzyczki? Co jest z tym światem nie tak, że ludzie nie mają takich domów, mężów? Że zamiast tego...

Urwała.

Milczeli. Nie było odpowiedzi na te śmieszne, dziecinne pytania. Chciałoby się rzec „głupie”, ale nie były takie. Dziecinne owszem, bo z wiekiem zadawało się je coraz rzadziej.

Ale teraz zadawała je czterdziestoletnia kobieta. Patrząc na tę twarz, trudno było pamiętać, że jest młodsza zaledwie o dwa lata od Kesy. Królewska uroda Przyjętej też nie zdradzała wieku, ale jednak to były rysy dojrzałej kobiety, nie dziewczęcia.

Gotah wiele podróżował. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie teraz, że po powrocie z Armektu wszyscy wydają się starzy. Dartańczycy; jeszcze bardziej Grombelardczycy. Kraina Ri Silloru miała dla swoich cór i synów długie życie w urodzie i zdrowiu.

Przyjętemu przyszło na myśl, że w ogóle częściej spotykał ludzi wyglądających młodo niż staro. Może to dlatego, że rzadko obcował z nędzą. Jego świat był światem ludzi żyjących dostatnio, nierzadko zamożnych, zadbanych. Wszyscy inni... Jeśli nawet wyglądali staro, to przecież nie znał ich wieku. Pospólstwo w En Anelu, chłopstwo na polach – skąd miał wiedzieć, czy ci ludzie wyglądają staro?

Uznawał, że mają tyle lat, na ile wyglądali.

W rzeczywistości mogli mieć znacznie mniej.

– Nie chcę już tego wszystkiego – powiedziała Ridareta i wciąż w jej głosie pobrzmiwał ten sam żal, niezgoda na zły świat.

– Co poradzisz? – zapytał łagodnie. – Trzeba żyć.

– Nie, nie trzeba – odrzekła ostro, chyba bardziej ostro, niż chciała.

– Zostań z nami – powiedziała Kesa. – Może nie na zawsze. Tak długo, jak zechcesz. Zdecydujesz.

Gotah sam przed chwilą powiedział coś podobnego, ale to była tylko grzeczność. Zdał sobie sprawę, że na podobne wyzwanie na pewno nie jest gotowy. Zresztą dzielił już z kimś życie i nie chciał odstąpić kolejnego kawałka jeszcze komuś.

Współczuł Ridarecie, rozumiał ją, ale...

Chyba się jej obawiał. Tak. W przeciwieństwie do Kesy nigdy nie wierzył, że Ridareta zapanuje nad tym, co ją wypełniało.

Jednakże jego żona kiedyś obiecała, że się tą dziewczyną zaopiekuje. I chyba musiała powiedzieć to, co powiedziała.

Ridareta w milczeniu patrzyła na szarzejący w półmroku dom. Było coś kojącego w myśli, że naprawdę mogłaby zostać z ludźmi, którzy wszystko o niej wiedzieli, do których można by w każdej chwili podejść i powiedzieć o tym, co się dzieje w środku, a oni nie będą patrzeć jak na pomyłonego cudaka. Zapytać, poprosić o radę. O wsparcie. Schować się i uciec.

Mogłaby codziennie siedzieć w tym ogrodzie i bawić się z małą Alidą. Iść z nią za rękę do niedalekiego lasu, kupować głupotki w mieście. Ochlapywać

rozradowanego dzieciaka wodą z sadzawki i też być ochlapaną.

– Najpierw bym cię z czegoś okradła, a potem skrzywdziła. Was, siebie, Alidę – powiedziała, wciąż patrząc na dom. – Jestem głupia, ale nie aż tak. Tutaj też nie ma dla mnie miejsca. Nigdzie nie ma.

– To nieprawda.

– Prawda. Kiedyś Raladan rozmawiał z Tamenathem, nie wiedzieli, że słyszę... Tamenath tłumaczył, dlaczego jestem głupia. Dlatego że Riolata przyszła do szesnastolatki i dla niej zawsze powinnam mieć szesnaście lat. Wyglądałam na więcej, ale to dlatego, że stale z nią walczyłam, nie chciałam wyglądać jak podlotek, tak jak teraz. Nawet nie wiedziałam, że walczę z Riolatą i ją zmuszam do czegoś, po prostu chciałam wyglądać inaczej. Ale rozum... Tamenath tłumaczył, nie wszystko zapamiętałam. Nie umiem uczyć się i pamiętać doświadczeń tak jak każdy. Tutaj zawsze mam szesnaście lat – dotknęła palcem skroni – i tylko czasem mi się udaje...

Milczeli.

– Wcale nie zapominam tego, co było i co robiłam, wiem o wielu rzeczach, potrafię je połączyć, ale zawsze za późno. Najpierw zrobię, a dopiero potem wiem, co trzeba było zrobić. Muszę pomyśleć nad tym, co inni wiedzą od razu, bo już coś podobnego przeżyli i teraz to da się wykorzystać... Nie umiem wytłumaczyć. Ale wy rozumiecie, prawda?

Wschodzący księżyc wyławiał pierwsze błyski z lustra sadzawki.

– Ale taka głupia nie jestem. Żeby z wami zostać.

Bardzo bym chciała, tylko po co światu następni nieszczęśliwi ludzie?

– Spróbujmy.

– Nie, Keso. Dobrze wiesz, że nie.

– I mówisz, że jesteś głupia, Ridareto? – zapytał znacząco Gotah.

– Przestań – powiedziała Kesa do męża.

– Dziękuję, panie – powiedziała Ridareta.

Potrząsnął głową i poprawił ją:

– Gotahu.

– O nie. Nie umiem. Jesteś mądrzejszy od... nawet od Tamenatha.

– Wtłukłby mi, gdyby to usłyszał. – Gotah znowu spróbował zmienić nastrój żartem. – Historyk miałby być mądrzejszy od matematyka?... Złapałby mnie tą swoją jedną ręką i zawiesił na drzewie za kapotę.

– Był twoim przyjacielem.

– Tak. O ile Przyjęty może mieć przyjaciół. Widzieliśmy się kilka razy w życiu i posłaliśmy sobie kilka listów. Przyjaciele Przyjęci.

– Też miałam przyjaciół – powiedziała po chwili. – Raladan jest najważniejszy, jeszcze Izetta i Nevin. Teraz Alida i chyba wy, a na pewno Kesa. Ale miałam jeszcze przyjaciół i zabiłam ich.

Opowiedziała o bitwie.

– Byli ze mną zawsze, tyle lat. Ja chyba nawet nie wiedziałam, że ich kocham. Byli... no byli zawsze. Dwaj głupi piraci. No nie, jeden nie był głupi. Drugi właściwie też nie. Uczył mnie oznaczać pozycję okrętu i nigdy nie nauczył...

Przygryzła wargę.

– Nawet nie mogłam ich pochować w morzu. Nic z nich nie zostało. Zupełnie.

– Nie wiedziałaś, że taki będzie skutek. Próbowалаś ratować przyjaciela – powiedziała cicho Kesa.

– Rozerwałam na strzępy stu ludzi, może więcej. Żywych i nieżywych, rannych... Swoich i tamtych. Przyjaciół... Powiesz mi, jak z tym żyć? Nie byłam pijana, podobno nie jestem obłąkana.

– Chciałaś dobrze.

– I to jest najgorsze, Keso. Że nawet wtedy, kiedy chcę dobrze, wychodzi zupełnie inaczej. Obiecałam ci, że tak już nie będzie, że umiem wybierać... Nie, nie umiem. Wszystko się robi samo i wszystko zawsze źle.

Spojrzała na Gotaha.

– Przecież ciebie, panie, też o mało nie zabiłam. Kiedyś. Niewiele brakowało.

– To było bardzo dawno, jeszcze zanim złożyłaś swoją obietnicę. Zapomnijmy o tym.

– Zapomnijmy...

Znowu milczeli.

– Tamenath opowiadał kiedyś o Ziemi Niczyjej. To duży półwysep na północy, prawda? Byłam kiedyś w Londzie, przecież wiecie, a Ziemia Niczyja leży nawet niedaleko.

– Tak, to naprawdę jest... niczyja ziemia, nie ma nad nią Pasm Szerni ani Wstęg Aleru. Nigdy nie było. Ale nie nad całym półwyspem, tylko nad kawałkiem.

– Którym?

– Na pewno wschodnim i południowym, to jest... Zapomniałem, jak to nazywają kartografowie. Półwysep, który wyrasta z półwyspu. Nie cypel, bo jest za duży.

– Tam nie działają żadne siły Szerni ani Aleru, prawda?

Nie można się odwołać do Pasm. Porzucone Przedmioty nie działają, gasną. Umierają.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Co ci chodzi po głowie? – zapytała po tej krótkiej chwili Kesa, chłodno i spokojnie zarazem.

Nie było odpowiedzi.

– Posłuchaj, Ridareto. Znam dobrze twojego ojca Raladana. I on, i my wszyscy tutaj wiemy, że można być rodzicem, wcale nie mając dzieci. Nie przyszło ci do głowy, że... że ja właśnie cię odzyskałam? Tak, chcę się martwić o ciebie, wiedząc, że gdzieś pływasz na tym swoim statku i wyprawiasz nie wiadomo co. Chcę, żebyś tu czasem przyjechała i opowiedziała o wszystkim, co ci się przydarzyło. Myślisz tylko o sobie? Naprawdę ci się wydaje, że nikomu na tobie nie zależy? Masz ojca, brata, masz... dwie siostry. Masz nas. Wielu ludzi chciałoby mieć tylu innych, którym zależy.

– Tak, Keso, ale to tylko słowa.

– Tylko słowa?

– Keso, ja... Ja już po prostu nie chcę. Zabiłam najwierniejszych przyjaciół. Kto jutro? Raladan, wy czy Alida? A może Izetta albo Nevin? To nie ty miałaś rację, tylko Moldorn. Już od dawna nie ma Ridarety, jest tylko Rubin Riolata. Nienawidzę tej rzeczy jak niczego innego na świecie.

– Nieprawda. Skoro nienawidzisz, to istniejesz.

– Niech tak będzie. Chcę ją zabić i to zrobię, Keso.

Z okien domu padało światło i w tym świetle widać było nadchodzącego pacholka.

– Ktoś przyjechał – powiedziała Ridareta. – Chciałam was uprzedzić, ale nie byłam pewna. A potem

zapomniałam, bo rozmawialiśmy o tylu ważnych rzeczach.

Patrzyli pytająco.

– Jeszcze jeden... chyba mój przyjaciel. Właściwie był narzeczonym – powiedziała i się zawstydzila. – Czasem wiem, gdzie jest. Odkąd znowu zaczął o mnie myśleć.

Pachołek zbliżył się.

– Ktoś przyjechał – powiedział. – Powiedział, że nazywa się kapitan Kitar i pyta...

– Wprowadź go do domu – rzekł Gotah. – Już idziemy.

– Wy idźcie, ja tu zostanę – powiedziała Ridareta. – Pozwolicie mu przyjść tutaj, do ogrodu?

– Oczywiście, Rido.

Uśmiechnęła się.

– Raladan tak do mnie mówi. I jeszcze Nevin, mój brat.

Poszli. Została sama.

Po pewnym czasie znów dostrzegła sylwetkę człowieka na tle oświetlonych okien domu i mocniej zabiło jej serce. Wstała z trawy.

– Tu jestem.

Może się trochę postarzał, ale w mroku nie było widać. W każdym razie nie zdziadział, uścisk miał taki jak kiedyś, a pod odzieniem wyczuła mocne mięśnie. Zaśmiała się i go pocałowała gdzieś w podbródek, bo była sporo niższa.

– Zdaje się, że mnie wyciągnęłaś z paskudnej historii – powiedział.

– Sama jestem ciekawa, w jaki sposób.

– Jak to w jaki? Narobiliście pod Sarą tyle huk. I to naprawdę huk, bo słyhać było na drugim końcu miasta. Wszystko, co nosiło wojskową tunikę, pobiegło do portu.

Zanim się obejrzałem, odwiedziło mnie kilku ponurych drągali w solidnych kolczugach, na których mieli płaszcze. Powiedzieli uprzejmie: „Kapitan Kitar? My od księżniczki Ridarety”. Następnego dnia wieczorem byłem na Szponie, to taka mała wysepka niedaleko Sary. Dostałem dobry przyrodziewek, mocny nóż i tyle srebra, że do dzisiaj mi trochę zostało.

– Już ci wierzę.

– Przepiłem – przyznał się bez zażenowania. – Ale w Aheli przechowałem parę miedziaków na chude lata.

– Wystarczyło na kromkę chleba?

– I nawet kawałek słoniny.

Objęła go i poprowadziła do wielkiego kamienia w głębi ogrodu. Usiedli na trawie i znaleźli oparcie za plecami.

– Przy płynąłem tu na „Pocieszę”. Raladan powiedział, że ma za dużo żaglowców. Przywieźliśmy tu to, co zawsze, miedź i tran. „Pociecha” ma pływać między wschodnimi i północnymi portami, jeśli trafi się jakiś fracht. A jak przestanie się trafiać, kapitan ma ją sprzedać i zimą zabrać się z powrotem na Agary pierwszym statkiem, jaki będzie tam płynął. Zastanawiam się. Trochę mała ta karawela, ale naprawdę ładna. A ja nie mam własnego pokładu pod nogami. Może na początek?...

– Będiesz miał okręt, Kitarze. Dostaniesz ode mnie „Ślepą Ridi”. To dobry okręt, chociaż nie tak szybki, jak kiedyś twoja „Kołysanka”. Na „Ridi” jest prawie trzydziestu marynarzy, do żagli tylu wystarczy. Resztę sobie znajdziesz bez trudu.

– Nie chcesz pływać na „Ridi”? Widziałem, że stoi w Alenie.

– Tak, Raladan dał mi zaczarowany rulonik. Jest tam więcej pieczęci i sznurków niż liter, a podpis pod spodem dłuższy niż cała treść tego dokumentu. „Królowa tego, księżna tamtego, pani owego”... W Dartanie mogę zawijać wszędzie. Ale oddaj to Raladanowi, kiedy już trafisz do Aheli.

– Nie wiem, kiedy tam trafię. I czy w ogóle trafię. Raladan mi powiedział o swoich planach. O nieregularnej flotyli na Agarach.

– Nie przyłączysz się do niego?

– Dobrze wiesz, że nie. On też to wie. Gdybym chciał służyć w wojsku, tobym służył. Myślę, że za rok lub dwa lata jakieś okręty w służbie twojego tatusia poślą mnie do rozmów z rybami. Kiedy się będę dobierał do dartańskiego konwoju.

– A ja wątpię, żeby to było tak szybko.

– Zobaczymy. Mogłem dogonić cię w drodze z Aleny tutaj, ale nie chciałem – rzekł, zmieniając temat. – Raladan mi powiedział, jaką sprawę masz do załatwienia. Ale wiesz, jak powiedział. Niewiele zrozumiałem. W każdym razie chciałem ci dać czas. Przyjechałaś wczoraj?

– Dzisiaj. Jechałam wolno, bo posłałam przodem marynarza z pytaniem, czy mnie ugoszczą.

– Nie wiedziałem, bo przyjechałbym jutro. W Alenie byłem dwa dni po tobie.

– Zdążyłam porozmawiać o wszystkim. Ale zostaniemy tu jeszcze dzień albo dwa. Poznasz kogoś bardzo młodego... I opowiem ci wszystko, o czym „zapomniał” Raladan.

– Dlaczego nie chcesz pływać na „Ridi”?

– W ogóle już nie chcę pływać.

Zamyślił się.

– Pięć lat temu. Źle zrobiłem wtedy, na plaży – powiedział i odetchnął głęboko. – Należało poczekać, pomyśleć. Ochłonąć. Cichy dał mi w zęby, i wiesz co? Zasłużyłem. Wiem, że zginął pod Sarą. Bobym mu powiedział.

– Rzeczywiście zginął. Sayl też.

– Powinniśmy być razem, Ridareto.

– Powinniśmy.

– Spróbujemy?

Teraz ona westchnęła.



– Nie. Ja też pamiętam tamtą noc na plaży. Powiedziałaś wtedy dużo mądrych rzeczy. Że można niechcący odciąć rękę przyjacielowi, przy pracy albo w zamieszaniu, w walce. Można to przebaczyć, można

rozumieć i nawet nie mieć żalu, ale ręka i tak nie odrośnie. Zrobiłam wtedy coś głupiego, pokazałam coś, co trzeba było ukryć... Z tym też miałeś rację. Można o czymś wiedzieć, ale nie trzeba oglądać. Niepotrzebnie ci pokazywałam.

– Ale ja tak samo zrobiłem wtedy coś głupiego.

– Nie, głupia byłam ja. Ty zrobiłeś coś złego, nie głupiego. Wiem, że to nie twoja wina, tak czułeś. Ale ja myślałam, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, któremu mogę wszystko pokazać. Ucieliśmy sobie wtedy ręce i już nie odrosną, Kitarze. Kocham cię i nie mam żalu, ale już ci nigdy nie zaufam. Zawsze już musiałabym się zastanawiać, co mi wolno, a czego nie wolno, co zrozumiesz, a co cię zrani. Nie chcę tak.

– Rido...

– Jestem, jaka jestem – ucięła. – I wiedziałeś od początku, że taka.

Po chwili dotknęła jego policzka i nakryła dłonią.

– Ale możemy gdzieś razem popłynąć i chciałam cię o to prosić. Zabierzesz mnie na „Ślepą Ridi”?

– Pewnie, że tak. Gdzie chcesz płynąć?

– Do Ziemi Niczyjej.

– Byłem tam kiedyś. Pustynia. Niewydarzone drzewa, jakaś marna trawa. Ale woda była normalna, a na „Kołysance” się kończyła.

– Popłyniemy tam na „Ridi”?

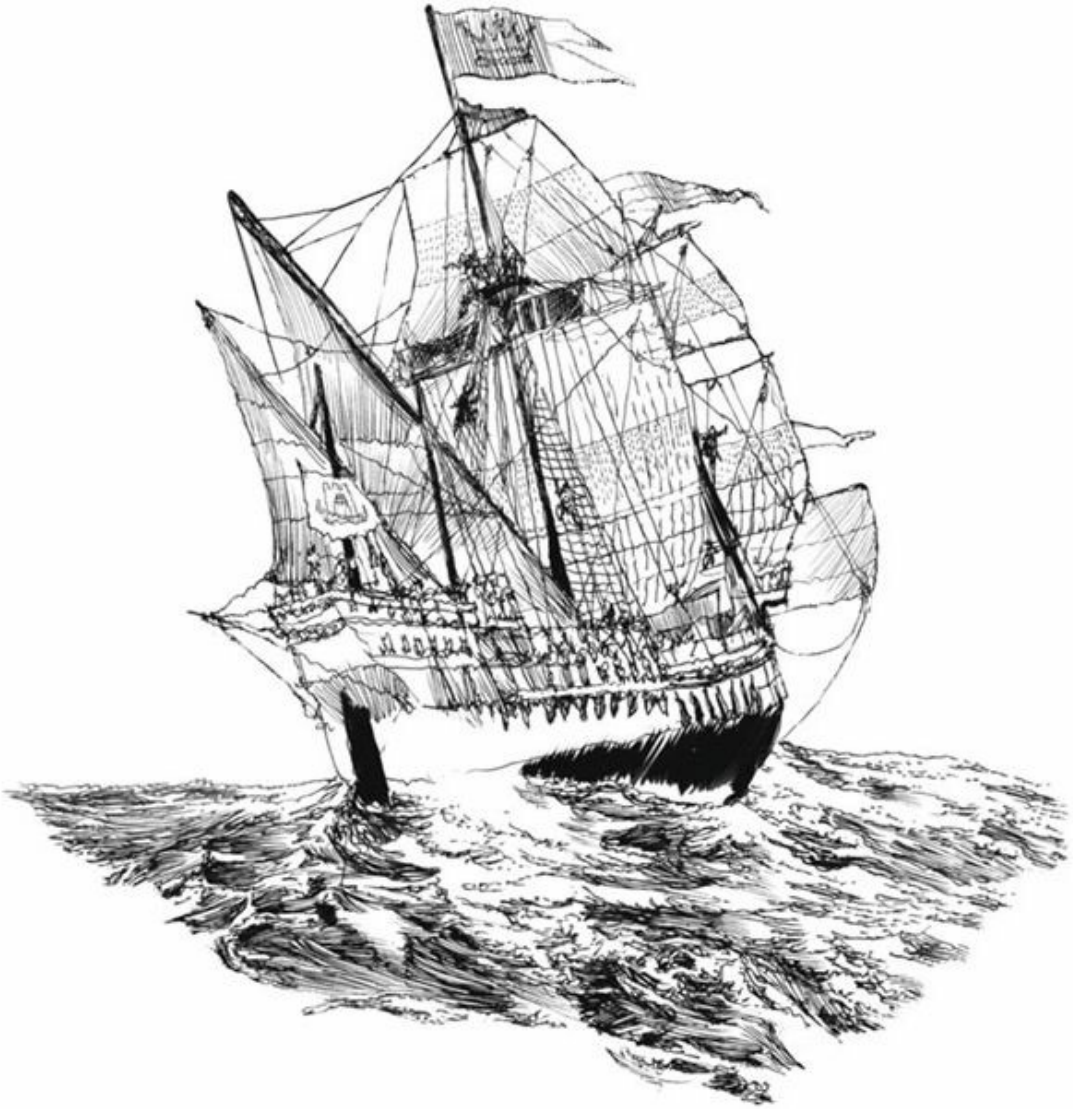
– Pewnie, że tak – powtórzył. – Jeden rejs na koniec świata to chyba niedrogo za dobry żagłowiec. Co tam chcesz znaleźć?

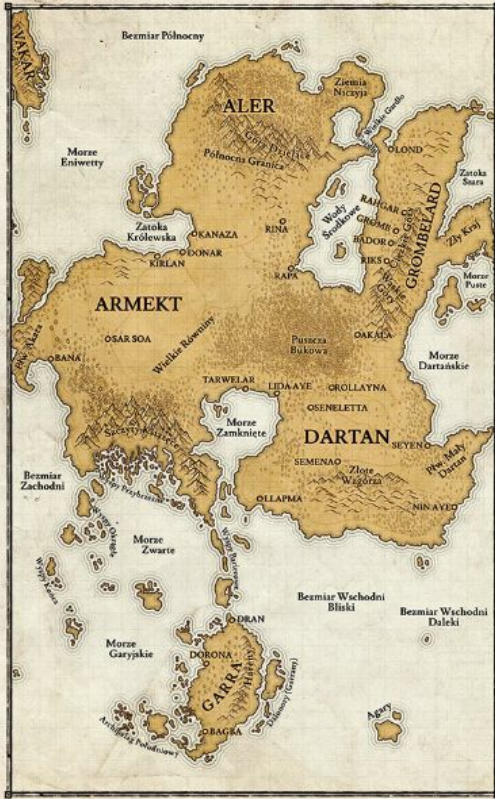
– Zobacysz. A kiedy zobaczysz, zrozumiesz.

Oparła głowę o chłodny kamień, na którym przed

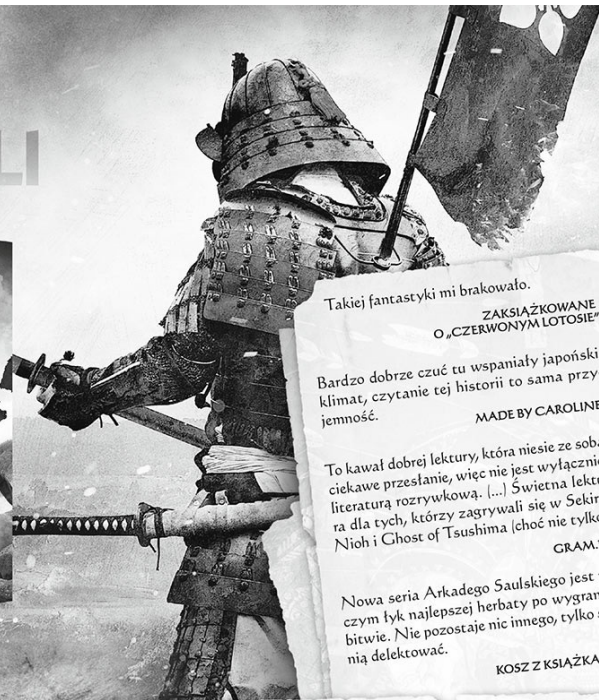
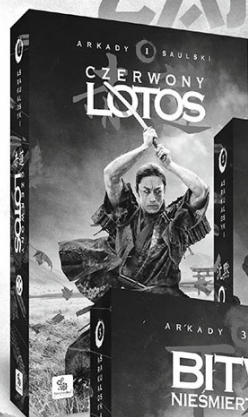
pięciu laty ktoś wyrył tylko jedno słowo. Stare garyjskie
imię, zapisane w oryginalnym brzmieniu:
RIDARETHE

KONIEC





ZAPISKI STALI



Takiej fantastyki mi brakowało.

ZAKSIĄŻKOWANE
O „CZERWONYM LOTOSIE”

Bardzo dobrze czuć tu wspaniały japoński klimat, czytanie tej historii to sama przyjemność.

MADE BY CAROLINE

To kawał dobrej lektury, która niesie ze sobą ciekawe przesłanie, więc nie jest wyłącznie literaturą rozrywkową. (...) Świetna lektura dla tych, którzy zagrywali się w Sekiro, Nioh i Ghost of Tsushima (choć nie tylko).

GRAM.PL

Nowa seria Arkadego Saulskiego jest niczym tyk najlepszej herbaty po wygranej bitwie. Nie pozostaje nic innego, tylko się nią delektować.

KOSZ Z KSIĄŻKAMI

Trylogia „Zapiski Stali” to wciągająca podróż do dalekowschodniego Nipponu, w którym odwaga i honor wymieszają się ze zdradą i z okrucieństwem w mrocznym i pełnym przelanej krwi tyglu, z którego cało może wyjść tylko jeden zwycięzca. Świsł katan i dobrze mierzone cięcia samurajskich mieczy zagrają nam melodię, której długo nie zapomnimy.

COŚ NA PÓŁCE



Srogie dodatki
do Twoich
ulubionych
lektur



koszulki
smycze
kubki
magiczne



Kupuj na
steelhog.pl



COPYRIGHT © BY Feliks W. Kres
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2022

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-851-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE

Sergey Shikin

PROJEKT OKŁADKI

Szymon Wójciak

ILUSTRACJE

Przemysław Truściński

MAPA

Paweł Zaręba

REDAKCJA

Dorota Pacyńska

KOREKTA

Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
W S P A W N I C T W O

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 25 19
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow

FELIKS W.

KRES

NAJSTARSZA

Z POTĘG



Szerń ma moc obdarzania rozumem, ale nie może stworzyć życia. Życie tworzą tylko Bezmiary – najstarsza z Potęg.

Od śmierci Riolaty Ridarety minęło 5 lat. Długich lat. Mapa Szereru zmieniła się – krainy straciły władców, rozpadły się sojusze, odeszli ci, którzy wydawali się niezastąpieni, a na ich miejsce przyszli nowi, bez których świat istniałby tak samo. Tylko cicha walka o władzę trwa niezmiennie i nieustępliwie.

Nadchodzi czas przesilenia i tym razem nowy porządek wykuje się nie w szczęku mieczy i rzeniu koni, ale w huku dział okrętowych i ostatnich krzykach tonących rannych.

Karty rozdadzą zdrajcy, a konsekwencje poniosą legendarni kapitanowie i ich marynarze. Żaden z nich nie wybiera się na spotkanie ze śmiercią, a jednak wielu ją spotka.

FELIKS
KRES
.PL

10

KSIĘGA
CAŁOŚCI



fabrykaslow.com.pl

Spis treści

Karta tytułowa	2
Księga całości	3
Część pierwsza Kokardy Ridi	7
Rozdział 1	8
Rozdział 2	20
Rozdział 3	37
Rozdział 4	46
Rozdział 5	61
Rozdział 6	71
Rozdział 7	83
Rozdział 8	93
Rozdział 9	98
Rozdział 10	116
Część druga Sieci i ryby	124
Rozdział 11	129
Rozdział 12	136
Rozdział 13	147
Rozdział 14	159
Rozdział 15	175
Rozdział 16	188
Rozdział 17	199
Rozdział 18	212
Rozdział 19	226
Rozdział 20	233
Rozdział 21	248
Rozdział 22	265
Rozdział 23	283

Rozdział 24	303
Część trzecia żaglowiec	323
Rozdział 25	324
Rozdział 26	348
Rozdział 27	361
Rozdział 28	384
Rozdział 29	399
Rozdział 30	409
Rozdział 31	418
Epilog Nowe czasy	444
Rozdział 32	445
Rozdział 33	464